

VICTORIA
HISŁOP
POCZTÓWKI
Z GRECJI



O książce

Ellie wieździe w Londynie smutne ȳycie konsultantki telefonicznej. Zazwyczaj nie bierze urlopu, bo nie bardzo wie, co mogłaby zrobić z wolnym czasem. Nie przeȳła ȳadnego zawodu miłosnego, bo nigdy nikogo nie kochała. Nie utraciła najbliȳszej przyjaciółki, bo nigdy takiej nie miała. Ma tylko swoją pracę i szare mieszkanie w suterenie. I właściwie to jej wystarcza.

Aȳ któregoś dnia do jej skrzynki pocztowej trafia widokówka. Najpierw jedna, potem kolejne, pełne słońca, lśniąceȳ błękitnej wody i bajkowych krajobrazów Grecji... W ciągu pół roku na tablicy korkowej, obok list zakupów i rzeczy do zrobienia, powstaje biało-niebieski kolaȳ. A z wiadomości wypisanych na odwrocie pocztówek odczytuje historię mężczyzny ze złamanym sercem, który odbywa uzdrawiającą podróż po najpiękniejszym miejscu na Ziemi.

Któregoś razu kolejna pocztówka nie nadchodzi. A Ellie czuje, ȳe nie może dłuȳej zgadzać się na swoje szare ȳycie. Kupuje więc bilet do Aten, by podąȳić śladem tajemniczego mężczyzny. W dniu wylotu czeka na nią jeszcze jedna niespodzianka...

VICTORIA
HISŁOP
POCZTÓWKI
Z GRECJI

Fotografie: Alexandros Kakolyris

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



Wydanie elektroniczne

Tej autorki w Wydawnictwie Albatros

WYSPA

POWRÓT

NIĆ

Z WIDOKIEM NA WSCHÓD SŁOŃCA

POCZTÓWKI Z GRECJI

Tytuł oryginału:

CARTES POSTALES FROM GREECE

Copyright © Victoria Hislop 2016

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2017

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcia w książce: © Alexandros Kakolyris 2016

Zdjęcia na okładce: Pexels, Freepik, 19srb81/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6578-124-6

Wydawca WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O. (dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.) Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com [Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |
[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em.eu

SPIS TREŚCI

Chłopiec w srebrzystym garniturze

Et in Arcadia ego

Aria na strunie G

Tylko nie we wtorek

Nie wódź nas na pokuszenie

Naoczny świadek 1824

Święcona woda

Zakochany w miłości

Mężczyzna na szczycie góry

Je reviens

Laterna, ubóstwo i honor

Miesiąc miodowy

Poznaj samego siebie

Samotna żona

Czekając na wiatr

Ilustracje

Przychodziły z pozaginanymi rogami, zawsze lekko naddarte, często nieczytelne, jakby podróżowały po Europie w czyjejs tylnej kieszeni. Raz czy dwa pismo było rozmazane, zmoczone deszczem, winem, a może łzami. Czasami były spłowiałe od słońca, a wyblakłe znaczki na nich świadczyły o tym, że wędrowały przez wiele tygodni.

Pierwsza z pocztówek pojawiła się pod koniec grudnia; następne przychodziły coraz regularniej. Ellie Thomas zaczęła na nie czekać. Jeśli nie dostawała żadnej przez tydzień albo dłużej, na wszelki wypadek sprawdzała ponownie pocztę. W swojej skrzynce na listy, jednej z dwunastu w ogólnodostępnym holu wejściowym, znajdowała najczęściej rachunki (lub ponaglenia, by je zapłacić) oraz śmieciowe reklamy śmieciowego jedzenia. Odbiorcami byli zwykle poprzedni lokatorzy, którzy wyprowadzili się już dawno temu, i Ellie zakładała, że należy do nich również S. Ibbotson, adresat (lub adresatka) pocztówek.

Poza tymi kolorowymi obrazkami, zawsze z Grecji, całą resztę mylnie zaadresowanej poczty wrzucała do stojącej w rogu skrzynki z napisem: „Zwrot do nadawcy”. Urząd pocztowy prawdopodobnie wszystko wyrzucał.

Pocztówek nie można było zwrócić do nadawcy. Nadawca był nieznany, podpisywał się tylko inicjałem, „A.”. „A” jak anonim. I kimkolwiek był lub była S. Ibbotson, przez całe te trzy lata, które Ellie spędziła w mrocznym mieszkanku w Kensal Rise, wcześniej nie przyszło do niego lub do niej nic innego. Szkoda było je wyrzucać.

Zaczęła je przypinać do dużej korkowej tablicy, na której umieściła wcześniej karteluszek z numerem swojego ubezpieczenia zdrowotnego i od czasu do czasu wieszala listy sprawunków. Po kilku tygodniach stworzyły barwną, w większości biało-niebieską mozaikę (niebo, morze, łódki i bielone budynki z niebieskimi okiennicami). Z tych samych czystych kolorów składała się flaga, pojawiająca się na niektórych pocztówkach.

...Metoni, Mystras, Monemwasia, Nafpaktos, Nafplio, Olimpia, Sparta...

Te nazwy przypominały zaklęcia i Ellie dała im się uwieść. Chciała znaleźć się w miejscach, do których były przypisane. Powtarzała je w myślach, tak jak powtarza się melodyjne słowa o nieznanym znaczeniu: Kalamata, Kalawrita, Kosmas. I przez cały czas poznawała nowe.

Pocztówkowy kolaż rozjaśnił jej mieszkanie w przyziemiu, ożywiając ponure wnętrza, co nie udało się wcześniej kolorowym pledom.

Swoim eleganckim, lekko ozdobnym (choć chwilami nieczytelnym) pismem nadawca przekazywał niewiele informacji, lecz emanował z nich entuzjazm.

Z Nafplio: *Ma w sobie coś szczególnego.*

Z Kalamaty: *Panuje tu taka serdeczna atmosfera.*

Z Olimpi: *Ten obrazek daje Ci tylko przedsmak.*

Ellie zaczęła się utożsamiać z S. i marzyć o miejscach, do których A. najwyraźniej ją wzywał.

Nadawca często dzielił się spostrzeżeniami na temat spraw, które były dla niej trudne do wyobrażenia.

Wydaje się, że tutejsi ludzie nie rozumieją, czym jest samotność. Nawet teraz, gdy piszę tę pocztówkę, ktoś podszedł i zapytał, skąd jestem i co tutaj robię. Niełatwo to było wyjaśnić.

Dla Greków najgorszą rzeczą na świecie jest bycie samemu, więc zawsze ktoś podchodzi, żeby mnie pozdrowić, o coś zapytać albo o czymś opowiedzieć.

Zapraszają mnie do swoich domów, na panegyris, czyli przyjęcia, a nawet na chrzciny. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem takiej gościnności. Jestem dla nich kimś zupełnie obcym, a mimo to traktują mnie niczym dawno niewidzianego przyjaciela.

Czasami zapraszają mnie do swojego stolika w kawiarni i zawsze mają do opowiedzenia jakąś historię. Słucham ich i wszystko zapisuję. Wiesz, jacy są starzy ludzie. Pamięć może nieco zniekształcić kontury prawdy. Ale to nieważne. Chcę podzielić się z Tobą tymi historiami.

Wszystkie wiadomości kończyły się jednak melancholijną nutą:

Bez Ciebie to miejsce nie istnieje. Żałuję, że Cię tu nie ma. A.

Ostatnie słowa były proste, szczerze i smutne. S. nie miała się nigdy dowiedzieć, jak bardzo ów anonimowy autor pragnął, by byli tam razem.

Któregoś dnia w kwietniu przysłyły jednocześnie trzy pocztówki. Ellie znalazła stary atlas i zaczęła szukać miejsc, z których je wysłano. Potem wydarła z niego mapę i przypięła ją na tablicy, obok pocztówek, zaznaczając wszystkie miejscowości i kreśląc trasę podróży autora. Arta, Preweza, Meteory. Wszystkie te obce nazwy miały w sobie coś z magii.

Ten kraj, którego nigdy nie odwiedziła, zaczął się stawać częścią jej życia. Jak podkreślał stale autor, pocztówki nie mogły przekazać zapachów ani dźwięków Grecji. Były jedynie jej migawkami, czymś utrwalonym w przelocie. Mimo to zaczęła się w niej zakochiwać.

Z każdym mijającym tygodniem, z każdą nową pocztówką, Ellie coraz bardziej pragnęła zobaczyć Grecję na własne oczy. Marzyła o przesyconych światłem kolorach i o słońcu, jakie wydawały się obiecywać te obrazy. W zimie musiała wychodzić do pracy przed świtem i wracała o siódmej, więc zasłony były stale zasunięte. Z nadejściem wiosny niewiele się zmieniło. Słońce nie znajdowało drogi do jej mieszkania. Nie tak to sobie wyobrażała, z pewnością nie takiego się spodziewała życia, kiedy przyjechała tu z Cardiff. Światła, które miała nadzieję oglądać w Londynie, ledwie się ćmiły. Tylko pocztówki mogły sprawić jej radość:

te z Kalambaki, Karditsy i Katerini dołączyły do kolazu, kiedy tylko nadeszły.

Jej praca, która polegała na sprzedaży miejsca reklamowego w branżowym magazynie, od początku nie budziła w niej entuzjazmu, ale w pośredniaku przekonywano ją, że to najlepsza droga do tego, by kiedyś sama zaczęła publikować. Zdażyła się przekonać, że ta droga musi być bardzo kręta. Klienci lubili chyba jej śpiewny walijski akcent i bez trudu osiągała cele wyznaczone przez szefa telesprzedaży. To dawało jej kilka godzin, w trakcie których mogła zarobić dodatkową prowizję albo, czym zajmowała się ostatnio, szukać w internecie zdjęć i informacji na temat Grecji. Wśród ludzi przed trzydziestką, wykonujących tę samą pracę, wielu było „niezrealizowanych” aktorów i piosenkarzy, którzy pragnęli robić w życiu coś zupełnie innego. Większość siedzących obok niej anonimowych konsultantów miała nadzieję, że kiedyś wystąpią na scenie. Marzenia Ellie wybiegały daleko poza West End.

Jej obsesja na punkcie pocztówek wciąż się pogłębiała. Wyidealizowane obrazki Grecji stawały się dla niej coraz ważniejsze. Z nadejściem lata zaczęły przychodzić kartki z wysp. Były niewiarygodnie piękne, przedstawiały rozmigotane błękitne wody i niebo: Andros, Ikaria. Czy te miejsca rzeczywiście tak wyglądały? Czy zdjęcia nie były podrasowane?

A potem przez kilka tygodni nie przyszła ani jedna pocztówka. W sierpniu Ellie zaglądała do skrzynki co rano i przekonując się, że nic w niej nie ma, czuła ukłucie zawodu. Każde bezowocne sprawdzenie poczty odbierało jej nadzieję, ale nie mogła się powstrzymać. W wolny weekend pojechała do rodziców w Cardiff i spędziła sobotni wieczór, włócząc się po klubach z dawnymi koleżankami. Wszystkie powychodziły już za mąż i urodziły dzieci. Jedna z nich, na której ślubie była kiedyś drużną, poprosiła ją, by została matką chrzestną jej dziecka. Ellie nie mogła raczej odmówić, ale ze smutkiem zdała sobie sprawę, że oddaliła się od dawnych znajomych.

W Walii było zimno, lecz kiedy pociąg wjechał na dworzec Paddington, Londyn wydał jej się bardziej szary niż zwykle. Jadąc metrem do Kensal Rise, myślała tylko o pocztówkach. Czy czekała na nią nowa? Zajrzawszy do pustej skrzynki, poznała odpowiedź. Obliczyła, że od tej, która przyszła z Ikarii, minął już ponad miesiąc.

W mieszkaniu zauważyła, że pocztówki zaczynają się zwijać przy brzegach, chociaż kolory nadal pozostawały żywe. Nie dawało jej to spokoju. Nadeszła pora przekonać się, czy niebo jest tam naprawdę takie błękitne. A światło takie przejrzyste. Czy pocztówki zawsze upiększają rzeczywistość? Czy jest w nich szczypta prawdy?

Sprawdziła ważność paszportu (z którego korzystała ostatnio dwa lata wcześniej, gdy zrobiły sobie z koleżankami weekendowy wypad do Hiszpanii) i znalazła lot do Aten kosztujący mniej niż tanie buty, które kupiła sobie właśnie

w Cardiff. Nie była szukającą nowych wrażeń podróżniczką. W całym swoim życiu cztery razy wyjeżdżała do Hiszpanii, dwa razy do Portugalii i kilkakrotnie do Francji (na młodzieżowe obozy). Zbliżał się koniec sezonu i nietrudno było znaleźć niedrogi hotel. Obejrzała kilka z nich i wybrała w końcu miejscowość, którą знаła. Nafplio. Tygodniowy pobyt w hotelu przy plaży, z dwoma posiłkami, kosztował sto dwadzieścia funtów. Zobaczysz przynajmniej jedno z miejsc, które odwiedził A., a jeśli znajdzie czas, może więcej. Choć decyzja była całkowicie spontaniczna, Ellie miała wrażenie, że ten pomysł dojrzywał w niej od kilku miesięcy.

Następny tydzień zleciał bardzo szybko. Kiedy oznajmiła swemu układowemu szefowi, że chciałaby wziąć dziesięć dni wolnego, zbytnio się tym nie przejął. „Odezwij się po powrocie”, powiedział. Zabrzmiało to dwuznacznie i zastanawiała się, czy jej po prostu nie zwolnił.

Gdy drukarka wypluwała jej kartę pokładową, zdała sobie sprawę, że na pewno nie zatęskni za tą salą bez okien, z długimi rzędami telefonów.

Nie mogła się doczekać, by uciec przed niezbyt ciepłym angielskim latem, które wkrótce miało niepostrzeżenie przejść w jesień. Ostatnia pocztówka, którą przysłał A., przedstawiała piękny port z ładnymi domami i łódkami. Niemal słyszała chłopot wody uderzającej o burty. Miejsce wydawało się spokojne, a przede wszystkim gościnne.

Ikaria: Jak z innej epoki.

Najwyższy czas zobaczyć ten nowy kraj, przekonać się, czy to, co pisał A., jest prawdą. Czy ludzie rzeczywiście zagadują tam obcych? Zapraszają ich do swoich domów? Mieszkała w Londynie od trzech lat i ani razu nie zaprosił jej nikt, z kim pracowała, a już na pewno nie zagadnął jej nikt w kawiarni. Chciała doświadczyć tych wszystkich rzeczy.

W wieczór przed podróżą długo nie mogła zasnąć. A potem nie usłyszała budzika i zbudziło ją dopiero pokrzykiwanie pijaków na ulicy. Dla nich był to koniec długiego wieczoru, dla niej początek nowego dnia. Wskoczyła z łóżka i nie biorąc prysznic, naciągnęła na siebie wczorajsze ubranie. Sprawdziła jeszcze, czy wszystkie światła są zgaszone, po czym wypadła z mieszkania i pośpiesznie zamknęła drzwi na klucz.

Ciągnąc za sobą walizkę, zauważyła, że coś wystaje z jej skrzynki na listy. Mimo że wychodziła godzinę później, niż planowała, nie mogła się powstrzymać, by nie wyjąć przesyłki. Na paczce wielkości książki było nalepione pod różnymi kątami kilkanaście znaczków. Nazwisko adresata zamazała maszyna frankująca, ale adres dało się odczytać. Rozpoznała natychmiast charakter pisma i serce zabiło jej szybciej.

Nie było teraz czasu otwierać przesyłki, więc wsadziła ją do torebki. W ciągu następnych dwóch godzin myślała tylko o tym, by zdążyć na samolot. Miała dwadzieścia minut piechotą (dziesięć minut biegiem) do przystanku nocnego

autobusu, którym dojechała na dworzec, skąd odchodził kolejny autobus, bezpośrednio do Stansted. Godziny szczytu jeszcze się nie zaczęły. Razem z nią podróżowali głównie pracownicy terminalu.

Panienska przy stanowisku odprawy była opryskliwa.

– Zdążyła pani w ostatniej chwili – burknęła. – Zaraz kończy się boarding.

Ellie złapała swoją kartę pokładową i pobiegła. Na pokład samolotu weszła ostatnia, zgrzana, wyczerpana i zestresowana, już w tym momencie żałując, że wzięła zimowe okrycie. Leżało na krześle w domu, a o czwartej rano nie zdawała sobie dobrze sprawy, co jej będzie potrzebne na wakacjach. Teraz było za późno. Ściągnęła z siebie jasnoczerwoną budrysówkę, zwinęła ją i wcisnęła pod fotel. Steward sprawdzał, czy pasażerowie zapięli pasy, samolot kołował w stronę pasa startowego.

Ellie zasnęła jeszcze przed startem. Obudziła się trzy godziny później, ze zdrętwiałą szyją, straszliwie spragniona. Na lotnisku nie miała nawet czasu kupić butelki wody i liczyła, że skorzysta z serwisu pokładowego. Wyglądając przez okno, uświadomiła sobie, że to mało prawdopodobne: podchodzili już do lądowania. Zobaczyła morze, wzgórza, szachownicę pól, szpalery drzew, domy i kilka większych budynków, nawet znajome logo Ikei. W Atenach? Zanim zdążyła to przeanalizować, koła samolotu walnęły w pas startowy. Kilka osób zaczęło klaskać, co ją trochę zdziwiło. Zawsze wydawało jej się, że podstawowym zadaniem pilota jest bezpieczne dowiezienie pasażerów do celu podróży.

Kiedy otwarto drzwi, do kabiny wpadło ciepłe powietrze i zapach, którego nie potrafiła zidentyfikować. Być może była to mieszanka zanieczyszczonego powietrza i tymianku, ale wdychała ją z przyjemnością.

Gdy sięgnęła do torebki po paszport, pierwszą rzeczą, jaką tam znalazła, była przesyłka. Kolejka do odprawy przesuwała się powoli, więc Ellie miała czas, by naderwać brązowy papier i zajrzeć do środka. Był tam notes w niebieskiej skórzanej okładce. Dostrzegła, że brzegi kartek są lekko pożółkłe. Wepchnęła go z powrotem do torebki.

Autobus z lotniska zawiózł ją na centralny dworzec autobusowy, KTEL. Przez panujący tam ścisk i zgiełk przebijały się krzyki kierowców zapowiadających odjazdy, warkot silników i głosy tysięcy pasażerów, którzy taszcząc walizy i torby, pojawiali się i znikali. Ellie o mało nie udusiła się gryzącym smrodem spalin.

W końcu znalazła właściwą budkę biletową, dała kasjerowi piętnaście euro i mając tylko minutę do odjazdu, zdążyła kupić zimny napój i jakieś herbatniki.

Siadając przy oknie i patrząc na przewalający się za szybą tłum, wiedziała już, że A. miał rację przynajmniej w jednym. Ludzie tutaj nie cenili sobie ciszy. Starsza pani, która zajęła miejsce obok niej, nie mówiła ani słowa po angielsku, lecz mimo to prowadziły ze sobą dialog niemal przez godzinę, do chwili, kiedy Ellie zmorzył sen. Wcześniej dowiedziała się, co robiły i gdzie mieszkały

wszystkie jej dzieci, i zjadła dwa gołąbki w liściach winogron, a także kawałek świeżego ciasta pomarańczowego (drugi kawałek, owinięty w serwetkę, leżał teraz na jej torebce). Zerknęła na przesyłkę, którą przykryła swetrem. Miała zamiar przejrzeć notes w czasie podróży, ale ciepłe słońce za oknem i jednostajny warkot autobusu ukołysały ją do snu.

Dopiero kiedy prawie trzy godziny później dojechali do Nafplio, zauważyła, że nie ma swojej kurtki. Musiała ją zostawić w samolocie. Czekając w promieniach słońca, aż z luku wyładują jej walizkę, nie była szczególnie rozzalona. Zdążyła się już przekonać, że ciepła odzież jest tu zbędnym obciążeniem. Czuła się jak wąż, który zrzucił skórę.

Przy dworcu autobusowym stały taksówki, a w przewodniku sugerowano, że do hotelu w Tolon najlepiej dojechać taryfą. Najpierw jednak chciała obejrzeć miasto. Ciągnąc za sobą małą walizkę i kierując się drogowskazami, które były na szczęście po angielsku, ruszyła w stronę starówki.

Wkrótce znalazła się na głównym placu, który natychmiast rozpoznała z pocztówki. Uczucie *déjà vu* sprawiło, że się uśmiechnęła.

Przyzwyczajona do tego, że jest singielką, Ellie nie czuła skrępowania, siadając sama przy stoliku w kawiarni. Złożyła szybko zamówienie i zaraz podano jej cappuccino, razem ze szklanką zimnej wody i dwoma ciepłymi ciastkami orzechowymi. Po raz drugi w ciągu kilku godzin doświadczyła greckiej gościnności, o której A. wspominał tak często.

Popijając kawę, rozejrzała się dokoła. Był piątek, ciepły wieczór, połowa września. Plac wypełniali ludzie w najróżniejszym wieku: pchali wózki z dziećmi, jechali na rowerach, śmigali na łyżworolkach albo po prostu spacerowali. Niektórzy szli pod ramię, starsi wspierali się na laskach. W kilkunastu kawiarniach wokół placu zajęte były wszystkie stoliki.

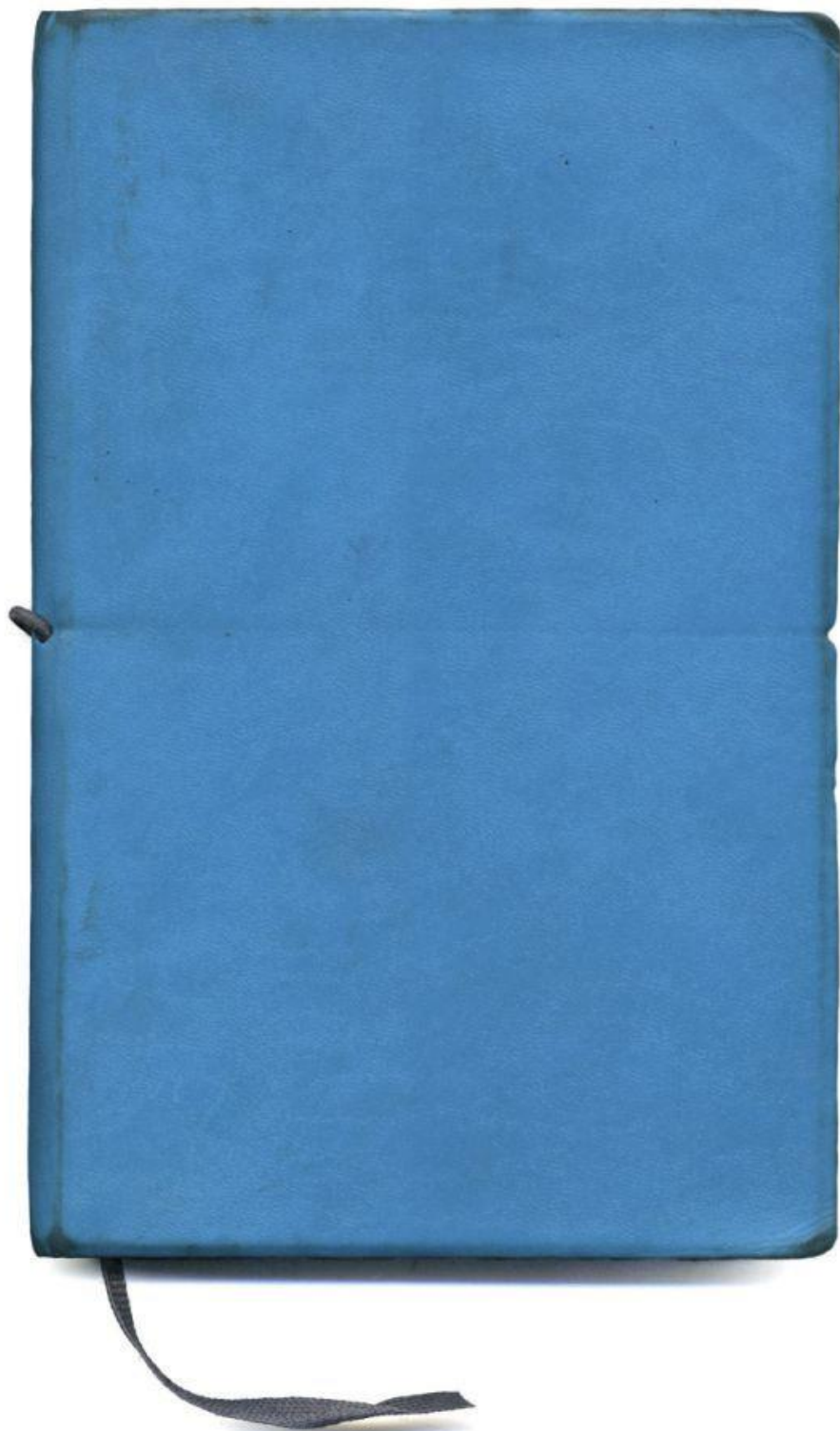
Przesyłka leżała przed nią na stole. Wsunąwszy palec we wcześniejsze naddarcie, Ellie rozerwała brązową kopertę, schowała ją do bocznej kieszeni torebki i przez chwilę obracała notes w rękach. Pocztówki miały niejako publiczny charakter, mógł na nie spojrzeć każdy, kto je wziął do ręki, ale notes? Czy czytanie czyjś pamiętnika nie było naruszeniem prywatności? Z całą pewnością miała takie uczucie, kiedy nerwowo go otworzyła. Przerzucając kartki, spostrzegła, że są zapisane znajomym, starannym, choć czasami trudnym do odczytania pismem A.

Patrząc na plac, mimo woli nakreśliła palcem literę S pośród okruchów ciastek na talerzyku. Właściwa adresatka nie miała najmniejszej szansy przeczytania tych zapisków, więc Ellie, płonąć z ciekawości i z niezbyt dużym poczuciem winy, otworzyła notes na pierwszej stronie.

Po przeczytaniu kilku słów przerwała, zdając sobie sprawę, że lepiej będzie odłożyć lekturę do chwili, gdy dotrze do hotelu. Przyciskając notes do piersi, wstała i poszła na postój taksówek.

– Tolon – powiedziała niepewnie. – Hotel Marina.

Późnym wieczorem, na małym balkonie swojego pokoju, zaczęła czytać od początku.



Kiedy pojechałem po Ciebie tamtego dnia na małe lotnisko w Kalamacie i nie pojawiłaś się, czekałem dwadzieścia cztery godziny, przekonany, że coś mi się pomyliło i przylecisz następnym lotem. Albo że nie zdążyłaś na samolot i nie możesz się ze mną skontaktować. Szukałem najróżniejszych uzasadnień. Noc przespąłem na ławce za wózkami bagażowymi. Sprzątacze zamiótł podłogę wokół moich stóp i przyniósł mi nawet placek ze szpinakiem, który jego żona już chciała wyrzucić. Prowadziła kiosk gastronomiczny, ich syn pracował przy odprawie paszportowej, a kontrolą bezpieczeństwa bagażu zajmował się oczywiście kuzyn. Kolejny kuzyn sprawdzał karty pokładowe odlatujących pasażerów.

– Małe lotniska w Grecji to rodzinne firmy – poinformował mnie z wielką dumą sprzątacze.

Nazajutrz wczesnym rankiem musiałem opuścić halę przylotów. Była połowa września, skończyły się loty czarterowe z Wielkiej Brytanii i nie mogłem już liczyć, że się nagle pojawisz. Nie odebrałaś telefonu, kiedy dzwoniłem, ale wiedziałem, że gdyby stało się coś złego, zawiadomiłby mnie któryś z Twoich przyjaciół.

Siedziałem przez jakiś czas na ławce przed lotniskiem, nie wiedząc, co począć i dokąd się udać. Nagle zabrzęczała moja komórka. Sygnał SMS-a. Kiedy sięgałem po nią do kieszeni, ręce trzęsły mi się tak bardzo, że telefon upadł na ziemię. Na popękany szkiełku wyświetlacza zdołałem odczytać kilka słów: „Niestety nie dała rady przyjechać”. Przypuszczam, że podyktowałaś je komuś ze swoich znajomych. Przez kilka minut z niedowierzaniem wpatrywałem się w tę wiadomość, a potem zadzwoniłem pod numer, z którego ją wysłano. Bez odpowiedzi. Próbowałem kilka razy. Oczywiście z tym samym skutkiem. Gniew. Furia. Wściekłość. Te słowa nawet w przybliżeniu nie oddają tego, co czułem. To tylko słowa, puste słowa.

Tego dnia nie dostałem żadnych innych wiadomości, poza „Bon Voyage” od mojego brata.

Powinienem wrócić prosto do Aten, ale nie mogłem znieść myśli, że będę jechał tą samą trasą, którą dopiero co pokonywałem z taką radością i podnieceniem. Odrętwiały, wsadziłem machinalnie kluczyk do stacyjki. Nie

miałem właściwie pojęcia, dokąd zmierzam. Nie dbałem o to. Nie wiem, jak długo jechałem. Zatrzymałem się dopiero nad samym morzem. Przy plaży, gdzie kończyła się droga, zobaczyłem tablicę z napisem: „Wolne pokoje”. Uznałem, że tam właśnie się zatrzymam.

W następnych dniach prawie nic nie robiłem. Siedziałem tylko i patrzyłem na Morze Jońskie. Potężne fale uderzały o brzeg i bez końca łamały się i toczyły po piasku, odzwierciedlając jakby stan, w którym się znajdowałem. Trwało to bardzo długo. Nie mogłem jeść, nie odzywałem się do nikogo. Mężczyźni to podobno silniejsza płeć, ale nigdy nie czułem się tak bezsilny. Gdybym podszedł do morza wystarczająco blisko, pewnie porwałyby mnie fale. Bywały dni, kiedy chętnie zniknąłbym w kipieli.

Bez przerwy spoglądałem na rozbity, pusty ekran komórki, aż w końcu, nie mogąc tego dłużej znieść, cisnąłem ją, najdalej jak mogłem, w morze. To mnie wyzwoliło. Widząc, jak wpada do wody, musiałem pogodzić się z faktem, że nie mogę dostać i nie dostanę od Ciebie już żadnej wiadomości. Odciąłem się od Ciebie i odciąłem się od świata.

Bóg jeden wie, co myślało o mnie mile małżeństwo, które prowadziło pensjonat w Metoni, lecz co wieczór zostawiali mi talerz z zimnymi przekąskami i codziennie rano go zabierali. Któregoś ranka żona włożyła do wazonu w moim pokoju świeżo ścięte kwiaty, a kiedy zwiędły, zmieniła je na nowe. Zdawałem sobie sprawę z ich życzliwości, ale nie odczuwałem głodu ani pragnienia. Podobnie jak zimna i gorąca. Któregoś dnia stałem pod prysznicem tak długo, aż zaczęła z niego lecieć zimna woda, lecz w ogóle tego nie poczułem. Spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że minęła cała godzina. Rozpacz sprawiła, że przestałem reagować na jakiegokolwiek bodźce. To był mroczny okres. Nie wiem, jak spędzałem te dni, ale udało mi się jakoś przetrwać. Nie wiedziałem, ile czasu minęło od dnia, kiedy czekałem na Ciebie na lotnisku; któregoś dnia właściciel pensjonatu pozdrowił mnie, gdy szedłem na plażę.

– Kalo mina! – zawołał wesóło. – Octomvris! Mamy nowy miesiąc!

Spędziłem tam zatem dwa tygodnie.

Plan, jaki dla nas obmyśliłem, wydawał się teraz śmieszny: po zwiedzeniu Peloponezu mieliśmy popłynąć promem na Kithirę, stamtąd następnym na Krete, a potem polecieć z powrotem do Aten i do Londynu. Powiedziałaś, że masz tylko dwa tygodnie wakacji, i zadbałem o to, byś wróciła na czas. W Atenach, w sklepie o nazwie Zolotas, kupiłem pierścionek zaręczynowy z brylantem. To pokazuje, jak bardzo się łudziłem. Chciałem Ci się oświadczyć na Krecie, na tle zachodzącego krwiście słońca. Nawet teraz wyobrażam sobie tę scenę, do której nigdy nie doszło. Mam nadzieję, że któregoś dnia to minie.

Tamtego wieczoru w Metoni (zamknąłem w moim pokoju okiennice, żeby nie oglądać zachodu słońca) musiałem podjąć decyzję, czy mam wracać do Londynu, czy podróżować samemu. W ciągu dwóch tygodni spędzonych w Atenach udało mi się zebrać sporo materiałów. Kustosz Muzeum Sztuki Cykladzkiej udostępnił mi znaczną część archiwum, więc miałem już wystarczająco dużo dokumentów, by zacząć pisać moją książkę. Mogłem to robić równie dobrze w pokoju hotelowym, jak w domu. Myśl o Londynie lekko mnie przerażała, bo wiedziałem, że będę tam wypatrywać Twojej twarzy. Kolejnym powodem, by pozostać w Grecji trochę dłużej, było pragnienie ucieczki przed jesienną brytyjską melancholią.

Spakowałem więc torbę i wymeldowałem się. Nigdzie mi się teraz nie spieszyło. Z budki telefonicznej w wiosce zatelefonowałem do brata i poprosiłem, żeby raz w tygodniu odbierał moją pocztę i płacił rachunki. Nie wiedziałem, kiedy wrócę. Jeśli będę żył oszczędnie, zaliczka na książkę powinna mi wystarczyć na rok. Przed wejściem do sklepu, w którym chciałem kupić czekoladę, gumę do żucia, wodę i kilka innych drobiazgów potrzebnych mi na drogę, przystanąłem przy zardzewiałym obrotowym stojaku, na którym tkwiło kilka dyżurnych pocztówek. Właściciel sklepu nie spodziewał się chyba o tej porze roku tłumy turystów, dlatego kartek nie było zbyt wiele. Wybrałem tę z ruinami weneckiego zamku (którego w ciągu wszystkich spędzonych tutaj dni nie chciało mi się nawet zwiedzić). Po co ją kupiłem? Nie sądziłem, by w ogóle obchodziło Cię, gdzie jestem, lecz nagle zapragnąłem się z Tobą skontaktować. Może chciałem po prostu przerwać milczenie, jakie między nami zapadło. A może złagodzić doskwierającą mi samotność. Nie było sensu udawać kogoś, kto bawi się komórką i ma wielu znajomych na fejsie, ale mogłem być przynajmniej kimś, kto wysyła pocztówkę i musi kupić znaczki.

Będzie to jakiś sposób nawiązania kontaktu z Tobą, bez oczekiwania, że odpowiesz; coś w rodzaju jednostronnej rozmowy. Ten pomysł mi się spodobał. Być może pożałujesz nawet, że nie przyjechałaś.

Mężczyzna w sklepie przylepił na pocztówkę kilka znaczków i spakował wszystkie rzeczy, które kupilem.

– Kalo taksidi – powiedział, życząc mi szczęśliwej podróży; był to jeden ze zwrotów, które zdążyłem już poznać.

– Dziękuję – odrzekłem.

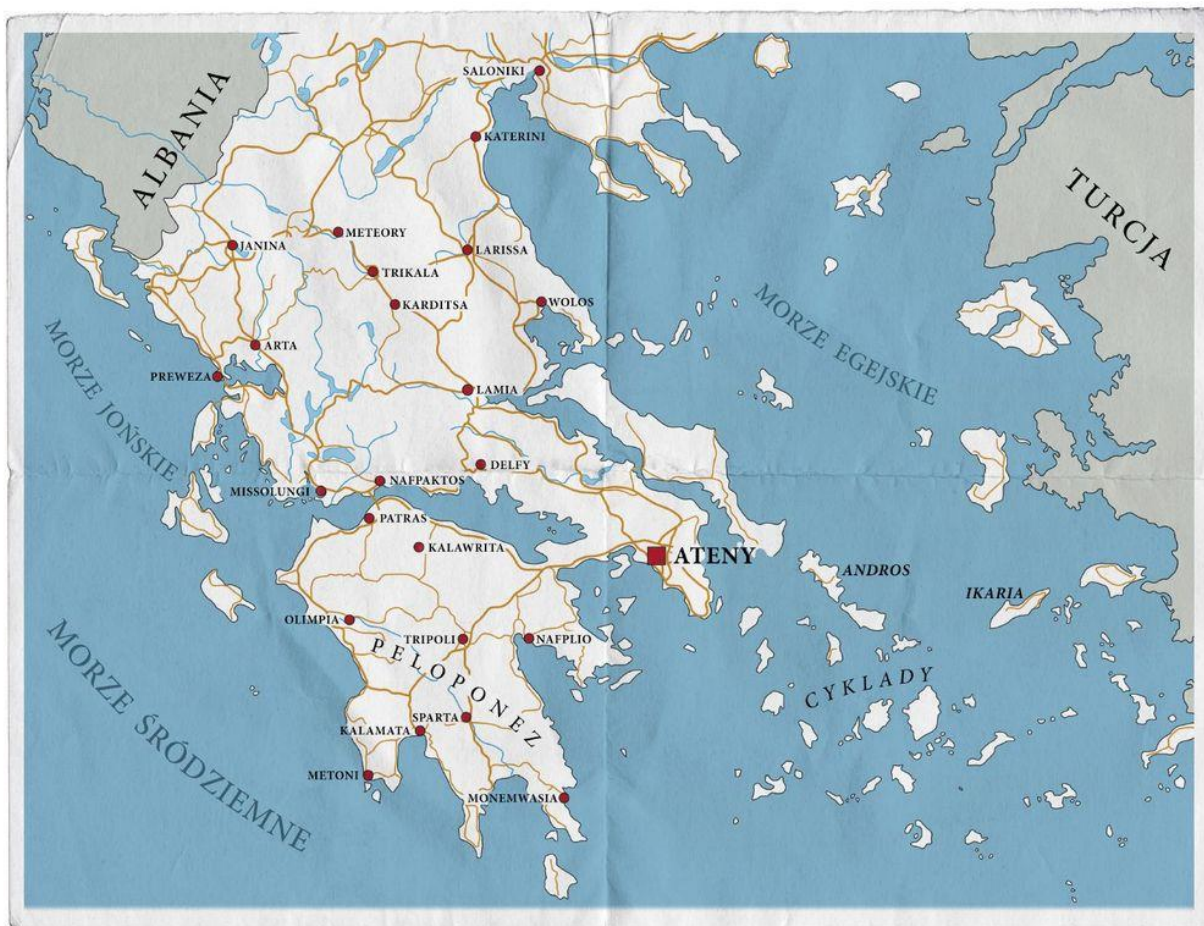
Położyłem pocztówkę na dachu samochodu, napisałem do Ciebie kilka słów i wrzuciłem ją do pobliskiej skrzynki pocztowej.

Mogłem jechać, gdzie mnie oczy poniosą, ale to dziwne, jak deprymująca może się okazać taka wolność. Wpatrując się w mapę, siedziałem w samochodzie co najmniej przez godzinę i musiałem zmobilizować całą siłę woli, by uruchomić silnik i ruszyć z miejsca. Wiedziałem, że jadę na wschód, bo słońce świeciło za moimi plecami, nie miałem jednak żadnego wytyczonego celu ani też pojęcia, dokąd zaprowadzi mnie los lub instynkt. Tak zaczęła się moja podróż.

W następnych tygodniach i miesiącach wszędzie, gdzie się zatrzymałem, ludzie rozmawiali ze mną. Większość traktowała mnie z dużą serdecznością, a jeśli nawet nie od razu tak było, to często przełamywałem pierwsze lody, usiłując porozumiewać się po grecku. Wiele osób opowiedziało mi różne historie. Słuchałem i spisywałem je, codziennie dowiadując się nowych zaskakujących rzeczy o tym kraju i o sobie samym. Głosy obcych wypełniły pustkę i milczenie, które po sobie zostawiłaś.

Rozpoznasz z pocztówek pewne miejsca, w których rozgrywają się te historie. Kto wie, czy zasłyszane od ludzi opowieści są prawdziwe, czy fałszywe. Podejrzewam, że niektóre są zmyślane od początku do końca, w innych tkwi sporo

przesady – ale kilka jest chyba prawdziwych. Zdecyduj sama.





Październik 2015

Uroda Peloponezu, od którego tak naprawdę zaczęłam swą podróż, nie ukoła wcale mojego bólu. Raczej jeszcze go pogłębiła. Bujna, tryskająca zdrowiem natura zdawała się wymierzonym we mnie szyderstwem. Ten krajobraz zupełnie nie pasował do mojego nastroju i nic nie powstrzymywało mnie przed rozpamiętywaniem tego, co utraciłam. Tyle nadziei wiązałam z naszą wspólną przyszłością – nie mogłam do nich nie wracać. W następnych miesiącach przekonałam się, że próbując o czymś zapomnieć, człowiek sprawia tylko, że wspomnienia stają się bardziej wyraziste. Wieczorami piłam, żeby się znieczulić i szybciej zasnąć, ale wkrótce myśl o udaniu się na spoczynek zaczęła budzić mój lęk. Sen był niczym głęboka ciemna studnia, do której wciągały mnie koszmary. Pewnego razu właściciele pensjonatu w Metoni wpadli do mojego pokoju o czwartej nad ranem. Usłyszeli moje krzyki i byli pewni, że ktoś mnie morduje. Śniłem wyłącznie o Tobie. Ale to były złe sny. Smutne sny. Podświadomość nie pozwalała mi o Tobie zapomnieć. Przynajmniej jeszcze nie.

Wybierając się w tę podróż, nie popełniłem jednak błędu. Nieszczęście i tak podążałoby za mną trop w trop. Gdybym wrócił do Londynu, byłoby o wiele gorzej. Znajomi patrzyliby na mnie ze współczuciem należnym człowiekowi, który stracił kogoś bliskiego, ale po kilku tygodniach oczekiwaliby, że będę już na powrót sobą. Tutaj otaczali mnie obcy i jeśli przemieszczałem się dość szybko, ludzie nigdy nie wiedzieli, na czym polega w moim przypadku „bycie sobą”. W towarzystwie osób, które nie miały pojęcia, co się stało, mogłem wymyślać sobie od nowa. Daleko od domu byłem w stanie udawać, że panuję nad sytuacją.

Miejscowi zawsze chcą pokazać przybyszowi swoje ulubione miejsca i moi gospodarze w Metoni wciąż powtarzali, że powinienem zobaczyć Nafplio.

„To najpiękniejsze, najbardziej romantyczne miasto w Grecji”, mówili.

Uśmiechałem się z przymusem, gdy pokazywali mi je na mapie.

Nie wiem, czy Nafplio jest najładniejszym miastem w Grecji, ale ja byłem nim oczarowany. Jego plattia to najwspanialszy miejski plac, jaki kiedykolwiek widziałem. Wyobraź sobie olbrzymią salę balową pod otwartym niebem. Marmurowe płyty chodnikowe są gładkie i nieskazitelnie czyste; nawet w chłodny jesienny wieczór piękne budynki, stojące po czterech stronach placu, chronią tę „salę balową” przed podmuchami wiatru. Jej ściany są prawdziwym kolażem greckiej historii: dawny meczet z szesnastego wieku, wenecka zbrojownia, eleganckie neoklasyczne budynki i całkiem udana dwudziestowieczna architektura. Położone nad morzem, ze swoimi trzema zamkami i sięgającą starożytności historią, Nafplio było od roku 1829 do 1834 pierwszą stolicą nowożytnej Grecji i wydaje się, że nie jest to bez znaczenia.

Spędziłem tam wiele godzin, patrząc na otaczający mnie świat.

Któregoś wieczoru miałem okazję porozmawiać z pewną parą, widziałem jednak, że nie daje im spokoju fakt, iż jestem sam.

– Pańska żona... – zapytała w końcu kobieta. – Nie towarzyszy panu?

W tym pytaniu zawartych było wiele sugestii, do których nie zamierzałem się odnosić. Na szczęście wtrącił się mąż, wyczuwając, że kobieta zachowała się trochę nietaktownie.

– Od sprawy Adamakosa mieszkańcy Nafplio trochę się obawiają siedzących samotnie przy stoliku mężczyzn – wyjaśnił.

– Od sprawy Adamakosa? – powtórzyłem.

– Nie sądzę, by o tej historii rozpisywały się angielskie gazety – odparł.

Miał oczywiście rację. W brytyjskiej prasie artykuły o Grecji dotyczą głównie spraw gospodarczych, a ostatnio kryzysu uchodźczego. Inne tematy są nieobecne.

- Ten facet po prostu często sam tu przesiadywał – podjął mężczyzna.*
- Przez dwadzieścia pięć lat! – dodała żona, żebym zrozumiał znaczenie tego faktu.*
- O tej historii wiele się mówiło...*
- Nie lubił ludzi? – zapytałem.*
- Z pewnością byli pewni ludzie, których nie lubił – stwierdziła tajemniczo żona.*
- Był z Mani – dorzucił mrocznym tonem mąż, pochylając się do przodu, na wypadek gdyby ktoś nas podsłuchiwał.*

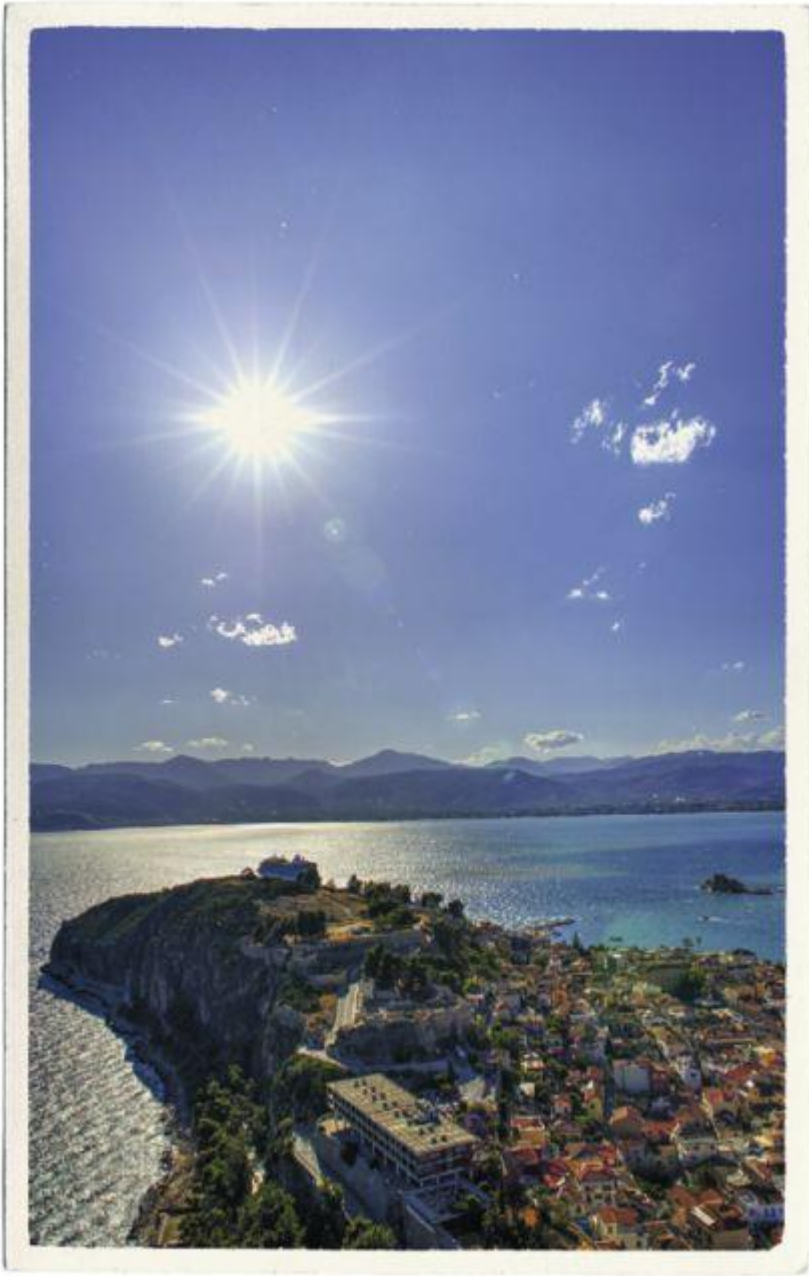
Nigdy nie byłem w Mani, odludnym rejonie na południe od Nafplio, wiedziałem jednak, że w dawniejszych czasach tamtejsi mieszkańcy słynęli z niezwyklego poczucia honoru i mściwego charakteru. Akurat tego dnia czytałem o dramatycznych wydarzeniach, które rozegrały się w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku niedaleko kawiarni, gdzie siedzieliśmy. Pierwszy szef nowego państwa, Joanis Kapodistrias, aresztował członków ważnego, ale buntowniczego klanu z Mani. W odwecie za to ich dwóch krewniaków zaczęło się na niego, kiedy szedł do kościoła. Pierwszy strzał był niecelny. Kapodistriasa dźgnięto wówczas nożem i dobito strzałem w głowę. Przemoc zrodziła przemoc. Zamachowcy zostali wkrótce potem straceni.

- Wie pan, że kula utkwiała w ścianie kościoła Świętego Spirydona, tuż za rogiem? – Mężczyzna wskazał kamienne schody, które prowadziły na biegnącą wyżej ulicę.*
- Widziałem to dzisiaj – odparłem.*

*– Niech pan uważa, by nigdy nie obrazić mieszkańca Mani – poradził. –
Wiele ich krwawych waśni ciągnie się aż do współczesnych czasów.*

*Następnie opowiedział mi tę historię. Kiedy skończył, wiedziałem, że
z pewnością posłucham jego rady.*

GHŁOPIEC W SREBRZYSTYM
GARNITURZE





CHŁOPIEC W SREBRZYSTYM GARNITURZE

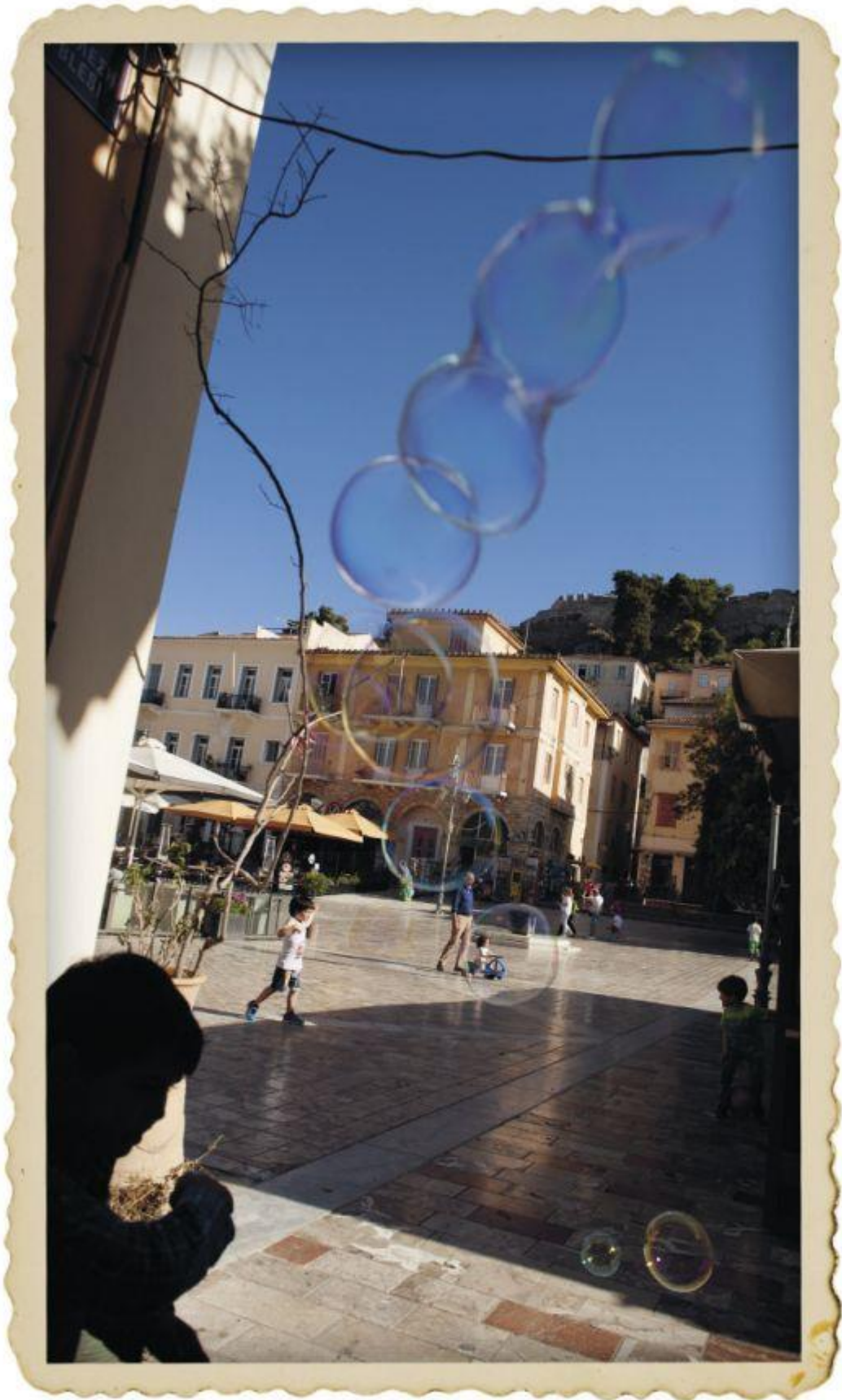
Wielki plac pośrodku Nafplio to tętniące serce miasta. Ludzie przychodzą tu przez cały dzień, żeby porozmawiać, zabawić się, popatrzeć na innych i czegoś się napić. W weekendy trudno znaleźć wolne miejsce w kawiarni.

Pary w najróżniejszym wieku, jakby przyciągane siłą grawitacji, defilują po wąskich, wolnych od ruchu kołowego weneckich uliczkach, spacerując zawsze we dwoje, niczym zwierzęta z arki. Pewni starsi państwo od pięćdziesięciu lat okrążają

codziennie wieczorem plac, zawsze w tempie tykającego powoli zegara. Mimo że mężczyzna chodzi ostatnio o lasce, nie zmienili swoich zwyczajów.

Zaraz za nimi podążają dwaj przystojni mężczyźni, jeden sporo młodszy od drugiego. W innych miastach mogliby śmiało iść pod rękę. Jeden ma fantazyjną białą czuprynę niczym perski kot, włosy drugiego są krótkie jak u nornika. Ubrani dość wytwornie, ale w swobodnym stylu, na plecy mają zarzucone pastelowe pulowery, które związali z przodu rękawami. Siadają w jednej z nowszych kafejek. To zamożni weekendowicze z Aten.

Kobieta w zaawansowanej ciąży obchodzi wraz z mężem plac wolniejszym krokiem. Poród spóźnia się o kilka dni i kobieta ma nadzieję, że spacer zachęci dziecko do przyjścia na świat. Każdy krok wymaga od niej wysiłku i nie jest pewna, czy nie będzie musiała przerwać przechadzki.



Dwaj mężczyźni oglądają w kawiarni mecz piłki nożnej. Jeden z nich zrywa się z krzesła za każdym razem, gdy jego drużyna jest bliska zdobycia gola, po czym znów spokojnie kontynuuje rozmowę ze swym znajomym. Tamten nie przejmując się aż tak bardzo meczem. Nie kibicuje żadnej drużynie.

Dwaj chłopcy kopią piłkę, biegnąc za nią gorączkowo, kiedy toczy się po pochyłości placu. Dwa psy gonią się wzajemnie, a potem każdy próbuje złapać własny ogon, skamląc, szczekając i kręcąc się w kółko. Jeden z nich rzuca się w pościg za piłką chłopców.

Są też tutaj dwie kobiety, wystrojone i mocno skropione perfumami, prosto od fryzjera. Nie są bliźniaczkami ani nawet siostrami, lecz z biegiem czasu upodobniły się do siebie, mają takie same tlenione włosy i zmarszczki na twarzy. Obie mają na imię Dimitra i właśnie teraz, pod koniec października, obchodzą swoje *yiorti*, imieniny. Znajomi, których spotykają na placu, życzą im *Hronia Polla!*, wielu radosnych powrotów.

Dwie dziewczynki, koleżanki z czwartej klasy, bawią się lalkami, wielce tym zaabsorbowane. Obie mają na sobie landrynkoworóżowe bluzy i džinsy, a na stopach tenisówki, których podeszwy błyskają, gdy się biega. Dwaj chłopcy, chodzący do tej samej szkoły co dziewczynki, zataczają kółka na swoich rowerach, podjeżdżając jeden do drugiego, ich koła już niemal się dotykają. Chłopcy piszczą z uciechy, kręcą się coraz bliżej i bliżej, aż w końcu z wielkim łoskotem dochodzi do zderzenia, wygina się metal i płynie krew z rozbitych kolan. Są zbyt dumni, by płakać, i odchodzą w przeciwnych kierunkach, do swoich domów, kuśtykając i prowadząc pogiete rowery.

Tylko jeden mężczyzna na Platia Syntagmatos siedzi sam. Na stoliku przed nim stoi kieliszek przejrzystego *tsipouro*, a on obserwuje całą scenę spod ciężkich zmrużonych powiek. Co jakiś czas, nie patrząc na to, co robi, zwija papierosa i wypala go bez przyjemności. Pety i popiół wysypują się z popielniczki na blat stołu. Nikt nie podchodzi, by ją opróżnić, ale kelner regularnie donosi mu kolejne kieliszki wody ognistej.

Akis Adamakos patrzy w stronę kościoła Świętego Spirydona i zaciąga się, wdychając głęboko w płuca nikotynę. W każdą sobotę między czwartą a szóstą siedzi w tej kawiarni dokładnie przez dwie godziny. Dzisiejszego dnia czas dłuży mu się niemiłosiernie.

To rytuał, którego ściśle przestrzega. Odtwarza w pamięci popołudnie sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy przybył pod kościół w srebrzystym ślubnym garniturze. Podnosi wzrok, widzi schody prowadzące do kościoła i przypomina sobie samego siebie, młodszego o ćwierć wieku, podenerwowanego, czekającego, by wręczyć bukiet pannie młodej.

Kościół i otaczające go wąskie uliczki wypełnili krewni i znajomi. Wielu

przejechało kawał drogi z południowego cypla Mani, skąd pochodziła rodzina Adamakosów. Rodzina panny młodej mieszkała w samym Nafplio albo na jego obrzeżach. Trzysta osób przekrzykiwało się i zaśmiewało, tworząc olbrzymi zgiełk. Ludzie, którzy nie widzieli się od dłuższego czasu, teraz znów się spotkali i z ożywieniem wymieniali wiadomości i plotki. Kiedy pojawił się ksiądz, rejwach się zmniejszył i zgromadzeni przestali pokrzykiwać, ale rozmowy trwały dalej. Starsi przysiedli na drewnianych ławach, lecz większość gości nadal krążyła z miejsca na miejsce.

Spodziewali się, że wesele będzie trwało do rana, więc nikt nie zerkał na zegarek.



Rozradowani i odprężeni byli wszyscy z wyjątkiem dwóch osób: pana młodego i jego pierwszego drużby. Słyszeli dzwon bijący na kościelnej wieży. Dochodziła piąta, a panna młoda miała przyjechać o czwartej. Obaj mężczyźni wyszli z tłumu i zatrzymali się nieopodal, przy prowadzących na główny plac schodach.

– Coś musiało się wydarzyć.

– Tak...

– Poszukam telefonu.

Nikos, *koumbaros*, zadzwonił z pobliskiego kafenionu. Słuchając sygnału w słuchawce, wpatrywał się w wiszący wysoko nad barem telewizor. Niemal spodziewał się relacji ze strasznego wypadku, widoku rozbitego samochodu i strzępów sukni ślubnej, zamiast tego jednak nadawali czarno-białą komedię z ukochaną przez cały naród gwiazdą Aliki w roli głównej.

Akis starał się podtrzymać beztruską rozmowę ze znajomymi, ale widząc wracającego drużbę, umilkł.

Ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zobaczyć, co się dzieje, i zapalić papierosa.

Nikos wziął Akisa na stronę.

– Nikt nie odbiera – szepnął mu do ucha. – Moim zdaniem powinniśmy tam pojechać. Natychmiast.

Zgromadzeni, którzy w większości wyszli już z kościoła, śledzili wzrokiem sylwetki dwóch mężczyzn, którzy zdecydowanym krokiem doszli do końca ulicy i zniknęli za rogiem. Radosny gwar ucichł. Na zewnątrz i w środku kościoła przekazywano sobie z ust do ust wiadomość, że nie ma pana młodego ani, co gorsza, panny młodej. Atmosfera zgęstniała.

Do wioski panny młodej było z Nafplio dziesięć kilometrów. Jechało się tam wąską krętą drogą prowadzącą w góry. Nikos jeździł szybko nawet w normalnych okolicznościach, lecz tego dnia pędził szybciej niż zwykle. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem.

Wszystko w tej wiosce było nowe, zbudowane z betonu w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale tynki przybrudziły się i zaczęły odpadać. Piekarnia, jedyny sklep, kafenion, szkoła i zbyt duży budynek gminy miały kolor złamanej bieli. Żeby ożywić wygląd ulicy, ostatnio posadzono przy niej szpaler drzew.

Dom panny młodej był w tym samym kolorze co inne budynki. Bluszcz, który obrósł pergolę, zwiadł, rosnące obok drzewo oliwne nie miało liści. Na zewnątrz stał wypożyczony, świeżo wypucowany samochód, gotowy, by zawieźć nim pannę młodą do kościoła. Był w krwistym czerwonym kolorze, takim samym jak róże, które Akis wciąż trzymał w ręku, zaciskając palce na łodyżkach.

Przed domem zobaczyli mężczyznę około sześćdziesiątki. Po jego lewej

stronie stał młodzieniec, po prawej dziewczyna. To był ojciec i rodzeństwo panny młodej. Wszyscy odświętnie ubrani. Tani materiał garniturów świecił się mimo pochmurnego dnia, wykrochmalone kołnierzyki nowych koszul wrzynały się w karki, stopy nie mieściły się w wąskich butach. Mężczyźni nie mieli na sobie ani grama zbędnego tłuszczu, ale dziewczyna była zaokrąglona, zbyt tęga, co podkreślała jej za mała o kilka numerów, obcisła jaskrawożółta sukienka. Pod pachami widać było plamy potu. Dziewczyna miała oczy spuchnięte od łez. Cała trójka była śmiertelnie blada.

Akis podszedł do ojca panny młodej i spojrzał mu prosto w oczy. Byli tego samego wzrostu. Żaden z nich się nie odezwał. Młodzieniec przysunął się do ojca, by go obronić, dziewczyna złapała go za rękę.

Z domu dobiegł stłumiony szloch kobiety. Matki.

Ojciec, trzęsąc się cały, poruszył lekko głową, wskazując drogę z Nafplio, która wiodła dalej na północ.

– Uciekła do Aten? – spytał ostrym tonem Nikos.

Stary potwierdził skinieniem głowy. Jego dzieci przysunęły się do niego jeszcze bliżej. Nawet gdyby chciały coś powiedzieć, żadne słowo nie wydobyłoby się z ich spierzchniętych ust.

Akis poczuł, że Nikos dotyka lekko jego ramienia, i dał krok do tyłu. Obaj podejrzewali, że Savina nie wyjechała sama. Tydzień wcześniej Nikosowi obiły się o uszy pewne plotki, ale wołał ich nie powtarzać przyjacielowi.

W oczach ojca płonął strach, Akis dobrze to widział. Spojrzał na starszego mężczyznę ze wzgardą. Ojciec powinien mieć posłuch u córki.

Rzucił kwiaty pod nogi swojego niedoszłego teścia, odwrócił się plecami do całej trójki i spokojnie odszedł, wraz z towarzyszącym mu Nikosem.

Wsiadli do samochodu i na pełnym gazie wyjechali z wioski. Obaj w milczeniu patrzyli prosto przed siebie. Po pięciu minutach Nikos zjechał na bok.

– Musimy zdecydować kiedy – powiedział.

– Nie kiedy, ale czy w ogóle – odrzekł cicho Akis.

– Nie ma pytania czy, Akis. Chodzi tylko o to kiedy.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Obaj pochodzili z Mani. Wendetę mieli we krwi.

– Dziś wieczór mógłbym zebrać moich braci – powiedział Nikos. – Trzeba załatwić przynajmniej ojca i syna.

– Nie – odparł w zadumie Akis. – Znam gorszą zemstę niż to.

– Gorszą od strzelenia komuś w łeb?

– Tak. To lęk. Lęk przed tym, kiedy padnie strzał. Ta rodzina będzie odtąd żyła w lęku.

Akis wyrzwał przez okno samochodu. Patrząc na górzysty krajobraz i odległe morze, zastanawiał się, jak daleko jest w tej chwili Savina, czy ma na sobie swoją

białą *nifiko*, czy też jej w ogóle nie włożyła. Starał się opanować zazdrość trawiącą go na myśl, że jego kobieta jest teraz z kimś innym i że w nocy znajdzie się w ramionach innego mężczyzny.

Odwrócił się do swego najlepszego przyjaciela.

– Savina będzie już zawsze czekała na telefon – powiedział do niego powoli, z głębokim przekonaniem. – Gdziekolwiek się znajdzie, będzie się bała jego dzwonka. Jej rodzina nigdy już nie zazna spokoju. Żadne z nich.

– A ty wrócisz do tego kościoła... staniesz przed tym tłumem i zniesiesz to upokorzenie? Nadstawisz drugi policzek? Czyś ty zwariował, Akis? Straciłeś rozum?

Akis milczał. Lepiej od przyjaciela rozumiał, na czym polega zemsta.

Wrócili pod kościół. Wszyscy stali teraz na zewnątrz, na ulicy.

Kobiety oddaliły się o kilka kroków, pana młodego otoczyli jego przyjaciele. Akis chętnie powierzył swojemu drużbie wytłumaczenie tego, co się stało.

Krewni i znajomi panny młodej byli tak samo zszokowani jak inni goście, ale ogarnął ich strach. Większość wyjechała wkrótce z miasta, a ci, którzy mieszkali w Nafplio, wrócili do swoich domów i zabarykadowali się w środku.

Towarzysze Akisa błagali go, by podjął natychmiastowe działanie.

– Nie – odpowiedział im. – Jeszcze nie czas.

Tamtego wieczoru stanął zegar na miejskim placu. Być może ten, kto się nim zajmował, zachorował. Minutę przed piątą wskazówki znieruchomiały i już nie przesunęły się dalej. W tamtej chwili przed wieloma laty Akis miał jeszcze nadzieję. Był przekonany, że jego narzeczona zaraz się pojawi.



A teraz widzi mniej więcej ośmioletniego chłopca, który biegnie w stronę bawiących się przy fontannie, ubranych na różowo dziewczynek i zaczyna się wokół nich kręcić. Dziewczynkom najwyraźniej wcale to nie przeszkadza i nie

zwracają na niego uwagi.

Chłopiec ma na sobie jasnoszary ślubny garnitur. Kiedy biegnie, skórzane podeszwy jego butów bezgłośnie dotykają marmurowych płyt. Na całym placu jest jedyną poza Akisem samotną osobą, jedyną, której nikt nie towarzyszy.

Z biegiem lat Akis wypijał coraz więcej *tsipouro* i teraz nie do końca wierzy własnym oczom. Widzi w chłopcu samego siebie, niewinnego i beztroskiego. Czuje, jak w gardle rośnie mu gęstwa, i mówi sobie, że nie powinien się rozklejać.

Mały chłopiec, który jest ubrany jak mężczyzna, patrzy na mężczyznę, który płacze jak mały chłopiec. Oddala się od dziewczynek i wbiega po schodach.

W zapadającym zmierzchu powietrze jest nieruchome, tak jak wskazówki zegara. Akis rzuca na metalowy stolik garść monet, tyle samo co zawsze, i rusza w ślad za chłopcem.

Ten skręca u szczytu schodów w lewo i biegnie w stronę kościoła.

Kiedy Akis tam dochodzi, po chłopcu nie ma ani śladu, ale drzwi kościoła są otwarte na oścież.

Upłynęło dwadzieścia pięć lat, odkąd był tam w środku. Mija dziurę po kuli i wchodzi do kościoła. Drzwi zatrząskują się za nim. Wewnątrz panuje cisza, na ścianach wiszą ciemne ikony. Akis idzie główną nawą, staje przed ołtarzem i spogląda w górę, na krzyż, który spoczywa na złotej czaszce z dwiema skrzyżowanymi piszczelami. Puste oczodoły wpatrują się w niego, nie pozwalają odwrócić wzroku.

Akis ogląda się i widzi chłopca, który stoi w mrocznym wnętrzu i patrzy prosto na niego. Chłopiec w srebrzystym garniturze rzuca mu wyzwanie. A potem otwiera drzwi, wychodzi i od jego garnituru odbija się jaskrawe światło.



ΕΙΣ ΤΟ ΕΣΘΙΟΝ
ΣΤΟ ΚΑΡΝΙΟΝ ΤΗΣ ΤΑΡΑΧΗΣ
ΙΩ. ΚΑΤΟΙΚΗΤΗΣ
ΤΗΣ 37 - Β - ΝΕΡΙ
ΣΤΑ. ΤΑΡΑΧΗΣ

Kiedy Akis opuszcza kościół, chłopca już nigdzie nie ma.

Przecina plac, idąc do swojego samochodu, i nagle słyszy, że zegar wybija piątą. Znow zaczął chodzić.

Akis przez ćwierć wieku trzymał w aucie pistolet. Teraz nadeszła ta chwila. Czekali na nią wszyscy bardzo długo.



Zapytałem męża i żonę, co wydarzyło się tamtego dnia. Akis pojechał wieczorem do wioski pod Nafplio i zabił ojca i brata narzeczonej, zostawiając matkę i siostrę przy życiu. Nie dopadł samej Saviny, ale jej rozpacz i wyrzuty sumienia musiały być gorsze od śmierci. Mimo że Akisa Adamakosa aresztowano tego samego dnia, nie przyjechała na pogrzeb. Może bała się, że jego drużba, Nikos, mógłby dopełnić zemsty.

Małżonkowie z Nafplio nie wiedzieli nic o mojej sytuacji, więc nie zdawali sobie sprawy, jakie wrażenie zrobi na mnie opowieść o porzuconym mężczyźnie.

Jestem na Ciebie zły za to, co zrobiłaś, ale nie aż tak bardzo, by zabić.

Nawet gdybym wzrastał w kulturze odwetu, rozpacz przygniata mnie do ziemi tak mocno, że nie miałbym siły podnieść broni, a już na pewno nie pociągnąłbym za spust.

Być może zabójstwo przyniosłoby mi jakiegoś rodzaju katharsis, ale nie sądzę, bym się o tym kiedykolwiek przekonał.

Utrata tej kobiety (a może bardziej utrata twarzy?) zżerała Akisa Adamakosa przez ćwierć wieku, jednak nawet wówczas nie zabił Saviny. Pewnie nadal gnije w jakimś więzieniu, rozmyślając, gdzie i z kim jest teraz jego narzeczona. Potrafię sobie wyobrazić, że podobne myśli będą i mnie zżerać do końca życia. Myśli o tym, jak wyglądasz, gdzie jesteś, z kim się kochasz.

Od moich rozmówców dowiedziałem się, że nadal wiele małżeństw jest tutaj aranżowanych przez rodziny, które chcą się ze sobą związać. Być może tak było i w tamtym przypadku. Ciągle się zastanawiam, co myślała panna młoda, nim wsiadła do samochodu i uciekła do Aten – żeby to zrobić, musiała być w kimś mocno zakochana. Ciekawi mnie, co takiego powstrzymało Cię przed wejściem na pokład samolotu i spotkaniem się ze mną. Zakładam, że to był kochanek. Uderza mnie teraz, że każdy kolejny mężczyzna w Twoim życiu pojawiał się zaraz po poprzednim. Nie jesteś osobą, która mogłaby przetrwać sama. Zawsze ktoś musi przy Tobie być.

Po kilku dniach wyjechałem z Nafplio, żeby odwiedzić inne zakątki Peloponezu. Pewnego popołudnia minąłem tablicę z napisem: „Arkadia”. To słowo przywołuje na myśl utopię, lecz aż do tego momentu nie zdawałem sobie sprawy, że nasze wyobrażenie rajy na ziemi ma związek z konkretnym miejscem. Tę krainę tak bardzo wyidealizowano, że nigdy nie sądziłem, iż można ją znaleźć na mapie.

I oto teraz byłem tutaj. W Arkadii.

Prawie przed trzema tysiącami lat poeta Hezjod tak pisał o tym miejscu: „Ludzie żyli tam niczym bogowie, bez żadnej zgryzoty ani smutku, nie znając ciężkiego znoju ani rozpaczyny (...) kiedy umierali, było to tak, jakby zmorzył ich sen.

Panowali w pokoju na swoich ziemiach, mieli wiele dóbr, wielkie stada, i cieszyli się miłością bogów”.

Arkadyjscy pasterze byli bogato obdarzeni przez naturę i kiedy jechałem przez Arkadię tamtego dnia, dość łatwo było mi w to uwierzyć. Zobaczyłem nawet jakiegoś pasterza pasącego stado i wyobraziłem go sobie w postaci górskiego boga, Pana, który wedle legendy mieszkał tam, miał koźle kopyta i rogi i sływał ze swojej jurności oraz gry na flecie.

Miałem wrażenie, że w jednej chwili przechodzę od rzeczywistości do mitu, przekraczam granicę między realnym a nierealnym, trafiam w miejsce, gdzie można delektować się najpiękniejszymi widokami, słodyczą miodu, śpiewem ptaków i zapachem kwiatów, obrazem sielskiej harmonii. Ta kraina wydawała się tak odległa od miejskiego życia, że ludzie musieli być tutaj szlachetni i czysti.

Nigdzie indziej w Grecji nie widziałem krajobrazu, który byłby tak soczyście zielony – pełen listowia, traw, górskich wodospadów. Jego piękno podkreślał jasny słoneczny dzień. Co jakiś czas dostrzegałem przycupniętą na zboczu góry chatę z łupkowym dachem.

Na obrazie Poussina, który wisi w Luwrze (któregoś dnia być może tam się wybierzemy), pasterze stoją wokół grobu w Arkadii. Uświadomili sobie prawdę: śmierć jest obecna zawsze, nawet w raju. Może ja też byłem tego świadom, przemierzając tę idylliczną krainę. Napawałem się pięknem, a jednocześnie czułem niepokój. Wiem teraz, że niebo nie może istnieć na ziemi, ale pisząc te słowa, przypominam sobie, jak bardzo pomyliłem się co do nas, jak wielkim złudzeniem było moje szczęście.

Minąwszy kilka wiosek z kamiennymi domami, zatrzymałem się w końcu w jednej z nich. Nazywała się Kosmas. Panujący na rynku martwy bezruch przyprowadził mnie o dziwny dreszcz i postanowiłem jechać dalej. Godzinę później dotarłem do Tripoli.

Nadal upojony urodą Arkadii, poczułem ulgę, znalazłszy się w bardziej

zwyczajnym miejscu. W bocznej uliczce zauważyłem bar wciśnięty między dwa porzucone warsztaty. Każdą ścianę w pobliżu pokrywało graffiti – pełne arcyzmu, śmiałe, niekiedy groteskowe rysunki, slogany i zdania. To miejsce pasowało jak ulał do mojego gniewnego, niespokojnego nastroju.

Zbliżała się szósta po południu; dziewczyna w barze wycierała z ponurą miną blaty stolików. Kiedy tam zajrzałem, nawet nie podniosła wzroku. Może nie usłyszała, jak wchodzę, bo w środku grała głośna muzyka. Spod krótkich rękawów T-shirtu dziewczyny wystawały pokryte tatuażami ramiona; miała poza tym kółko w nosie, po kilkanaście kolczyków w każdym uchu i do połowy ogoloną głowę. Włosy, które pozostawiła, były fioletowe, w kolorze świeżych sińców, i zobaczyłem blizny na jej przedramionach.

Po chwili podeszła i zamówiłem piwo. Byłem jedynym klientem, więc zaczęliśmy rozmawiać. Miała naprawdę niepowtarzalną twarz, ale chyba nienawidziła własnego życia i ziemi, po której stąpała. Najbardziej wściekała się na swój kraj, Grecję. Podobnie jak miliony innych młodych ludzi Eva czuła się oszukana.

Dwa lata wcześniej rzuciła studia.

– Po co miałabym się dalej uczyć? – prychnęła. – Większość moich rówieśników nie ma pracy. I co w tej sytuacji robi uniwersytet? Daje mi kwalifikacje, których nikt nie potrzebuje. To wszystko jest gównem warte.

Wyczuwałem w niej olbrzymią frustrację. Po sposobie, w jaki mówiła, widziałem, że jest inteligentna i pełna pasji. I miała talent – to jej dziełem były wszystkie graffiti w środku i na zewnątrz. Skomplikowane ilustracje zostały fenomenalnie wykonane i szczerze ją pochwalilem.

– Te rysunki nie są przypadkowe – odparła wyzywającym tonem. – Opowiadają pewną historię.

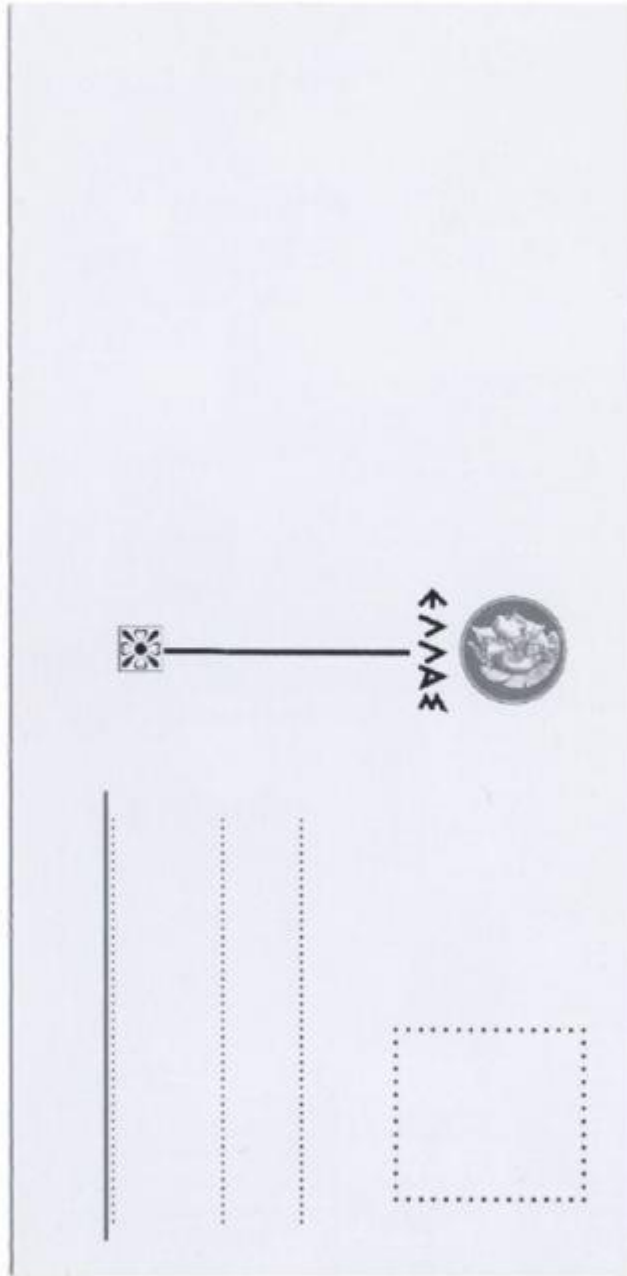
Przyjrzałem się im uważniej. Pod dziwnymi, ledwie przypominającymi ludzi postaciami i kształtami biegły czarne pajęczne napisy. Miała rację. Słowa wraz z obrazami opowiadały pewną historię.

Prześledziwszy ją, zrozumiałem, że nie ja jeden widzę w arkadyjskim krajobrazie dziwną sprzeczność między obietnicą idealnego życia a surową rzeczywistością.

Dla Ewy ta Arkadia, to miejsce, które mogło stać się rajem, stanowiła koszmarne symbol całej Grecji.







ET IN ARCADIA EGO
JESTEM I W ARKADII

Athanasia, której imię oznacza „nieśmiertelność”, wychowywała się

w zgiełku i kurzu Aten. Kochała swoje miasto i mało ją obchodziło, co leży poza jego granicami. Tego niedzielnego ranka zmierzała jednak do pewnej wioski w Arkadii, położonej wysoko w górach, za Kosmas. To była wioska jej ojca i tam właśnie przed dwudziestu ośmiu laty się urodziła.

Grigoris Malavas zmarł, kiedy miała dwa latka, i w ogóle go nie pamiętała. Dorastając, rzadko słyszała coś o nim. Poza nią samą nie było nic, żadnych fotografii, które świadczyłyby, że istniał. Była jedyną rzeczą, którą po sobie pozostawił. Rok temu zmarła jej matka i porządkując jej mieszkanie, Athanasia zauważyła, że w szafie nie ma żadnych czarnych ubrań, a w jej papierach żadnego aktu małżeństwa, ślubnego zdjęcia czy choćby jednego zaadresowanego do nich obojga listu.

Nie pamiętała wioski. Jej matka wyjechała stamtąd po czterdziestodniowej żałobie i nigdy, nawet w pierwszą lub trzecią rocznicę śmierci męża, nie zamierzała tam wracać. „Jego brat zrobił wszystko co trzeba”, stwierdziła krótko wiele lat później. W ten sposób Athanasia dowiedziała się, że miała stryja. Nie wiedziała jednak, czy on jeszcze żyje.

Teraz miała prawie trzydzieści lat, była ciekawa i niezależna i nie znając odpowiedzi na wiele pytań (w większości niezadanych), chciała przekonać się, czy wszystko, co się pisze i mówi o Arkadii, jest prawdą. Chciała sprawdzić, czy to rzeczywiście najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Kiedy jechała krętą, wznoszącą się coraz wyżej drogą, wydawało jej się, że tak. Zatrzymała się, patrząc z zachwytem na górę Parnonas i biegnącą niżej dolinę. Wzięła głęboki oddech i płuca zapłonęły jej od czystego, rześkiego powietrza.

Ten pejzaż zainspirował wiele obrazów, jednak żaden nie oddawał sprawiedliwości temu, co rozpościerało się u jej stóp.

Przez dziesięć albo piętnaście minut upajała się tym pięknem. Dookoła rosły pinie i platan, trochę dalej cedry. Miała przed sobą potęgę życia, prawdziwą eksplozję natury. Drzewa były gęste od zielonych, żółtych i złotych liści, na gałęziach siedziały ptaki, dziobiąc owoce i orzechy.

Podniosła wzrok i zobaczyła kaskadę wody, która spadała ze skały i wiele metrów niżej zmieniała się w potok. Słysząc było tylko potężny huk wodospadu. Ziemię pokrywały późno kwitnące, delikatne polne kwiatki w kształcie gwiazdy. Uważała, by ich nie rozdeptać.

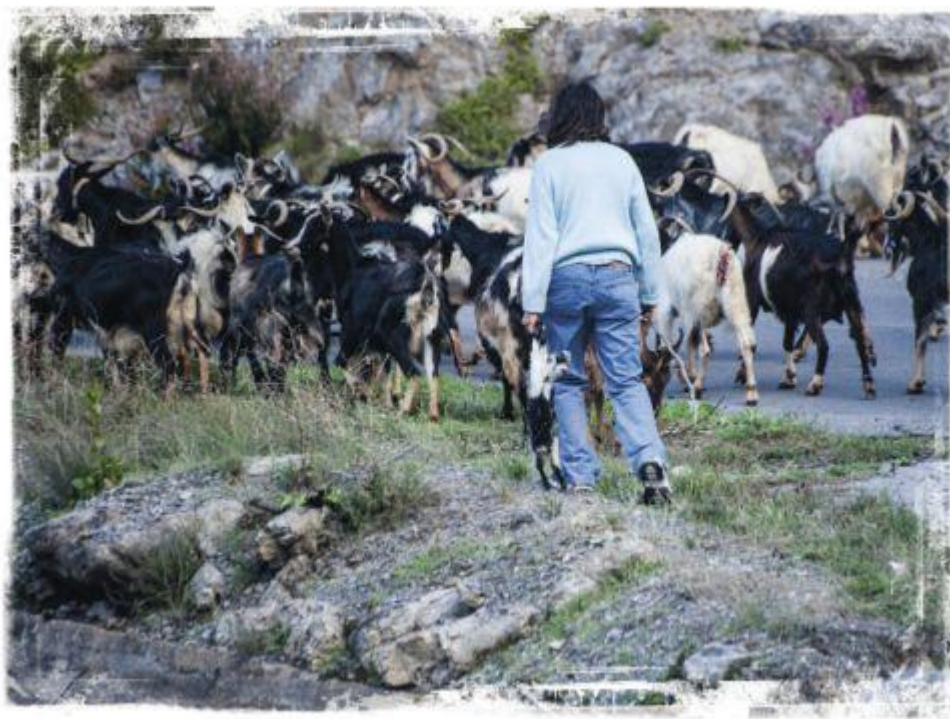
Czas mijał. Było wczesne popołudnie, ale słońce zachodziło już za górą. Athanasia niechętnie wsiadła z powrotem do samochodu. Kilka zakrętów dalej musiała gwałtownie wdepnąć hamulec. Drogę blokowała co najmniej setka kóz. Idący przed stadem mężczyzna krzyczał i syczał na jedno ze zwierząt, które zboczyło z trasy i dreptało skrajem urwiska. Za mężczyzną podążała kobieta, jeszcze bardziej barczysta od niego. Nagle odwróciła się i Athanasia poczuła na sobie z całą mocą jej surowy wzrok.

„Masz tu zaczekać!”, mówiło jej spojrzenie.

W prawej ręce trzymała kij, którym zaganiała kozy, w lewej ścisnęła za tylne łapy jakieś małe, podobne do królika zwierzę. Kiedy Athanasia opuściła szybę, zobaczyła, że stworzenie próbuje się wyrwać. Uświadomiła sobie, że to nie królik, ale małe kozłę, od którego sierści nie odpadły jeszcze błony płodowe. Krew sączyła się z dróg rodných jego kuśtykającej przodem matki, która zdążyła już zapomnieć o swoim małym. Natura nie znała sentymentów.

Athanasia odczekała cierpliwie, aż zabłąkana koza dołączy do reszty stada, i pojechała dalej.

Po kilku kilometrach ujrzała przycupniętą na zboczu góry wioskę. Nad bielonymi domami unosiły się wstęgi dymu. Od kamiennych murów odbijały się złote promienie słońca i wyobraziła sobie blask ciepłego ognia w chatach.



Zaparkowała samochód pod potężnym platanem na głównym placu. Stał przy nim wielki kościół z dzwonnica, która górowała nad całą wioską. Z przyzwyczajenia podeszła tam – nie po to, by się pomodlić, ale by zapalić świeczkę matce. Okazało się, że drzwi kościoła są na głucho zamknięte, więc przecięła plac, przy którym zauważyła kilka kawiarni. Przed każdą z nich wystawiono na zewnątrz co najmniej sto krzeseł. Żadne nie było zajęte i zastanawiała się, dlaczego nikt nie przyszedł, choć najwyraźniej spodziewano się

tylu ludzi.

Rozległy pusty plac z dominującym nad nim kościołem potęgował wrażenie, że wioska jest wyludniona. Rzeńskie powietrze, którym przed godziną tak się delectowała, teraz przeszło ją na wskroś.

Choć przed każdą kawiarnią stało wiele stolików, tylko jedna była czynna.

Weszła do środka, lecz nie spowodowało to żadnej reakcji dwóch grających w *tavli* mężczyzn. Żaden nie podniósł nawet wzroku. W żelaznym piecyku płonął ogień. Athanasia usiadła obok i wyciągnęła ręce, by je ogrzać. W końcu usłyszała stuknięcie podnoszonego kontuaru i chwilę później głos mężczyzny.

– *Ti theleis?* Czego pani chce?

Patrzyła na leżące w ogniu kasztany, które popękały od żaru.

– Chciałabym prosić o kawę, *glyko*.

Brodaty barczysty mężczyzna zaczął jej bez słowa przygotowywać słodką kawę. Jedyne poza nią klient wyszedł z kawiarni.

Czekając, rozejrzała się dokoła. Wszystko było tu pokryte grubą warstwą kurzu. Szafki i półki wypełniała przypadkowa zbieranina najróżniejszych przedmiotów. Był tam radiogram z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, aparat fotograficzny, dwa myśliwskie noże, kilka postrzępionych czasopism, wyszczerbiony dzbanek do kawy, słój z drachmami i oprawiona w ramki czarno-biała fotografia, przedstawiająca trzech mężczyzn. Na haku wisiał zardzewiały stary rewolwer. Te wszystkie rzeczy miały niegdyś swoją wartość i znaczenie, lecz teraz stały się tylko zwykłymi rupieciami. Zastanawiała się, czy jej ojciec odwiedzał kiedyś tę kawiarnię i czy już wtedy były tutaj te dziwne eksponaty.

– Co panią tu sprowadza?

– Do Arkadii...?

Ich rozmowę przerwało pojawienie się kolejnego mężczyzny z mniej więcej pięcioletnimi bliźniakami. Od razu, nim jeszcze się odezwał, dostał szklaneczkę przezroczystego napoju. Opróżnił ją jednym haustem, odstawił i nalał sobie ponownie. Właściciel zostawił butelkę na barze.

Chłopcy, ubrani w identyczne zielone nylonowe dresy, stanęli w rogu i zaczęli drażnić kanarka w klatce. Jeden z nich przesunął kluczykiem samochodu ojca po prętach klatki, zachwycony hałasem, jaki powodował, i przerażeniem siedzącego w środku ptaszka. Drugi przeskakiwał z nogi na nogę, rytmicznie popychając stojak, wskutek czego klatka kołysała się na boki. Ojciec nie zwracał uwagi na synów. Znaleźli sobie zajęcie, a on mógł się w spokoju napić.

Właściciel podał Athanasii kawę. Składała się w dziesięciu procentach z płynu, a w dziewięćdziesięciu z mulistych fusów, które są w każdej filizance greckiej kawy. Dziewczyna wypila wodę, którą postawił obok.

Po kilku chwilach właściciel wrócił, wysunął sąsiednie krzesło i usiadł na

nim okrakiem, jakby dosiadał konia. Rozsypawszy na stole pieczone kasztany, zaczął je obierać ze skórki. Widząc, jak z jednego z nich wypełza larwa, Athanasia skrzywiła się z odrazą. Wydawało się nieprawdopodobne, że stworzenie przetrwało żar ognia.

– Po co pani tu przyjechała?

Przypominało to bardziej przesłuchanie niż luźną rozmowę.

– Pochodzi stąd moja rodzina... w każdym razie mój ojciec.

Mężczyzna nadal obierał kasztany i wsadzał je sobie do ust, nie okazując większego zainteresowania jej słowami.

– Ojciec zmarł i moja matka wyjechała – wyjaśniła. – Chciałabym odwiedzić jego grób.

– Jak się nazywał?

– Malavas.

– Cóż, ja też nazywam się Malavas. Giannis. W tej okolicy mieszka wielu Malavasów.

Nadal obierał i jadł kasztany.

– Co wcale nie znaczy, że byliśmy bliskimi krewnymi – dodał szorstko, a z ust wyleciały mu okruszki kasztana.

– Gdzie znajdę cmentarz?

– Za placem trzeba skręcić w drogę prowadzącą pod górę. Cmentarz jest pół kilometra dalej, po lewej stronie.

Mężczyzna zapalił papierosa i przez chwilę się w nią wpatrywał. Athanasii zrobiło się nieswojo. W końcu wstał i wrócił za kontuar.

– Wiadomo przynajmniej, że będzie tam leżał – powiedział. – W tej wiosce, jak kogoś pochowają, już tu zostaje. Ziemia nie jest tu na wagę złota.

Athanasia położyła na stoliku jedno euro i wyszła.

Cieszyła się, że może zaczerpnąć świeżego powietrza, że nie słyszy hałaśliwych chłopców i nie wdycha papierosowego dymu, którym właściciel chyba celowo dmuchał jej prosto w twarz.

Wioska była nadal wymarła, tak jak wcześniej, ale otaczająca ją okolica wydawała się jeszcze piękniejsza. Wzdłuż drogi na cmentarz rosły stare kasztanowce i kiedy Athanasia szła, kasztany chrzęściły jej pod stopami. Wspinając się, podziwiała widoki. Góry mieniące się odcieniami złota i zieleni ciągnęły się w nieskończoność. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Dotarła do celu po piętnastu minutach. Żelazna brama była otwarta na oścież, jakby zapraszała do środka. W porównaniu z małą wioską cmentarz robił wrażenie olbrzymiego. Wszystkie nagrobki były z białego marmuru, na wielu stały wspaniałe pomniki. Nie było żadnego, którego nie ozdobiono by medalionem, fragmentem wiersza lub inną inskrypcją. Wszystko to przypominało jej Pierwszy Cmentarz w Atenach, który odwiedziła niedługo przed śmiercią matki. Zmarła

wtedy pewna słynna piosenkarka i Athanasia poszła złożyć kwiaty na jej grobie. Była zaskoczona przepychem tamtego cmentarza, a widok podobnych kamiennych pomników w tym odległym regionie sprawił ją teraz w autentyczne osłupienie.

Wioska, w której mieszkali umarli, okazała się o wiele bardziej zadbana od tej, w której dopiero co gościła. Alejki były zamiecione, ziemia wszędzie wypielona, wszystko uporządkowane. Starsze groby wyglądały, jakby regularnie je czyszczono – nawet te, w których nieboszczyków pochowano przed ponad pięćdziesięciu laty, wydawały się całkiem nowe. Nigdzie nie widziała wyblakłych sztucznych kwiatów z jedwabiu lub plastiku. Na każdym grobie leżały świeże żywe kwiaty, głównie goździki, róże i lilie. Przechodząc, czuła ich słodkawy zapach.

Uderzyło ją, że tak bardzo dbano tutaj i pamiętano o tych, którzy odeszli, a także to, że liczba zmarłych znacznie przekraczała liczbę żywych.

Giannis Malavas miał rację. Znalazła kilkadziesiąt grobów, na których zostało wyryte jej nazwisko, wśród nich wiele z imieniem, jakie nosił jej ojciec, jednak żadna z dat nie zgadzała się z tą, która, jak sądziła, była datą jego śmierci. Nawet gdyby na grobie była fotografia ojca, nie zdołałaby go rozpoznać. Jej matka nie zachowała ani jednego zdjęcia zmarłego męża.

Spacerowała cmentarnymi alejkami aż do zmierzchu. Nie darzyła wielkim sentymentem ojca, mężczyzny, którego nie dane jej było poznać, ale wiele nagrobków z fotografiami, wierszami i epitafiami głęboko ją poruszyło. Po półgodzinnej wędrówce przez cmentarz uświadomiła sobie nagle, że wszyscy pochowani tutaj to mężczyźni. Było kilku tragicznie zmarłych młodzieńców i mężczyzn w średnim wieku, jednak w większości spoczywali tu siedemdziesięcio- i osiemdziesięciolatkowie. Sami mężczyźni, alejka po alejce.

Zaczęło się ściemniać i zdała sobie sprawę, że musi wracać. Nie znalazła tego, czego szukała, lecz gnębiło ją pewne pytanie. Gdzie podziały się kobiety? Kiedy zmierzała cichymi uliczkami w stronę placu, to pytanie wydawało się jeszcze bardziej zasadne. Kobiet nie było zarówno w wiosce zmarłych, jak i w wiosce żywych.



Zobaczyła, że teraz otwartych jest kilka sklepów. Minęła jatkę, w której sprawał mięso rzeźnik, piekarnię, gdzie dwaj faceci dźwigali blachę z bochenkami, i mały sklep spożywczy, w którym właściciel obsługiwał chudego chłopaka.

Kiedy dotarła do placu, minęła już siódma. Stało tam poobijane brudne auto z odręcznym napisem: „Taxi” na umieszczonej za szybą tekturze. Dopiero po chwili zorientowała się, że zniknęła jej micra. Zamrugała gwałtownie. Pamiętała bardzo dobrze, że zostawiła ją pod platanem. Teraz jej tam nie było.



Bez wahania weszła do tej samej kawiarni, żeby zapytać właściciela, czy czegoś nie widział. Siedziało tam kilku mężczyzn, na ogół przy osobnych stolikach. Poczwała na sobie ich wzrok. Wszyscy byli w wieku, w jakim byłby teraz jej ojciec.

Stała przy barze, czekając niecierpliwie, aż pojawi się Giannis Malavas. Choć wszyscy klienci mieli przed sobą puste kieliszki, właściciel najwyraźniej gdzieś się zawieruszył.

W końcu wyszedł z pomieszczenia na tyłach kawiarni, lecz choć spędziła tu wcześniej dłuższą chwilę, w żaden sposób nie okazywał, że ją poznaje.

– Zniknął mój samochód – wyrzuciła z siebie, spodziewając się przynajmniej odrobiny zainteresowania. – Macie tutaj posterunek policji?

– Policjant jest tam – odparł właściciel, wskazując głową ojca bliźniaków, którego widziała poprzednio i który nadal pił. – Ale nie jest na służbie.

Jego całkowita obojętność ją przerażała. Zastanawiała się, co robić. Może skontaktuje się z przyjacielem z Aten i poprosi go, żeby po nią przyjechał? A może złapie jakiś autobus, który będzie tędy przejeżdżał? Zapragnęła nagle czym prędzej się stąd wynieść.

– Jest tu jakiś telefon, z którego mogłabym skorzystać?
– Mamy jeden stary automat. – Właściciel wskazał róg sali. – Ale nie przyjmuje euro.

Euro wprowadzono już kilka lat wcześniej, lecz jak widać, Malawasowi nie chciało się przerobić aparatu.



– Więc jak...?

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie mogę pani pomóc – powiedział i odwrócił się do niej plecami.

– Jest tu jakaś taksówka? – zapytała, wpadając w desperację.

– Nie o tej porze – odezwał się siedzący w rogu mężczyzna, którego wcześniej nie zauważyła.

Athanasia przyjrzała się ich obojętnym twarzom. Czowała emanującą z nich wrogość. Powietrze było gęste od dymu i ciszy.

I to mają być mieszkańcy raju? – pomyślała. Przypomniała sobie twarz

jedynej kobiety, którą widziała tego dnia, i doszła do wniosku, że chcąc przetrwać, pasterka musiała upodobnić się do mężczyzny. Może wszystkie inne odeszły stąd już dawno temu. Tak jak jej matka.

Athanasia wiedziała, że nie ma wyboru. Musiała stąd jak najszybciej uciec.

Kiedy wstał księżyc, zaczęła biec. Arkadia nie była miejscem dla kobiet.

Dostrzegalem, skąd wzięła się opowieść Ewy, i w dużym stopniu zgadzałem się z jej przesłaniem. Zastanawiam się, co będzie z jej pokoleniem, które żyje z dnia na dzień, mając świadomość, że tylu rzeczy zostało pozbawione.

Jest całkiem prawdopodobne, że za kilka dziesięcioleci Eva i jej przyjaciele ockną się i zobaczą, że strawili pół życia na niczym i że nie zdołają już wykorzystać swojego potencjału. Poczucie wyalienowania jest w Grecji bardzo, bardzo silne. Spotykałem się z nim w każdym mniejszym i większym mieście. Graffiti jest tego oczywistym wyrazem, ale świadczą o nim również rozczarowane twarze. Miliony młodych ludzi nie widzą dla siebie przyszłości w tym kraju. Mają wrażenie, że państwo obróciło się przeciwko nim. Jeśli mogą, uciekają tak jak Athanasia. Być może Eva też to zrobi, jeśli starczy jej siły woli.

Okolo dziesiątej bar zaczął się wypełniać innymi pozbawionymi swoich praw dwudziesto-, trzydziesto-, a może nawet czterdziestolatkami. Wszyscy byli wykształceni, pewni siebie i cieszyli się, że będą mogli poćwiczyć angielski. Było wśród nich kilkoro gejów i lesbijek. Rozmawialiśmy o korupcji i o Kawafisie, o kapitalizmie i kryzysie finansowym, o gender, o władzy i dominacji mężczyzn w greckim społeczeństwie. Kobiety w Grecji są silne, ale te starsze bardzo często podporządkowują się swoim mężom. Nikt tego nie podważał. Wszyscy mieli matki, które nawet jeśli pracowały na pełny etat, brały na siebie wszystkie domowe obowiązki: robiły zakupy, sprzątały i gotowały.

Eva pilnowała, by nikomu nie zabrakło drinków, ale co rusz włączała się do dyskusji. Historia, którą opowiedziała wcześniej, odzwierciedlała jej własne doświadczenia, i wyczuwałem, że buzująca w niej złość skierowana jest głównie przeciw facetom, którzy doprowadzili do ruiny jej kraj. Całą winę składała na skorumpowanych polityków, którzy od tylu dziesięcioleci rządili Grecją. Ponieważ do niedawna kobiety w ogóle nie odgrywały ważnej roli w greckiej polityce, nikt nie kwestionował tego, co mówiła.

– Bogowie podarowali Grekom tę idyllę – powiedziała, stawiając na stole tacę z kieliszkami – i popatrzcie, co z nią zrobili...

Mężczyźni i kobiety przyklasnęli jej. To był jeden wielki bajzel.

– Stin iyeia mas! Na zdrowie!

Dwadzieścia osób stuknęło się kieliszkami.

Tej nocy żyliśmy chwilą. Nie było innej możliwości.

Większość obecnych w barze była bezrobotna, ale znajdowali jakoś pieniądze na alkohol, papierosy i silne zioło. Jeden z nich był didżejem i o północy zaczął grać. Muzyka brzmiała hipnotycznie i szybko się w niej zatraciłem.

Nie mam pojęcia, o której godzinie stamtąd wyszliśmy. Pamiętam jak przez mgłę, że robiło się już widno i zdałem sobie sprawę, że nie mogę prowadzić auta. Kiedy dowiedzieli się, że nie mam gdzie się zatrzymać, każdy z nich bez wahania zaproponował mi swoją kanapę. Skorzystałem z oferty dwóch brodatych braci, którzy wynajmowali małe mieszkanko naprzeciwko baru, i spałem u nich jak zabity do drugiej po południu. Kiedy się obudziłem, moi gospodarze nadal spali, zostawiłem więc liścik z podziękowaniami i moim adresem mailowym, żebym mógł im się zrewanżować, gdy będą w Londynie.

Przed wyjazdem z miasta zajrzałem ponownie do kawiarni, licząc, że będę mógł się tam napić kawy. Eva powitała mnie z taką samą ponurą miną. Była w podobnym nastroju jak poprzedniego dnia i jej wściekłość zaczęła budzić mroczne uczucia również we mnie. Ta dziewczyna fascynowała mnie, ale miała w sobie coś, co mnie niepokoiło. Zrobiła mi mocną gorzką kawę, a ja podziękowałem jej za poprzedni wieczór i wychodząc, spostrzegłem, że gryzmoli coś gniewnie na jednym z niewielu fragmentów ściany, które pozostały niezapisane. Być może któregoś dnia tam wrócę i przeczytam kolejną z jej opowieści. Choć kołacze się we mnie nadzieja, że Ewy już tam nie będzie.

Ruszyłem ponownie na południe. Zamierzałem odwiedzić Kalamatę. Po dniu spędzonym na lotnisku nie miałem ochoty tam jechać, ale kilka tygodni później byłem gotów. Jest tam muzeum archeologiczne, które chciałem zobaczyć.

Lepiej nie czytać wcześniej zbyt wiele o Kalamacie: po lekturze przewodników człowiek dwa razy zastanowi się, czy w ogóle tam jechać. Piszą, że w porcie roi się od alfonsów i prostytutek i że eksportuje się stamtąd oliwki i rodzyunki. Miasto nie jest może mekką dla turystów, ale ma w sobie urok, którego można nie dostrzec, przejeżdżając przez nie szybko.

W bardziej przychylnych komentarzach wspomina się, że jego nazwa pochodzi od słowa kalamatia, oznaczającego „piękne oczy”. Może również nawiązywać do mati – oka, które strzeże przed złym urokiem. Przyznaję, że krótki pobyt tam z jakiegoś powodu podniósł mnie na duchu.

Kalamata ma obracający się w ruinę port, starówkę, położony mniej więcej kilometr od morza miejski plac z kilkunastoma prosperującymi kawiarniami, a nawet zamek. Nic nie jest tu „pocztówkowo” ładne, lecz miasto nadrabia to autentycznością, a w połowie października nadeszła ostatnia fala ocieplenia przed zimą.

Odwiedzając muzeum archeologiczne i wojskowe, przesiadując w kawiarniach, zwiedzając miasto, a nawet spacerując po oryginalnym muzeum kolejowym, które pełni rolę domu emeryta dla nieużywanych wagonów, byłem tam prawie szczęśliwy. Nie wiadomo, dlaczego jedno miejsce podoba się nam bardziej od innego, ale mieszkańcy Kalamaty emanują chyba większą życzliwością niż ludzie mieszkający w innych rejonach Grecji i mile wspominam ich uśmiechnięte twarze. Mam wrażenie, że zdają sobie sprawę ze swojego szczęścia.

Pewnego dnia, kupując w kiosku tytoń (owszem, uległem nałogowi), zauważyłem wędrownego grajka, który tuż obok położył na ziemi futerał na buzuki.

– Panagia mou! Najświętsza Panienko! – odezwał się kioskarz, kładąc mi

resztę na plastikowy kontuar. – Błagam, tylko nie on...

– Czyżby nie grał zbyt dobrze? – zapytałem.

– Po Antoniusie nikt nie jest dość dobry – oświadczył z żalem w głosie.

– Po Antoniusie?

Tymczasem grajek zaczął już głośno zawodzić. Ludzie mijali go, jakby w ogóle nie istniał, i nikt nie rzucił nawet dziesięciu centów do futerału.

Chociaż trudno było coś usłyszeć przez hałas, kioskarz nachylił się do dzielącego nas małego okienka i zaczął mi opowiadać o człowieku, który miał na imię Antonius.

– Był najwspanialszym muzykiem, jaki kiedykolwiek odwiedził to miasto – oznajmił. – To było przed wielu laty, ale niektórzy wciąż go wspominają.

Natychmiast urzekła mnie jego opowieść.

– Mia fora kai enan kairo... Bardzo dawno temu... – zaczął i trudno było zgadnąć, czy nie przesadza.

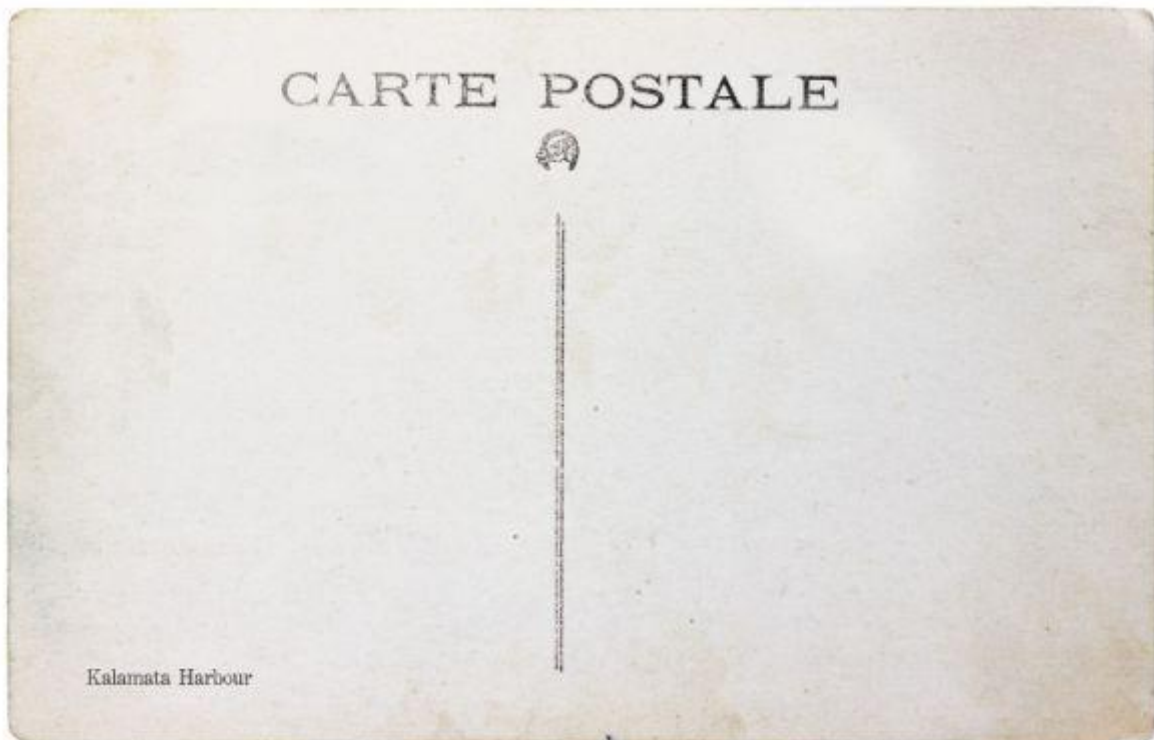
Jednak bez względu na to, ile w jego słowach było prawdy, nie ulegało wątpliwości, że do Kalamaty przybył niegdyś pewien muzyk, który pozostawił po sobie trwałe wrażenie.

Kiedy opowieść dobiegła końca, uliczny grajek nadal śpiewał.

– Ostatnio mam po prostu ochotę zatkać sobie uszy – mruknął kioskarz.

ARIA NA STRUNIE G





ARIA NA STRUNIE G

Pewnego jesiennego dnia zawiadowca stacji, którego uwagi nie uchodził żaden obcy przybywający do miasta i wyjeżdżający stąd, zobaczył, że z pociągu z Koryntu wysiadł mężczyzna ze sfatygowanym futerałem na skrzypce. Przybysz miał promienny uśmiech i błyszczące oczy i zdecydowanie wyróżniał się w tłumie.

W świąteczne dni Kalamatę zawsze odwiedzali grajkowie z buzuki albo klarnetami, ale ten człowiek zupełnie ich nie przypominał. Był znacznie bardziej elegancki i kiedy zaczął grać, ulice miasta wypełnił nowy rodzaj muzyki.

Nawet dzieci przerwały swoje zabawy i przystanęły, by go posłuchać. Były śmielsze od dorosłych i nie krępowały się podejść bliżej. Kiedy muzyk przestał grać, jeden z chłopców wyciągnął rękę, by dotknąć skrzypiec.

Nie był to odruchowy nieporadny gest. Chłopiec chciał sprawdzić skrzypce, zobaczyć, czy są gorące, czy zimne, szorstkie czy gładkie. Skrzypek to zrozumiał.

Pochylił się do chłopca, który pociągnął za jedną ze strun i przesunął palcami po misternym reliefie na strunniku. Wyrzeźbiona na nim była czyjaś twarz.



– Wygląda jak ty! – zawołał chłopiec. – To ty?

Przyjrzał się uważnie skrzypcom, potem mężczyźnie i jeszcze raz skrzypcom.

– Tak, to ty! Popatrzcie! – krzyknął do swoich kolegów. – To on! To on!

Inni chłopcy otoczyli ich ciasnym kręgiem.

Relief na strunniku rzeczywiście przypominał muzyka.

Skrzypce zafascynowały dzieciaka, który sycił oczy ich pięknem.

– Jak tygrysie cętki – powiedział, wskazując dolną płytę, wykonaną z pojedynczej klonowej listwy.

Koledzy zostawili go i znów zaczęli uganiać się za piłką. Ale chłopiec nadal wpatrywał się w instrument. Oglądał jego zwieńczone malutkimi perełkami ozdobne kołki, delikatny mostek, żyłkę, która biegła wzdłuż krawędzi górnej płyty. Pewnie tylko bystre oczy dziecka mogły dostrzec te wszystkie detale.

Muzyk przez cały czas trzymał skrzypce za gryf, pozwalał jednak chłopcu obracać je i przyglądać im się z każdej strony. Nagle padł na nie zabłąkany promień słońca i oświetlił napis w środku, widoczny przez wycięty w drewnie otwór w kształcie litery f.

– An... to... nius...

Ten rozgarnięty dzieciak nauczył się już łacińskiego alfabetu, więc potrafił odczytać litery.

– Antonius! Antonius! – zawołał zachwycony. – Ja też mam na imię Antonius! Mamy to samo imię!

Uznał widać, że ktoś wpisał wewnątrz instrumentu imię muzyka. Po chwili znów zajrzał do środka.

– Antonius S...t...r...a...

Z resztą liter nie zdołał sobie poradzić. To było długie słowo, trudne do odcyfrowania w ciemnym wnętrzu skrzypiec.

Muzyk uśmiechnął się, po czym przystawił ponownie instrument do brody i zaczął grać. Jego muzyka była słodka jak miód, dojrzała jak stare wino. Nie było żadnych dysonansów, ani jednej nuty, która nie pasowałaby do tego czasu i miejsca.

Ponieważ słuchały go dzieci, wybierał pogodne, łatwe melodie. Chłopcy zostawili piłkę i znowu do niego podbiegli.

Krążąc wokół skrzypka, zaczęli ganiać się nawzajem i podskakiwać w rytmie melodii, aż zakręciło im się w głowach. Dziewczynki chwyciły się za ręce i również kręciły się w kółko. Muzyka była pełna radości i wigoru; słuchając jej, dzieciaki nie mogły ustać w miejscu.

– Antonius, Antonius! – krzyczały, aż całe miasto poznało jego imię.

Usłyszał je również Aris, właściciel pobliskiej tawerny.

– Hej, Antonius, chodź coś zjeść.

W jego lokalu panował tego dnia większy niż zwykle tłok, a ponieważ miał

spora konkurencję, doszedł do wniosku, że coś nowego musiało przyciągnąć ludzi. Powód mógł być tylko jeden. Uznał, że lepiej będzie zaprzyjaźnić się z tym człowiekiem.

„Antonius” koncertował przez ponad trzy godziny, lecz mimo to nie zmęczył palców. Zebrał monety, które wrzucono do otwartego futerału, i poluzował naciąg smyczka, obracając kilka razy srebrną śrubą. Potem ostrożnie umieścił skrzypce w futerale, oparł go o krzesło i usiadł, czekając na lunch. Bez jego muzyki na placu zrobiło się nagle bardzo cicho.

Aris pojawił się z kilkoma daniami i postawił je przed skrzypkiem.

– *Stifado, horta, fasolakia*. Gulasz, zielone warzywa i fasola – wyliczył.

Już wcześniej przyniósł w glinianym dzbanku pół litra czerwonego wina, po którym w kilka chwil nie zostało ani kropli.

Muzyk zaczął szybko zmiatać jedzenie z talerzy. Najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędkę, więc Aris zostawił go samego.

Kiedy wszystkie talerze były puste i ostatnia kropla sosu znikła, zgarnięta kawałkiem miękkiego zakalcowanego chleba, skrzypek wziął instrument i pomaszzerował przez plac w stronę morza, gdzie czekały na niego inne kawiarnie i nowa publiczność.

– Wróć do nas później! – zawołał właściciel tawerny, wiedząc, że nawet po odliczeniu kosztu posiłku zarobił tego dnia o wiele więcej niż zwykle.

Magda była jedną z bardzo niewielu niezamężnych dojrzałych kobiet w mieście. Oboje jej rodzice zmarli i mieszkała sama nad odziedziczonym po nich sklepem, w którym sprzedawała włóczkę, wstążki i nici. Była kiedyś zaręczona, lecz ślub nie doszedł do skutku, ponieważ wyszło na jaw, że nie będzie mogła mieć dzieci. Teraz uchodziła za *yerontokori*, starą pannę. Ironia losu polegała na tym, że ze swoimi gęstymi lśniącościami włosami, pełnymi ustami i obfitym biustem była zdecydowanie najpiękniejszą kobietą w Kalamacie i z całą pewnością najbardziej pożądaną.

Tego wieczoru wyszła jak zwykle ze swojego sklepu, położonego na starówce, i przeciąwszy główny plac, ruszyła spacerkiem w stronę morza. Powitały ją gwizdy i głośne okrzyki. Nie było w nich wrogości. Znała większość mężczyzn, którzy siedzieli w kawiarniach, i wiedziała, że te odgłosy wyrażają wyłącznie uznanie.

Pogodziła się już z tym, że się za nią oglądają i że nie skryje swoich piersi, które ledwie mieściły się w niedopiętej bluzce.

– Co słychać, Magdo?

Wszyscy znali jej imię.

– Jak ci minął dzień?

– Zapowiada się miły wieczór?

Okrzyki były wesołe i jowialne. Padały z ust jej starych przyjaciół

i znajomych. Większość chodziła z nią do tej samej klasy w *gymnasio*, a kilku właśnie z nią przed dwudziestu laty całowało się po raz pierwszy.

W odpowiedzi uśmiechała się i machała ręką.

O tej porze roku było ciepło. Rosnące wzdłuż ulicy *neradzia*, czyli drzewka pomarańczowe, ugiwały się pod ciężarem owoców.

Przy ulicy, którą szła, mieściło się wiele tętniących życiem kafejek.

Zawsze wybierała tę, którą prowadził jej kuzyn Andreas. Siadała na zewnątrz i zapalała papierosa. Woda była gładka jak lustro, betonowe nabrzeża puste, tylko w oddali kręciła się grupka dokerów czekających, by rozładować, a potem załadować statek. W magazynach stały gotowe do wyeksportowania skrzynki z suszonymi owocami i wielkie beczki z oliwą.

Na tle różowiejącego powoli nieba przejechał mężczyzna na rowerze.

Nagle coś przerwało ciszę. To była pojedyncza, przedłużona nuta. Magda odwróciła się w stronę źródła dźwięku.

Zobaczyła trzymającego skrzypce przystojnego mężczyznę w średnim wieku, który przesunął smyczkiem po strunach i zagrał drugą nutę. Patrzył prosto na Magdę. Być może szukał natchnienia i w ogóle jej nie widział, ona jednak czuła, że gra właśnie dla niej.

Nikt mu nie towarzyszył. Ona też jak zwykle siedziała sama. Mężatki traktowały ją podejrzliwie i bardzo rzadko zapraszały do swoich stolików.



Co to były za nuty? Znała melodie wygrywane na buzuki i baglamie i lepiej niż ktokolwiek potrafiła tańczyć *kalamatianos*. Muzyka kojarzyła jej się na ogół z ruchem, lecz ta była dziwnie spokojna. Cudowne dźwięki skrzypiec przykuły całą jej uwagę.

Muzyka natychmiast ją oczarowała; zamknawszy oczy, przysłuchiwała się każdej nucie, a nawet pauzom między nimi.

Najpierw zjeżyły jej się włoski na ramionach, niczym u kocicy przed walką. Potem poczuła, że szczypią ją oczy, napinają się mięśnie gardła i pąsowieje szyja. Po policzkach popłynęły jej łzy, co zdarzało się nader rzadko. Sięgnęła po papierową serwetkę i otarła oczy, ale łzy płynęły nadal.

Jak większość tutejszych mieszkańców nigdy wcześniej nie słyszała takiej muzyki. Patrzyła, jak mężczyźni i kobiety rzucają przed wyjściem monety do futerału. Jeden dał kilka centów, drugi całe euro i wkrótce drobnych było dosyć, by starczyło na porządny posiłek. Płacili nie tylko za muzykę, ale też za to, jak na nich oddziaływała. Przed pojawieniem się skrzypka słychać było jedynie gwar rozmów. Teraz spokojne morze wydawało się wzmacniać ton skrzypiec i nawet gdy wydobywał się z nich cichy szept, ich dźwięk docierał wszędzie dookoła. Kiedy wspiął się do crescendo, każda nuta brzmiała jak eksplozja.

Magda wcale nie była pewna, czy podoba jej się własna mimowolna reakcja, ale nie mogła nad tym zapanować. Łzy płynęły dalej i wkrótce na jej stoliku leżała cała sterta zmiętych serwetek. Zauważyła, że muzyka skrzypka działa w ten sposób nie tylko na nią.

Antonius grał dalej; pod koniec każdej melodii jego jasne oczy omiały tłum, jakby szukał inspiracji, podpowiedzi, co ma zagrać w następnej kolejności.

Weneckie pałacyki na nabrzeżu i rzecki listopadowy wieczór sprawiły, że pomyślał o Vivaldim i o *Jesieni* z jego *Czterech pór roku*. Bez chwili pauzy zaczął grać nowy utwór.

Teraz, po zachodzie słońca, na nabrzeżu pojawiło się więcej ludzi. Kilka par spacerowało, trzymając się za ręce; starsi mężczyźni wyszli po kolacji na miasto, szukając towarzystwa, młodszy – szukając miłości. Późną jesienią i zimą setki mężczyzn i kobiet harowały ciężko przy zbiorach oliwek w gajach pod miastem i wielu z nich przychodziło wieczorem do kawiarni, żeby się czegoś napić.

Antonius grał teraz wolniejsze kawałki.

Do portu wpłynął kolejny statek, ale odgłos rzucanej liny nie zakłócił dźwięków muzyki. Magda nie spuszczała oczu ze skrzypka.

Kiedy statek przycumowano, kilku marynarzy i dokerów ruszyło w jej stronę, lecz ona nie zwróciła na nich uwagi. Patrzyła tylko na skrzypka.

Grał z zamkniętymi oczami, doskonale wyczuwając, co się wokół niego dzieje i jaki jest nastrój publiczności, i wybierając odpowiednie utwory z ogromnego repertuaru muzycznego, który miał w głowie. Utwory Bacha, Mozarta, Telemanna, Corellego i bardzo dużo Vivaldiego (czuł, jak pozytywnie reagują na tę muzykę ludzie). Grał kompulsywnie, jakby nie mógł przestać.

– Skąd on jest? – zapytała Magda swojego kuzyna.

– Nie wiem – odparł. – Ale jedno z dzieci mówiło podobno, że ma na imię Antonius.

Minęła już dziesiąta. Wszystkie kawiarnie były pełne. Zbierało się coraz więcej ludzi i nikt nie wychodził. Nie było ani jednego wolnego miejsca. W mieście, gdzie niczego nie dawano za darmo, podobny recital nigdy się jeszcze nie zdarzył. Czasami ton skrzypiec był tak silny i czysty, że mogło się zdawać, iż fragmenty muzyki są rozpisane na kilka instrumentów i gdzieś w pobliżu grają drugie, niewidzialne skrzypce.



Mniej więcej w pół do dwunastej wybrzmiała ostatnia nuta i rozległy się frenetyczne oklaski. Muzyk odłożył skrzypce do futerału i zmniejszył naciąg smyczka. Jedyne wolne krzesło na nabrzeżu znajdowało się przy stoliku Magdy. Brawa nie milkły, nawet gdy przy niej usiadł i uśmiechnął się ciepło w podzięce za aplauz.

– Pokochali cię – powiedziała Magda. Prawdę mówiąc, miała na myśli to, co czuła do niego sama.

– Pokochali to – odrzekł, dotykając futerału. – Tego właśnie słuchali przez cały wieczór.

Jego akcent wskazywał, że pochodzi z innej części Grecji, z gór na północy.

– Ale ty to zagrałeś – sprecyzowała Magda.

Andreas podszedł do nich, żeby zaproponować skrzypkowi poczęstunek. Czuł, podobnie jak wcześniej właściciel tawerny, że musi się odwdzińczyć za rekordowe zyski, jakie odnotował tego wieczoru.

– Co mogę panu podać, panie Antonius? – zapytał.

– Chętnie napiłbym się koniaku – odrzekł skrzypek.

– Tobie też coś podać, Magdo?

Andreas był tego dnia bardzo hojny.

– To samo – powiedziała.

Siedzieli przez chwilę w przyjaznym milczeniu. Oboje przywykli do samotności. Nikt nie czekał na nich w domu.

– Gdzie nauczyłeś się tak grać? – zapytała.

– Myślę, że nauczyły mnie tego skrzypce – odparł z uśmiechem. – Kiedy ma się taki instrument, muzyka już w nim jest. Czeka tylko, by ktoś ją uwolnił.

Magda przechyliła głowę na bok i gęste włosy opadły jej na ramię.

– Więc gdybym je teraz wzięła, potrafiłabym zagrać tak jak ty?

– Mogłoby to zająć trochę czasu, ale zobaczymy.

Muzyk otworzył futerał, podniósł skrzypce z wyłożonego aksamitem wnętrza i przesunął smyczkiem po strunach, obracając lekko kołki, żeby nastroić instrument. Magda utkwiała wzrok w reliefie na strunniku.

Skrzypek delikatnie odgarnął jej włosy na bok i podsunął instrument pod brodę, po czym podniósł jej lewą rękę, by złapała za gryf, i pokazał, jak ma objąć palcami prawej smyczek, by mogła nim balansować podczas gry.

A potem położył go na najniższej strunie i lekko nagiął jej łokieć, by poczuła, jak włosie przesuwają się po stali. Ludzie przy sąsiednich stolikach nie spuszczały z nich wzroku.

Zabrzmiała nuta.

To było g, najniższa nuta skrzypiec, głęboka i wyrazista.

Następnie skrzypek umieścił jej palec wskazujący na strunie E i rozległa się nuta fis. Od tej nuty zaczął swój wieczorny koncert, kiedy grał *Arię na strunie G* Bacha. Czysty dźwięk przerwał gwar rozpoczętych rozmów i niósł się jeszcze przez kilka chwil.

Gdy nuta wybrzmiała, Magda odjęła skrzypce od ramienia i położyła je na kolanach. Patrzyła na nie, jakby były dzieckiem, drogocennym darem, z którym nie bardzo wie, co począć. A potem zaczęła wodzić palcami po małym drewnianym korpusie. Podobnie jak chłopiec, który oglądał instrument wcześniej, chciała odczytać napis widoczny przez otwór w kształcie litery f.

– Co tam jest napisane? – zapytała.

– Antonius Stradivarius – odparł skrzypek.

– Więc tak się nazywasz?

– Nie. – Roześmiał się. – To nazwisko człowieka, który wykonał te skrzypce. Nazwisko człowieka, którego słyszysz, gdy grają.

– Umieszczał swoje nazwisko na każdym zrobionych przez siebie skrzypcach?

– Na każdym – potwierdził skrzypek. – Każdy z tych instrumentów jest wyjątkowy i każdy ma jego głos. Kiedy ludzie czytają ten napis i dochodzą do wniosku, że mam na imię Antonius, nie wyprowadzam ich z błędu. Pod wieloma względami mają rację: skrzypce i ja stanowimy jedność. Przemawiam przez nie.

Magda nie odrywała od niego oczu.

– To najbardziej drogocenna rzecz, jaką posiadam – podjął. – Właściwie to jedyna rzecz, jaką posiadam, jeśli nie liczyć ubrania. Bez tego instrumentu nie miałbym co jeść.

Magda oddała muzykowi skrzypce i przez chwilę przyglądała się ich zaokrąglonej tylnej płycie.

– Od ilu lat...?

– Mam wrażenie, jakbym to robił od urodzenia.

O skrzypku rozprawiali teraz ludzie we wszystkich kawiarniach.

Zazwyczaj nie dyskutowano tutaj o wędrownych grajkach i zazwyczaj Magda nie rozmawiała tak swobodnie z kimś obcym. Jej obfite kształty przyciągały nieraz uwagę nieznajomych, lecz ona się z nimi nie spoufalala.

– Czasami wydaje mi się, że te skrzypce mną zawładnęły, że to one na mnie grają. Poza tym nawet kiedy nie gram, muszę ich pilnować, bo są dużo warte. Myślę o nich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Andreas podszedł do nich z kolejnymi drinkami.

– To od państwa, którzy siedzą przy tamtym stoliku – wyjaśnił, wskazując głową fundatorów. – Jest wiele innych osób, które chciałyby panu coś postawić.

Magda uśmiechnęła się.

– Miło się spotykać z takim uznaniem – powiedziała.

– Rzecz w tym... chciałbym po prostu na kilka godzin zapomnieć o tych skrzypcach. Przeżyć jedną noc bez ich dźwięku.

Podnieśli kieliszki i stuknęli się nimi.

– *Stin iyeia sas*. Twoje zdrowie.

– Zagrasz jeszcze raz tę melodię... tę, którą zagrałeś na samym początku? – zapytała.

– Tylko dla ciebie – odrzekł skrzypek, wychylając do dna swój kieliszek.

W kawiarni ponownie zabrzmiały piękne dźwięki *Arii* Bacha, spokojne, niespieszne, potężne.

Mieszkańcy Kalamaty słuchali. Nikt nawet nie drgnął, dopóki muzyka się nie skończyła. Gdy ludzie zaczęli wstawać z krzeseł, by wracać do swoich domów, widzieli, że Magda i skrzypek, nachyleni ku sobie, wciąż rozmawiają.

W końcu, kiedy większość gości się rozeszła, Andreas wyłonił się z wnętrza kawiarni, niosąc wielką puszkę po oliwkach, wypełnioną po brzegi monetami. Była tak ciężka, że z trudem dźwigał ją w obu dłoniach. Klienci zostawili te pieniądze dla „Antoniusa”.

Ale po skrzypku nie było ani śladu.

Zniknęła także Magda. Stolik, przy którym wcześniej siedzieli, był pusty.

Nazajutrz Andreas zobaczył Magdę na ulicy. Kiedy się zbliżyła, usłyszał, że nuci coś pod nosem. Melodia była znajoma. Zapamiętał ją z poprzedniego wieczoru.

– Dzień dobry, Magdo – powiedział, a ona z uśmiechem skinęła mu głową. – To piękna melodia – dodał.

– *Aria na strunie G* – oznajmiła ze znawstwem. – Bacha.

– Ten człowiek to prawdziwy wirtuoz – przyznał Andreas. – Ludzie zostawili mu tyle pieniędzy! Ponad trzysta euro. Muszę mu je oddać.

– Już go tu nie ma – odparła Magda.

– Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

– I już nie wróci?

– Nie.

Andreas zauważył, że Magda bawi się czymś, co ma założone na nadgarstek. Ponieważ dzień był ciepły i podwinęła rękawy swetra, zobaczył, że wygląda to jak srebrny drut.

– Wymieniliśmy się prezentami – wyjaśniła, widząc jego zaciekawione spojrzenie. – To struna skrzypiec. Struna G.

– A ty co mu dałaś? – zapytał kuzyn.

Magda uśmiechnęła się enigmatycznie i nucąc pod nosem, ruszyła dalej. W powietrzu znowu zabrzmiała słynna melodia Bacha.



Wystarczyła, jak widać, jedna wspólna noc, żeby dwoje ludzi odnalazło szczęście. Nie wierzę, by „Antonius” kochał się z kobietą w każdym mieście, ale kiedy spotykał taką, która reagowała i otwierała się na muzykę tak jak Magda, być może w ten sposób się to kończyło. Jestem pewien, że nie ją jedną uwiódł swoim stradivariusem.

Myślę, że Magda na zawsze zachowa tę strunę. Metal, z którego ją zrobiono, jest niezniszczalny, nie ma więc powodu, by na pamiątkę szczęśliwej nocy nie

nosila jej na nadgarstku do końca życia. Zamiast żalować, że szczęście trwało tak krótko, cieszyła się, że ją musnęło. Szkoda, że miłość nie zawsze jest tak bezbolesna... W chwili gdy piszę te słowa, wydaje mi się raczej źródłem wściekłości i bólu.

Chciałbym choć przez moment być kimś takim jak Antonius, kimś beztrosko podróżującym przez życie, albo jak Magda, spędzającym je pogodnie w jednym miejscu. Będę starał się zbliżyć do jednego lub drugiego ideału, ale na razie zaskakuje mnie, jak trudno się otrząsnąć ze smutku i żalu.

Przez długie miesiące nie słuchałem muzyki. Budziła we mnie zbyt wiele emocji. Nie dlatego, żeby nas, Ciebie i mnie, w jakiś szczególny sposób połączyła, ale dlatego, że w moim przypadku muzyka (zwłaszcza ta skrzypcowa) trafia bezpośrednio do serca. Przyznaję, że wyszedłem nawet raz czy dwa z kawiarni, gdy grali tam jakiś sentymentalny kawalek i poczułem, że tracę nad sobą panowanie. Po tym, jak opowiedziano mi historię Antoniusa i Magdy, ściągnąłem kilka sonat Bacha i teraz słucham ich w samochodzie. Jest wśród nich oczywiście Aria na strunie G. Krok po kroku będę starał się słuchać również innej muzyki, niczym dochodzący do zdrowia pacjent, który powoli wzbogaca swoją dietę.

Tydzień, który spędziłem w milej, bezpretensjonalnej Kalamacie, dobiegł końca. Wyruszyłem ponownie na północ, do oddalonego o dwieście kilometrów Patras. Był piękny jesienny dzień i bardzo miło wspominał tę podróż. Po drodze zatrzymałem się w Olimpi, stanąłem na bieżni i jak każdy turysta wyobraziłem sobie aplauz tłumy.

Na mapie Grecji są dziesiątki starożytnych zabytków. Wiele z nich to pochodzące sprzed tysięcy lat świątynie i pałace, z których obecnie zostały tylko ruiny. Niektóre, tak jak Partenon, całkiem dobrze się zachowały, ale gdzie indziej dawne mury i świątynie to ledwie kupa kamieni. Dla pewnych ludzi te pozostałości są głównym powodem, by odwiedzić ten kraj.

Podczas moich podróży zauważyłem, że tworzy się nowa kategoria ruin. Nie są oznaczone na mapie i nie pisze się o nich w przewodnikach, ale jest ich w Grecji zatrzęsienie. W każdej wiosce i miasteczku można znaleźć niezamieszkałe budynki.

Niektóre wyglądają tak, jakby zbudowano je przed kilkuset laty, lecz są takie, które mają nie więcej niż kilkadziesiąt. Często porzucano je, bo spadek został podzielony w tak zawiły sposób, że żaden ze spadkobierców nie chciał się do nich przyznać. Ale chodzi też o coś innego. Większość nowych budynków powstaje z optymizmem i nadzieją na przyszłość, więc te wymarłe betonowe szkielety zawsze mnie intrygowały. Za każdym z tych dziwnych upiornych miejsc kryje się jakaś historia tłumacząca ich obecny stan.

Tę opowieść usłyszałem od starszych państwa, którzy siedzieli przy sąsiednim stoliku w tawernie w Patras. Nieopodal stał szkaradny pusty hotel i choć mieszkali w mieście od niedawna, zależało im, bym poznał historię tego budynku.

TYLKO NIE WE WTOREK





TYLKO NIE WE WTOREK

Wielu Greków nie zwykło podejmować we wtorek żadnych ważnych decyzji. W tym dniu tygodnia Turcy zdobyli wielkie miasto Konstantynopol, główny ośrodek wschodniego chrześcijaństwa. Choć wydarzyło się to ponad pięćset lat temu, wciąż wspomina się dramat roku 1453, a we wtorki pamięć o niej jest szczególnie żywa.

Konstantynopol, który do dziś określa się niekiedy słowem *i poly* („miasto”), Turcy osmańscy oblegali przez czterdzieści dni. Starający się odeprzeć napastników Grecy byli świadkami wielu złowróżbnych zjawisk: doszło do zaćmienia Księżyca, podczas procesji ikona Matki Boskiej spadła ze swojej platformy i rozpętała się gwałtowna burza z piorunami. Kiedy we wtorek dwudziestego dziewiątego maja Turcy wdarli się w końcu do miasta, zabijali wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci. Zdaniem niektórych najgorsze było jednak zbezczeszczenie bazyliki Hagia Sofia i masakra kapłanów i wiernych, którzy uczestniczyli tam w nabożeństwie. Nawet obecnie wielu Greków nie używa nazwy Stambuł, którą nadali miastu Turcy, i na lotniskach, na tablicach przylotów i odlotów, wyświetla się wciąż starą nazwę.

Są oczywiście i tacy Grecy, którzy traktują wtorek jak każdy inny dzień tygodnia i nie wierzą w te „zabobonne brednie”. Takie podejście prezentowała rodzina Papazoglou.

Dwa swoje hotele otworzyli dokładnie dwudziestego dziewiątego maja 1979 roku. Ludzie byli oburzeni. Stało się to we wtorek, w samą rocznicę.

– Jak oni mogli coś takiego zrobić? – mruzcili starsi mężczyźni w kafenionach. – Wystarczyło poczekać jeden dzień.

Starsze panie zajadające ciastka w zacharoplasteionie powtarzały to samo:

– Nie do wiary! I to w dodatku rodzina z Konstantynopola!

Apostolos Papazoglou należał do tych, którzy uciekli ze Stambułu w 1955 roku, po pogromach mieszkających w tym mieście Greków. Prześladowania jego rodaków zmusiły Papazoglou do porzucenia domu i popularnego pensjonatu, który prowadził. Przybywając ze swoją żoną Meliną i dwoma małymi synami do Grecji, miał tylko to, co zdołali zabrać ze sobą.

Mając do wykarmienia rodzinę, Papazoglou zaczął się natychmiast rozglądać za pracą. Dotarł do Patras i zamieszkał w miejscu, z którego mógł widzieć morze, tak samo jak w Konstantynopolu. W ciągu dnia pracował długie godziny w kafenionie, a po nocach jako doker w porcie, dzięki czemu zarobił dość, by utrzymać rodzinę, a nawet trochę zaoszczędzić.

Pierwsze hotele dla turystów zaczęto otwierać pod rządami wojskowej dyktatury w końcu lat sześćdziesiątych, żeby rozkręcić gospodarkę. Kiedy junta upadła, turystyka znacznie się rozwinęła. Papazoglou zobaczył w tym szansę dla siebie.

Cudzoziemcy przybywali tysiącami, by rozkoszować się łagodnym klimatem, słońcem i wszystkim, co ma do zaoferowania Morze Śródziemne. Swój urok miała nawet dewaluująca się waluta; ludziom podobało się, że płacą tysiące drachm za szklankę piwa, zwłaszcza gdy zdali sobie sprawę, że w rzeczywistości kosztuje to tylko kilka pensów. Czuli się milionerami.

Apostolos patrzył z zainteresowaniem, jak znakomicie prosperuje wyglądający bardzo przeciętnie hotel Xenia. Położony blisko plaży, oferował, jeśli chodzi o komfort, nader skromne warunki. Mijając go, za każdym razem widział opalających się na tanich leżakach niemieckich gości, którzy właściwie zadowalali się tym, co zapewniała natura. Wystarczały im słońce, morze i piasek, zimne miejscowe piwo i tanie jedzenie. Dla mieszkańca północnej Europy, który nigdy w życiu nie spróbował taramosalaty, smak ikry dorsza był czymś, co zmieniało jego życie, podobnie jak chwila, gdy po raz pierwszy wbijał zęby w świeżego arbuza.

Apostolos wziął kredyt i kupił niewielki kawałek ziemi w pobliżu. Zbudował podobny hotel, bardzo skromny, bez żadnych luksusów. Łóżka były wąskie, pokoje niewielkie, zasłony przykrótkie. W łazienkach brakowało czasami ciepłej wody, ale

w letnim skwarze rzadko się na to skarżono. Na tym między innymi polegał urok Grecji.

Pod koniec pierwszego letniego sezonu planował już drugi hotel. I przez następnych pięć lat każdej zimy budował nowy. Wszystkie od Wielkanocy do końca października były maksymalnie obłożone.

Papazoglou dostosowywał się do wymagań biur podróży, którym po pewnym czasie zaczęło zależeć na większym komforcie. W ciągu dwudziestu lat liczba gości hotelowych zwiększyła się dwudziestokrotnie, podobnie jak jego dochody i perspektywy finansowe. Inwestował w niezabudowane działki na wybrzeżu, zanim wielu innych dostrzegło ich potencjał. Większość deweloperów myślała tylko o terenach miejskich lub przemysłowych.

Jego imperium luksusowych hoteli obejmowało coraz większe połacie greckiego wybrzeża i wysp.

Dwaj synowie Papazoglou, Manos i Stephanos, mieli teraz po dwadzieścia kilka lat. Od dziesięciu lat spędzali każde wakacje, bawiąc się w hotelach należących do sieci ojca, zamawiając wszystko przez room service i nigdy w życiu nie ścieląc łóżek. Nie pamiętali już, jak spali w jednym łóżku w jednoizbowym mieszkanku rodziców w Patras. Teraz bez przerwy się ze sobą kłócili.

Matka zawsze traktowała ich, jakby byli bogami. Chwaliła ich, nawet kiedy rozrabiali w szkole, i obaj dorastali w przekonaniu, że wszystko im wolno. Nie było ich winą, że tak zostali wychowani. Odpowiedzialność za to ponosiła zbyt pobłażliwa matka, a także stary ojciec, za bardzo zajęty zarabianiem pieniędzy, by w ogóle zwracać na nich uwagę.

Papazoglou, który miał wkrótce obchodzić siedemdziesiąte piąte urodziny, zastanawiał się, co będzie dalej z jego biznesem. Wybierał się na emeryturę, ale nie chciał dzielić firmy. Nie zamierzał także automatycznie przekazywać jej Manosowi, czego wszyscy się spodziewali. To, że był starszy, wcale nie oznaczało, że bardziej na to zasługiwał. W skrytości ducha Papazoglou uważał, że Stephanos ma większy urok osobisty i bardziej nadaje się na szefa.

– Może poddasz ich sprawdzianowi? – zaproponowała Melina Papazoglou. – Przekonasz się, który lepiej sobie radzi, i wtedy zdecydujesz, który pokieruje firmą.

Stary Papazoglou uznał, że to dobry pomysł.

W dniu swoich urodzin, trzynastego października, wyjął z szuflady starą monetę o wartości jednej drachmy i dołączył do rodziny, by świętować w eleganckiej restauracji. Kiedy podano wspaniałą tort czekoladowy, uciszył Manosa i Stephanosa, którzy spierali się na temat piłki nożnej, i oświadczył, że chce coś powiedzieć. Miał w Patras dwie działki, na których nic jeszcze nie zbudował. Jedna leżała blisko portu, druga za miastem, przy piaszczystej plaży. Od rzutu monetą będzie zależało, komu przypadnie która działka; ten z synów, którego hotel odniesie większy sukces, przejmie całe imperium ojca.

Papazoglou rzucił drachmę w powietrze, a przysłuchujący się rozmowie kelnerzy patrzyli na to z dezaprobatą. Takiej decyzji nie wolno podejmować trzynastego dnia miesiąca, szeptali między sobą. To pechowa liczba na całym świecie, ale w Grecji bardziej niż gdzie indziej. Dodane do siebie cyfry roku 1453 dają w wyniku trzynaście. Wybór tego dnia na rzut monetą nie był zwykłą ignorancją.

– To czysta głupota – mruknął pod nosem starszy kelner.

Moneta zdecydowała, że starszy syn, Manos, dostanie działkę blisko portu, a Stephanos tę przy plaży.

– Oba miejsca mają wielki potencjał, więc zobaczymy, jak sobie poradzicie – powiedział Papazoglou. – Za dwa lata obejrzę wasze księgi. Ten, który będzie miał większe zyski, choćby o dziesięć drachm, weźmie wszystko.

Obaj chłopcy skończyli szkołę w wieku szesnastu lat i nie kontynuowali nauki. Jaki był sens studiowania na uniwersytecie, skoro mieli bogatego ojca i wiedzieli, jaka ich czeka przyszłość? Zresztą biorąc pod uwagę ich niskie oceny, pewnie nie dostaliby się na żadną uczelnię.

Każdy spodziewał się, że przypadnie mu kiedyś w udziale połowa firmy. To, że ojciec ma zamiar poddać ich sprawdzianowi, całkowicie ich zaskoczyło. Trudno było im pogodzić się z myślą, że będą musieli ze sobą bezpardonowo współzawodniczyć.

Starszy Manos uważał, że pod jednym względem góruje nad bratem. To jemu nadano imię po nieżyjącym dziadku i będąc z tego względu ulubionym wnukiem babci, był jeszcze bardziej rozpuszczony. Drażniło go, że Stephanos zawsze ma ładniejsze dziewczyny, i szydził z ich niskiej inteligencji. On sam stale walczył z nadwagą (odziedziczył po ojcu niski wzrost), ale jednocześnie szczyił się tym, że jest sybarytą i miłośnikiem dobrych win.

Stephanos był bez wątpienia przystojniejszy. Odziedziczył po matce regularne rysy twarzy i szczupłą sylwetkę. Pasjonował się sportem i grał w miejskich drużynach piłki nożnej i wodnej. Zawsze pokazywał się z jakąś uwieszoną na ramieniu piękną kobietą, co budziło zazdrość Manosa.

Manos zdecydował, że to nie turyści będą jego główną klientelą. Chciał zarabiać pieniądze przez dwanaście miesięcy w roku i dlatego skoncentrował się na klientach biznesowych, ludziach podróżujących służbowo, a nawet pracujących w porcie. Ci ludzie mieli do wydania sporo gotówki i Manos chciał przyciągnąć ich czymś bardziej wyrafinowanym niż to, z czego korzystali na co dzień w tym mieście.

Na jego działce stał już duży pusty biurowiec. Przypominał wielki bunkier z otworami na okna. Architektonicznie niczym się nie wyróżniał. Manos mógł go albo zburzyć, co było kosztowne i pracochłonne, albo przerobić na hotel. Ta druga opcja była zdecydowanie tańsza i szybsza.

Używając linijki i ekierki, w dwadzieścia minut nakreślił swoją wizję: średniowieczny zamek. W dzieciństwie zwiedzał stary zamek w Nafplio i to on stał się jego inspiracją. Solidny i kwadratowy, z wieżyczkami i blankami. Hotel Pyrgos miał być jego osobistą fortecą.

Kiedy dodano balkony i zmieniono wygląd zewnętrzny, zajął się wnętrzem. Otwartą przestrzeń biurową poprzedzielano cienkimi ściankami działowymi, każdy pokój był z łazienką. Największe zmiany zaszły jednak na parterze. Tam chciał zarabiać pieniądze.

Główną atrakcją pomieszczeń recepcyjnych miały się stać malowidła ścienne w pseudoklasycznym stylu, z erotycznymi podtekstami. Hotelowa kuchnia miała przyćmić wszystko, czym do tej pory mogło się poszczycić Patras. Poza tym w hotelu znalazło się kilka niewielkich tanecznych i muzycznych barów, w tym „prywatny klub”, stanowiący coś w rodzaju kasyna.

Do tego właśnie klubu Manos zamówił malowidła w stylu Botticellego (raczej pastisze niż kopie), zaznaczając, by postacie były odziane bardziej skąpo niż na oryginałach. Tak samo miały być ubrane kelnerki (albo rozebrane, jak żartował z przyjaciółmi).

Hotel sprawiał z zewnątrz imponujące wrażenie, nie żałowano też pieniędzy na urządzone z przepychem pomieszczenia na parterze. Manos był przekonany, że trafił w gusty swoich klientów i że wygrywa wyścig z czasem.

Stephanos był świetnym pływakiem i wydawało się oczywiste, że to on powinien zarządzać hotelem przy plaży. Startował od zera i musiał jak najszybciej zabrać się do pracy. Miał tylko sześć miesięcy, by zbudować hotel i wykończyć go przed początkiem sezonu.



Wzorowany na pensjonacie, który zainspirował niegdyś jego ojca, bardzo zwyczajny i niewyszukany, z wszystkimi pokojami wychodzącymi na morze, hotel Thalassa został wzniesiony w rekordowym czasie. Fundamenty były płytkie, ściany niewiele się różniły od dykty, lecz goście, którzy mieli w nim zamieszkać, większość dnia powinni spędzać na plaży, a wieczory w tutejszym barze. Koszty budowy były bardzo niskie i już na starcie dawało to Stephanosowi finansową przewagę.

Dowiedziawszy się, że brat chce otworzyć hotel Pyrgos dwudziestego dziewiątego maja, Stephanos wyznaczył dokładnie tę samą datę. Dwa bankiety odbyły się tego samego wieczoru. Apostolos Papazoglou najpierw udał się do Pyrgos, a jego żona do Thalassy. Potem zamienili się miejscami.

Pierwszy sezon wydawał się udany dla obu synów. Ojciec był pod wrażeniem zysków, jakie osiągnęli, i tego, co zdołali dokonać. Ku uldze obydwu nie przyjrzał się baczniej ich interesom.

Manos zawsze ukrywał przed ojcem prawdę o tym, co działo się za kulisami. Czasami ukrywał ją przed samym sobą. Kilka miesięcy po otwarciu hotelu odwiedził go niejaki Giorgos Kourtis. Wydawał się zwykłym klientem i wyglądało na to, że wszystko tutaj mu się podoba. Kilka razy wpuszczono go nawet do prywatnego klubu, gdzie uprawiał hazard i spędził noc z jedną z dziewczyn. Ale

dość szybko wyszły na jaw jego prawdziwe intencje. Kourtis był właścicielem innego hotelu w centrum miasta i z tego, co dotarło do Manosa, po otwarciu Pyrgos poniósł spore straty. Był również człowiekiem posiadającym potężne wpływy.

Pewnego wieczoru, mniej więcej pięć miesięcy po otwarciu, w całym hotelu wysiadło światło. Przyniesiono świece i Manos przekonał gości, że tworzy to „romantyczną atmosferę”. Po wezwaniu elektryków okazało się jednak, że instalacja jest bez zarzutu. Hotel został po prostu odcięty od prądu. I żeby go z powrotem podłączyć, trzeba było zapłacić pięć milionów drachm. To samo wydarzyło się z wodą i taka sama była opłata za jej ponowne doprowadzenie. Sumy były astronomiczne. Manos uświadomił sobie, że padł ofiarą wymuszeń.

Następnie odwiedziła go policja. Nie cofając się przed demolowaniem wnętrza, szukali dowodów na to, że w hotelu uprawiany jest hazard, i oczywiście je znaleźli. Wiedzieli dokładnie, gdzie szukać. I regularnie wracali. Manos szybko zdał sobie sprawę, że tylko pokaźna łapówka uchroni go przed tymi wizytami. Nie miał innego wyboru, jeśli chciał przetrwać.

Ku jego przerażeniu wkrótce okazało się, że wydatki przewyższają dochody. Niespodziewane wyłączenia prądu mogły sprzyjać romantycznej atmosferze w lecie, ale w zimie powodowały niedogrzanie pokoi. Kiedy od Morza Jońskiego wiał mocny wiatr, temperatura w środku spadała poniżej dziesięciu stopni. Na ścianach skraplała się woda i z obrazów w stylu Botticellego odpadały płaty farby. Liczba gości drastycznie się zmniejszyła. Z początkiem nowego sezonu hotel, który niczym prawdziwy zamek miał trwać wiecznie, zaczął popadać w ruinę.

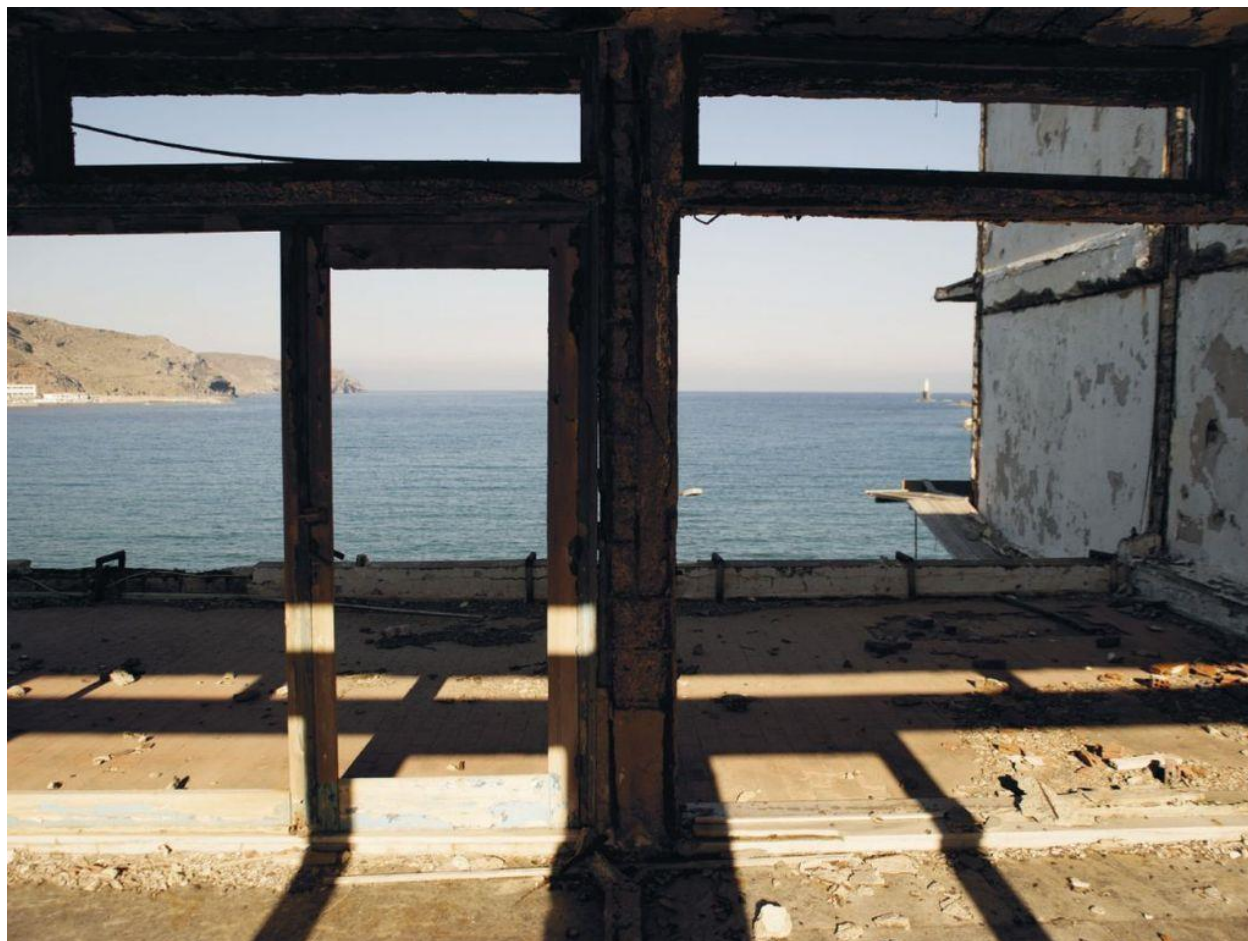
Manos próbował uniknąć finansowej katastrofy. Najważniejszy był dla niego bilans wydatków i przychodów, który miał przedstawić ojcu w październiku. Zostały mu tylko cztery miesiące. Zaciągnął kilka kredytów, żeby starczyło na wymuszenia i łapówki. Wiedział, że za wszystkimi jego kłopotami stoi Kourtis i jeśli nie będzie uległy, może pożegnać się z hotelem i świetlaną przyszłością. Już teraz był tak zadłużony, że nie mógł spać w nocy, a w dzień dostawał na skutek stresu regularnych ataków astmy. Przybrał na wadze tak bardzo, że ledwie wchodził na drugie piętro, gdzie mieścił się jego gabinet, a nie stać go było na zamontowanie windy. Dziewczyna, która wytrzymała z nim sześć miesięcy (to był rekord), miała tego serdecznie dosyć i go rzuciła. Początkowo ujął ją jego status właściciela najlepszego hotelu w mieście, lecz teraz uznała, że płaci zbyt wysoką cenę.

Desperację Manosa pogłębiały wieści, że hotel Thalassa przynosi wysokie zyski, mimo że był otwarty tylko przez sześć miesięcy w roku. Goście nie opływali w luksusy, ale dużo wydawali, zamawiając przez cały dzień zimne piwo i napoje gazowane w barze na plaży i płacąc niebotyczne pieniądze za wypożyczenie sprzętu wodnego.

Pewnej ciepłej czerwcowej nocy, tak parnej, że wszyscy goście w Thalassie spali przy szeroko otwartych oknach, na wybrzeżu zatrzęsa się ziemia. Była czwarta rano, pora, kiedy ludzie śpią najgłębszym snem i nie wzeszło jeszcze słońce. Goście z początku nic nie usłyszeli, poczuli za to siłę wstrząsów, która wyrzuciła ich z łóżek. W skali Richtera trzęsienie nie było tak silne (tylko 4,3 stopnia), ale stropy przesunęły się kilka milimetrów w tę i z powrotem. Nie było schodów przeciwpożarowych ani instrukcji, co robić i gdzie uciekać. Zresztą i tak zabrakłoby na to czasu.

Budynek rozsypał się jak domek z kart: piąte piętro spadło na czwarte, a czwarte na trzecie, zmieniając hotel w stos betonowych płyt, metalowych poręczy, łóżek i trupów. Kilka zewnętrznych ścian ocalało, lecz większość pięter się zawaliła. Wszystko to trwało zaledwie kilka minut.

Stephanos nie mieszkał w swoim hotelu, ale obudził się, gdy zatrzęsa się ziemia, i pognął do Thalassy, którą ujrzał w gruzach. Niczym sprawca wypadku samochodowego, zbiegły z miejsca kolizji, miał ochotę uciec gdzie oczy poniosą. W hotelu mieszkało w tym momencie ponad dwieście osób. Trzydzieści zginęło. Kiedy ekipa dochodzeniowa zbadła zawalony budynek, stało się jasne, że zbudowano go, w ogóle nie biorąc pod uwagę bezpieczeństwa gości. Rodziny zmarłych razem z przeszło setką rannych wytoczyły Stephanosowi proces za karygodne zaniedbania. Wszystkie materiały użyte do budowy Thalassy były najniższej jakości. W wyniku trzęsienia ucierpiał poza tym tylko jeden budynek w okolicy, hotel Pyrgos, gdzie wypadły szyby z jednego okna.



Rozbita szyba była jednak najmniejszym ze zmartwień Manosa. Musiał w końcu pogodzić się z faktem, że jest niewypłacalny. Odsetki od kolejnych długów wynosiły więcej, niż zdołałby spłacić przez całe życie, nawet gdyby hotel miał przez cały czas komplet gości. W tym samym dniu, kiedy postawiono zarzuty Stephanosowi, z hotelu jego brata wyniósł się ostatni gość i ostatni pracownicy, którzy nie dostawali pensji od pół roku.

Manos wszedł do baru i zgarnął z półki jedyną porządną whisky, jaka tam została. Odkręcił ją, napił się z gwinta i trzymając w ręku pustą do połowy butelkę johnniego walkera, ruszył chwiejnie przed siebie. Jego kroki odbijały się echem od ścian korytarza.

Ktoś walił we frontowe drzwi hotelu. Stąpając na palcach, żeby nie było go słychać, Manos zakradł się do małego biura, skąd mógł zerknąć, kto się tak dobija. To był miejscowy policjant, ten sam, który w minionych miesiącach regularnie go odwiedzał. Stał tam, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, i Manos zauważył, że sprawdza, która jest godzina. Na zegarku, który Apostolos Papazoglou dał starszemu synowi w dwudzieste piąte urodziny. Kiedy Orestes Sakaridis przyszedł tu poprzednio, Manos był już spłukany i policjant zgodził się przyjąć zegarek zamiast pieniędzy. Widząc, że znowu się tutaj zjawia, Manos zapłonął świętym

oburzeniem. Nie zostało mu już nic i nie miał nic do stracenia. Odryglował drzwi i otworzył je na oścież.

Sakaridis zobaczył w jego oczach gniew.

– Czego tu, kurwa, chcesz? – zapytał Manos Papazoglou.

– Chyba znasz odpowiedź – odparł, uśmiechając się szyderczo, policjant. –

Tego samego co zawsze.

Pijany Manos zamachnął się butelką, celując w twarz Sakaridisa.

Policjant odchylił się do tyłu i złapał Manosa za ręce, ale ten wyrwał się i z całej siły wyrzucił go łokciem w brzuch.

Sakaridisowi zabrakło tchu w piersiach. Upadł na plecy, uderzając skronią o marmurowy stopień, i kompletnie znieruchomiał.

Manos potrzebował kilku chwil, by uspokoić oddech.

Ulica przed hotelem była tak samo wyludniona jak jego wnętrze. Nie tykając nieruchomego ciała, Manos obrócił się na pięcie i spokojnie poszedł w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Wsiadł do niego i na pełnym gazie pomknął nadmorską drogą, pragnąc jak najszybciej się stamtąd wynieść.

Przejechał kilka razy na czerwonych światłach i o mało nie wypadł z zakrętu, mijając jadący z naprzeciwka radiowóz. Policjanci włączyli syrenę i sygnały świetlne, po czym ruszyli za nim w pościg i zmusili do zjazdu na pobocze.

Kiedy opuścił szybę, natychmiast wyczuli od niego alkohol i kazali mu się przesiąść do radiowozu. Jadąc na komisariat, dowiedzieli się przez radio, że na stopniach hotelu Pyrgos znaleziono zwłoki ich kolegi.

Siedemdziesiąte siódme urodziny Apostolosa Papazoglou wyglądały zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał. To miał być dzień, w którym odejdzie na zasłużoną emeryturę i przekaże swoje hotelowe imperium jednemu z synów. Zamiast tego musiał podjąć trudną decyzję. Obu braci czekał proces karny i ich rozprawy miały się zacząć tego samego dnia w Atenach. W której z nich wziąć udział? Żona zaproponowała, żeby rzucił monetą.

Mieszkańcy Patras nie zapomnieli, w jakim dniu otwierał swoje hotele. Kiedy siedem miesięcy później, dwudziestego dziewiątego maja, w obu procesach zapadły wyroki skazujące, wymownie kiwali głowami. Odszkodowania dla zabitych i rannych w katastrofie budowlanej były tak wysokie, że nie dało się ich pokryć nawet po sprzedaży całego hotelowego imperium. Apostolos Papazoglou musiał ogłosić bankructwo.

Przez wiele lat ruiny obu hoteli stały niczym upiorna pamiątka dnia, w którym Turcy zdobyli Konstantynopol. W mieście Patras umocniły się przesady i wierzenia religijne.

Starsi ludzie, mijając jeden i drugi hotel, cmokali głośno.

– Powinni byli to wiedzieć – mówili. – O tym dniu nigdy nie wolno zapomnieć!



Stale myślę o dniu, kiedy spotkałem Cię po raz pierwszy. To było we wtorek.

W Patras można znaleźć wiele ciekawszych rzeczy niż dwa popadające w ruinę budynki. Jest tu bardzo rozległy plac (z dziewiętnastowiecznym teatrem zaprojektowanym przez Ernsta Zillera), eleganckie deptaki ze wspaniałymi sklepami oraz tętniący życiem port, z którego można popłynąć na niektóre wyspy.

Jestem już w Grecji prawie od dwóch miesięcy, wliczając w to dwa tygodnie, które spędziłem w Atenach, i zaczynam się uczyć języka. Potrafię nie tylko się przywitać i zamówić jedzenie w tawernie, ale też przeczytać nagłówki gazet, choć prawie nigdy nie ma w nich dobrych wiadomości. Gospodarka nadal kuleje i wiem, że mam sporo szczęścia, mogąc sobie swobodnie podróżować. Teraz, w końcu października, kiedy słońce nie praży tak mocno, widzę, że dla większości ludzi w Grecji życie staje się coraz trudniejsze. Stan ogólnej degrengolady czasami przyprawia mnie o depresję; niszczące budynki odzwierciedlają słabnącą tkankę gospodarczą kraju. Nie widzę, jak ten kraj zdoła się kiedykolwiek wydobyć z długów, nie mówiąc już o odbudowie.

Po raz pierwszy doświadczyłem tego, że ludzie podchodzą i proszą mnie o pieniądze, i zdałem sobie sprawę, że to nie świeżo przybyli imigranci (choć tak również się zdarza), ale starzy Grecy, których emerytury obniżono poniżej minimum egzystencji, albo ludzie obciążeni licznymi rodzinami i niebędący w stanie ich wyżywić. Takie chwile sprawiają, że przestaję się nad sobą użalać. Mogę jeść i pić, kiedy tylko mam ochotę, a wiele osób jest tego pozbawionych. Coraz częściej widuję Greków, którzy przetrząsają śmietniki. Jak mogłem się tak długo napawać własnym cierpieniem? Zaczynam wtedy sobą gardzić, bo dociera do mnie, że inni mają problemy o wiele poważniejsze od moich. Moje były emocjonalnej natury, ale przynajmniej mam co jeść.

Jedyną instytucją, której w ogóle nie dotyka kryzys gospodarczy, jest grecka cerkiew prawosławna. Widziałem całe rzędy pozamykanych sklepów, lecz nigdzie nie dostrzegłem zamkniętego kościoła. Duże, średnie i małe są zawsze otwarte i ociekają bogactwem. I zawsze jest w nich sporo wiernych. W Patras mają jedną wielką cerkiew. Konsekrowano ją w 1974 roku i z zewnątrz wydała mi się tak odpychająca, że nie chciałem tam nawet wchodzić. Ale ktoś z miejscowych powiedział mi, że wewnątrz jest warte obejrzenia.

Wcześniej wstąpiłem do pobliskiego sklepu, żeby kupić przewodnik. Sprzedawano tam ikony wszystkich świętych, jakich można sobie wyobrazić, a prowadząca sklep kobieta, bardzo przyjazna i wesola, zapytała mnie o imię i nalegała, żebym kupił ikonę świętego Antoniosa.

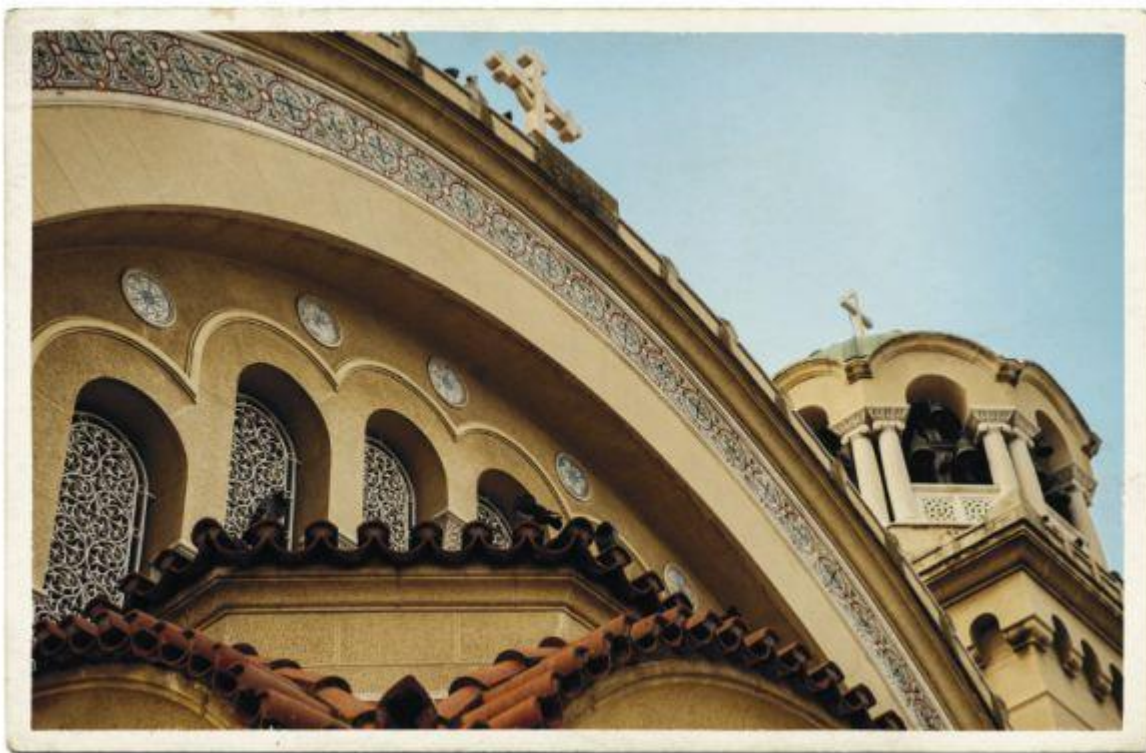
Wszystko w tej kobiecie było pełne przesady: przypominała postać z kreskówki Disneya, z pełnymi czerwonymi ustami, wąską talią i szerokimi biodrami. To od niej dowiedziałem się wielu rzeczy o stojącej obok cerkwi. Podobno kiedy apostoł Andrzej przybył przed dwoma tysiącami lat do miasta, żeby opowiedzieć wszystkim o zmartwychwstaniu Chrystusa, żona rzymskiego namiestnika leżała złożona niemocą. Andrzej uzdrowił ją, a ona nawróciła się na chrześcijaństwo i próbowała przekonać męża, żeby porzucił fałszywych, jej zdaniem, rzymskich bogów.

Namiestnik, oburzony, że żona propaguje tę nową i niebezpieczną wiarę, kazał poddać Andrzeja torturom, a następnie rozpiąć go na krzyżu w kształcie litery X. Szczątki apostoła zniknęły, ale później niektóre części jego ciała wróciły do miasta, razem z drewnem krzyża, na którym zginął.

Sprzedawczyni opisywała kościół z takim przekonaniem i entuzjazmem, że opuściłem jej sklep, wiele sobie obiecując po tym, co tam zobaczę. Kiedy tylko zamknąłem drzwi, wybiegła za mną na ulicę. Okazało się, że zapomniałem zabrać swoją ikonę.

– I powiem panu jeszcze jedno – oświadczyła zdyszana. – Święty Andrzej nadal sprawia cuda! Kościół pod jego wezwaniem zmienił życie mojego ojca. Uczynił z niego nowego człowieka. Itan thavma! To był cud! Prawdziwy cud!

NIE WÓDŹ NAS
NA POKUSZENIE





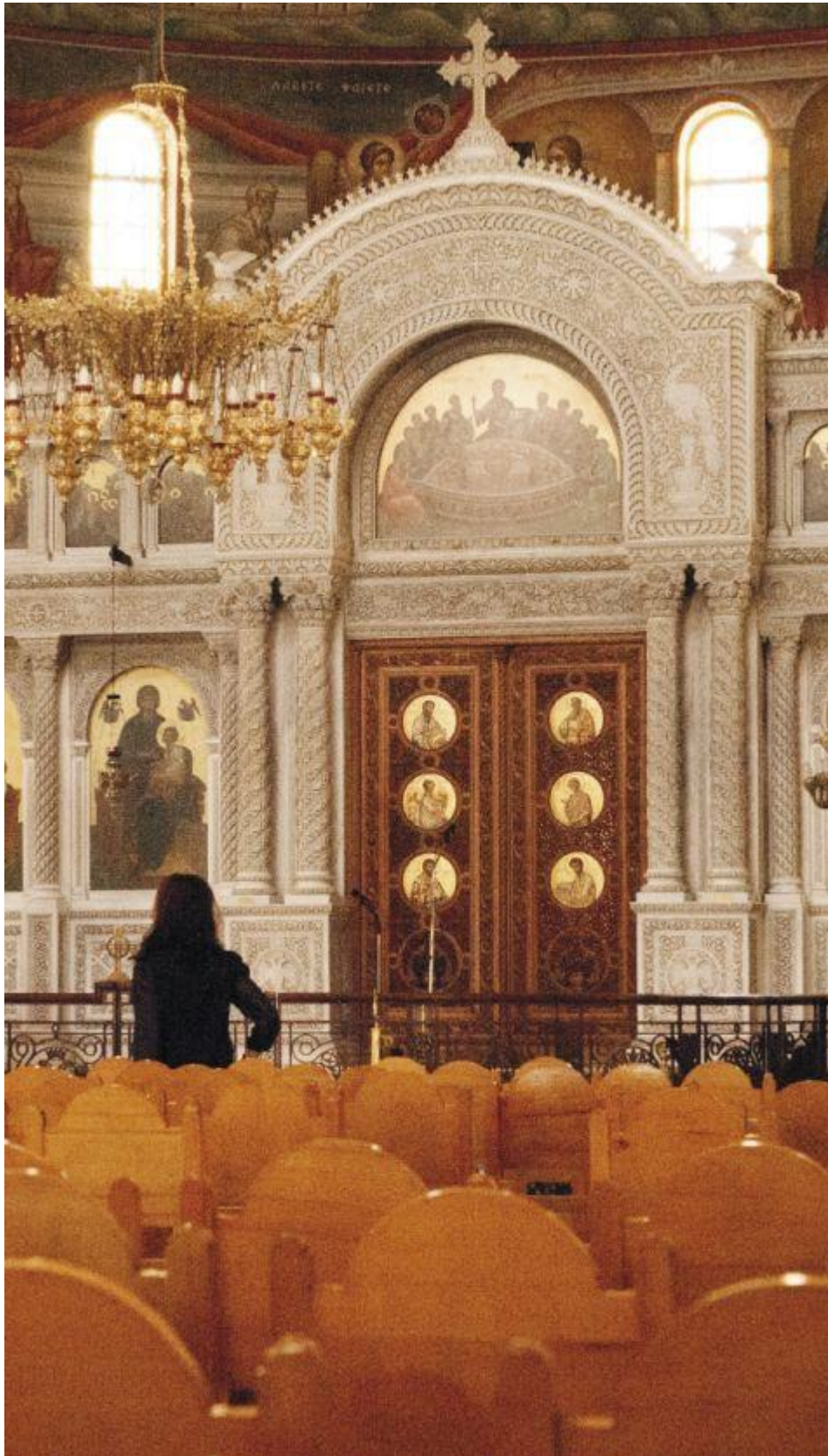
NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE
ME EISENENKES EMAS EIS PEIRASMON

Niektórym ludziom nadal bardziej się podobała pobliska stara bizantyjska cerkiewka, w której przechowywano relikwię: palec świętego. Ten niewielki budynek stał teraz w cieniu nowej świątyni, o której pewne starsze panie wyrażały się tonem dalekim od entuzjazmu.

Bazylika była ogromna i biała niczym gigantyczny tort. Same jej rozmiary robiły wrażenie. Należała do największych kościołów w Grecji i nie sposób jej było nawet porównywać z kameralnym mrocznym wnętrzem starszego budynku, który wzniesiono pierwotnie ku czci świętego Andrzeja.

Kiedy ją konsekrowano, starsi ludzie widzieli w niej same wady. Narzekali, zanim jeszcze weszli do środka: według nich całe wieki trwało dojście od ulicy i pokonanie marmurowego dziedzińca. Droga od skrzynki ze świecami do ikony przy ołtarzu zajmowała kolejne pięć minut. Było to wszystko bardzo czasochłonne, ale czuli, że muszą spełniać swoje powinności religijne w nowej świątyni.

Jednak po wejściu do środka większość przeżywała moment zaskoczenia i zachwytu. Goście, którzy przyjeżdżali z całej Grecji i spoza niej, byli olśnieni. Wnętrze zapierało dech w piersiach.



Architekt chciał, by jego katedra ucieleśniała „Światłość świata” w każdym

znaczeniu tych słów. Promienie słońca wpadały tu przez okna, które wycięto wysoko w olbrzymiej kopule i pod nią, a także przez przeszklone drzwi. Kościół dodatkowo rozjaśniały złocone mozaiki na ścianach, a wiszący pośrodku ogromny kandelabr z ponad pięciuset żarówkami oświetlał wnętrze po zmroku.

Poza światłem architekt chciał oddać w swoim dziele piękno tętniącego życiem świata i chwałę stworzenia. Jego ambicje, wiara i budżet nie miały granic. Każdą ścianę zdobiły olśniewające podobizny ptaków i zwierząt, na kolumnach i łukach namalowano kwiaty i wielkie liście, a obrazy z życia świętych oszałamiały kolorami i ruchem. To samo miasto, w którym święty Andrzej poniósł męczeńską śmierć, gloryfikowało go teraz i witało z otwartymi ramionami. Cały budynek zdawał się wołać: „Wybacz nam!”.

Umieszczone we wspaniałych srebrnych relikwiarzach rozsypujące się kości świętego przyciągały tysiące pielgrzymów, którzy kładli się krzyżem i oddawali hołd szczątkom człowieka, będącego towarzyszem samego Jezusa Chrystusa. Mieli styczność z czymś, czego być może dotyczyła również Jego ręce.

Osobą, której życie po otwarciu nowej bazyliki zmieniło się na gorsze, była Maria Leontidis. Wcześniej od wielu lat sprzątała bizantyjską cerkiewkę, wiedząc, że w panującym tam półmroku nie będzie widać kurzu ani pajęczyn. Latem spędzała sporo czasu na małej ławce przed kościołem, kurząc papierosa i popijając frappé. Zimą, po przetarciu miotelką z piór okolic relikwiarza, szukała schronienia w pobliskim zacharoplasteionie i wracała do cerkiewki, by ją zamknąć, dopiero kiedy wyszli z niej wszyscy wierni.

Po otwarciu w lecie nowego kościoła poproszono ją, by zajęła się jego sprzątaniami. W wieku sześćdziesięciu lat nie chciała jeszcze iść na emeryturę i przyjęcie tej pracy było dla niej kwestią honoru.

Wpadający do wnętrza bazyliki chłodny wietrzyk poruszał płomykami świec i dawał wytchnienie wiernym, lecz ona czuła, jak fala gorąca buzuje w niej niczym kawa w postawionym na ogniu *briki*.

Zaczęła „nową” pracę wkrótce po pogrzebie swojego brata. Nigdy nie byli ze sobą blisko związani, lecz mimo to przez czterdzieści dni obchodziła żałobę i nosiła się na czarno. Choć panowały upały, wszystkie kobiety w jej rodzinie zawsze czuły się w obowiązku dochować tradycji.

– Samo wypolerowanie lichtarzy zajmie mi co najmniej miesiąc – ze łzami w oczach skarżyła się tego wieczoru swojej wnuczce Pelagii. – Cały dzień zamiatalam podłogę, a kiedy skończyłam, trzeba było zacząć od początku.

Z nostalgią wspominała dawną pracę w starej cerkwi, kiedy w godzinę mogła wysprzątać całe wnętrze. Teraz tyle czasu zajmowało jej samo usunięcie wypalonych świec. W bazylice były trzy tysiące krzesel i kurz zbierał się w zakamarkach każdego z nich.

Przez kilka tygodni dawała jakoś radę, lecz coraz bardziej doskwierało jej

zmęczenie. Żyłki na jej nogach przypominały te na marmurowych kolumnach nowego kościoła, spocona twarz przybrała barwę nowego czerwonego dywanu, który prowadził po stopniach do ołtarza. Rwało ją w kolanach, nadgarstkach, łydkach i łokciach. Bolały wszystkie stawy. Nowy kościół wysysał z niej życie.

Któregoś ranka obudziła się z zeszywniałym kręgosłupem i nie dała rady wstać z łóżka. Płacząc z bólu i zdenerwowania, wezwała Pelagię. Jeśli przez kilka dni nie będzie sprzątała bazyliki, już nigdy nie zdoła doprowadzić jej do porządku. Wyobrażała sobie zabłocone białe marmurowe stopnie, tysiące wypalonych świec w skrzyńkach i pokryte śladami pocałunków szyby chroniące ikony.

– Nie martw się, *yia-yia* – powiedziała Pelagia. – Musisz trochę odpocząć. Pójdę i posprzątam za ciebie.

Pobiegła szybko do kościoła. Wiedziała, że jest wiele kobiet, które chętnie przejęłyby obowiązki babci, i nie chciała, by jej nieobecność dała im do tego okazję.

Rodzina Leontidisów mieszkała po drugiej stronie miasta. Maria jeździła do kościoła telepiącym się długo autobusem, ale Pelagia, choć poprzedniego dnia przez osiem godzin pracowała do późna w barze, dotarła tam pieszo, i to o wiele wcześniej, niż zazwyczaj pojawiała się jej babcia.

Przechodząc przez dziedziniec, zobaczyła oddalającego się księdza. Była dziewiąta rano i właśnie otworzył drzwi kościoła.

W środku nie było nikogo. Babcia powiedziała jej, gdzie znajduje się sprzęt do sprzątanania, i Pelagia już po kilku minutach rzuciła się w wir pracy. Zaczęła od metodycznego wypolerowania zaśniedziałego srebra. Była młoda i pełna energii i zajęło jej to mniej niż jedną czwartą czasu, którego potrzebowałyby *yia-yia*. O dziesiątej srebro lśniło równie mocno jak złocenia na ścianach. Pelagii starczyło nawet czasu, by cofnąć się o krok i przyjrzeć się mozaikom i malowidłom.

Ksiądz, który wrócił do kościoła z pobliskiego kafenionu, zamrugał z niedowierzaniem. Promień słońca z jednego z wysokich okien w kopule padł prosto na wielki srebrny lichtarz, który zapłonął prawie nadprzyrodzonym blaskiem. Księdzu wydawało się przez chwilę, że to znak dany od Boga, a nie idealne ustawienie słońca i wypolerowanego metalu.

Sekundę później promień przesunął się dalej i ta chwila minęła. Kapłan wszedł do zakrystii za prezbiterium i zajął się papierkową robotą. Zawsze było tego dużo.

Mniej więcej o wpół do jedenastej do kościoła zaczęli zaglądać pierwsi ludzie. Żegnali się znakiem krzyża, zapalali świeczkę i podchodzili do relikwiarza. Były to osoby, które miały w zwyczaju zachodzić tu codziennie, w większości wdowy, ale również kilku świeżych wdowców. Wizyta w cerkwi była stałym punktem w ich rozkładzie dnia: dla mężczyzn czymś, co robili przed pójściem do kafenionu, dla kobiet preludium do gotowania obiadu i innych domowych zajęć,

przed którymi nie było ucieczki. Niektórzy szybko wychodzili; inni siadali w nawie, mężczyźni po lewej, kobiety po prawej stronie.

Przywykli już do widoku Marii Leontidis w żałobnym stroju, więc robiąca porządku kobieta w czerni nie przyciągnęła z początku ich uwagi.

Pelagia czyściła podłogę miękkim mopem, skrupulatnie wymiatając kurz nawet z najbardziej ukrytych zakamarków. Krzątała się przed ołtarzem, energicznie wywijając szczotką. Większość osób, które rano odwiedziły kościół, już wyszła. Został tylko jeden mężczyzna, Spiros Kouris.

Wpatrywał się prosto przed siebie. Nie miał szczególnie dobrego wzroku, ale to, co widział, wprawiało go w zdumienie. To nie był uduchowiony święty obraz, jaki mógł zobaczyć na kopule, na wspaniałym malowidle przedstawiającym Najświętszą Panienkę. To było zupełnie coś innego. Na tle ołtarza widział kobietę, która bardziej przypominała boginię aniżeli matkę Boga. Jej spodnie i czarny top z lycry były idealnie dopasowane do figury. Fala lśniących czarnych włosów poruszała się jakby niezależnie od energicznych ruchów jej ciała. Pelagia nie zdawała sobie sprawy z doskonałości swojego wyglądu i nie miała pojęcia, że jest obserwowana.

Spiros siedział tego dnia w kościele dłużej, niż to miał w zwyczaju. Nazajutrz pojawił się tam wcześniej. I został o wiele dłużej. Kiedy znajomy zapytał go, dlaczego tak późno stawiał się na partyjkę remika w kafenionie, nie potrafił podać jasnego powodu. Gdy żona dopytywała, dlaczego wrócił później do domu, odparł, że kolejka po warzywa była dłuższa niż zwykle.

Spiros Kouris zauważył innego mężczyznę, dwudziestokilkulatka, który od pewnego czasu również przesiadywał dłużej w kościele. Wiedział, że matka Socratesa Papalambrosa niedawno zmarła, bo zobaczył jej fotografię na tablicy z nekrologami.

Młody mężczyzna stał w rogu kościoła, pisał coś na małych karteluszka, a potem zgniatał je jeden po drugim i chował do coraz bardziej wypchanych kieszeni. Kouris domyślał się, że są to prośby do księdza, ale Socrates najwyraźniej nie wiedział, o co go prosić ani jak ubrać to w słowa.

Kontemplował obraz świętego Andrzeja, który przez trzy dni wisiał przywiązany do krzyża. W porównaniu z jego własnym cierpieniem ta trzydniowa męka wydawała się bardzo krótka. W końcu cofnął się i usiadł na krześle, patrząc prosto przed siebie.

Tymczasem Pelagia niewinnie odkurzała i szorowała.

Wieści rozeszły się lotem ptaka. Pobliskie kafeniony stopniowo pustoszały, cerkiew zaczynała się wypełniać. Jakie to wspaniałe, że ludzie docenili jej architekturę i piękne dzieła sztuki, myślał ksiądz. Czasami zajęte były prawie wszystkie krzesła po lewej stronie.

Mężczyźni jeden po drugim stawali w kolejce i całowali ikonę. Wielu z nich

jadło wcześniej *souvlaki* i zostawiało na szybie ślady tłustych warg. Następnie, słuchając płynących z głośników bizantyjskich chorałów, siadali, jakby chcieli się pomodlić, i wpatrywali się bezwstydnie w sprzątającą kobietę. Ona robiła swoje, wciąż nie zdając sobie sprawy z ich spojrzeń; rytm, w jakim sprzątała, często przypominał taniec. Ze słuchawkami w uszach słuchała playlisty sporządzonej przez znajomego didżeja i niezależnie od tego, czy szorowała, zmiatała, czy odkurzała, zawsze wkładała w to całą duszę. Czasami pot spływał jej po ramionach i T-shirt lepił się do ciała.



Spiros Kouris zaczął się bardziej elegancko ubierać. Codziennie wkładał garnitur, jeden z czterech, które miał w szafie, i wiązał krawat. Zaczął również odwiedzać fryzjera, który strzygł jego siwiejące włosy i wąsy. Już od wielu lat nie dbał tak o swoją prezencję. Jego żona była szczęśliwa. Podobnie jak inni mężczyźni Spiros wyobrażał sobie, że więź łącząca go z Pelagią jest prawdziwa, tak samo prawdziwa jak ta, która łączy ich z Najświętszą Panią. To, że podobne uczucia żywili inni, wcale mu nie przeszkadzało. Siedział tam przez kilka godzin, czekając, aż Pelagia skończy sprzątać, i dopiero wtedy szedł na zakupy i sprężystym krokiem wracał z nimi do domu.

Ksiądz przeznaczał coraz więcej pieniędzy na świece i choć wciąż zamawiał nowe, dostawy nie nadążały. Spokoju nie dawały mu także prośby o wstawiennictwo, wypisywane na małych karteluszka. Na wielu widniało tylko kilka słów: „Nie wódz nas na pokuszenie”. Tych bardziej konkretnych było bardzo

niewiele.

On jeden najwyraźniej nie zauważał Pelagii. Nie miał nawet pojęcia, że w kościele jest nowa sprzątaczką. Dostrzegał tylko, że kościół wygląda tak samo nieskazitelnie czysto jak zaraz po otwarciu.

Któregoś ranka, gdy klęczał z zamkniętymi oczami, zatopiony w modlitwie, w nozdrza wpadł mu jakiś zapach. To nie były kadzidła ani świece. To było coś słodsze, choć nie potrafił tego rozpoznać. Otworzywszy oczy, zdał sobie sprawę, że patrzy na kobiece łono, okrągłe i twarde. Pelagia, która nie nosiła już żałoby po ciotecznym wujku, stała tuż obok i myślała szybko ikony. Ksiądz zerwał się czym prędzej na równe nogi i niemal potykając się o własny habit, wybiegł z kościoła. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza.



– Niezbadane są ścieżki Pana – powiedział cicho do siebie. – Nic dziwnego,

że mamy w kościele taki tłum.

„Znikanie” mężczyzn zaniepokoiło żony. Jedna z nich wynajęła prywatnego detektywa, by śledził jej męża, i nie wierzyła własnym uszom, gdy oznajmił, że ten po prostu przesiaduje w kościele.

Skarżyli się także właściciele kafenionów.

– Pozbądź się tej dziewczyny – prosili księdza. – Ona niszczy nasz biznes.

Kapłan rozważył wszystkie za i przeciw. Pelagia nie ponosiła tu żadnej winy. Ta kobieta była bożym cudem, dowodem wszechmocy Boga, i jej niewinność nie ulegała kwestii. Nie była winna swojej urody i za nią nie odpowiadała. Miał wypucowany kościół, rzesze wiernych i pełne skarbonki. Popęłniłby błąd, gdyby ją zwolnił.

Pewnego ranka w kościele było tylu wiernych, że część mężczyzn musiała usiąść po prawej stronie. Czekali na pojawienie się dziewczyny. Nie mogli się doczekać.

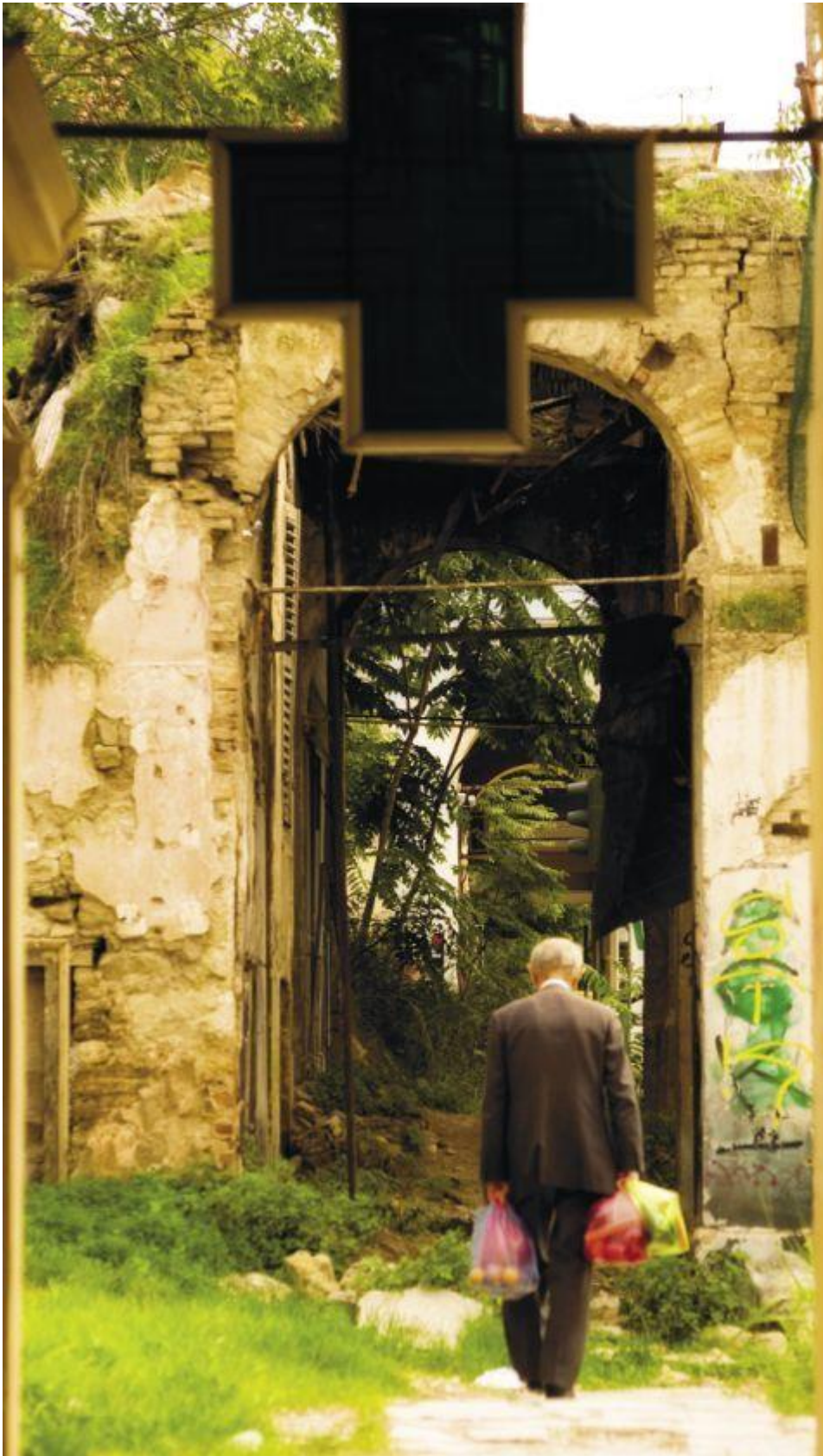
Nagle usłyszeli głośnie buczenie. Kilku pochyliło się do przodu. W polu widzenia pojawił się przemysłowy odkurzacz, a za nim kobieta z wysoko podniesioną głową. Przypominała rolnika, który pcha przed sobą staroświecki pług. To nie była Pelagia. Gdyby odkurzacz nie pracował tak głośno, można by usłyszeć jęk zawodu, który przeszedł przez cały kościół.

Maria Leontidis wyzdrowiała. Po rekonwalescencji wydawała się trochę bardziej pulchna, a wiosenne słońce sprawiło, że poczuła się młodziej i przestało ją łamać w kościach.

Kiedy ksiądz wszedł do kościoła, trwał właśnie zbiorowy exodus mężczyzn. Natychmiast zrozumiał jego powód. Dzięki zyskom ze sprzedaży świec mógł kupić lepszy sprzęt do sprzątania. Maria święciła swój triumf.

Tego dnia wszystkie kafeniony znów były pełne, a żony powitały mężów, którzy przyszli na lunch. Spiros Kouris wracał powoli do domu. Kiedy wszedł, żona czule się do niego uśmiechnęła. Przypominał jej mężczyznę, którego niegdyś poślubiła.





Wątpię, by stary Spiros łudził się, że Pelagia go w ogóle zauważy, ale

kobieca uroda potrafi niekiedy kompletnie odurzyć mężczyzn, o czym sam najlepiej się przekonałem.

Tak łatwo wpaść w tę pułapkę. Nawet jeśli nie chcemy się do tego przyznać, wszystkich nas pociągają pewne estetyczne ideały i wiem, że to Twój wygląd spowodował, że zauważyłem Cię wtedy wieczorem w kinowym barze. Nagłe zauroczenie zaskakuje nas, nie jesteśmy na nie gotowi. Być może uroda, która sprawia, że ludzie natychmiast się Tobą interesują, jest przekleństwem, być może fakt, że oceniają Cię po wyglądzie, a nie po tym, kim jesteś, to obciążenie. Gdziekolwiek jesteś, być może ktoś inny dostrzeże Cię teraz i serce skacze mu w piersi. Nie sądzę, żebym był pierwszym ani ostatnim mężczyzną, którego oczarował Twój uśmiech.

Spędziłem w Patras prawie trzy tygodnie, ciesząc się anonimowością, jaką zapewnia duże miasto. Codziennie chodziłem do innych kawiarni i tawern i nie musiałem się nikomu tłumaczyć. Pierwsza wizyta, jaką złożyłem w tamtejszej cerkwi, nie była ostatnią. Często wstępowałem tam, żeby posiedzieć, podumać i nacieszyć oczy tym bogatym wystrojem. Czasami zjawiała się Maria Leontidis ze swoim hałaśliwym odkurzaczem i widząc ją, zawsze się uśmiechałem.

Bez względu na to, czy święty Andrzej naprawdę dokonał cudu, uzdrawiając żonę namiestnika, ta nowa bazylika pod jego wezwaniem ma szczególną moc. Odczułem ją na sobie, podziwiając wnętrze i cudowną grę światel.

Jadąc przez góry do Kalawrity, pięknej, lecz melancholijnej miejscowości, której mieszkańcy padli ofiarą brutalnych działań podczas niemieckiej okupacji, nadal rozmyślałem o moich uczuciach do Ciebie i o tym, czy choćby w małej mierze je odwzajemniłaś. Pomnik ku czci niewinnych ofiar, które zginęły w masakrze trzynastego grudnia 1943 roku, wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Różne miejsca pamięci w całym mieście (w tym również muzeum poświęcone wydarzeniom, które doprowadziły do tej zbiorowej egzekucji) nigdy nie pozwolą zapomnieć o tym, że zamordowano tu prawie pięciuset mężczyzn i chłopców i spalono wszystkie domy. Na wzgórzu nad miastem widnieje słowo Eirini – Pokój. To miasto zawsze będzie pamiętało o przeszłości, ale powoli docierała do mnie myśl, że uzdrowienie zaczyna się od wybaczenia. Nie osmielam się porównywać tego, co mi zrobiłaś, z tym, czego doświadczyli mieszkańcy tego miasta, lecz zasada jest podobna, a ja wiem, że nie

jestem jeszcze gotów. Mimo panującej tu posępnej atmosfery zostałem w Kalawricie kilka dni, a potem wsiałem do wąskotorowej kolejki i przez cudowny wąwóz dojechałem do morza. Wjazd pociągu na staroświecką stację miał w sobie coś bardzo niewinnego i czarującego i dopiero po tygodniu spędzonym w małym porcie Diakofto wróciłem do Kalawrity po samochód. Zjeżdżając w dół stromą górską drogą, mijalem małe wioski i wysokie wodospady.

Cieśninę, która oddziela Peloponez od centralnej Grecji, pokonałem ostatecznie przez wspaniałą wiszący most w Rio. Zmierzałem do Missolungi, miejscowości słynącej z tego, że odwiedził ją Byron (znany uwodziciel).

Wszędzie w tym kraju widziałem ulice i place nazwane imieniem Vyronas: tak w języku greckim brzmi nazwisko Byrona. Słyszałem, że ma nawet swoją dzielnicę w Atenach. To coś w rodzaju kultu bohatera. Z całej Grecji właśnie Missolungi jest najbardziej związane z angielskim lordem. Z początku niezbyt mi się spodobało, ale po kilku dniach przekonałem się, że na każdym kroku spotyka się tu historię.

Miasto jest położone bardzo nisko, prawie poniżej poziomu morza. Trudno powiedzieć, że jest malownicze, lecz tuż za nim wznoszą się wysokie góry i zajmuje strategiczną pozycję na mapie.

Sądząc po tym, jak zapamiętano Byrona w całym kraju, można by odnieść wrażenie, że to on w pojedynkę przepędził Turków z Grecji. W rzeczywistości ani razu nie chwycił za miecz w wojnie o niepodległość, ale przekonał inne narody, by pomogły Grekom wyzwolić się spod trwającej prawie czterysta lat niewoli.

Próbowałem odkryć, jak najstłynniejszy w Grecji Anglik jest widziany przez samych Greków. Był człowiekiem obdarzonym charyzmą i zdradzieckim urokiem, lecz zarazem głęboko naznaczonym wydarzeniami z dzieciństwa i fizyczną ułomnością, z którą zmagał się przez całe swoje krótkie życie. Poznałem kilku Greków, którzy nie aprobowali na gruncie moralnym tego, jak traktował kobiety, oraz jego kazirodczych stosunków i homoseksualizmu. Wciąż jest uważany za bohatera, choć wiele osób nie bardzo wie dlaczego.

Odwiedziłem mieszczące się w starym pałacyku tutejsze muzeum. Jego ściany dosłownie ociekały wilgocią, która panuje w tym mieście.

Obrazy olejne uległyby tu zniszczeniu, dlatego w muzeum wiszą wyłącznie kopie. Jedną z nich jest słynny portret poety w fantastycznym mundurze, który dla siebie zamówił.

Jest tam też kopia obrazu Delacroix Grecja na ruinach Missolungi. Zobaczyłem go po raz pierwszy – kopia była wyblakła, a mimo to mną wstrząsnęła. Sponiewierana i częściowo obnażona kobieta w greckim stroju narodowym stoi na gruzach budynku, z których wystaje ręka zabitego mężczyzny. W tle widać zatykającego flagę napastnika w turbanie i nie ulega wątpliwości, że dokonano tutaj strasznej zbrodni. Obraz opowiada o tym, co wydarzyło się w Missolungi. W 1826 roku, dwa lata po śmierci Byrona, miasto zostało po raz trzeci obleżone i mieszkańcy próbowali stamtąd uciec. Tysiące ludzi zginęły w tym, co nazwano Exodusem. Missolungi nigdy nie przestanie ich oplakiwać.

Z muzeum udałem się do upamiętniającego Exodus zabytkowego ogrodu. Stoi tam elegancki, być może trochę wyidealizowany posąg Byrona. W ostrym zimowym świetle poeta sprawiał na mnie wrażenie odrzuconego dziecka. Kiedy mu się przyglądałem, zatrzymał się przy mnie pracownik zakładu oczyszczania miasta, który uprzętał palmowe gałęzie.

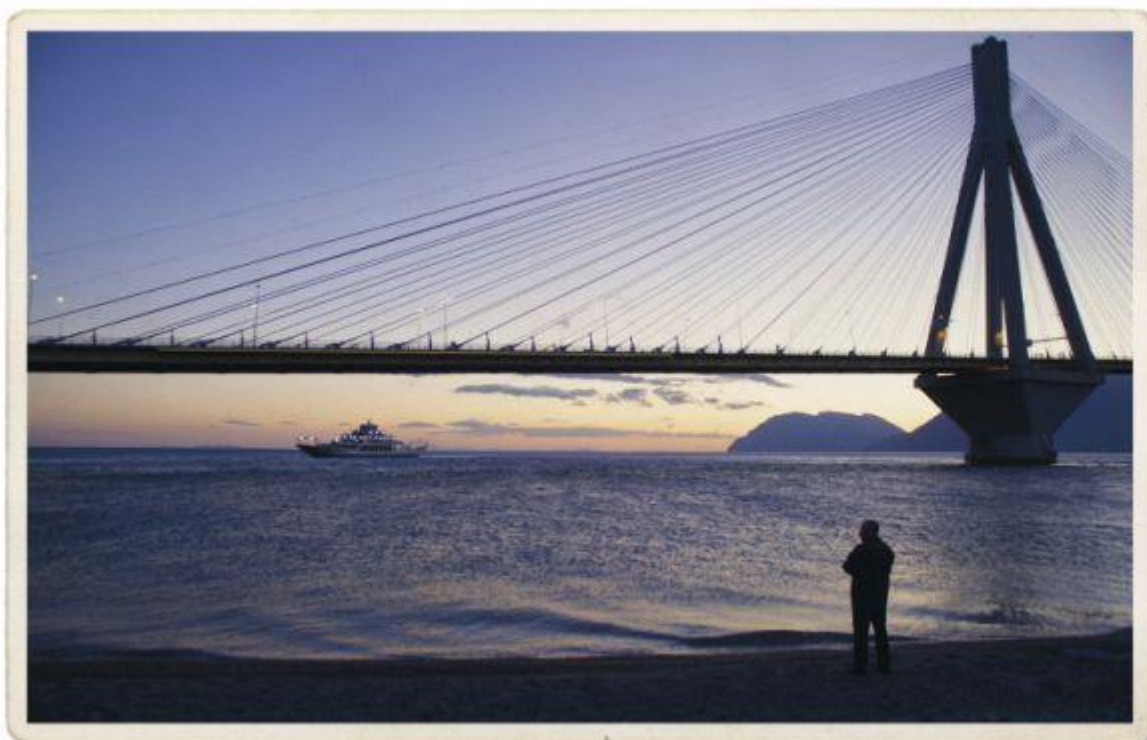
– Ludzie nie mają pojęcia, jak dzielnie walczyli z Turkami zwykli mieszkańcy – powiedział. – Wydaje im się, że to Byron ich przegnał... Byron! Zmarł na długo przedtem, nim się ich pozbyliśmy.

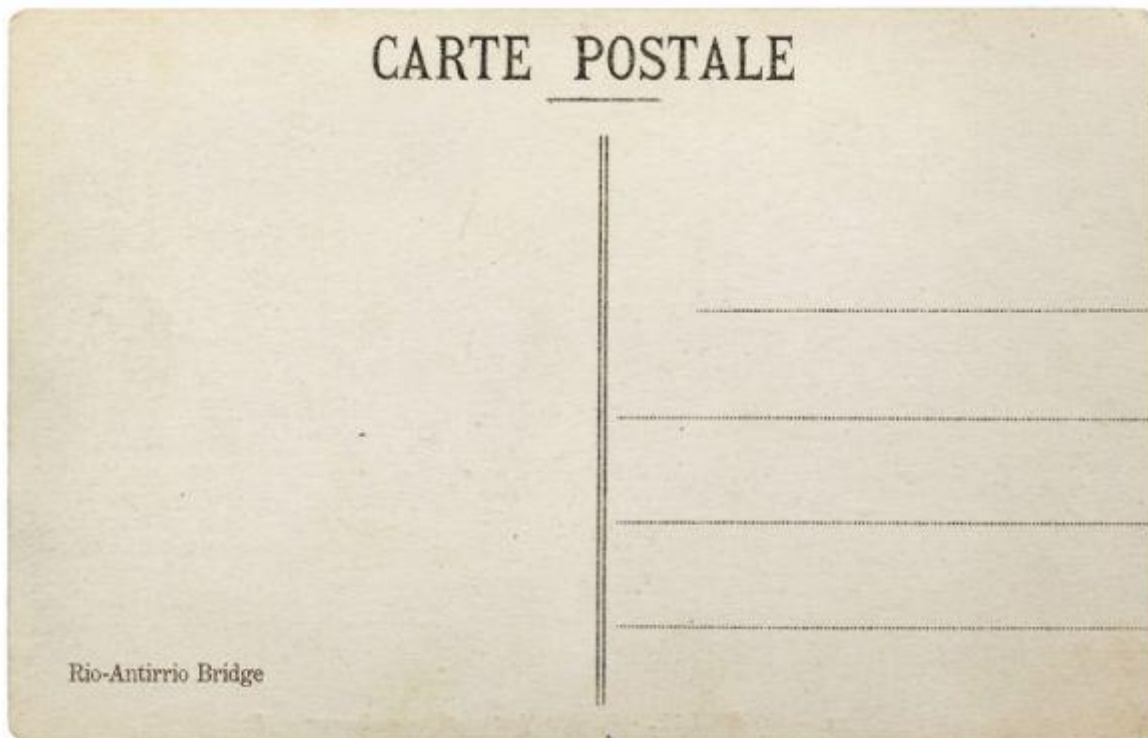
Wiedziałem, że Byron nie poległ na polu bitwy, i o ile pamiętałem, zmarł na malarię (w co łatwo uwierzyć, bo każdej nocy w Missolungi nękały mnie chmary komarów). Jednak mężczyzna z miotłą chciał mi koniecznie opowiedzieć inną, jego zdaniem prawdziwą „historię śmierci lorda Byrona”.

– Nawet jeśli jesteś przystojny, sprytny i bogaty, nie zawsze wychodzi ci to na

dobrze – oświadczył na koniec, wracając do swojej pracy.

NAOGZNY ŚWIADEK 1824





NAOCZNY ŚWIADEK 1824

Missolungi zawsze leżało gdzieś na uboczu. A przez kilka miesięcy w roku nie tylko na uboczu, ale i prawie pod wodą. Rybackie miasteczko otoczone było ze wszystkich stron łąkami i łęgami, które w porze deszczowej zmieniały się w moczary. Wydawało się czasami, że cała miejscowość utonie w mule i połknie ją morze. Któregoś dnia mogłaby odłączyć się od świata i kompletnie przestać istnieć, za jedynych mieszkańców mając miliony komarów – i kilku rybaków mieszkających w domkach na palach w lagunie.

W ostatnich miesiącach Missolungi wypełniły brygady zgłodniałych Suliotów, nieobliczalnych i źle opłacanych żołnierzy z Epiru. Niektórzy byli nawet zdania, że dla miejscowych stanowią oni większe zagrożenie od Turków, którzy nadal czaili się w pobliżu po nieudanym oblężeniu sprzed dwóch lat.

Ulice przemierzali żołnierze, jedni na służbie, inni pijani i zaczepni, a także oferujący swoje towary przekupnie, wśród których najgłośniejsi byli sprzedawcy ryb. Wszędzie panował wielki harmider.

W tej niezbyt przyjemnej i zdrowej atmosferze rozeszły się pogłoski, że angielski arystokrata lord Byron zmierza tutaj, by pomóc mieszkańcom Missolungi, a być może i całej Grecji.

Przebywający na dobrowolnym wygnaniu z Anglii lord Byron znalazł sobie życiową misję: chciał wziąć udział w wyzwoleniu Grecji spod tureckiej niewoli. Poeta, od wielu lat będący filhellenem, wierzył gorąco w prawo tego kraju

(w którym zrodziło się samo pojęcie demokracji) do budowania wolnej, niezależnej przyszłości.

Wpłacając pokaźne sumy (które pochodziły głównie ze sprzedaży jego cieszącej się wielką popularnością poezji), wspierał Aleksandrosa Mawrokordatosa, gubernatora i głównodowodzącego Grecji Zachodniej. Zdaniem Byrona był on najbardziej zrównoważonym z greckich przywódców, a poza tym wsławił się udaną obroną Missolungi podczas pierwszego oblężenia tego miasta przez Turków.

Mawrokordatos natychmiast rozpowszechnił wiadomości o przyjeździe Byrona do miasta i słał do niego kwieciste listy, które sprawiły, że poeta nabrał o sobie bardzo wysokiego mniemania.



„Ufam, że dzięki Panu los Grecji będzie bezpieczny”, pisał gubernator.

Kiedy posłańcy potwierdzili datę przyjazdu poety, całe miasto wstrzymało oddech. W każdym domostwie liczono dni do tego wydarzenia.

– Chcę pójść i go zobaczyć. Proszę... – błagała Despina Dimotsis swego ojca, zamożnego kupca.

Wszyscy, nawet szesnastoletnie dziewczęta, czekali z przejęciem na zbliżającą się wizytę. W szarym nadmorskim miasteczku tego rodzaju wydarzenia były czymś niezwykłym.

Fotini, młodsza siostra Despiny, także chciała powitać lorda.

– Ulica to nie jest odpowiednie miejsce dla młodych panien – oświadczył stanowczo Emilios Dimotsis.

Uległ dopiero, gdy okazało się, że również jego żona Eirini pragnie wziąć

udział w powitaniu. On sam miał być w pobliżu, w grupie przyjmujących lorda miejscowych dygnitarzy. Dziewczętom miały towarzyszyć ich matka i pokojówka. Było to w końcu historyczne wydarzenie. Spora kwota przekazana przez Byrona na rzecz sił zbrojnych mogła uratować Grecję przed Turkami. Mógł się okazać zbawcą ich kraju.

– Byron to nie tylko uwielbiany poeta – powiedziała Eirini z figlarnym uśmiechem.

Tego dnia na początku stycznia na nabrzeżu zgromadził się pokaźny tłum. Zwykli obywatele miasta, kupcy, urzędnicy państwowi, duchowni i żołnierze – wszyscy chcieli zobaczyć Byrona na własne oczy. Żołnierze strzelali z muszkietów w powietrze, a kiedy poeta zszedł ze statku, oddano salut armatni.

Formalnościom musiało stać się zadość i mimo wyczerpującej podróży i złego samopoczucia Byron uprzejmie przestrzegał etykiety. Wygłoszono krótkie powitalne mowy, które tłum nagroził brawami.

Obie dziewczyny, Despina i Fotini, stały z matką w miejscu zarezerwowanym dla kobiet. Ponieważ wszystkie trzy były dość niskie, miały bardzo ograniczone pole widzenia i musiały wyciągać szyje, żeby dostrzec orszak.

– Nic nie widzę – jęczała Fotini.

– A ja widzę! Ja widzę! – przechwalała się jej siostra. – Widzę wszystko!

Eirini stanęła na palcach i dojrzała w oddali mężczyznę, któremu towarzyszyli dwaj inni, wyżsi od niego o kilka centymetrów. Czy to mógł być człowiek, na którego wszyscy czekali? Wydawał się taki niepozorny.



Byron omiółtł znużonym wzrokiem tłum zgromadzonych ludzi, lecz po chwili, zdając sobie sprawę, że musi spełnić ich oczekiwania i odegrać przypisaną mu rolę, uśmiechnął się i pomachał ręką na powitanie.

Podróż z Kefalonii nie była łatwa i od pewnego czasu nie czuł się najlepiej. Dodatkowo mocno dało mu się we znaki wzburzone morze. Na szczęście był teraz na stałym lądzie i miał tylko kilka kroków do domu, który przygotowano na jego pobyt.

– Wygląda, jakby był kaleką – powiedziała stojąca obok kobieta, patrząc, jak słynny poeta zmierza z trudem w ich stronę. – Czy on nie utyka?

– Chyba tak – przyznała Eirini Dimotsis.

Był zupełnie inny, niż go sobie wyobrażała. Zupełnie inny.

Jej córki nie przysłuchiwały się tej rozmowie. Nic nie mogło im zepsuć radosnego nastroju, w jaki wprawiła je uroczysta gala.

Kiedy gość podszedł bliżej i ludzie się rozstąpili, by go przepuścić, dziewczęta zorientowały się, że spogląda w ich stronę. We wspianiałej czerwonej kurtce od munduru, ze złotymi epoletami, lord Byron wydał im się przystojniejszy, niż myślały.

Despina nie była tu jedyną kobietą, która patrzyła na niego z uwielbieniem. Byron przywykł do tego, że jest w centrum zainteresowania i wpatrują się w niego tysiące oczu. Zależało mu na tym, pławił się w zachwytach tłumy i lubił, gdy mu schlebiano.

Lubił także robić wrażenie. Gdyby tak nie było, nie ubierałby się w taki sposób, nie nosiłby egzotycznych nakryć głowy i nie zamawiał fantastycznych hełmów w stylu wielkich greckich wojowników.

Uwielbiał być kochany, ale jeszcze bardziej chciał sam kochać. Nie spoczął, póki nie znalazł odpowiedniego obiektu pożądania. Nawet kiedy miał przed sobą wielkie tłumy, wyłuskiwał z cizby pojedynczą osobę. Zdarzało się, że kobiety mdlały, gdy przesywał je wzrokiem.

Jego okolone ciemnymi rzęsami oczy lustrowały długo tłum, aż napotkały wzrok Despiny. Wtedy zapłonęła w nich pożądliwość, której nie próbował nawet ukryć.

Kiedy orszak zbliżył się do miejsca, w którym stały kobiety, Despina zobaczyła w oddali rozciągający się aż po horyzont przestwór Morza Śródziemnego, a bliżej równie przepastne, utkwione w niej oczy. Wydawało jej się, że tonie w błękitnoszarej głębi przesywanej błyskami fioleto. Oczy Byrona były niczym wiosenne niebo w burzowy dzień. Despina nie odwróciła wzroku i śmiało wytrzymała jego spojrzenie.

On zaś napawał się widokiem jej kremowej cery, rzadko wystawianej na promienie słońca, jej wąskiej talii i rumieńca, którym się teraz oblała.

Przypominała mu trochę jego „pannę z Aten”, młodą dziewczynę, z którą połączył go krótki flirt, i przez chwilę jeszcze podziwiał dziecinną szyję, drobne uszy i nos Despiny.

Tymczasem myśli jej młodszej siostry powędrowały już gdzie indziej. Tuż za lordem Byronem Fotini spostrzegła szczupłego ciemnowłosego chłopaka. Stąpił z ponurą miną, niosąc kilka toreb, i trudno się było zorientować, czy jest jego przyjacielem, czy służącym. Loukas, w rzeczywistości lokaj Byrona, był wdzięczny angielskiemu arystokracie za łaskawość, jaką okazał jego rodzinie w Zakintos, ale czuł się nieswojo, będąc obiektem jego bezustannych umizgów.

– Popatrz! Popatrz, Despino! – zawołała Fotini, ciągnąc siostrę za rękaw. – Popatrz na tego chłopca!

Despina nie odrywała wzroku od starszego mężczyzny.

– Spójrz na jego usta. – Zachichotała, ignorując siostrę. – Zapraszamy do pocałunku.

Kształtne usta Byrona były tak samo niepospolite jak jego oczy.

– Ciszej, dziewczęta – zwróciła im uwagę matka.

Nawet pokojówkę zawstydzili ich komentarze. Jak można było zachowywać się tak nieprzyzwoicie w miejscu publicznym.

Fotini przestała się interesować lekko utykającym starszym mężczyzną z nitkami siwizny we włosach. Nie odrywała wzroku od pięknego nadąsanego chłopca, który zamykał pochód.

Zmierzając do swego nowego domu, Byron obejrzał się przez ramię, żeby jeszcze raz zerknąć na Despinę; wiedział, że wciąż na niego patrzy. Tym razem spojrzenie jej ciemnych lśniących oczu przeszło go niczym prąd. Oddalając się, wciąż czuł je na karku.

Czy to stało się w tamtej chwili? Czy posyłając to pełne uwielbienia spojrzenie, Despina rzuciła na Byrona urok, który stał się punktem zwrotnym, początkiem jego końca?

Fotini wkrótce zapomniała o „książątku”, jak ochrzciła lokaja Byrona, za to Despina nie przestawała myśleć o lordzie. Przez wiele dni usychała z tęsknoty, nie mogąc jeść i spać i nie potrafiąc otrząsnąć się z dziecinnego zauroczenia.

– Weź się w garść, Despino – mówiła pokojówka. – Przecież musisz coś jeść.

Kilka ulic dalej Byron również leżał na łóżku, rzucając się i obracając z boku na bok. Dostał wysokiej gorączki, a towarzyszące jej ataki i omdlenia z każdym dniem coraz bardziej go osłabiały.

– To złe oko – skomentowała ponuro jedna ze służących, kiedy lekarze krzatali się przy jego łóżku. – Ktoś rzucił na niego urok.

– Ależ nikt tutaj nie życzy lordowi Byronowi nic złego – warknął jeden z zagranicznych doktorów, którzy starali się desperacko ratować chorego poetę. –

Tylko Turcy mają wobec niego wrogie zamiary.

Służąca ugryzła się w język. Angielski doktor nie będzie przecież słuchał niewykształconej Greczynki. Według niego rzucać urok można było wyłącznie z zazdrości albo nienawiści. Taką klątwę łatwo zrozumieć. Wiedział dobrze, że Byron wspominał o czymś takim w swojej poezji. („Poznałem czarne złowrogie źrenice, jego nikczemnej zdrady pomocnice”). Nie miał jednak pojęcia, że *mati*, urok, można rzucić nie tylko poprzez złe lub zazdrosne spojrzenie.

– To wszystko z nadmiaru uwielbienia, głupcze – mruknęła pod nosem służąca.

Lekarze i większość towarzyszących Byronowi osób nie rozumieli tego, że również uwielbienie otwiera drzwi przed diabłem. Kiedy doktorzy wyszli z pokoju, wzięła stojącą przy łóżku chorego szklaneczkę z wodą i wpuściła do niej kroplę oliwy. Kropla natychmiast zatonęła, potwierdzając to, o czym ona wiedziała już wcześniej. To była sprawka złego oka.

W marcu Byron był cały obolały, cierpiał na silne bóle głowy i oblewał się potem. Zajmujący się nim lekarze byli zdesperowani. Nie potrafiąc mu w żaden sposób pomóc, upuszczali mu tylko często krew. To jeszcze bardziej go osłabiało, a ich panika, kłótnie i nieudolność jedynie pogarszały sytuację.

W tych strasznych tygodniach Despina codziennie siadywała przy oknie, czekając i karmiąc się nadzieją. Spostrzegła raz lorda Byrona, kiedy jechał konno, i liczyła, że znów go zobaczy. Pogłoski o tym, że jest przykuty do łóżka, nie pozwalały jej zasnąć w nocy.

Pewnego dnia w kwietniu, gdy morze i niebo przybrały stalowoszary kolor, a deszcz nie przestawał siec o szyby, ogarnął ją olbrzymi niepokój. Na dworze szalała i zawodziła wichura, która zdawała się przenikać ściany. Despina krążyła po pokoju, nie mogąc czytać ani szydełkować. Trzęsienie ziemi, do którego doszło w poprzednim miesiącu, a teraz ta straszna pogoda wróżyły apokaliptyczną zagładę. Niebo przecięła nagle błyskawica i w powierzchnię morza uderzył piorun.

Kiedy nazajutrz rozeszła się wieść o śmierci Byrona, wstrząśnięte było całe miasto, lecz nikt nie cierpiał bardziej od Despiny. Nigdy jeszcze nie zaznała takiej straty, takiej pustki.

Po raz trzeci w życiu mogła zobaczyć swojego idola. Tym razem leżał w trumnie w kościele Agios Nikolaos. I znów otaczał go tłum ludzi, teraz jednak nie świętowano jego przyjazdu, lecz opłakiwano odejście. Jego zamknięte oczy nie mogły już nikogo oczarować.

Smutek zapanował w Missolungi. W twierdzy były działa, odwołano obchody Wielkiego Tygodnia, zamknięto sklepy i urzędy publiczne i ogłoszono trzytygodniową żałobę. W dniu pogrzebu Byrona mogło się zdawać, że zapłakały same niebiosy. Ulewny deszcz spowodował, że pochówek trzeba było przełożyć. Kiedy odbył się nazajutrz, na ulicach żegnały poetę tysiące.

Nikt nie wylał więcej łez od Despiny. Oczy spuchły jej od płaczu, ale nie zwracała na to uwagi. W następnych latach mówiło się o chorobie z Lyme, malarii, epilepsji, a także o nadmiernym stosowaniu pijawek. Teorie się mnożyły i sporom nie było końca.

Służąca Byrona utrzymywała do końca życia, że była to sprawka złego oka, *mati*, ale nikt nie wiązał tego z niewinną Despiną. Nikomu nie przyszło do głowy, że to jej „spojrzenie” stało u źródeł choroby, i nigdy nie obarczono jej winą.

– Gdyby tylko pozwolili mi odprawić *xematiasma*, odczynić zły urok – powtarzała służąca – nasz ukochany lord wciąż byłby wśród nas.

Gdyby tylko jej posłuchali.



Nie wiem, czy wierzę w klątwy, ale pomysł chroniącego przed złym spojrzeniem „oka” trafia mi do przekonania. Pojawia się w różnych religiach i kulturach, na różnych kontynentach, i ostatnio zawsze noszę coś takiego przy kółku na klucze. Na wszelki wypadek.

W Missolongi czytałem wiele o Byronie i pod koniec mojego tam pobytu potrafiłem mu tylko głęboko współczuć. Łatwo rozkochiwał w sobie kobiety (miał pewien zwierzęcy magnetyzm, któremu tylko nieliczne mogły się oprzeć), ale najgłębsze uczucia budzili w nim mężczyźni, którzy zazwyczaj pozostawali obojętni na jego wdzięki. Ostatnie miesiące życia spędził, nie tylko mając i chorując; dręczyła go również namiętność do kilkunastoletniego chłopca, desperacka, nieodwzajemniona miłość.

Złamane serce sprawiało, że często myślał o śmierci. W ostatnich miesiącach odkryłem u siebie podobną skłonność i nie wstydę się przyznać, że zdarzały mi się chwile, gdy traciłem chęć do życia.

W styczniu 1824 roku Byron napisał strofy, które miały się okazać jego ostatnim wierszem:

Niech już me serce bić przestanie,

Kogóż bo jeszcze nim poruszę?

Lecz choć omija mnie kochanie,

Ja kochać muszę.

Dni me to zwiędły liść; owoce

I kwiat miłości sczezły marnie!

Robactwo, rak i cierpień moce –

*To mnie ogarnie!***

Zmarł trzy miesiące po napisaniu tych słów. To było jego pożegnanie z życiem i miłością. Zastanawiam się, czy na jego śmierć nie miała wpływu ta durna miłość do dorastającego chłopca. Kto wie? Z pewnością głęboko go unieszczęśliwiła wtedy, gdy wyciekało z niego życie. Myślałem o tym, ile radości może nam dać miłość, ale o ileż więcej dostarcza cierpienia, gdy nie jest odwzajemniona. Czy pozwolę, by odrzucona miłość doprowadziła mnie do zguby, tak jak przyczyniła się, jestem o tym przekonany, do zguby Byrona?

Hotel, w którym zatrzymałem się tu na kilka tygodni, był w niemal inspirujący sposób zapuszczony. Zbudowano go w czasach wojskowej dyktatury i nie remontowano od lat siedemdziesiątych. Przysunąłem w pokoju biurko do balkonu, bym pisząc, miał widok na morze. Ręczniki przypominały papier ścierny, a pościel była szara, lecz przynajmniej ją codziennie zmieniano. W jakiś perwersyjny sposób zaczęło mi się to podobać. Czegóż więcej miałbym oczekiwać za dwadzieścia euro za noc? Główną zaletą tego olbrzymiego hotelu, w którym goście zajmowali tylko dziesięć procent pokoi, był brak czegokolwiek, co kojarzyłoby się w jakiś sposób z Bożym Narodzeniem (żadnych śpiewających mechanicznych Świętych Mikołajów, żadnych bombek i płynących z głośników kolęd). W recepcji stał tylko obwieszony świątecznymi światłkami ładny model statku, karavaki. W wielu miejscach zastępuje on bożonarodzeniowe choinki.

Dziwnie było spędzać Boże Narodzenie samemu. Zadzwoiłem do brata i słyszałem w tle jego dzieci, które śpiewały Jingle Bells. Czuję się taki osamotniony. To był jedyny moment, kiedy chciałem polecieć do domu i zakończyć tę podróż. Na szczęście dla mnie Boże Narodzenie nie trwa w Grecji tak długo jak w Anglii. Dla większości ludzi to po prostu dzień wolny od pracy i życie szybko wraca potem do normy. Generalnie mój pobyt w Missolongi okazał się dość produktywny i dużo napisałem, co jakiś czas spoglądając przez brudne szyby na morze.

Wyjechałem stamtąd ostatniego dnia grudnia. Wieczorem trafiłem do miejscowości, której nazwy nie chcę nawet wymieniać. Nie znoszę sylwestra, również gdy dobrze się czuję, ale tym razem udało mi się znaleźć miejsce, gdzie nie słychać było nawet śpiewu ptaków. Bez względu na to, w jak paskudnym byłem nastroju, na świecie zaczynał się kolejny rok i po kilku dniach zdałem sobie sprawę, że ja też dotarłem do przełomowego punktu.

Nadrobiwszy nieco drogi, by zwiedzić urocze miasto Arta, dotarłem do Prewezy. Kiedy zameldowałem się w hotelu, było późno i w mieście, jak w większości podobnych miejsc poza sezonem, panowały cisza i spokój. Nazajutrz jednak wszystko diametralnie się zmieniło.

Wczesnym rankiem obudziły mnie kościelne dzwony. Biły przez jakiś czas, a kiedy w końcu umilkły, odezwał się czyjś głos. To był duchowny odprawiający nabożeństwo. Otworzyłem okiennice i na kościelnej wieży, na wprost moich okien, zobaczyłem zamocowane na dachu dwa wielkie staroświeckie głośniki. Rozumiejąc, że już nie pośpię, ubrałem się, pobiegłem na dół i wyszedłem na plac.

Nie sposób było się wcisnąć do kościoła. Był wypełniony po brzegi, a na zewnątrz stały setki ludzi, którzy wyciągali szyje, by zobaczyć, co dzieje się w środku.

Musiałem napić się kawy, ruszyłem więc w stronę nabrzeża, by poszukać jakiejś kawiarni. Wychodząc zza rogu, poczułem zaskakująco ciepły powiew i zobaczyłem, że morze skrzy się w promieniach słońca. W minionych dniach prawie w całym kraju spadł śnieg, lecz w tym małym portowym mieście ciepły zachodni wiatr przyniósł nagły wzrost temperatury. Ten czas nazywają w Grecji „dniami zimorodka” i w styczniu nikogo tu nie dziwi nagłe tchnienie wiosny, które mija tak samo szybko, jak się zaczęło.

Cóż to był za piękny dzień. Tłum zgromadził się nie tylko przed kościołem; setki ludzi zebrały się na nabrzeżu, jakby czekało ich jakieś ważne wydarzenie. Niektórzy mężczyźni byli w garniturach (choć wielu zdjęło marynarki), a kobiety wystroily się, by zaimponować swoim znajomym. Tylko rybacy traktowali ten dzień jak każdy inny, sprzedając nocny połów prosto ze swych łodzi.

Był szósty stycznia, święto, które obchodzi się tu w całym kraju, i w kawiarniach na nabrzeżu nie było ani jednego wolnego stolika. Zagadnąłem pewną parę, czy mogę się przysiąść, i po krótkim wahaniu się zgodzili. Zamówiwszy kawę, zapytałem ich, co się dzieje.

– To Teofania – odparła kobieta, jakbym powinien to wiedzieć.

– Czyli rodzaj Epifanii? – upewniłem się. – Chodzi o Trzech Króli?

– W greckim kościele prawosławnym świętujemy inne wydarzenie – powiedziała. – Uważamy, że tego właśnie dnia Chrystus został ochrzczony. Po raz pierwszy objawił się w swojej boskiej postaci. I dzisiaj ksiądz pobłogosławi wodę, wrzucając krzyż do morza. Powiadają też – ciągnęła, widząc, że jestem autentycznie zainteresowany – że w czasie świąt Bożego Narodzenia pojawiają się gobliny, kallikantzaroi, które podnoszą fale i generalnie powodują kłopoty. Dzisiaj oczyszczamy z nich morze, by można było znowu bezpiecznie żeglować.

– Biorąc pod uwagę naszą linię brzegową i wszystkie wyspy, morze ma dla nas olbrzymie znaczenie – dodał z nutką sentymentu jej mąż. – Mamy je w duszy.

Spoglądając w stronę bulwaru, zauważyłem tam wielkie poruszenie.

– Co tam się dzieje nad wodą? – zapytałem.

– Opowie panu o tym Leonidas – odrzekła ze śmiechem kobieta. – Kiedy był piękny i młody, brał udział w tych obrzędach – dorzuciła, gładząc go czule po brzuchu.

– Dzisiaj poszedłbym na dno jak kamień! – zażartował mężczyzna. – Moja żona za dobrze gotuje.

Poczułem wielką sympatię do tej pary. Rozmawiali ze sobą jak równy z równym, dobrze się czuli w swoim towarzystwie i widać było, że nadal się kochają.

Leonidas był miejscowym adwokatem i bardzo chciał wytłumaczyć mi szczegółowo cały rytuał. Jego żona Dora pracowała wcześniej jako nauczycielka, teraz była na emeryturze.

– Już niedługo ksiądz wrzuci do morza krzyż, a ci chłopcy wskoczą do wody i będą próbowali go wylowić.

– *Czyli to coś w rodzaju religijnych zawodów pływackich? – zapytałem.*

– *Owszem – potwierdził. – W młodości sam brałem w nich udział. Tylko raz. Podobnie jak mój najlepszy szkolny kolega, Giorgos.*

– *Leonidas... czy naprawdę musisz opowiadać tę historię? – zapytała Dora, kładąc rękę na ramieniu męża.*

– *Dlaczego nie, agapi mou? Tak czy inaczej, ma przecież szczęśliwe zakończenie.*

Dora posłała mu smutne spojrzenie.

– *Popatrz, matia mou! – zawołał. – On tu jest! Widzisz go?*

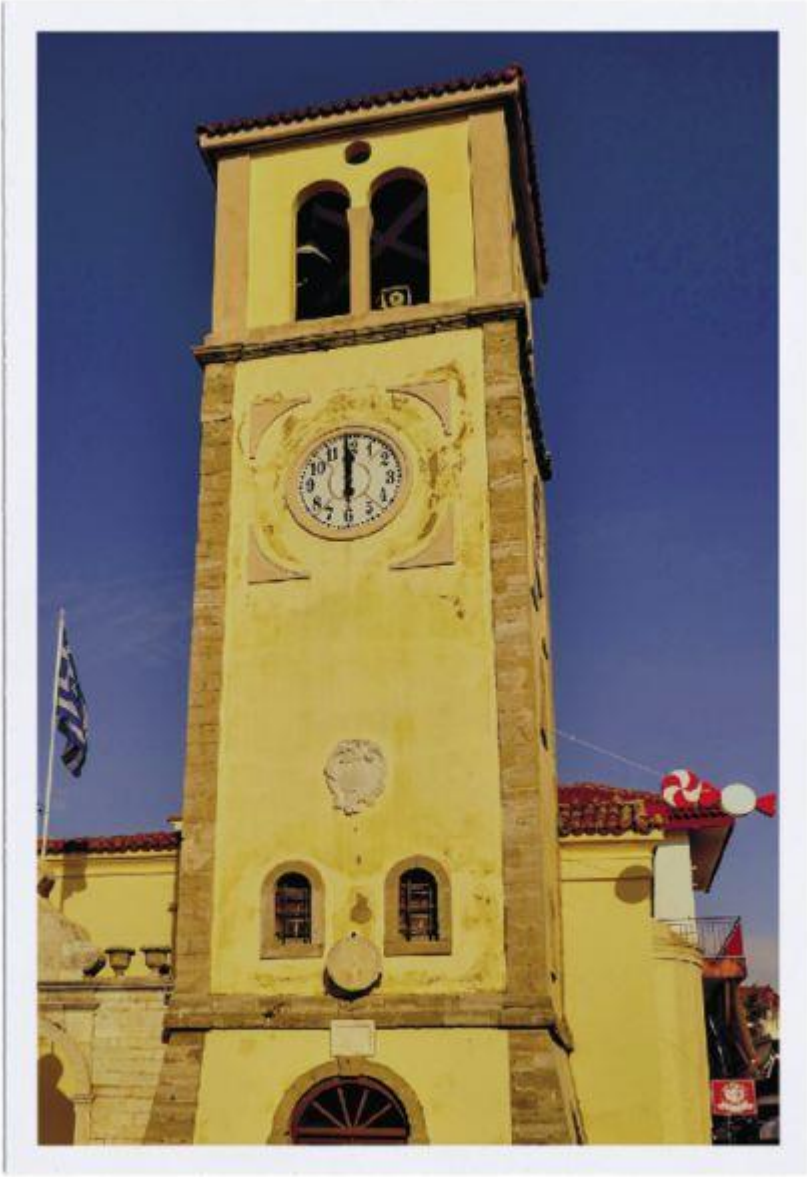
– *Tak. – Wskazała palcem tego, o kim mówił. – To ten w czarnej czapce.*

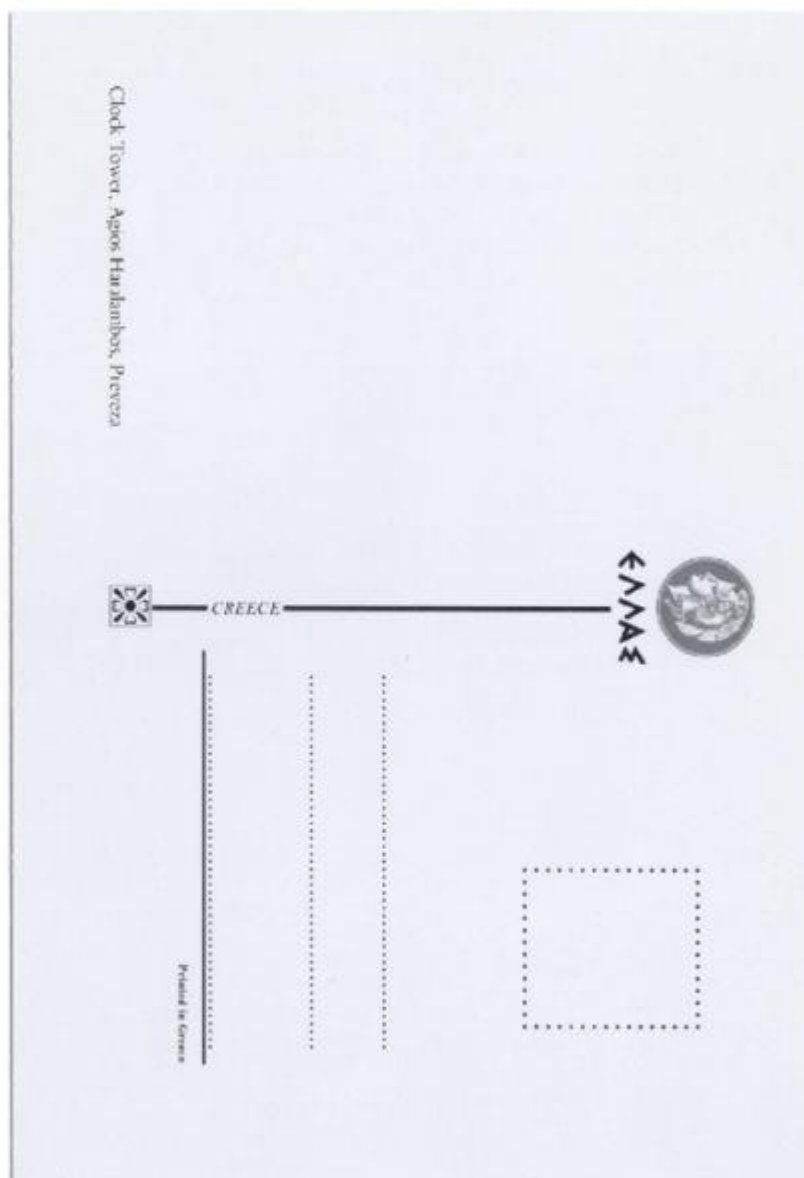
Nieco dalej zobaczyłem wpatrującego się w wodę mężczyznę.

– *Biedny stary Giorgos – dodała z westchnieniem.*

Młodzi chłopcy z Prewezy szykowali się, by skoczyć do wody.

ŚWIEŻONA WODA





ŚWIĘCONA WODA

Szóstego stycznia 2010 roku Giorgos Ziras stał nieopodal wejścia do kościoła. Nad głowami wiernych widział ołtarz, a przy nim recytujących słowa starodawnej modlitwy księży w pięknych brokatowych szatach i wysadzanych drogimi kamieniami mitrach. Dwóch starszych znał jeszcze ze szkoły i mimo ich liturgicznych strojów i rozwichrzonych bród dostrzegał w nich małych chłopców.

Mogło się zdawać, że zaledwie przed chwilą kopali razem piłkę na zakurzonej placu.



Patrzył, jak młodzi ojcowie wchodzą do przedsionka kościoła, całują ikonę, a potem podnoszą swoje dzieci, by zrobiły to samo. Następnie brali świece, zapalali je i stawiali w wypełnionych piaskiem skrzynkach, w których paliły się już setki innych. Tego dnia w kościele były wyłącznie miejsca stojące. Tylko małe dzieci, przeciskając się między nogami starszych, mogły podejść bliżej ołtarza.

Przed kościołem kręciła się niewielka grupka chłopców w uroczystych pomarańczowych szatach. Wystające spod nich znoszone tenisówki, a także trądzik na ich młodych twarzach sprawiały, że kojarzyli się mniej z sacrum, bardziej z profanum. Czekał na chwilę, gdy procesja z drogocennym krzyżem ruszy w stronę morza, zabawiali się, kopiąc kamyk po placu.

Przy samym brzegu inni młodzi ludzie czekali, by rzucić się w odmęty.

Kiedy obchodzono to święto niespełna czterdzieści lat wcześniej, kościół też był wypełniony po brzegi. Wszystko toczyło się zgodnie z odwiecznym zwyczajem, w niespiesznym rytmie liturgii.

W tamtym roku Giorgos przyszedł do kościoła z samego rana, mając kąpielówki pod spodniami, i zapalił świeczkę. Teraz stał na dworze owinięty ręcznikiem, drżąc z zimna, razem z innymi zawodnikami.

Grupę, która miała w tamten styczniowy rano wskoczyć do wody, starannie dobrano. Byli członkami miejscowej drużyny piłki wodnej i niektórzy już po raz dziesiąty brali udział w dorocznym zawodach. Miejsce w drużynie dawało im

status wyższy nawet od tego, jakim cieszyli się członkowie rady miejskiej i policjanci. Możliwość wzięcia udziału w rytuale Teofanii i zanurkowania po krzyż, który ksiądz już wkrótce miał cisnąć do morza, uważano za wielki zaszczyt. Giorgosowi Zirasowi, najmłodszemu członkowi drużyny, trudno było to jednak docenić w sytuacji, gdy starsi koledzy patrzyli na niego wilkiem. Trenował z nimi od dłuższego czasu, ale kiedy trener wybrał go do podstawowego składu, zaczęli mu w oczywisty sposób dokuczać.

Dokooptowanie do drużyny nowego członka oznaczało na ogół, że jeden ze starszych musi się z nią pożegnać, i rzeczywiście kilka dni wcześniej Mihalis Nikopoulos dowiedział się, że w nowym sezonie nie będzie już potrzebny. Przez dziesięć lat był podporą drużyny, zdobywał najwięcej goli, a teraz musiał odejść. Bez cienia taktu trener oznajmił, że Mihalis będzie mógł jeszcze wziąć udział w wyławianiu krzyża, jednak latem jego dziesięcioletnia kariera kapitana dobiegnie końca. Mihalis był twardym zawodnikiem, lecz trener był od niego twardszy. Chłopak nie okazał żadnych emocji, ale zaczęła w nim tykać bomba.



Trener podziwiał zwinność i szybkość Giorgosa Zirasa i to właśnie zapewniło mu miejsce w drużynie. Mihalis miał siłę małej motorówki, ale tracił zbyt wiele punktów za faule i stał się obciążeniem dla drużyny.

Na platformie pływaków wzniesiono z liści palmowych specjalny łuk, pod którym stanęli zawodnicy. Giorgos był mniejszy i młodszy od pozostałych. Prawie wszyscy dobrze się znali i droczyli ze sobą, popychając się i szturchając. Wielu było w drużynie od dobrych kilku lat. W większości mieli imponujące mięśnie i potężne torsy – wynik uprawiania sportów i niedawnej służby wojskowej.

Giorgos wiedział, że nigdy w życiu się do nich nie upodobni. Latem pływał codziennie w morzu, ale przez aktywność fizyczną stawał się jeszcze chudszy. Choć jego babcia utrzymywała, że jest podobny do ryby miecza, jedynym morskim stworzeniem, jakie naprawdę przypominał, był wąż morski, podobne do węgorza zwierzę, które udało mu się raz zobaczyć w miejscowych wodach.

Zauważył, że Mihalis bacznie wpatruje się w wodę i nie bierze udziału w przepychankach. Nagle podniósł głowę i przeszył Giorgosa wzrokiem.

Chłopak nigdy jeszcze nie widział w czyichś oczach tyle nienawiści i natychmiast spuścił głowę. Czując, że temperatura jego ciała spadła o kilka kresek, zadrżał i otulił się szczerzej ręcznikiem.

W pierwszym rzędzie wciąż gęstniejącego tłumu stała Margerita Ziras, trzymająca ubranie syna. Giorgos zerknął na nią, pragnąc, by dodała mu otuchy, ale poznał po jej spiętej twarzy, że jest tak samo podenerwowana jak on. Pomachała mu niepewnie ręką.

Tego dnia wszyscy wylegli na ulice: ponad tysiąc osób wystroiło się w najlepsze ubrania (niektórzy prawie jak na ślub), wyfiokowało się i wyperfumowało. Wydarzenie miało w równym stopniu towarzyski co religijny charakter. Od wody odbijały się promienie słońca i stojący przy brzegu widzowie osłaniali dłońmi oczy. Część założyła nawet modne przeciwsłoneczne okulary, w których mężczyźni wyglądali niczym mafiosi (co wcale im nie przeszkadzało), a kobiety przypominały trochę Jackie O. Dla niektórych wystarczającym powodem wyjścia z domu była sama okazja, by spotkać się z innymi i ocenić, ile warta jest biżuteria sąsiadki.

Teraz usłyszeli dźwięki zbliżającej się miejskiej orkiestry, co oznaczało, że księża i ich pomocnicy, a także burmistrz i inni miejscy notable wyszli z kościoła. Byli tam również miejscowi przedstawiciele wojska i marynarki wojennej. Każdy, kto miał mundur, paradował w nim tego dnia z dumą.

Giorgos rozejrzał się i zobaczył nad głowami tłumu księżą mitrę i lśniące mosiężne instrumenty. Kolumna oficjeli w końcu się pojawiła i zmierzała w dół, w stronę morza. Z wielkim trudem, ze względu na rozmiary i ciężar szat, księża wgramolili się na małą rybacką łódź. W pewnym momencie, gdy jeden z nich, ważący prawie dwieście kilo, rozkołysał łódź tak mocno, że o mało się nie wywróciła, rozległy się okrzyki konsternacji.

Młodzieńcy na platformie wiedzieli, że zbliża się ich chwila. Wkrótce najwyższy rangą duchowny wrzuci krzyż do wody, a oni zanurkują i będą się starali go znaleźć i wyłowić. Zwycięzca otrzyma specjalne błogosławieństwo, a co ważniejsze, zyska w mieście status bohatera. Mihalis od dziesięciu lat wygrywał te zawody: zawsze pierwszy odnajdywał krzyż.

Żartobliwe przepychanki i kuksańce dobiegły końca. Ręczniki opadły na ziemię, na oczy trafiły pływackie gogle. Chłopcy patrzyli, jak niebezpiecznie

zanurzona mała motorówka, którą sterował jeden z rybaków, płynie po morzu ze swoim ładunkiem świętych mężów.

Wreszcie się zatrzymała. Ksiądz wstał i zaczął przemawiać. Za chwilę miały się zacząć zawody. Giorgos czuł, jak serce wali mu ze zdenerwowania, strachu i obawy przez lodowatą wodą. Poczł również ostrą sójkę w plecy. To jeden z pływaków próbował się przed niego wpcchnąć. Wszyscy walczyli o zajęcie jak najlepszej pozycji. Ostatecznie odsunięto go na bok. Zbyt wczesny skok do wody oznaczał dyskwalifikację i Giorgos rozpaczliwie zapierał się stopami na skraju platformy.

Ksiądz podniósł krzyż, do którego przyczepiona była długa wstążka, i ludzie umilkli. Oczy wszystkich utkwione były w lśniącym metalu. Pirkoczący silnik łodzi zagłuszał nabożne śpiewy. Ksiądz cisnął krzyż do wody i wyciągnął go z powrotem. Następnie zrobił to po raz drugi. Za trzecim razem puścił wstążkę i uwolniony krzyż pofrunął daleko. To był sygnał. Giorgos poczuł kolejne silne pchnięcie i otarłszy sobie nogę o drewniany skraj platformy, wpadł do wody.

Płynąc, oberwał czyjąś stopą najpierw w brzuch, a później w twarz. Gogle zsunęły mu się z głowy i kiedy oczy zapiekły go od soli, zorientował się, że je zgubił. Spieniona przez kilkunastu pływaków woda była mętna, i nic w niej nie widział. Oszołomiony i oślepiiony wynurzył się, kaszląc, na powierzchnię.





Na wodzie, przed motorówką z księżmi, zobaczył szeroki wir. Wszyscy chłopcy najpewniej już zanurkowali, zaczerpnął więc pełne płuca powietrza i zrobił to samo. Poruszając lekko stopami, sunął w stronę reszty pływaków, których niewyraźne kontury widział przed sobą. Białe ciała połączyły się jakby w jedną masę, tworząc pod wodą wielonogiego potwora. Chłopcy musieli być gdzieś blisko krzyża.

Słyszał wcześniej plotki, że zwycięstwo w zawodach jest zawsze ustawione, ale nie chciał w to wierzyć. Wiedział, że jest najszybszym pływakiem i ma szansę na wygraną. Teraz innym zaczynało już brakować powietrza i jeden po drugim wypływali na powierzchnię. Giorgos zanurzał się coraz głębiej. Zobaczył błysk w miejscu, w którym spotykały się ramiona krzyża. Na dole pozostał tylko jeden pływak, z szerokimi plecami i złotym łańcuszkiem na szyi. Mihalis. Kiedy Giorgos się zbliżył, tamten nagle odpłynął. W mętnej mrocznej wodzie mignęły delfiny, które miał wytatuowane na plecach i karku.

Na pewno chce zaczerpnąć powietrza, pomyślał Giorgos. Musiał wykorzystać okazję. Zostało mu tylko kilka sekund. To była jego szansa.

Krzyż zakleszczył się pod głazem, którego inni pływacy nie próbowali odsunąć, tylko ciągnęli krzyż za dłuższe ramię. Giorgos stanął na dnie morza, pchnął głaz, po czym wytrącił spod niego krzyż palcem stopy, złapał szybko za wstążkę i szarpnął ją w górę. Czując pieczenie w płucach i szum w uszach, dostał ataku klaustrofobii.

Poruszając silnie nogami, wypłynął na powierzchnię. Drogocenny krzyż trzymał wysoko nad głową, by wszyscy w tłumie mogli go zobaczyć. Kiedy spazmatycznie łapał powietrze, otoczył go krąg pływaków.



Niektórzy objęli go i pocałowali w oba policzki, gratulując zwycięstwa, czuł jednak, że robią to bez przekonania. Nie spodziewali się, że wygra.

Nie sposób było odczytać wyrazu ich twarzy, ukrytych za goglami. Po chwili w kręgu pojawiła się luka i Giorgos podpłynął do motorówki. Siedzący w niej ksiądz pochylił się i odebrał krzyż z jego ręki.

Chłopak zawrócił w stronę stałego lądu. Kiedy dopłynął do platformy, inni pływacy już na niej stali. Ktoś podał mu rękę. To był jego szkolny kolega Leonidas. Zmęczony i osłabiony wyszedł na brzeg. Stojąca tam matka podała mu ręcznik.

Wycierając się do sucha i spoglądając dookoła, zdał sobie nagle sprawę, że kogoś brakuje. Usłyszał, że wszyscy powtarzają jedno imię.

– Gdzie jest Mihalis?

– Widziałeś Mihalisa?

– Był tam na dole?

Ze wszystkich stron bombardowały go pytania.

– Był tam... widziałem go.

Nikt go nie słuchał.

Trzech czy czterech pływaków wskoczyło z powrotem do wody i popłynęło

w miejsce, gdzie został znaleziony krzyż. Jeden z nich zaalarmował księdza w motorówce. Pojawiło się kilka innych łodzi, ich pasażerowie wpatrywali się bacznie w wodę.

Ludzie krzyczeli i pokazywali palcami fale. Konsternacja ogarnęła również widzów. Giorgos słyszał, jak matka i siostry Mihalisa wybuchły niepohamowanym płaczem. Wkrótce posłano po mieszkającego w sąsiednim miasteczku nurka.

Giorgos obserwował fale, zastanawiając się, kiedy po raz ostatni widział Mihalisa. Pamiętał, że tamten odpłynął dokładnie wtedy, gdy on się do niego zbliżył.

Znowu otoczył go tłum ludzi.

- Czy Mihalis tam był?
- Widziałeś go?
- Co się zdarzyło tam na dole?
- Czy trzymał w ręku krzyż?
- Czy to on go znalazł?

Przestraszony i spanikowany Giorgos wyczuwał, że zaczynają się rodzić ponure podejrzenia. Wszyscy wiedzieli, że on i Mihalis byli rywalami w drużynie i że zastąpił w niej silniejszego, starszego chłopaka. Mihalis zdołał nastawić przeciwko niemu resztę zawodników i dało się to zauważyć zarówno wtedy, gdy byli w wodzie, jak też kiedy z niej wyszli. Chodziło nie tylko o sportową rywalizację. Była to zajadła niechęć, zwłaszcza po poprzednim sezonie, kiedy Giorgos przyćmił bardziej doświadczonego gracza, zdobywając więcej goli. Teraz szukano ciała Mihalisa, wiedząc, że Giorgos widział go ostatni.

Poszukiwania trwały trzy dni. Grupy mieszkańców patrolowały pobliskie plaże, na wypadek gdyby fale wyrzuciły ciało na brzeg. Kierunek prądów morskich sugerował, że mogło się to stać dalej na północ. Wszystko bez skutku. Dlatego nie wyprawiono pogrzebu, historia pozostała niezakończona, a w kafenionie ojciec Mihalisa dawał jasno do zrozumienia, kto ponosi za to odpowiedzialność.

Policja przesłuchiwała każdego, Giorgosa na samym końcu. Wiedzieli już wówczas, jakie stosunki panowały między dwoma młodzieńcami. Mimo pogłosek, że Mihalis był zamieszany w działalność przestępczą, nikt nie chciał źle mówić o tutejszym sportowym idolu. Zignorowano napad z bronią w ręku, do którego doszło w połowie grudnia i w którym zginęło dwóch mężczyzn. Na gorącym uczynku złapano wówczas brata i stryja Mihalisa i czekał ich proces o zabójstwo. Wszyscy świadkowie wspominali, że w napadzie brał udział jeszcze trzeci mężczyzna, i niektórzy spodziewali się, że Mihalis również zostanie aresztowany. Giorgos nigdy nie miał kłopotów z prawem, ale nikogo to nie obchodziło. Widzieli w nim tylko bezwzględного konkurenta, który uczyniłby wszystko, żeby wygrać. Ponieważ nie znaleziono ciała ani żadnych dowodów, nie mógł zostać aresztowany ani formalnie postawiony w stan oskarżenia, lecz miejscowa społeczność

zdecydowała, kto ponosi winę.

Giorgos nie mógł wyjechać z miasta. Ucieczka stąd i osiedlenie się gdzie indziej, bez rodziny, przyjaciół i przeszłości, byłaby przyznaniem się do winy. Nikt tak nie postępuje, jeśli nie ma nic do ukrycia. Zaczął się nawet zastanawiać, czy w jakiś sposób nie jest jednak winien.

– Ludzie nie słuchają tego, czego nie chcą słyszeć – powtarzał jego przyjaciel Leonidas.

Trener przeprosił Giorgosa, oznajmiając mu, że musi go zwolnić z drużyny. Bez pełnej współpracy innych zawodników nie mógł w niej funkcjonować jako czołowy gracz. Jego byli koledzy odnieśli później wielkie sukcesy w drużynie narodowej, trzech wzięło nawet udział w następnej olimpiadzie.

Giorgos znalazł pracę w oddalonej o godzinę drogi firmie eksportującej ser feta. Nadal mieszkał ze swoją matką, jednak nigdy nie pokazywał się w mieście. Między kwietniem a październikiem, wracając z pracy, odwiedzał odludną i trudno dostępną plażę i pływał w morzu, ale w zimie jechał prosto do domu.

Trzy lata po „śmierci” Mihalisa w kościele odprawiono za niego mszę. Wzięło w niej udział tyle samo ludzi co w Teofanii.

Prawie przez czterdzieści lat Giorgos żył jak cień samego siebie. Istniał, ale nie był obecny. Najbardziej bolesne było chyba obserwowanie, jak gaśnie jego matka. Nigdy nie rozmawiali o tamtym styczniowym ranku, lecz Giorgos wiedział, jak bardzo ubodły ją niesłuszne oskarżenia i stygmatyzacja rodziny. To wszystko wpłynęło również na jej codzienne życie.

Uczestnicząc rok w rok w Teofanii, demonstrował swoją niewinność. To był jedyny dzień, kiedy trzymał wysoko podniesioną głowę. Do wody wskakiwali teraz synowie i wnukowie jego rówieśników, ale wśród widzów było wiele osób, które oglądały jego niegdysiejszy występ.

Nie mógł poprosić odzianych w bogate szaty duchownych o rozgrzeszenie, bo nie popełnił żadnego grzechu. Od czterech dziesięcioleci stał tam na uboczu, czując się jednocześnie winny i niewinny. Zbrodniarz, który nie popełnił zbrodni.

W tym roku Giorgos, tak jak zawsze, patrzył bacznie po twarzach w tłumie, by upewnić się, że w pobliżu nie ma kogoś, kogo znał. Najbardziej starał się unikać mężczyzn, którzy brali z nim udział w zawodach w dniu zaginięcia Mihalisa.

Kiedy spojrział w lewo, coś przyciągnęło jego uwagę. Na karku stojącego nieopodal mężczyzny, tuż nad kołnierzem taniej skórzanej kurtki, widniał wytatuowany pysk delfina. Facet był prawie łysy, dlatego rzucało się to w oczy. W ostatnich latach tatuaże stały się bardziej popularne, ale rzadko widywało się je u mężczyzn w tym wieku.

Giorgosa ogarnął silny niepokój; czuł, jak pot oblewa mu plecy. Mężczyzna miał ciemne lustrzane okulary i granatowy kapelusz z szerokim rondem, zasłaniającym twarz. Stał na skraju tłumy. Czy to mógł być on? Czy po wszystkich

tych latach to naprawdę mógł być Mihalis Nikopoulos? Był tego samego wzrostu, choć już nie tak barczysty jak niegdyś.

Bez względu na to, czy był to rzeczywiście człowiek, który podstępnie zniszczył mu życie, Giorgos chciał jak najprędzej się stąd oddalić. Nogi drżały mu tak mocno, że o mało się nie wywrócił. Po drodze spotkał jednego z nielicznych znajomych, z którym nadal utrzymywał stosunki. To był jego kolega ze szkoły, wierny Leonidas, człowiek, który nigdy nie zważył w jego niewinność.

– Giorgos... *ti kaneis?* Co u ciebie? – Leonidas przyjrzał mu się z troską. Z twarzy przyjaciela odpłynęła cała krew. – Dobrze się czujesz? – zapytał, biorąc go pod ramię.

– No wiesz... – odparł drżącym głosem Giorgos. – U mnie to samo co zawsze. A u ciebie? Jak się mają twoje dzieci i wnuki?

– *Ola kala* – powiedział Leonidas. – Wszystko w porządku.

W tym samym momencie krzyż wylądował w wodzie i ludzie pochylili się do przodu, by obserwować spienione fale. W tym roku frekwencja była wyższa niż zwykle, a księża przemawiali do mikrofonu. Ich głos niósł się nad wodą i Leonidas musiał krzyknąć, by Giorgos mógł go usłyszeć.

– Słyszałeś?!

– O czym?! – odkrzyknął Giorgos, przykładając dłoń do ucha.

– O starym Markosie Nikopoulosie. Zmarł wczoraj rano.

Giorgos wzdrygnął się, słysząc to nazwisko. Od czasu do czasu widywał z daleka ojca Mihalisa, ale zawsze udawało mu się uniknąć spotkania twarzą w twarz.

– Jego pogrzeb odbędzie się...

– Dzisiaj?

– Dziś po południu. Właśnie zobaczyłem nekrolog.

A więc syn przyjechał na pogrzeb ojca. To było logiczne. Tylko coś takiego mogło skłonić do powrotu uciekiniera, który z pewnością chciał pozostać w cieniu, tak by o jego przybyciu wiedziała tylko najbliższa rodzina. Giorgos nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że mężczyzną, którego przed chwilą widział, był Mihalis Nikopoulos. Więc jednak nie utonął.

Łzy popłynęły mu po twarzy.

Leonidas nie krył konsternacji. Dlaczego jego przyjaciel tak się przejmuje śmiercią starego Nikopoulosa? To zupełnie nie miało sensu.

Uczucie ulgi niemal rozrywało Giorgosowi pierś. Zostanie oczyszczony z zarzutów. Zrehabilitowany. Rozgrzeszony.

Nagle wstrząsnął nim niepohamowany szloch i Leonidas musiał wziąć go w ramiona, żeby nie upadł.

Wy zaś z weselem wodę czerpać będziecie ze zdrojów zbawienia.

Błagajmy Pana, by ta woda została uświęcona mocą zstąpienia Ducha Świętego...

Słowa księdza potoczyły się niczym potężna fala przyływu.



Obrzędy Teofanii wydawały się takie dramatyczne, śmiałe i nieoczekiwane. Widok ludzi wskakujących do morza w styczniowy dzień był doprawdy surrealistyczny i zrobił na mnie głębokie wrażenie. Sama fizyczność sportowców, którzy współzawodniczyli ze sobą przy akompaniamencie muzyki i chóralnych śpiewów, kazała mi żałować, że rytuały Kościoła anglikańskiego nie są bardziej barwne.

Choć widziałem Giorgosa tylko z daleka, nie mogłem nie spostrzec, że dziesiątki lat ciągłego, znoszonego w milczeniu cierpienia odcisnęły na nim widoczne piętno. Jak wiele musiał go kosztować ten długi czas, który przeżył w cieniu złych wspomnień i fałszywych oskarżeń. Przeszło pół życia spędził w czystcu, ale ponowne pojawienie się Mihalisa Nikopoulośa dało mu szansę na odrodzenie, na drugi chrzest.

Słuchając jego historii, powiedziałem sobie w pewnym momencie, że nie wolno mi trwonić czasu, że muszę wziąć się za bary z życiem i zacząć od początku – i powiedziałem to z przekonaniem. W te ciepłe styczniowe dni poczułem, że coś we mnie taje. „Dni zimorodka” naprawdę uderzają do głowy, a Leonidas wyjaśnił mi, dlaczego tak się nazywają. Według Owidiusza, Alkione, córka władcy wiatrów Eola, rzuciła się do morza po tym, jak utonął jej mąż. Bogowie zamienili ich oboje w zimorodki i kiedy Alkione uwiła gniazdo na plaży, jej ojciec uspokoił fale, by ocalić złożone jaja. Powiadają, że te dni zimowego ciepła sprzyjają gniazdującym ptakom, i muszę przyznać, że mnie też dały chwile wielkiego spokoju. Zostałem jakiś czas w Prewezie, żeby się nimi nacieszyć, i co wieczór jadłem kolację u Leonidasa i jego żony. Dora, czym szczycił się jej mąż, wspaniale gotowała i postanowiła mnie trochę podtuczyć. W pierwszych tygodniach po Twoim nieprzyjeździe straciłem sporo kilogramów i ubrania wisiały na mnie, ale wyjeżdżając z Prewezy, wyglądałem już o wiele lepiej.

Wyruszyłem stamtąd na wschód, w stronę Karpenisi. W którymś momencie źle skręciłem i znalazłem się na nieutwardzonej drodze, wysoko w górach, daleko od cywilizacji. Przez wiele godzin nie spotkałem tam nikogo i upajałem się samotnością. Jechałem na chybił trafił, lecz droga zawiodła mnie w magiczne miejsca, których, gdyby nie ten przypadek, nigdy bym nie zobaczył. Zacząłem się zastanawiać nad tym, jaką rolę odgrywa w naszym życiu czysty traf. Czy pomyłki mogą się obrócić na naszą korzyść? Czy coś, co wydaje nam się katastrofą, może nas doprowadzić do czegoś dobrego? Chciałem mieć taką nadzieję. Zacząłem w każdym razie dopuszczać taką możliwość. W tych dzikich wysokich górach czułem się chwilami wolny i lekki jak ptak.

Ellie odłożyła na moment notes. Była już w Grecji od czterech dni i świetnie się tu czuła. W dzień pływała i opalała się na plaży przy swoim hotelu w Tolon, po południu jechała autobusem do Nafplio, gdzie za każdym razem zwiedzała coś innego (zamek, kościół, muzeum – miasto było piękne i pełne zabytków, dokładnie tak, jak to opisywał Anthony), a następnie wypijała drinka w kawiarni na placu i wracała autobusem do hotelu, żeby zdążyć na kolację. Drugiego dnia wysłała pocztówkę do matki, wiedząc, że ta skrycie na to liczy. Napisanie kilku słów, a potem nalepienie sześciu znaczków, które nie zostawiały prawie miejsca na adres, wydawało się takie staroświeckie. „Ma w sobie coś szczególnego”, napisała, uśmiechając się, o Nafplio. Gdyby nie kartki od Anthony’ego, nie uwierzyłaby, że ta jej w ogóle dojdzie. Znajomym wysłała zwykle SMS-y i swoje selfie na tle morza.

Lekturę notesu Anthony’ego zostawiała sobie na wieczór, czytając po kilka opowiadań dziennie na swoim balkonie. Chciała, by towarzyszyła temu odpowiednia atmosfera: spokój nocy, jasne gwiazdy, jednostajne brzęczenie cykad, łagodny plusk fal na plaży. Tak właśnie powinna czytać zwierzenia tego nieznanego – w ciszy i samotności, nie słysząc dochodzącej z baru muzyki pop i rytmicznego stukotu plażowego tenisa. Kilka razy sprawdziła na mapie odległość, jaka dzieliła Nafplio od innych miejscowości opisywanych przez Anthony’ego. Najchętniej wybrałaby się na cały dzień do Prewezy albo Patras, ale wypytawszy o wszystko w recepcji, stwierdziła, że jeśli chce jechać autobusem i wrócić tego samego dnia, nie uda jej się zwiedzić nawet Kalamaty. A więc zostanie tutaj. Tolon i Nafplio były zresztą tak wspaniałe, że wcale jej to nie przeszkadzało. Co do innych miejsc musiały jej na razie wystarczyć opisy Anthony’ego.

Dzięki jego zapiskom i jej własnym doświadczeniom Grecja stawała się jej coraz bliższa. Zapachy tego kraju, brzmienie języka, smaki kuchni i uśmiechnięte twarze ludzi wnikały w nią coraz głębiej i rozumiała już, dlaczego Anthony wolał podróżować po Grecji, zamiast wracać do Londynu i mierzyć się ze smętną jesienią. Ta miniona należała akurat do najbardziej ulewnych i Ellie cieszyła się, że nie poleciał do Anglii. Bezustanna szaruga na pewno nie podniosłaby go na duchu.

Ellie nigdy dotąd nie była w poważnym związku, z całą pewnością nie takim, w którym zerwanie naraziłoby ją na tyle cierpień. Jej znajome przeżywały podobne dramaty i pozwalała im się wypłakiwać na swoim ramieniu, lecz zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić takich emocji z męskiej perspektywy. Gorycz, jaką opisywał Anthony, wydawała jej się bardzo dziwna i silna.

Jej samotność na wakacjach zdecydowanie różniła się od tej, której doświadczała w codziennym życiu. Inni hotelowi goście dziwili się, że zawsze jada sama, i zdawała sobie z tego sprawę, ale najchętniej włożyłaby T-shirt z napisem,

że ma to w nosie. Pewnego wieczoru dwoje niezwykle miłych sześćdziesięciolatek uparło się, by zjadła z nimi kolację, lecz jeszcze przed podaniem głównego dania dowiedziała się stanowczo zbyt dużo o wynikach egzaminu ich wnuczki oraz o rejsie po Karaibach, na który wybrali się poprzedniego roku. Samotność pociągała ją o wiele bardziej i przez resztę dni, które tam spędziła, zaraz po kolacji uciekała, ze szklanką wina w rękę, na swój balkon.

Tego wieczoru, siedząc na prostym plastikowym fotelu i opierając bosc stopy o balustradę, myślała o Anthonym i o tym, że poczuł się „wolny i lekki jak ptak”. Być może sprzyjało temu schłodzone wino. Sama też miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, i w tym momencie żadne troski nie zaprzętały jej głowy. To była drogocenna chwila, rzadka i ulotna. Ze spokojem i ciekawością czytała dalej.

Brakuje mi słów, by opisać piękno tego kraju. Być może ludzie, którzy się tu urodzili, zwłaszcza ci, co nie wyjeżdżali nigdy z Grecji, są przekonani, że reszta świata wygląda podobnie, a może tak do tego piękna przywykli, że nie wywiera ono na nich żadnego wrażenia. Już tyle razy zakochałem się w Grecji od pierwszego wejrzenia, już tyle razy poraziła mnie błyskawica, keravnovolos. Jestem niczym narkoman, czekający, aż serce stanie mu w piersi, gdy zobaczy kolejny zaskakujący widok.

O tym, że w starożytności piękno było dla Greków bardzo ważne, świadczą najlepiej ich rzeźba i architektura. Kiedy oglądam w szklanej gablocie artefakty sprzed pięciu tysięcy lat (na przykład rzeźby cykladzkie), widzę, że nie są to przedmioty czysto użytkowe. Grecy nie tylko rozumieli estetykę, ale i oddawali jej cześć.

Być może dlatego doznaję takiego szoku, gdy widzę w Grecji coś brzydkiego. Często oszalałam na piękno, ale niekiedy również szpetota. Podobnie jak we wszystkim ten kraj przoduje też w skrajnościach. Pewne miejsca całkowicie zeszpecono wielkimi betonowymi konstrukcjami, które będą tam stały może przez kolejne tysiąc lat: porzuconymi w trakcie budowy hotelami, fabrykami i biurami. Czasem, nawet kiedy budynki są ukończone, widząc dziewięć pięter przyciemnionych pomarańczowych okien i popękane beton, pytam się z przerażeniem: „Dlaczego?”. W pewnych rejonach nie obowiązują chyba żadne przepisy. Style, kolory, użyte materiały ścierają się ze sobą niczym anarchiści z policyjnymi szturmowcami.

Któregoś dnia, pod koniec stycznia, zobaczyłem tamę. Wielką, porzuconą tamę. Zardzewiała maszyna, która miała wytwarzać elektryczność, tony betonu oraz graffiti, którym go zabazgrano, są gwałtem na krajobrazie, przedśmionkiem piekła. Będą tu trwałe wiecznie jak otwarta rana, najgorsza, jaką kiedykolwiek widziałem. Sprzeniewierzono miliony euro i ktoś się bardzo wzbogacił. Wyobraziłem sobie turystów, którzy za tysiąc lat próbują to wszystko rozszyfrować: Akropol i tamę na rzece Acheloos. Jedno i drugie w tym samym kraju? Co poszło nie tak? Rzecz tak samo zagadkowa jak dysk z Fajstos.

Zatrzymałem się tam na chwilę. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem się powstrzymać.

Czułem się turystą, podobnie jak czułem się nim w Nafplio, lecz zamiast podziwiać piękne zabytki, patrzyłem na destrukcję, której skala przekraczała wszystko, co widziałem do tej pory. W końcu ruszyłem w dalszą drogę. Chciałem uciec jak najdalej od tego miejsca, nim zapadnie zmrok, dlatego gnałem, jakby deptały mi po piętach diabły, kierując się ponownie na zachód, w stronę morza.

W końcu dotarłem do wioski, która mi się spodobała. Odkryłem później, że leży niedaleko starożytnego sanktuarium w Dodonie. W większości składała się z tradycyjnych kamiennych domów, ale był tam również plac z kafenionem i tawerną, a w bocznej uliczce zauważyłem piekarnię. Parkując samochód, dostrzegłem na tablicy przy kościele kilkanaście klepsydr. Z jakiegoś powodu zawsze przystaję, żeby je przeczytać. Wszędzie, gdzie człowiek trafia, są najbardziej rzucającymi się w oczy publicznymi obwieszczeniami. Jeśli ludzie zobaczą klepsydrę kogoś, kogo znają, muszą reagować szybko, bo pogrzeb na pewno ma się odbyć tego samego dnia albo nazajutrz.

Zauważyłem, że wiedza o tym, kto umarł i w jakim był wieku, mówi mi wiele o samej miejscowości. Jeśli zmarli mieli w większości osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat, to smutne, ale pocieszające. Tutaj jednak pośród zmarłych tego dnia osiemdziesięciolatek był jeden młodszy mężczyzna. Nazywał się Konstantinos Arvanitis i miał sześćdziesiąt dwa lata.

Wchodząc do tawerny, zorientowałem się, że jej właściciel widział, jak

czytałem klepsydry.

– Ton gnorizate? – zapytał. – To ktoś, kogo pan zna? Kostas Arvanitis?

Tego dnia miałem na sobie czarny T-shirt i czarne dżinsy i może dlatego pomyślał, że przyjechałem na pogrzeb.

Właściciel i jego żona byli całkiem życzliwi; cieszyli się, że mają klienta w ten cichy wtorkowy wieczór. Tawerna nazywała się To Tzaki, czyli „Przy Kominku”, i w rogu rzeczywiście był duży kominek, do którego właściciel stale dokładał drewno. Choć dni były ciepłe, w nocy temperatura dość znacznie spadała i widok płonących bierwion krzepił na duchu.

– Wszystkich nas zdziwiła jego śmierć – powiedziała żona. – Arvanitis był zdrowy i silny, dużo czasu spędzał na swoim poletku. Jeździł tam każdego dnia. Szczupły, pełen wigoru, bez jednego grama tłuszczu. – Przyniosła mi dzbanek z wodą i sztućce, nie przestając perorować, choć swoje wątpliwości kierowała bardziej do męża niż do mnie. – Osobiście uważam, że powinno się przeprowadzić sekcję zwłok, lecz nie zgodziła się na to jego żona. Więc co można poradzić? Doktor wypisał akt zgonu i sprawa skończona. Ale wcale mi się to nie podoba.

– Eleni... nie wolno ci tak mówić.

– To stało się zbyt szybko, agapi mou. Człowiek nagle umiera. Żona nie uрониła nawet jednej łzy. I zaraz zakopują go w ziemi. Bez żadnych pytań.

– To tutaj normalne – odparł mąż, zwracając się do mnie. – Pogrzeb odbywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Taka jest tradycja. W czasach, kiedy nie było kostnicy, wynikało to pewnie z konieczności.

– Owszem, ale dzisiaj mamy już chłodnie, Oreste mou – wtrąciła żona.

– Eleni!

– Tak czy owak, pochowają go jutro. A potem wszyscy tu przyjdą. Menu jest dziś dość ograniczone, bo zachowałam wszystkie ryby na makaria, na stypę.

– Proszę się mną nie przejmować – odrzekłem. – Zjem to, co pani ma.

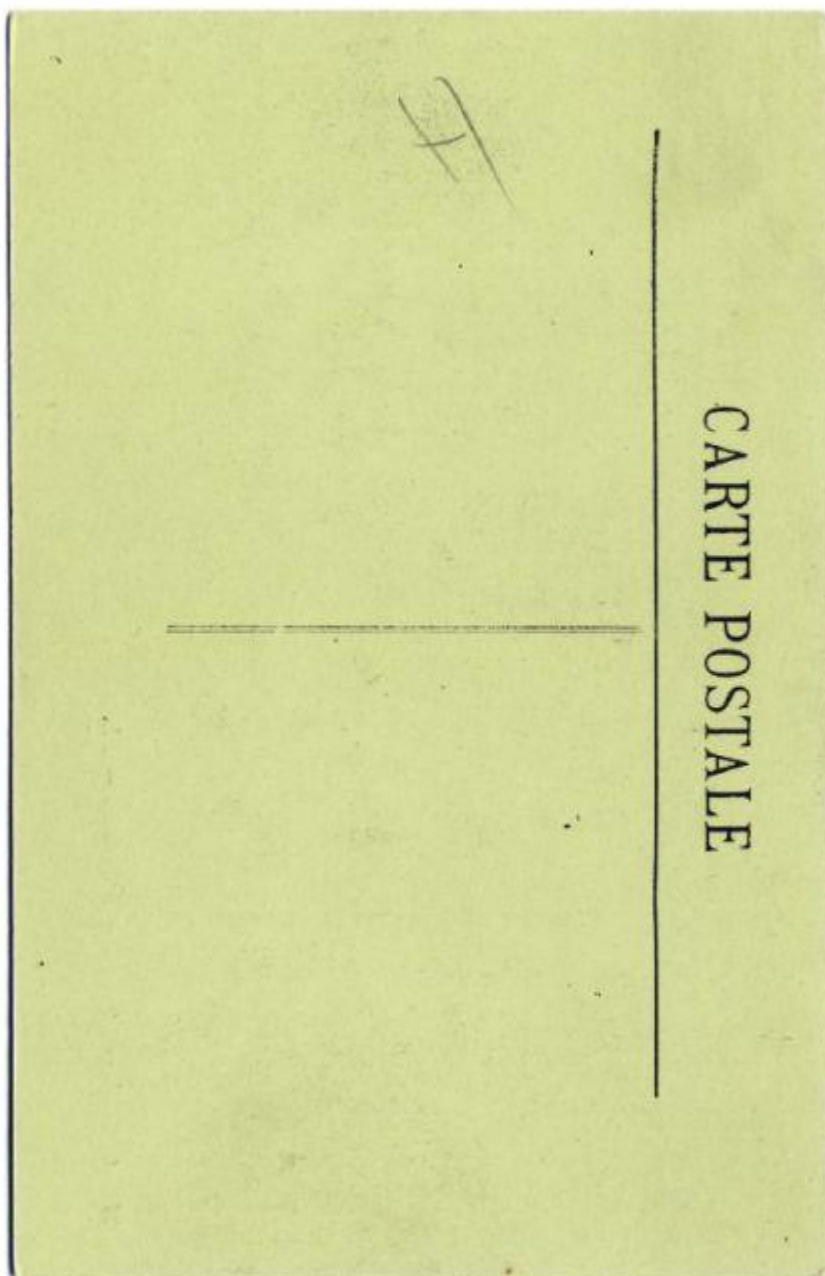
Kiedy żona wyszła do kuchni, mężczyzna nachylił się do mnie.

– Moja żona uważa inaczej, ale proszę mi wierzyć, nie popełniono żadnego przestępstwa. – Wydawał się o tym bardzo przekonany. – Żona Kostasa nabrała podejrzeń, bo wracał do domu bardzo późno. Poprosiła mnie, żebym sprawdził, czy rzeczywiście spędza cały czas na swoim kypos... więc tam pojechałem. – Mężczyzna miał wielką ochotę opowiadać dalej, ale coś go zarazem powstrzymywało. – Wkrótce pan stąd wyjedzie, prawda? – zapytał nagle.

Przytaknąłem, a on, uznawszy widać, że nie powtórzę jego relacji nikomu w wiosce, opowiedział mi, co się naprawdę wydarzyło.

ZAKOCHANY W MIŁOŚCI





ZAKOCHANY W MIŁOŚCI

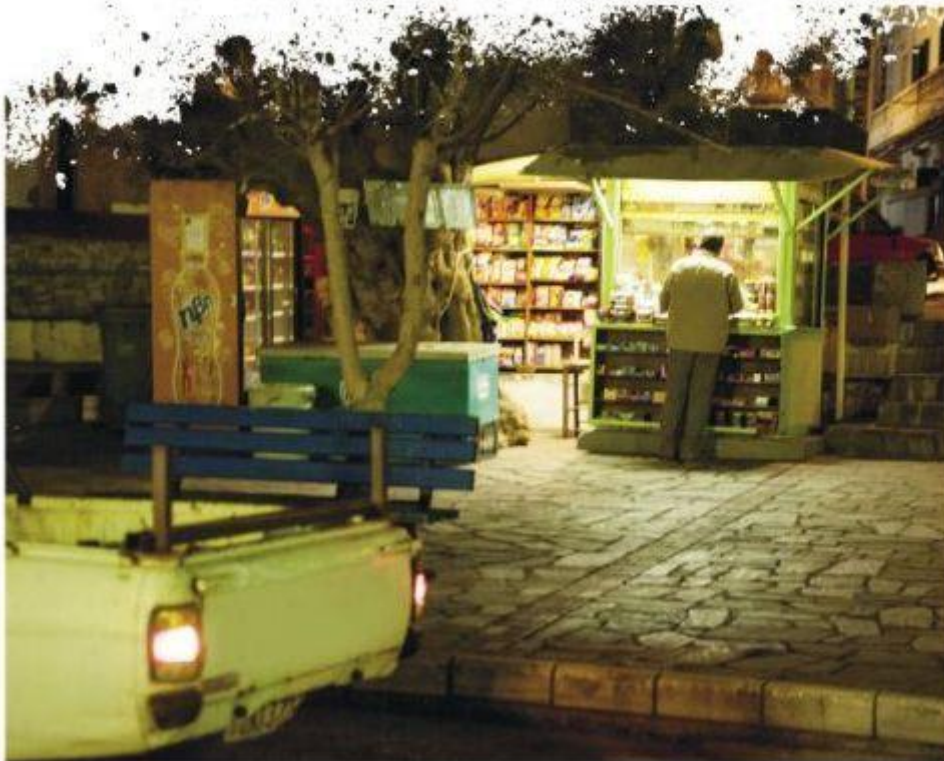
Tej zimy mało padało i ziemia była twarda. Skopanie działki trwało dłużej niż zwykle, ale Kostas Arvanitis cieszył się, że jest tutaj tuż przed zmierzchem, gdy słońce zachodziło, a księżyc wschodził nad wzgórzami. Cyprysy rysowały się na tle nieba niczym ostrza noży.

Pracował na swoim małym poletku przez cały dzień, kopiąc i kopiąc, żeby przygotować glebę do sadzenia. Miał tu kilka hektarów, z których połowę zajmowały drzewka oliwne i pomarańczowe. O ósmej uznał, że pora kończyć.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, lecz od pierwszego dźwięku. Jego szpadel w coś uderzył. Tym razem nie usłyszał metalicznego *bang* łopaty trafiającej na krzemień – zgrzytu, od którego bolały go zęby, dość częstego na tym skalistym terenie, gdzie bez końca przesiewało się ziemię, by pozbyć się kamieni. Ten ton był inny: jasne *bing*, które zabrzmiało niczym muzyczna nuta, czysty, podobny do dzwonu dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał.

Choć było już ciemno, pochylił się, żeby sprawdzić, co znalazło się pod łopatą. Z początku niczego nie widział, ale kiedy odgarnął palcami ziemię, zobaczył coś, co wyglądało jak wielki biały kamień. Próbował go podważyć, lecz kamień nawet nie drgnął. Musiał z tym poczekać do rana. Zebrał swoje narzędzia, wstał i odchylił się do tyłu, żeby rozprostować grzbiet. Słyszał, jak trzeszczą mu kości w stawach. Jego ciało protestowało przeciwko wielogodzinnej ciężkiej pracy, ale ten mały splachetek ziemi był powodem, dla którego wstawał rano z łóżka, jego życiem.

Ruszył wolnym krokiem przez przyległy gaj oliwny, zapalając co jakiś czas zapalniczkę, by oświetlić ścieżkę między drzewami. Jego *kypos* leżało prawie kilometr od szutrowej drogi, na której zostawił pick-upa i niełatwo było mu zatargać do niego wszystkie ciężkie narzędzia. Dotarł tam po półgodzinie, w kompletnych ciemnościach.



Nigdzie mu się nie spieszyło. Dwadzieścia minut później był już w wiosce, ale tam również zatrzymał się na chwilę przy kiosku, a potem w kafenionie, by odwlec powrót do domu.

Noce były wciąż chłodne i zerwał się wiatr. Kostas przemarzył do szpiku kości i marzył o szklaneczce czegoś mocniejszego.

– *Stin iyeia sou*. Zdrowie – powiedział *kafetzis*, stawiając przed nim kieliszek.

Kostas wychylił go do dna i delikatnie odstawił na kontuar, dając do zrozumienia, że *kafetzis* może go ponownie napęlić.

W rogu sali grali w karty czterej mężczyźni, ale kiedy wszedł, nie podnieśli nawet wzroku. Ludzie byli tu oszczędni w słowach, rzadko się uśmiechali. Najbardziej cenili sobie święty spokój. Wiszący na ścianie mały telewizor był wyłączony.

Nikt zbytnio się nie interesował tym, co robią inni. Każdy pilnował własnego nosa i wszyscy mieli do opowiedzenia te same historie. Większość miała dzieci, które wyjechały z wioski, i żony czekające na nich w domu. Nie rozmawiali o polityce, bo wszyscy wyznawali podobne poglądy, a ci bardziej prawicowi chodzili do innego kafenionu. Dlatego nie było o czym gadać i siedzieli w milczeniu.

– Gdzieś ty się podziewał?! – usłyszał Kostas, kiedy tylko wszedł do domu. – Dlaczego się spóźniłeś? Kolacja wystygła! Przyniosłeś cebulę? Nie mogłeś wrócić wcześniej? Byłeś w kafenionie? Piłeś?

Żona wrzeszczała na niego z przylegającej do domu komórki. Grad pytań, którymi go obrzuciła, był taki sam jak zawsze, podobnie jak jego zdawkowe odpowiedzi.

Siwowłosa i pękata jak beczka Stella wmaszerowała do pokoju i postawiła przed nim talerz, a potem drugi, dla siebie, w przeciwnym końcu stołu.

Kostas zaczął jeść, z głową pochyloną nad talerzem, nabierając łyżką jedzenie i nie podnosząc wzroku. Nie rozmawiali. Wyglądało to tak samo codziennie, od kilkudziesięciu lat. Patrzył na jedzenie, nie na swoją żonę. A ona przez cały czas siorbała i mlaskała. Trudno jej było przeżuwać z zaledwie czterema czy pięcioma zębami, lecz mimo to przez cały czas tokowała, czepiając się go i plując kawałkami mięsa i warzyw.

Telewizor grał na cały regulator, ekran był podzielony na osiem kwadratów. W dyskusji brali udział politycy, jedna kobieta i siedmiu mężczyzn, każdy mówił o kryzysie gospodarczym, którego nie sposób rozwiązać. Nikt nikogo nie słuchał; wszyscy perorowali podniesionym głosem, każdy chciał przekrzyczeć innych. Debata zaczynała się rano i toczyła aż do wieczora, na tym lub innym kanale.

Życie Kostasa składało się z dwóch części. Z dnia i nocy. Ze spokoju i zgiełku.

Po kolacji trzeba było iść spać. Prysznic i ubikacja mieściły się na zewnątrz, niezmiennie przez sześćdziesiąt lat jego życia, a woda była nieogrzewana. Zimny prysznic nie stanowił dla niego problemu, ale dla Stelli stał się pretekstem, żeby się nie myć. Skórę miała czasami ciemną od brudu, lecz ponieważ w domu nie było silnych żarówek, nie zdawała sobie z tego sprawy. Jak wiele kobiet w tej wiosce, od lat nie przeglądała się w lustrze. W komórce z prysznicem było małe lustro, z którego Kostas korzystał przy goleniu, ale dla niej wisiało zbyt wysoko. Przypalane potrawy świadczyły, że ma słabe powonienie, i przypominał mu o tym co noc jej zapach, kiedy wchodził po schodkach do niskiego pomieszczenia, w którym spali na jednym, przypominającym sarkofag, betonowym łóżku.

Teraz leżała już pod cienką kołdrą, rzucając się, obracając z boku na bok i mrużąc przez sen. Kostas położył się obok niej i wbił oczy w sufit. Promień księżyca padał przez szparę w zasłonach na ich przybite do ściany wyblakłe małżeńskie korony.

W końcu on też zasnął i obudził się nazajutrz o świcie, słysząc upiorne zgrzytanie zębów Stelli. Wyślizgnął się z łóżka, chwycił swoje ubranie i zszedł na palcach na dół. Po kilku chwilach siedział już w pick-upie i przekręcał kluczyk w stacyjce, modląc się, by Stelli nie zbudził warkot zimnego silnika.

Zaczynało się dopiero rozjaśniać, ale wiedział, że kiedy dotrze do swojego

pola, słońce wszędzie już nad wzgórzami. Choć nadal bolały go stawy, chciał jak najszybciej zacząć kopać.

Jego pick-up był jedynym pojazdem na drodze. W ciągu dwudziestu minut nie spotkał nikogo. Mimo że wciskał gaz do dechy, igła szybkościomierza rzadko przekraczała trzydzieści kilometrów na godzinę. Normalnie się tym nie przejmował, bo nigdzie mu się nie spieszyło: nie musiał się z nikim pilnie zobaczyć ani pilnie czegoś zrobić. Jednak tego dnia było inaczej. Tego dnia czuł się inaczej.



Skrecając w szutrową drogę, zorientował się, że serce bije mu szybciej. W końcu zaparkował na poboczu. Wszystkie narzędzia trzymał pod plandeką na skrzyni pick-upa. Wyciągnął stamtąd dużą łopatę i rydel. W schowku miał zawsze małą butelkę brandy, którą teraz wyjął i wcisnąwszy ją do górnej kieszeni marynarki, ruszył różnym krokiem w stronę pola.

Dotarłszy tam, spojrzał na ziemię i jego wzrok padł na jasny kamień. Musiał się nim zająć w pierwszej kolejności. Dopóki go nie usunie, nie będzie mógł niczego zasiać. W nocy wiatr zwiął z niego trochę ziemi i podchodząc bliżej, Kostas zobaczył, że jest bardziej odsłonięty. Kiedy przetarł go dłońmi, okazało się, że ma perłowy połysk. Łopata wydawała się w takiej sytuacji zbyt brutalnym narzędziem. Skądkolwiek się wziął, kamień wydawał się wyjątkowy i Kostas nie chciał go zniszczyć.

Przez cały ranek odgarniał ziemię rękoma, coraz bardziej go odsłaniając. Robił wrażenie płaskiego, bez żadnych krawędzi. Kostas nie miał pojęcia, jak jego pomidory, cukinia i fasola rosły tutaj przez tyle lat, mając pod korzeniami taką przeszkodę. Ostatnio zaobserwowano w okolicy ruchy tektoniczne i to one musiały przesunąć kamień wyżej. Jeśli go stąd usunie, warzywa tylko na tym skorzystają.

W pewnym momencie wyczuł pod swoją sękatą dłońią niewielką wypukłość.

Ponownie użył łopaty i odgarnął nią na bok wielkie grudy gliny. Godzinę później wszędzie dookoła wznosiły się stosy ziemi.

Była druga po południu. Bolały go plecy i miał pęcherze na rękach. Już kilka godzin wcześniej rzucił na ziemię swoją marynarkę, a teraz miał mokrą od potu koszulę. Podeszedł do rzędu drzewek pomarańczowych i siadł przy jednym z nich, opierając się o pień. Przez ostatnie godziny pokrzął się jedynie łykami brandy.

Zadanie, jakie sobie wyznaczył, najwyraźniej wymagało więcej czasu, ale nie zamierzał się poddawać, choć serce waliło mu z wysiłku. Dopiero po kilku godzinach uznał, że na dzisiaj dosyć.

Tego wieczoru nie miał czasu wstępować do kafenionu, pojechał prosto do domu. Szybko przełknął kolację, umył talerz i wyszedł na podwórko, żeby zapalić ostatniego tego dnia papierosa. W domu żona nie przestawała suszyć mu głowy, ale tutaj, na dworze, panowała upragniona cisza.

Trzeciego dnia w południe potwierdziło się jego przekonanie, że nie ma do czynienia ze zwykłym kamieniem. To było coś gładkiego i wyrzeźbionego. Po południu uświadomił sobie, że patrzy na pulchne kobiece pośladki. Dotknął ich zaokrąglonych kształtów i poczuł pod dłonią chłodny marmur. Do godziny trzeciej udało mu się odgarnąć więcej ziemi i mógł teraz wodzić palcem po dołeczku między pośladkami i delikatnych nierównościach kręgosłupa.

Do szóstej, pracując z ponurą determinacją, oczyścił fragment mierzący jakieś czterdzieści na osiemdziesiąt centymetrów. Dopiero gdy podniósł się, żeby rozprostować plecy, i spojrzał na efekty swojej pracy, zrozumiał, na co tak naprawdę patrzy.



To było ciało. Ciało kobiety. Widział ją teraz od tyłu prawie całą: jej nogi, pośladki, plecy i szyję aż do skraju włosów. Zaczął znów delikatnie odgarniać ziemię palcami. Kobieta leżała twarzą w dół i coraz bardziej ją odsłaniając, odkrył, że jedna z rąk spoczywa swobodnie przy boku. Druga kończyła się przy łokciu. Dla Kostasa, który urodził się i dorastał na wsi, taki widok był czymś niezwykłym. Nigdy w życiu nie odwiedził żadnego muzeum.

Zdając sobie sprawę, jak niewłaściwe było używanie łopaty, bardzo ostrożnie i bardzo lekko przesunął dłonią po rzeźbie.

Wspomnienie chwil, gdy dotykał kobiecego ciała, było tak odległe, że wydawało się niemal czymś grzesznym. Minęło od tego czasu ponad trzydzieści lat. Może trzydzieści pięć. Nie pamiętał dobrze, kiedy po raz ostatni dotykał swojej żony i kiedy miał ochotę to zrobić. Była zniewalająco piękna w wieku osiemnastu lat, gdy za niego wyszła, i wciąż urocza w wieku dwudziestu pięciu, ale po urodzeniu dwójki dzieci przestało jej chyba zależeć.

Jej tusza nie była jedynym problemem (Kostas przywykł już, że żona waży więcej od niego). Najbardziej martwił go jej brak higieny. Nie myła włosów przez wiele miesięcy i nie wiedział, czy odór, który wypełniał ich sypialnię, wydzielają jej włosy, czy ciało. Mając czterdzieści lat, wyglądała na sześćdziesiąt, wypadły jej prawie wszystkie zęby, a włosy wyrosły w najróżniejszych miejscach ciała. Kostas nie oglądał się za innymi żonami, ale nie patrzył też na swoją.

Przez kilka następnych godzin rył palcami w ziemi, odgarniając pojedyncze grudki i próbując osłabić uścisk, w jakim ziemia zdawała się trzymać ciało kobiety. Widząc to, co się przed nim wylaniało, nie wierzył własnym oczom. O dziesiątej wieczór był skonany i niewiele już mógł zdziałać po ciemku.

Kiedy przyjechał do domu, talerz z jedzeniem czekał na stole. Żona była już w łóżku. Łykowate mięso zupełnie ostygło, ale przełykał je, w ogóle nie gryząc, a potem wziął swój wieczorny prysznic. Tym razem musiał szczególnie mocno szorować paznokcie. Pod każdym było pełno ziemi z jego pola.

Kiedy wyszedł spod prysznica i spojrział w mrok, ogarnęło go niezwykle poczucie spełnienia. Wypalając ostatniego tego dnia papierosa, usłyszał pohukiwanie sowy.

Rano wymknął się jeszcze przed świtem, zabierając z kuchni małą szczotkę. Chciał nią oczyścić swoje znalezisko.

Może dziś będzie mógł ją wreszcie całą obejrzeć.

To, co robił, przypominało teraz bardziej pracę archeologa niż ogrodnika. Zapomniał już, że miał coś zasadzić.

Tego ranka poczuł, że posąg znów lekko się poruszył. Bardzo chciał zobaczyć twarz kobiety, ale odsłonięcie jej w całości musiało zająć trochę czasu, i nawet wówczas mogła się okazać zbyt ciężka, by zdołał ją odwrócić.

Przez wiele dni pracował z wielką dbałością i pieczołowitością, traktując

kobietę, jakby była najcenniejszą rzeczą na ziemi. Dla niego była.

Wygrzebując spod niej ziemię, trafił na długi smukły przedmiot. Z początku wziął go za kość jakiegoś zwierzęcia, ale potem zorientował się, że to palec. Był lekko zgięty, z idealnie odtworzonym paznokciem i fałdkami w miejscu zgięcia. Włożył go ostrożnie do kieszeni koszuli. Chwilę później odnalazł resztę dłoni. Była taka delikatna i krucha. Choć przetrwała w prawie nienaruszonym stanie tyle czasu, trzymał ją przed sobą z nabożeństwem, jakby była z porcelany. Położył ją na marynarce, którą rzucił wcześniej na ziemię. Zbudziła się w nim dawno zapomniana czułość.

W trzecim tygodniu wykopalisk Kostasa wyrwał w nocy ze snu szum ulewy. Starając się nie zbudzić chrapiącej żony, wyskoczył z łóżka, naciągnął na siebie ubranie (sprawdziwszy przedtem, czy marmurowy palec wciąż tkwi w kieszeni koszuli) i wybiegł z domu.

Stojący na podwórku pick-up z trudem zapalił. Kostas wrzucił bieg i odjechał. Powinien był wczoraj okryć swoją kobietę.

Kiedy dotarł do swojego pola, zobaczył, że to, co odkopał w ciągu kilku ostatnich dni, zostało zalane rzadkim błotem. Zgromił się w duchu, że nie osłonił posągu. Gdy wzeszło słońce, wytarł go szmatą, po czym zaczął ponownie odkopywać. Teraz, kiedy ziemia była wilgotna, mógł pracować szybciej, wybierając kolejne grudy spod torsu, a potem spod nóg. Wymagało to wielkiej pieczołowitości, ale nie musiał się spieszyć. Czerpał przyjemność z samej świadomości, że praca postępuje naprzód.

Jego obsesja na punkcie posągu rosła wraz z każdym odkopanym fragmentem uda, kolana i łydki. Kobieta była od niego wyższa. Od czubka głowy do pięt mierzyła prawie dwa metry.

Jeszcze tylko cztery lub pięć dni pracy i ją uwolni.

Mężczyźni w kafenionie zauważyli, że Kostas z każdym dniem później wraca do domu. Dni robiły się coraz dłuższe, a razem z nimi i jego godziny pracy. Zauważyli również, że wychudł i ma zmierzwione włosy (nie miał teraz czasu, by co tydzień odwiedzać fryzjera). A także, że wydaje się bardzo szczęśliwy. Mizerny, lecz szczęśliwy.

Choć normalnie mężczyźni rzadko się odzywali, teraz zaczęli wymieniać półgłosem uwagi.

– Wygląda, jakby miał dziewczynę – powiedział jeden.

– Kostas?

– A co innego sprawia, że mężczyzna zmienia swoje przyzwyczajenia? – rzucił inny.

– Ale z takim wyglądem? – zdziwił się kolejny. – Zupełnie się pogubił.

Kostas Arvanitis się zakochał. Co do tego nie było wątpliwości. Zakochał się w Afrodycie. Nie znał nawet jej imienia, lecz takie właśnie nosiła. Niczym

starożytna śpiąca królewna, którą trzeba wskrzesić, leżała tam przez tysiąclecia, czekając, aż ktoś ją odnajdzie. Jej piękno wywarło na nim piorunujące wrażenie. Przed wieloma tysiącami lat rzeźbiarz uwierzył – podobnie jak wszyscy portretujący bogów artyści – że tworzony przez niego posąg nie tylko przedstawia boginię, ale też nią rzeczywiście jest. Kostas doświadczał mocy tego przeświadczenia.

W końcu zobaczył ją całą, leżącą twarzą w dół, nagą, idealną, zmysłową i silną. Boginię miłości i piękna. Długo się jej przyglądał. Ogromnie ciekawiła go jej twarz, lecz choć miał ochotę obrócić ją już teraz, musiał z tym poczekać do rana.

O północy przykrył ją kocem.

– *Kalinihta, agapi mou* – szepnął w ciemności.

Od tej chwili aż do następnego dnia myślał tylko o niej. Widział ją w swoich snach. Życie zaoferowało mu nagle coś, co wykraczało poza codzienny kierat, utyskiwania zręczliwej żony, awantury polityków i udręczone twarze w kafenionie. W miejsce rezygnacji pojawiła się miłość.

Kiedy dotarł nazajutrz na pole, słońce wyglądało właśnie zza wzgórz. Serce biło mu szybko, gdy szedł przez gaj oliwny. Rozłożył narzędzia i ściągnął koc z kobiety. Oto leżała przed nim w całej swojej doskonałości. W pierwszych promieniach słońca wydawała się jeszcze bielsza i czystsza. Kryształki w marmurze sprawiały, że lekko się skrzyła.

Używając sznura i desek, które przywłókł z pick-upa, Kostas musiał teraz podważyć i odwrócić posąg. Była to praca dla pięciu albo sześciu mężczyzn, ale on chciał mieć swoją kobietę tylko dla siebie. Zamierzał zrobić to sam. Trochę czasu zajęło mu ustawienie wszystkiego w odpowiedniej pozycji. Pierwsze próby były nieudane. Najbardziej obawiał się tego, że posąg pęknie.

Wreszcie, koło trzeciej, udało mu się wszystko właściwie przygotować. Nacisnął mocno dźwignię i kobieta lekko się uniosła.

Zaledwie przez sekundę, zanim z powrotem opadła, Kostas zobaczył jej twarz. Tylko z profilu, lecz to mu wystarczyło.

Dostrzegł wyrazisty nos, pełne wargi i skraj idealnie owalnego oka. W jego kąćku rzeźbiarz zaznaczył muśnięciem dłuta linie uśmiechu.

Nieskazitelne było nie tylko jej ciało, lecz i twarz.

Kostas gwałtownie zaczerpnął powietrza. Afrodyta po raz kolejny upadła twarzą na ziemię, a jego, podobnie jak każdego śmiertelnika, który ją przed nim ujrzał, poraziła moc jej erotyzmu.

Ponownie zaczerpnął powietrza. Nadal brakowało mu tchu i niebawem poczuł zaciskającą się na jego piersi obręcz i ból w ramionach. Zdał sobie sprawę, że próbując ją podnieść, się przedźwignął.

Położył się, w nadziei, że to usmierzy dolegliwości. Wyciągnął się tuż przy rzeźbie i oparł o nią głowę. Była zaskakująco miękka, jego policzek idealnie

pasował do zagłębienia jej karku.

Kostas nigdy już nie podniósł się z ziemi.

Kiedy Orestes dotarł na pole przyjaciela, było za późno, by go uratować. Odcinając z wielkim smutkiem ciało Kostasa na bok, wymacał nagle coś twardego w kieszeni jego koszuli. Wyjął z niej marmurowy palec, a potem przykrył Kostasa kocem, którym ten osłaniał Afrodytę.

Orestes wiedział, że odkrycie starożytnej rzeźby na polu, a nawet gdzieś w mieście, nie przyniesie nikomu nic dobrego. Poważnie zakłócało to codzienne życie. W całej Grecji prace budowlane mogły trwać nawet dziesięć razy dłużej (dobry przykład stanowiła budowa metra w Salonikach), jeśli tylko zachodziło podejrzenie, że w pobliżu można odkopać jakieś starożytności. Nikt w wiosce nie ucieszyłby się z odnalezienia posągu. Kto wie, co jeszcze leżało pod spodem. Ostatnią rzeczą, jakiej tu pragnęli, była zgraja archeologów szwendająca się po ich polach i zabraniająca budowania czegokolwiek i uprawy roli.

Orestes z powrotem zasypał rzeźbę ziemią. Wyrównanie jej i udeptanie zajęło mu całą godzinę.

Następnie, wciskając gaz do dechy, popędził z powrotem do wioski i przekazał wiadomość Stelli.

– To musiał być atak serca – stwierdziła.

Lekarz się z tym zgodził. Orestes zadzwonił do kafenionu i wraz z dwoma innymi mężczyznami z wioski załadowali do pick-upa taczkę i pojechali po ciało. Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz, ale wcześniej Orestes zamierzał odwiedzić dom Kostasa, gdzie jego przyjaciel leżał w otwartej trumnie, i dyskretnie wsunąć drogocenny fragment Afrodyty do górnej kieszeni jego marynarki. Wiedział, że Kostas bardzo by tego pragnął.

Być może jakiś inny mężczyzna będzie w przyszłości przekopywał tę ziemię i dokona takiego samego odkrycia. Niewykluczone, że Kostas nie był wcale pierwszy...



Wyobrażam sobie Kostasa, szczęśliwego i spełnionego w chwili śmierci. Może tak naprawdę tylko to się liczy. Myślę, że w ciągu tych kilku tygodni uczucie

do Afrodyty pozwoliło mu odzyskać utraconą chęć życia. Grecy zdają sobie sprawę, że istnieją różne rodzaje miłości i jedno słowo nie pasuje do nich wszystkich. Granice między nimi są płynne, ale generalnie rzecz biorąc, agapi (najbardziej uroczyście określenie) jest zarezerwowane dla Boga i rodziny, filia dla przyjaźni, a erotas dla pociągu seksualnego. Erotas była nieobecna w życiu Kostasa od bardzo dawna i na krótką chwilę odczuł ponownie jej ożywczą moc.

W wielu górskich wioskach, przez które przejeżdżałem, tam gdzie starsi ludzie tracą zęby, włosy i zainteresowanie tym, jak wyglądają, trudno jest sobie wyobrazić, co przyciąga do siebie przedstawicieli obu płci. Zważywszy, że umiłowanie piękna wydaje się czymś wrodzonym, można się zastanawiać, dlaczego natura obdarza nim tak niewielu i na tak krótki okres.

Nie potępiam Kostasa za to, że urzekło go piękno. Poznał na własnej skórze moc Afrodyty. W minionych miesiącach przekonałem się, że umiłowanie piękna i urzeczenie nim to dwie różne rzeczy. W przyszłości postaram się być ostrożniejszy, wiedząc, że takie urzeczenie może nas doprowadzić do utraty zmysłów. „Piękno to tyrania, która trwa krótko”, powiedział Sokrates i miał rację.

Poszedłem na pogrzeb Kostasa, a jego rodzina zaprosiła mnie później na stypę. Ani trochę nie czułem się tam intruzem. Obserwowałem ubraną na czarno Stellę, która nie wydawała się zasmucona bardziej ode mnie.

Orestes i Eleni wynajęli mi pokój nad tawerną i ostatecznie zostałem tam przez wiele tygodni. Czułem się jak w domu. Polubiłem nawet namolne koty, które codziennie ocierały się o moje nogi, kiedy jadłem kolację – i z wielką niechęcią oddawałem im kilka kęsów przepysznego jedzenia, jakie przyrządzała Eleni. Przez cały dzień pisałem, a wieczory spędzałem na ogół w kafenionie. Jeden z przesiadujących tam mężczyzn (to on pojechał z Orestesem po ciało Kostasa) uczył mnie cierpliwie trzech popularnych w Grecji odmian tryktraka: plakoto, fevga i portes. Grając z nim, zapominałem o bożym świecie, bo w tej grze nie wolno się ani na chwilę zdekoncentrować. Tavli, jak ją się tutaj nazywa, wydaje mi się najlepszą metaforą tego, jak toczy się życie. To, jakie wyrzuci się oczka (można mieć dwie szóstki, a można jedynekę i dwójkę), jest kwestią szczęścia, lecz tylko od gracza zależy, co dzieje się później. Kiedy jego palce przesuwają pionki z jednego trójkąta do następnego, liczą się umiejętności, doświadczenie, rozwaga i zdolność

koncentracji. Po pewnym czasie zacząłem nawet wygrywać.

Niecałe dwa miesiące po przyjeździe do wioski ukończyłem w zarysie pierwszą połowę mojej książki i mimo protestów Eleni i Orestesa uznałem, że powinienem ruszać dalej. Eleni miała wielką ochotę przedstawić mnie swojej niezamężnej siostrzenicy.

– Jest nauczycielką – powiedziała. – I pod koniec marca przyjedzie tu z Arty na ferie. Niedługo skończy trzydzieści pięć lat. Wy dwoje macie ze sobą wiele wspólnego i potrzebna ci jest porządna kobieta.

– Nie będzie chciała kogoś w moim wieku – odparłem. – Mam już czterdzieści pięć lat.

– Ale wciąż jesteś całkiem przystojny – zauważyła Eleni, głaszcząc mnie czule po policzku.

Staralem się być taktowny, lecz kolejny związek był ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem. Nie byłem na niego gotów i w ogóle mnie to nie interesowało.

Poza tym zostało mi jeszcze sporo Grecji do obejrzenia. Nad stołem, przy którym siadałem, wisiał na ścianie tawerny stary plakat, który wyglądał zupełnie jak fotomontaż. Przedstawiał monaster, który stał na szczycie przypominającej kolumnę skały i musiał być kompletnie niedostępny z dołu.

– Musisz tam pojechać – stwierdziła stanowczo Eleni. – Akseizi ton kopo.

– Ona ma rację – przyznał Orestes, wyjątkowo zgadzając się z żoną. – Naprawdę warto.

Obiecawszy obojgu, że kiedyś do nich wrócę i przywiozę im książkę, którą

tam pisałem (spędziłem z Orestesem długie godziny, dyskutując o sile wyrazu rzeźby), spakowałem się i o dziesiątej rano z wielkim smutkiem wyjechałem z wioski. Odnalazłem tu prawdziwy spokój.

Następny cel podróży zaplanowałem dokładniej niż poprzednie.

Jednak nawet oglądany w tawernie plakat nie przygotował mnie na dziwne, niesamowite krajobrazy Meteorów. Miałem wrażenie, że trafiłem na inną planetę. Słowo „Meteory” oznacza „zawieszony w powietrzu” i takie właśnie są te podniebne monastera, wzniesione wysoko na sześćsetmetrowych skałach. Mniej więcej przed dwudziestoma pięcioma milionami lat woda znajdująca się w miejscu, gdzie teraz stoją, przedarła się przez skały i wylała do Morza Egejskiego. Ukształtowany później przez wiatry i deszcze krajobraz wydaje się jednocześnie mistyczny i wysublimowany.

Ponad tysiąc lat temu pierwsi asceci, odmawiając sobie światowych i cielesnych uciech, wdrapali się do jaskiń, które powstały w tych skałach. Odcięci od świata, szukali wysoko nad chmurami ekstazy, która połączyłaby ich z Bogiem.

Kilkaset lat później, z nieprawdopodobną wręcz znajomością inżynierii, mnisi wnieśli kamienie na szczyt góry i zbudowali pierwszy z dwudziestu czterech monasterów. Sześć z nich przetrwało do dzisiaj, z niewielkimi społecznościami mnichów, którzy za towarzyszy mają tylko wizerunki świętych. Żyją w oddaleniu od świata, bliżej nieba.

Wspiąwszy się stromą ścieżką do najwyższego z nich, Megalou Meteorou, zastanawiałem się, w jaki sposób ta izolacja wpływa na mnichów. Czy nadal zawdzięczają jej spokój ducha?

W Kalambace, mieście położonym najbliżej monasterów, spotkałem pewnego duchownego. Staliśmy obaj w absurdalnie długiej kolejce do bankomatu. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, przede wszystkim o ograniczeniach wypłat z greckich banków (czego mimo upływu kilku miesięcy nadal nie uchylono).

– Ja osobiście nie mam nic przeciwko wypłacie w wysokości sześćdziesięciu euro dziennie – stwierdził. – To więcej, niż wydaję przez miesiąc.

Mówił chyba prawdę. Zapytałem go o reguły życia zakonnego w tym odległym regionie, a on odparł, że samotność i odcięcie od świata nie wszystkim odpowiadają. Wskazując głową monaster nad naszymi głowami, opowiedział mi o czymś, co zdarzyło się tam przed kilku laty.

MEZGYZNA NA
SZCZYCIE GÓRY





MEŹCZYZNA NA SZCZYCIE GÓRY

W salonie zadzwonił telefon i wysoki muskularny czterdziestopięciolatek szybko podniósł słuchawkę z widełek. Połączenie się urwało, lecz on dobrze wiedział, kto dzwonił.

– Giannis! – zawołał do drugiego pokoju. – Chodź tu natychmiast!

Giannis stanął w drzwiach.

– Powiedz tej dziewczynie, żeby przestała dzwonić – rzucił gniewnie ojciec. – Wystarczy, że widujecie się w szkole. Dlaczego nie jesteś taki jak twój brat? – dodał i trzepnął starszego syna w ucho.

Dimitris, który czytał coś cicho w kąciku, zakomunikował im jakiś czas wcześniej, że chce wstąpić w stan kapłański. Nauczyciel zabrał kiedyś grupkę uczniów do jednego z monasterów na górze Athos, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie mieszkali. Ta wycieczka kompletnie odmieniła Dimitrisa.

„Odnalazłem w sobie powołanie”, oznajmił rodzicom. W przeciwieństwie do starszego Giannisa nigdy nie grał w piłkę, pilnie się uczył i nie w głowie mu były dziewczyny. Teraz myślał głównie o Bogu.

Mieszkająca z nimi babcia stale żegnała się znakiem krzyża, nanosząc Ojca, Syna i Ducha Świętego na swoje czoło, brzuch i ramiona. Robiła to w pociągach, autobusach i na ulicy, za każdym razem, gdy ujrzała przydrożną kapliczkę albo cerkiew, a trudno było przejść kilkaset kroków, by na jakąś nie trafić. Przed wizytą

Dimitrisa na górze Athos była to jedyna styczność chłopców z religią, jeśli nie liczyć corocznej wizyty w cerkwi, do której ta sama *yia-yia* zabierała ich na Wielkanoc. Ich ojciec był czcicielem płynnego wysokoprocentowego bożka. Jeśli nie życzył sobie, by jego żona chodziła do kościoła, nie ośmielała mu się sprzeciwić. Wiele razy skrzywdził ją po pijanemu i nie chciała go więcej prowokować.

Jednak usłyszawszy o decyzji Dimitrisa, babcia zareagowała, jakby ktoś ją spoliczkował.

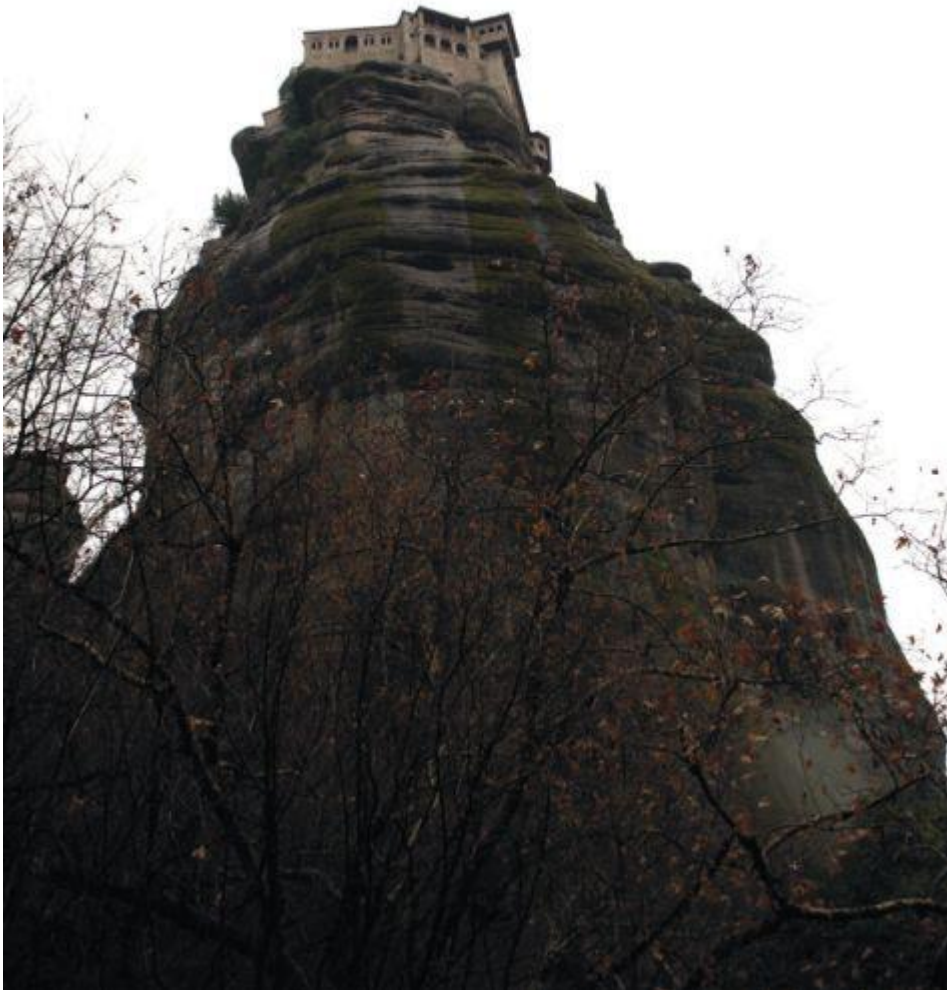
– *Thé mou!* Mój Boże!

Sama była pobożną kobietą, ale żeby jej własny wnuk poświęcił całe życie Bogu? To było zupełnie coś innego. Co mu strzeliło do głowy? To jakiś obłąd.

– Nie powinnaś wieszać w jego pokoju obrazka góry Athos – powiedziała do córki. – A przede wszystkim nie powinnaś była pozwolić mu tam jechać. Cóż to za historia! To nie jest normalne u dziecka w jego wieku.

Jego matka uważała, że to problemy okresu dojrzewania. Jeden z jej synów modlił się i trzymał Biblię przy łóżku, drugi miał trądzik i chował sprośne czasopisma pod materacem. Nie traciła nadziei, że w stosownym wieku obaj z tego wyrosną. Jej mąż groził, że jeśli nie, to połamie im kości.

Po kilku latach Giannisowi krosty rzeczywiście przestały dokuczać, lecz Dimitris poszedł do seminarium i wysłano go w końcu daleko od rodzinnych stron. Meteory leżały w pewnej odległości od morza, a ich dwadzieścia cztery monastery (tylko w kilku nadal żyli mnisi) przycupnęły niepewnie na krawędzi wapiennych skał, wysokich na kilkaset metrów. Wydawało się, że mnisi przebywają tam gdzieś między tym a tamtym światem, zawieszeni między niebem a ziemią. Domy stojące w ich cieniu nigdy nie widziały słońca.



Co roku Giannis wybierał się w długą podróż, by odwiedzić brata. Ta wizyta była dla niego jedyną okazją, by przez chwilę obcować ze światem ducha. Pędząc z Karditsy swoim najnowszym sportowym autem, poczuł zastrzyk adrenaliny. Nie z powodu widoku wyłaniających się przed nim tajemniczych i odległych monasterów, lecz dlatego, że na prawie pustej prostej drodze mógł wreszcie wcisnąć gaz do dechy.

Jeżdżąc do Meteorów, za każdym razem prowadził bardziej szpanerski samochód. W pierwszym okresie pobytu brata w górach to był nissan. Potem zastąpiło go bmw, w tym roku było to czerwone porsche. Dimitris nie zobaczył, niestety, żadnego z nich, bo Giannis musiał je zostawiać w pewnej odległości od monasteru.

Przyjeżdżał zwykle na początku roku, kiedy pogoda była mglista, a w tym miesiącu spadło w tej części Grecji dużo śniegu. Zamykając samochód, z irytacją zdał sobie sprawę, że zapomniał zabrać buty na zmianę. Jego zamieszane mokasyny

zupełnie nie nadawały się do górskiej wspinaczki. Żeby dotrzeć do monasteru, trzeba było długo iść pod górę przez stary las, stąpając po opadłych z drzew mokrych liściach.

Musiał uważać przy każdym kroku. Gęsta mgła ograniczała widoczność do pięciu metrów, ale wspiąwszy się na szczyt, zobaczył, że chmury zostały na dole.

Z tego miejsca widział już monaster i po kilku minutach dotarł do brukowanej alejki, która zawiodła go do głównej bramy. Przystanął tam i spojrzał na falującą niżej szarą mgłę. Chwilę później wyłoniła się z niej płynąca swobodnie w powietrzu postać.

Giannis uśmiechnął się. Jego brat przybywał w czymś na kształt statku kosmicznego.



Dimitris wysiadł z małego wagonika kolejki i podszedł do Giannisa. W rękę trzymał wypełnioną prowiantem niebieską plastikową torbę, którą miejscowy sklepikarz zostawiał co tydzień na dole.

Nachylając się, by go uściskać, Giannis poczuł zapach niemytego ciała i włosów. Zobaczył, że broda Dimitrisa jest skołtuniona. Jego zrobiony na drutach czarny sweter miał kilka dziur, a habit pod spodem był poplamiony. Zupą? Mlekiem? To mogło być cokolwiek. Zszokowało go, jak wielka zmiana zaszła przez ten rok w wyglądzie brata.

– Przyjemny sposób podróżowania – skomentował. – Myślałem, że zbliża się do mnie Bóg we własnej osobie.

– Trochę to bezpieczniejsze od dawnej metody – przyznał z uśmiechem Dimitris.

Przed zbudowaniem kolejki mnisi wciągali się wzajemnie na szczyt w sieci.

Kiedy podeszli razem do bramy, Giannis zauważył, że brat utyka.

– Coś ci się stało w nogę? – zapytał.

– Nie, nie. To tylko pęknięty sandał. Muszę go zeszyć.

Pasek zużył się i zerwał i brat powłóczył teraz nogą, żeby sandał mu nie spadł.

Giannis uświadomił sobie z rozdrażnieniem, że prawdopodobnie będzie musiał wyrzucić własne buty. Skarpetki miał zupełnie mokre i czuł, że zdrętwiały mu palce u stóp.

Pod gęstą czarną brodą twarz jego brata była delikatna i blada, osłaniana przed działaniem żywiołów wysokimi murami monasteru, w którym nigdy nie świeciło słońce. Nie było na niej ani jednej zmarszczki. Mimo zarostu wyglądał dziecinnie.

Giannis wydawał się od niego o wiele starszy, a to za sprawą alkoholu, narkotyków, papierosów, długich godzin spędzanych na słońcu i innych swoich przywar i uciech. Na jego twarzy odcisnęła piętno wieczna ucieczka przed długami i podatkami, bezustanne kombinacje, szachrajstwa i przekręty. Jednak fizycznie był w dobrej formie. Mimo dekadentckiego stylu życia regularnie odwiedzał siłownię, gdzie podnosił ciężary, i od czasu do czasu biegał w półmaratonach.

Dimitris nie przyglądał się bratu. Zauważył tylko jaskrawy emblemat na jego marynarce i poczuł silny zapach płynu po goleniu, którego nie tłumił nawet swąd płonących wokół nich świec.

Zostawił torbę z zakupami w małej komórce przy wejściu i obaj bracia przeszli razem przez kaplicę.

Malowidła ścienne, które mijali, wykonał czterysta lat wcześniej artysta z Krety i należały do najrzadszych i najcenniejszych w całej Grecji. Theophanis malował również obrazy na górze Athos i na twarzach świętych widać było podobne połączenie radości i smutku, słynne *harmolipi*, które wywarło tak mocne wrażenie na Dimitrisie podczas szkolnej wycieczki.

Na niskim stoliku przed nimi leżał na dużym talerzu pokrojony w kostkę święcony chleb. Zgłodniały po długiej wspinaczkę Giannis zwalczył w sobie pokusę, by po niego sięgnąć.

Dimitris zauważył, że bratu podryguje nerwowo lewa stopa. Przy każdym jej ruchu połyskiwała mała złota klamerka na jego mokasynie. Domyślał się, że dręczy go głód nikotyny.

– Przepisy, jak przypuszczam, nadal się nie zmieniły? – zapytał Giannis.

Zakrawało na ironię, że w miejscu, gdzie przez dym ze świec i kadzideł ciemniały i znikwały bezcenne ścienne malowidła, palenie papierosów było surowo wzbronione. Nie wolno było zapalić nawet na zewnątrz, gdzie popiół można by strząsnąć kilkadziesiąt metrów w dół.

– Niestety nie – odparł Dimitris, wznosząc oczy ku niebu.

- Ustanowione są przez samego Boga?
- Nie – powiedział Dimitris. – Przez tego, który jest nad Nim.
- Biskupa?

Kiedy Dimitris usiadł w głębi kaplicy, brat przyjrzał mu się uważniej. Mimo młodzieńczej twarzy Dimitris miał wydatny brzuch i pochyloną sylwetkę; na Giannisie sprawiał wrażenie człowieka, który się zapuścił. On sam szczyił się swoją świetną kondycją.

Przestrzeń, w której poruszał się na co dzień Dimitris, była mniejsza od więziennego spacerniaka. W każdej chwili mógł pojawić się ktoś z jego trzódki i wszyscy spodziewali się, że będzie stale obecny w monasterze. Od czasu zainstalowania kolejki, którą jeździł w górę i na dół, zażywał jeszcze mniej ruchu.

- Co u rodziców? – zapytał.
- To samo co zawsze – odrzekł Giannis. – Nic się nie zmieniło. Ojciec nadal pije. Po śmierci babci nawet więcej. Przy niej próbował się przynajmniej trochę ogarnąć.

- Więc nadal podnosi rękę na matkę?
- Oczywiście.
- Nie możesz czegoś zrobić?
- A ty? Nie możesz się mocniej modlić?

Podobnie jak to się działo, gdy byli chłopcami, Giannis robił wszystko, by sprowokować pobożnego brata.

- Mieszkam nad nimi, więc czasami słyszę, co się dzieje. Ale kiedy schodzę, jest już na ogół po wszystkim. Siedzą tam i oglądają telewizję, jakby nic się nie stało. Matka pociąga nosem. Udaje, że się przeziębila.

Minęło kilka chwil. Giannisowi przyszło na myśl, że Dimitris zaczął się modlić.

- *Gamoto!* – zaklął nagle, przerywając ciszę. Ordynarne słowo zazgrzytało niemiło w świętym miejscu, lecz Dimitris w ogóle nie zareagował. – Matka upiekła ci trochę słodkich ciasteczek... zostawiłem je w samochodzie.

- To miło z jej strony. Ale mamy teraz post. Więc nie przejmuj się. Możesz je zjeść w drodze do domu.

Dimitris przywykł już, że jego rodzina nie przestrzega zaleceń kościelnego kalendarza.

Giannis nie musiał pytać brata, co porabia, bo z góry znał odpowiedź. Czyta Biblię, modli się i medytuje. Nawet teraz nie był pewien, czym różni się jedno od drugiego. Jediną rzeczą, która mogłaby go zainteresować, było słuchanie spowiedzi. Zawsze intrygowało go, co ludzie opowiadają w konfesjonale jego bratu i jak człowiek, który nie miał pojęcia o grzechu, na to reaguje.

- Jak idą interesy? – zapytał Dimitris.
- Mimo wszystko całkiem nieźle – odparł Giannis. – Ludzie wysupłają

ostatniego centa na espresso. Będą pili kawę, nawet kiedy cała Grecja się zawali!

Prowadził teraz pięć należących do sieci kawiarni. Podczas ostatniego kryzysu oferował najniższe ceny w Atenach i ludzie co dzień rano stali przed każdym z jego lokali. Szło mu bardzo dobrze.

– Powiedzmy, że świadczę publiczne usługi... podobnie jak ty.

Dimitris był człowiekiem małomównym. Nie przejął się sarkazmem brata.

– Rozumiesz, co mam na myśli? – Giannis nie dawał za wygraną. – Spowiedź. Kawa i spowiedź. Nie uważasz, że mają ze sobą coś wspólnego? Szybka działka czegoś, co pozwala ludziom lepiej się poczuć.

Dimitris położył ręce na kolanach i przez chwilę się w nie wpatrywał. Lepiej było nie dawać się podpuścić bratu i nie wszczynać dysputy na temat tego, co różni kofeinowy napój od jednego z sakramentów. Wbijając mocno paznokcie w dłoń, modlił się do Boga, by pomógł mu zachować spokój. Wzmianka o spowiedzi poruszyła w nim bolesną strunę.

Ta kobieta. Wciąż miał ją w pamięci.

Kilka miesięcy wcześniej monaster odwiedziła pewna para. Było to w sierpniu, kiedy do Meteorów przyjeżdża sporo ludzi. Wielu z nich to zwykli turyści, którym zależy tylko na zrobieniu zdjęć, ale część przybywa, by zaspokoić głębsze duchowe potrzeby.

Któregoś dnia przyjechała autobusem cała wycieczka. Większość uczestników przekroczyła siedemdziesiątkę i wdrapanie się na górę było dla nich prawdziwym wyzwaniem.

Razem z nimi pojawiło się młodsze małżeństwo. Dimitris zdał sobie sprawę, że nie należą do grupy.

Mąż zaczął zwiedzać muzeum, a żona została w pomieszczeniu, w którym siedział teraz z bratem. Dzień był upalny i wydawało się całkiem naturalne, że chciała odpocząć.

Miała długie, jasne kręcone włosy, na które Dimitris natychmiast zwrócił uwagę. Wszystkie pozostałe kobiety miały krótkie, sztywne od lakieru fryzury, zrobione specjalnie na wyjazd.

Żadna ze starszych osób nie wydawała się zainteresowana rozmową z mnichem, widział jednak, że młodsza kobieta szuka jego wzroku.

– Przepraszam – odezwała się cicho. – Czy ojciec mógłby wysłuchać mojej spowiedzi? Muszę do niej jak najszybciej przystąpić.

Wpatrywała się w niego błagalnie ciemnozielonymi oczami. Wydawała się drobna i wrażliwa, lecz mimo to było w niej coś dzikiego, co podkreślała gęsta grzywa niesfornych włosów.

Z początku zdziwiło go, że komuś może się spieszyć w tego rodzaju sprawach, ale potem domyślił się, że chciała się wypowiedzieć przed powrotem męża z muzeum.

– Proszę za mną – powiedział.

Zaprowadził ją przez kaplicę i prezbiterium do zakrystii, po czym zdjął z haczyka *epitrachelion*, świętą stulę, i zawiesił go sobie na szyi. Przykładając go na koniec spowiedzi do jej głowy i odmawiając formułę rozgrzeszenia, mógł oczyścić kobietę z jej grzechów.

Usiedli naprzeciwko siebie i zaczęła się spowiadać. Mówiła tak cicho, że musiał się pochylić, by coś usłyszeć.

– Tak się wstydzę – powiedziała. – Mam na sumieniu ciężkie grzechy.

– Bóg ci wybaczy – zapewnił ją Dimitris. – Bóg oczyści cię z grzechów.

– Nie sędzę, by mógł to zrobić – wyszeptała. – Bo ja nie potrafię się wyzbyć tej żądzy...

– On wybacza każdą niedoskonałość, uwalnia od wszelkiej winy.

– Ale w każdej minucie, w każdej godzinie targa mną tak wielka żądza, tak wielka namiętność, że nie mogę jej się oprzeć...

Zdyszany, ociekający seksualnością głos kobiety coś mu przypomniał i słuchając jej, Dimitris zaczął się obficie pocić. Próbował skupić się na tym, co mówiła, ale jej słowa gdzieś odpływały. Temperatura w małym dusznym pomieszczeniu wydawała się stale rosnać. W końcu zaczął z trudem łapać powietrze i zakręciło mu się w głowie. Ledwie utrzymywał pozycję siedzącą i złapał się blatu biurka, żeby nie upaść. Z nagłą straszliwą pewnością uświadomił sobie, że to on, Dimitris, popełnił grzech, który nigdy nie zostanie mu wybaczony.

Odzyskał przytomność na zimnej kamiennej posadzce. Kobieta zniknęła. Wybiegła zaraz po tym, jak zemdłał, i zaalarmowała młodego mnicha, który zwilżał mu teraz czoło mokrą szmatką. Stula leżała zwinięta pod nim.

Nie ruszając się z miejsca, wspominał swoje młodzieńcze wykroczenie, które codziennie usiłował wyprzeć z pamięci, a które teraz wróciło z pełną siłą.

Tylko raz, mniej więcej na rok przed jego wyjazdem do seminarium, Giannis namówił go, by zakradli się do pokoju babci. Tego dnia *yia-yia* była razem z ich matką na pogrzebie. W pokoju miała własny telefon. Giannis, nie po raz pierwszy, zadzwonił na „gorącą linię”, by pogadać z kimś o imieniu Natalia. Rozmawiał z nią już wcześniej, lecz tym razem zmusił brata, by wysłuchał, co jego rozmówczynie chętnie zrobiłaby napalonemu wyrostkowi. Podniecenie, jakie ogarnęło Dimitrisa, było zupełnie nowe i dzikie. Kiedy Giannis wcisnął mu do ręki pornosa, wyobraził sobie nagą Natalię, z perłową skórą, tlenionymi blond włosami i wielkimi piersiami.

Telefoniczną randkę przerwało trzaśnięcie frontowych drzwi. Dimitris wypuścił z ręki słuchawkę, ale ojciec zdążył już wejść do pokoju.

Giannis stał przy oknie, z krzywym uśmiechem na twarzy. Zaczerwieniony Dimitris w pośpiechu zapinał rozporek. Ojciec, który właśnie wrócił z baru, wyciągnął z niego dosyć, by spuścić mu lanie na goły tyłek.

Rozmowa z Natalią była najsilniejszym zapamiętanym przez Dimitrisa seksualnym doznaniem, ale wstyd po tym, jak „złapano go na gorącym uczynku”, wciąż w nim tkwił, prześladował go nawet w snach. Wciąż miał fantazje na temat kobiety, z którą rozmawiał przez telefon.

Głos usłyszany w zakrystii przypomniał mu ten, który dręczył go od piętnastu lat. Był głosem Natalii.

Spowiedź kobiety miała miejsce kilka miesięcy wcześniej, ale od tego dnia co noc leżał bezsennie do drugiej lub trzeciej nad ranem, aż wreszcie wstawał, by spędzić pozostałą część nocy na klęczkach, modląc się i płacząc z bólu, tak bardzo rwały go plecy, a kolana łupały od twardej kamiennej posadzki.

Próbował się wypowiadać, lecz nic nie mogło zdjąć z jego ramion ciężaru grzechu i stłumić jego obsesji. Walczył tak ze sobą od wielu miesięcy i spoglądający na niego z ikon święci nie byli już łagodni. Patrzyli na niego z wyrzutem.

Giannis zerknął na swojego rolexa.

– Muszę już iść – oznajmił.

Dimitris wstał.

– Dziękuję, że przyjechałeś – powiedział.

– Miło było cię zobaczyć – mruknął Giannis, cofając się raczej, niż przysuwając do brata.

– Przekaż ucałowania rodzicom – poprosił Dimitris.

Giannis poczuł ulgę, gdy zamknęły się za nim masywne drewniane drzwi. Spędził tam zaledwie godzinę, ale i tak było to więcej, niż mógł wytrzymać. Wymknąwszy się z monasteru, ruszył z powrotem w dół. Zejście było jeszcze trudniejsze niż wejście. Zajęło mu ponad czterdzieści minut, ale wreszcie zobaczył swój stojący na poboczu samochód, czerwony jak pomidor.

Siadł za kierownicą i sięgnął po słodkie *kaulouria*, które matka upiekła dla Dimitrisa. Zjadł pięć, jedno po drugim, a potem zapalił papierosa.

Niedługo po wyjściu Giannisa drzwi monasteru ponownie się otworzyły i szybkim krokiem wyszedł przez nie Dimitris. Nie mógł już dłużej znieść wzroku świętych, którzy patrzyli na niego ze ścian i z sufitu, a także osaczających go zewsząd obrazów nieba i piekła. Opuściła go pewność zbawienia. Nie był już przekonany, że kiedy nadejdzie odpowiedni moment, znajdzie się pośród owiec, a nie pośród kóz. Kawa... spowiedź... Być może jego brat miał rację. Być może i jedno, i drugie niewiele było warte.

Nie potrafił odnaleźć Boga w tych murach. Czasami spędzał noc w jednej z jaskiń, do których chodzili kiedyś eremici, by medytować i oddalić się od świata. Ale jemu udawało się tam tylko wejrzeć głębiej w mrok własnej duszy. Słowa Jezusa z ewangelii świętego Mateusza szły za nim i wydawały się odbijać echem od skalistych ścian.



„Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”.

W zapadających ciemnościach, co chwila się potykając, pobiegł ukrytą ścieżką prowadzącą na sąsiednią górę. Mnisi nie wzniesli tam żadnego monasteru. Jej szczyt był goły i niezabudowany, nie było tam anielskich twarzy i obrazów Sądu Ostatecznego. Tam było jego miejsce.

Spowiała go mgła.

Tymczasem Giannis wyrzucił przez okno samochodu niedopałek drugiego papierosa. Z przyzwyczajenia przejrzał się w lusterku wstecznym, po czym wsadził kluczyk do stacyjki. Silnik zapalił i porsche z fasonem ruszyło z miejsca.

Kiedy brał zakręt, zerknął na monaster, nieoświetlony i odludny. Choć może nie do końca, bo po chwili dostrzegł na sąsiednim szczycie sylwetkę samotnego mężczyzny. Kłębiły się wokół niego tumany mgły, zmieniające kształt przy każdym porywie wiatru. W pewnym momencie mgła kompletnie go zasnęła, a kilka sekund później, gdy się rozwiązała, mężczyzna zniknął. Góra była pusta.

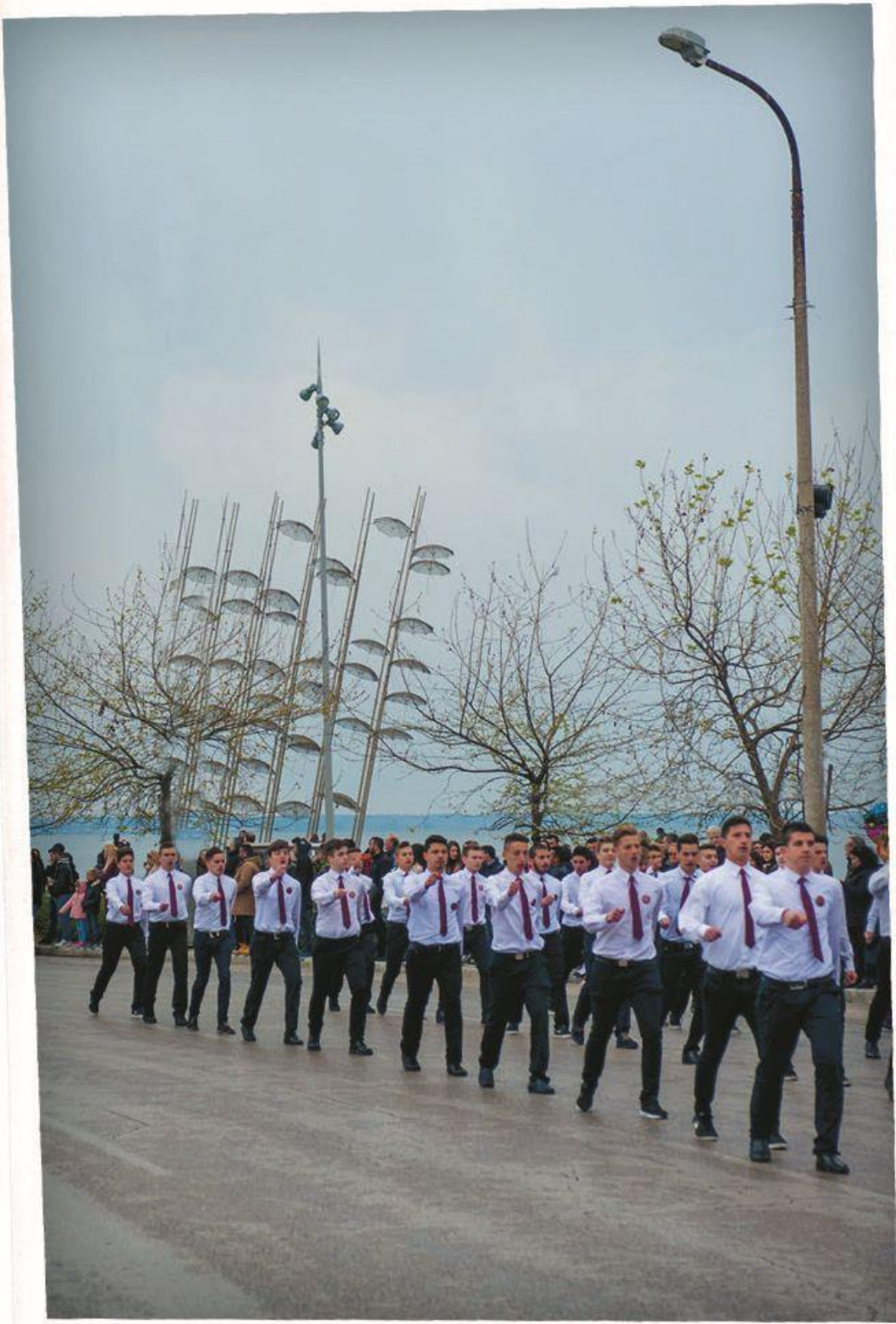
Giannis podkręcił głośność radia i odjechał.

Taka totalna izolacja. Takie nieuzasadnione poczucie winy. I takie tragiczne konsekwencje. Nie jest łatwo duchownym, którzy złożyli śluby celibatu. Z pewnością wpływa on głęboko na ich psychikę i zdrowie fizyczne.

Meteory są spektakularnym miejscem i będąc tam, dużo myślałem o różnicy między osamotnieniem a samotnością. Grecy określają to jednym słowem: monaksia, co tłumaczy, dlaczego niektórzy z nich, widząc samotnego mężczyznę, natychmiast zaczynają mu współczuć. W pewnych sytuacjach być może mają ku temu powód, lecz ja, w miarę upływu czasu, nabrałem sił w samotności. Wiem teraz, na czym polega różnica między jednym a drugim.

Spędziłem kilka dni w Kalambace i codziennie chodziłem na spacer, sycąc wzrok tamtejszym krajobrazem. W trakcie tych długich przechadzek nie mogłem się powstrzymać, by nie zacząć analizować naszych stosunków, szukać czegoś, co wskazywałoby już wcześniej, że nie wszystko jest w porządku. Czegoś, co w swoim czasie przeoczyłem.

Pod koniec pobytu w Kalambace cisza i spokój trochę mi się przejadły, wyruszyłem więc do Salonik, oddalonych o trzy godziny jazdy szybką dobrą drogą. Byłem stęskniony za kłębiącym się na chodnikach tłumem, dobiegającą z baru głośną muzyką, zapachem souvlaki na ulicy.



Był dwudziesty piąty marca, ciepły wiosenny dzień. Zaraz po przyjeździe do hotelu wyszedłem, by przespacerować się nadmorskim deptakiem, i zorientowałem się nagle, że wszędzie otaczają mnie flagi. Wisały na balkonach i publicznych budynkach, wymachiwano nimi na ulicach i sprzedawano na placach. Wkrótce znalazłem się w gęstej ciżbie i mieszkańcy wyjaśnili mi, dlaczego oglądają tysiące maszerujących uczniów, żołnierzy i ludzi w narodowych strojach. To była parada z okazji Dnia Niepodległości.

Dowiedziałem się, ile emocji i historycznych wydarzeń wiąże się z ich flagą, usłyszałem również opowieść świadczącą o tym, jak mocno jej symbolika zakorzeniona jest w greckiej duszy.

Ten kraj doświadczył dwóch okupacji. Ta późniejsza, niemiecka, podczas drugiej wojny światowej, trwała trzy lata. Pod wcześniejszą, turecką, pozostawali prawie przez cztery stulecia i wyzwolenie spod niej świętują właśnie dwudziestego piątego marca, urządzając wielką paradę.

Tego dnia przypada również święto Zwiastowania, Evangelismos, upamiętniające moment, gdy archanioł Gabriel zawiadomił Marię Dziewicę, że jest brzemienna. W trakcie krótkiej przerwy w paradzie stojący obok zapalczawy staruszek zaczął mi tłumaczyć, że nadejście Jezusa Chrystusa wiąże się nierozzerwalnie z pokonaniem Turków. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że walka Greków o wyzwolenie była czymś w rodzaju świętej wojny.

– Turcy przewyższali nas liczebnie, beznadziejnie przewyższali – oznajmił z dumą. – Ale Bóg był po naszej stronie i tylko to się liczyło.

Chociaż stał tam z całą rodziną, widziałem, że z radością znalazł we mnie nowego słuchacza. Jego żona i córka na pewno znały te historie już na pamięć. Słuchałem go uważnie i kiwałem głową, a on nie potrzebował większej zachęty. Relacjonował wydarzenia z przeszłości, jakby na polach bitew wciąż lała się krew Turków i Greków.

– Po tylu stuleciach Turcy byli przekonani, że się poddaliśmy! Ale w naszych

sercach wciąż płonął ogień. Nigdy nie porzuciliśmy naszego języka, naszych tradycji, naszej religii. I to biskup wybrał dzień, w którym mieliśmy powstać do boju.

Mówiąc to, podniósł trzymaną w ręku małą flagę. Ludzie dokoła odwracali się, by posłuchać jego przemowy. Stojąca obok młoda kobieta przyciągnęła do siebie swoje dziecko i z aprobatą pokiwała głową.

– Wybrał to święto, dzień Evangelismos, żebyśmy wznieśli grecką flagę i proklamowali wolność – powiedziała. – Tak to się zaczęło! Walczyliśmy przez dziewięć lat. I w końcu ją odzyskaliśmy!

Starszy pan niemal podskakiwał z przejęcia; można by pomyśleć, że sam brał udział w tych walkach w dziewiętnastym wieku.

– Popatrz! Już idą – odezwała się jego córka, łagodnie biorąc go za ramię. – Jeśli ma pan czas, mogę opowiedzieć panu pewną historię, kiedy to się skończy – dodała cicho. – Zapraszam pana na lunch. Z okazji Evangelismos przygotowaliśmy specjalne danie.

– Obchodzimy też dziś imieniny naszego pappou – wtrąciła jedna z jej córek. – Więc mamy wielki tort!

Jej dziadek, wyjaśniła mi, miał na imię Vangelis.

– To bardzo miło z waszej strony – odrzekłem – ale przecież zupełnie mnie nie znacie.

Jej matka wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A jakie to ma znaczenie?”.

– Mieszkamy tuż obok. – Wskazała brzydki szary betonowy blok za naszymi plecami. – A tak w ogóle mam na imię Penelope.

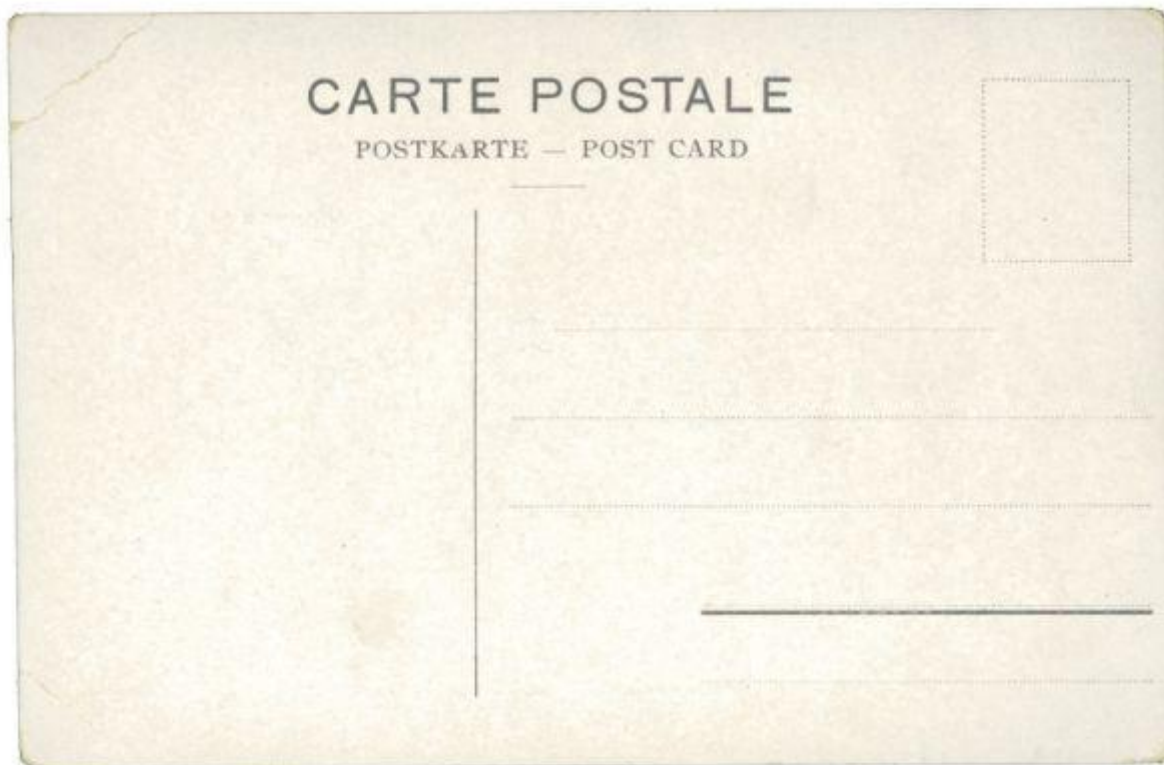
Obok nas przedefilowała grupa kobiet w krótkich wyszywanych czerwonych kubrakach, z zawiniętymi na głowach ozdobnymi szarfami i ciężkimi naszyjnikami ze złotych monet na szyjach. Zciekawiony skupilem ponownie uwagę na paradzie. Widowiskowe były barwy i różnorodność ludowych strojów – część mężczyzn szła w ekstrawaganckich pumpach i wysokich oficerkach, inni w wyłożonych na wierzch białych koszulach i butach z wielkimi pomponami. Parada zmieniła się w przedstawienie.

Dwie godziny później zasiadłem wraz z Penelope, jej ojcem, mężem i dwiema córkami do stołu. Za oknem jadalni roztaczał się widok na morze. Postawiono przede mną wielki półmisek z bakaliaros skordalia, czyli solonym dorszem z czosnkowym purée. Nałożyłem sobie porcję i zjadłem ją z wielkim smakiem, podczas gdy Penelope, nie zważając na przerywającego jej ciągle ojca, opowiedziała mi historię o miłości i wojnie.

– Ona to wszystko zmyśla – szepnął starszy pan, nachylając się do mnie konspiracyjnie, lecz ja nie byłem tego taki pewien...

JE REVIENS





JE REVIENS

Tamtej wiosny padało tak ulewnie, że o mało nie odwołano parady. Jezdnie były śliskie i wilgotne, a brezentowa markiza, która miała chronić burmistrza i innych oficjeli przed deszczem, ugięła się pod ciężarem wody. Muzykom grającym w orkiestrze zdrętwiały palce w białych rękawiczkach. Tylko dobosz, od wielu godzin walący energicznie w bęben, nie zmarzył do szpiku kości. Droga, którą maszerowali, biegła wzdłuż brzegu morza, a od zatoki wiał zimny wiatr. Olimp ginął we mgle.

Widzowie byli w najróżniejszym wieku – od niemowlaków z przyszytymi do miękkich bucików pomponami, przez małych chłopców w fantazyjnych *foustanella*, studentów uniwersytetu i urzędników cieszących się, że mają dzień wolny, aż po matki, ojców, babcie i dziadków. Przybyli tutaj tłumnie. Wiele osób stało na balkonach. Wszyscy chcieli obejrzeć paradę.

Stojąca na chodniku stara kobieta wspominała czasy, gdy sama też niosła w paradzie flagę Grecji. Ten przywilej przysługiwał uczniom, którzy mieli najlepsze wyniki w klasie. Choć moment chwały Evangelii dawno już minął, co roku przeżywała go na nowo. Tym razem serce rosło jej z dumy, bo jedną z chorążych była jej własna wnuczka.



Minął ją mężczyzna sprzedający małe plastikowe flagi, po siedemdziesiąt centów. Poznała po akcencie, że jest Albańczykiem. Jego sfatygowane buty tak bardzo nasiąkły wodą, że skarpetki i spodnie miał mokre do kolan. Palce zgrabiały mu z zimna i z trudem wydał Evangelii resztę.

Spojrzała na kupioną flagę i na tworzący ją prosty niebiesko-biały wzór: dziewięć poziomych pasów, które symbolizowały składający się z dziewięciu sylab okrzyk wojenny Greków.

„*El-ef-the-ri-a i Tha-na-tos!* Wolność albo śmierć!”, krzyczeli, wypierając Turków ze swojego kraju.

Jak wielu innych wierzyła, że Bóg stał po ich stronie w tej wojnie. Z Jego pomocą udało się wygnać osmańskiego okupanta; ich dewizę symbolizowała sama flaga.

Tłum na chodniku mijały kolejne szeregi chłopców i dziewcząt, nieporadnie starających się iść defiladowym krokiem.

„*Ena, thio, ena, thio, ena sto aristero.* Raz, dwa, raz, dwa, raz na lewo”.

Starsza pani machała flagą w marszowym rytmie.

Mimo że udział w paradzie był nagrodą za wyniki w nauce, wiele dziewcząt wolałoby chyba znaleźć się w tym momencie gdzie indziej. W płaskich cienkich butach i cielistych rajstopach, w czarnych spódniczkach i białych bluzkach, wszystkie były zmarznięte i przemoczone. Włosy, które tak pracowicie układały, zmieniły się teraz w smętne kosmyki. Większość miała ponure miny.

Za to chłopcom ta parodia wojskowego marszu bardzo się podobała. Wymieniając między sobą kpiące uśmieszki, prezentowali asymetryczne fryzury, wymodelowane za pomocą żelu i brzytwy. Na czele każdej, liczącej około pięćdziesięciu osób grupy kroczył dumnie chorąży z wielką flagą.

Wystawanie na deszczu zmęczyłoby każdego, ale dla osiemdziesięcioletniej Evangelii był to naprawdę duży wysiłek. Miała nadzieję, że już wkrótce pojawi się jej wnuczka. Zauważyła, że sprzedawca flag zrobił sobie przerwę i po prostu obserwuje paradę.

Chwilę później zobaczyła w morzu twarzy swoją wnuczkę.

– Evangelia! Evangelia! – zawołała, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Gratulacje, *agapi mou*! Brawo!

Ciemnowłosa siedemnastolatka o ziemistej cerze patrzyła prosto przed siebie, opierając ciężar flagi na biodrze. Nie odwróciła głowy.

Sąsiedzi Evangelii seniorki również zaczęli jej bić brawo. Znali dziewczynę od dziecka.







– Brawo, mała Evangelio! Brawo!

Staruszka pęczniała z dumy.

Po chwili pojawili się przedstawiciele innej szkoły. Na ich czele szedł wyjątkowo przystojny młodzieniec z wystającymi kośćmi policzkowymi. Czarnowłosa i wyższy od innych, dzierżył flagę z wielkim przekonaniem.

Sąsiadka Evangelii opuściła nagle swoją małą chorągiewkę.

– To nie jest w porządku – mruknęła. – To zdecydowanie nie jest w porządku. On nie powinien nieść naszej flagi.

Inny mężczyzna podjął jej wątek.

– To Albańczyk... – szepnął ponuro.

Usłyszał go ktoś inny.

– Cudzoziemiec niesie naszą flagę?!

– To niedopuszczalne. Absolutnie niedopuszczalne – zawtórowała mu jego żona. – Tylko czystej krwi Grek powinien mieć ten honor!

Evangelia zerknęła na sprzedawcę, który ścisnął w garści około pięćdziesięciu chorągiewek. Oczy zasły mu łzami.

Ludzie wokół niego nadal wałkowali ten temat.

– On jest prymusem w swojej klasie, Dimitri – powiedziała inna kobieta. – Dlatego niesie flagę. Może ci się to podobać lub nie, ale tak to wygląda.

Wszędzie dookoła rozległy się pomruki niezadowolenia, a potem zapadła cisza. Nikt ze stojących w pobliżu nie pozdrowił tej grupy.

Chorąży zrównał się z Evangelią i zerknął w jej stronę. Uśmiechnął się szeroko, a potem znów popatrzył przed siebie i potrząsnął niebiesko-białą flagą, która załopotiała na wietrze.

Evangelia rzuciła okiem na stojącego obok sprzedawcę. Łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy. Zrozumiała teraz, dlaczego chłopak spojrział w ich kierunku.

– Gratuluję – powiedziała cicho, zwracając się do mężczyzny. – Musi pan być bardzo dumny.

Sprzedawca pokiwał tylko głową. Nie był w stanie się odezwać. Wciąż śledził wzrokiem grupę swojego syna, choć teraz mógł widzieć już tylko górną część niesionej przez niego flagi.

Kiedy za jakiś czas Evangelia ponownie się obejrzała, Albańczyk, powłócząc nogami, już się oddalił i zmieszał z tłumem. Zaraz potem nadeszły oddziały żołnierzy i młodych rekrutów. Podeszwy ich butów dudniły o asfalt.

Śpiewali głośno i z zapalem, jakby szykowali się do boju.

Będę za ciebie walczył,

Do ostatniej kropli krwi,

Oddam za ciebie życie,

By pokazać, że kocham cię.

Ell-a-d-a mou, Ell-a-da mou!!!

Będę za ciebie walczył,

Do ostatniej kropli krwi.

Najwyraźniej byli gotowi umrzeć za swój kraj.

Ludzie wokół Evangelii rozmawiali teraz o czymś innym, lecz ona zastanawiała się, ile z tego, co mówili wcześniej, mógł usłyszeć Albańczyk (miała nadzieję, że zbyt słabo znał grecki, by wszystko zrozumieć). Po przejściu żołnierzy ogarniał ją coraz większy wstyd – nie tylko dlatego, że nie wsparła kobiety, która nie zgodziła się z komentarzami sąsiadów.

Jeśli młody Albańczyk nie miał prawa nieść flagi, to jej wnuczka także. Na całym świecie wiedziała o tym tylko stara Evangelia, ale było to równie oczywiste

jak to, że flaga jest niebiesko-biała.

Ojciec jej własnego dziecka mówił po grecku tak samo słabo jak ojciec chłopaka, który przedefilował przed nimi kilka minut wcześniej. Jej wnuczka w żadnym wypadku nie była „czystej krwi” Greczynką.

To zdarzyło się przed wielu laty, ale do dzisiaj nikt nie poznał sekretu Evangelii.

Kiedy niemieccy żołnierze weszli do miasta, Evangelia miała osiemnaście lat. Jej ojciec był właścicielem kawiarni Je Reviens, blisko portu. Mieściła się w ruchliwym miejscu i Niemcy nie pozwolili mu jej zamknąć. Szybko zaczęli ją tłumnie odwiedzać żołnierze okupanta.

Matka Evangelii nie chciała mieć z tym nic wspólnego, a jej braciom udało się wydostać z miasta i dołączyli do ruchu oporu. W rezultacie do pomocy ojcu została tylko Evangelia, która zmywała naczynia i uprzątała stoliki. Nie wolno jej było się odzywać do żołnierzy.

Po zejściu ze służby wielu mężczyzn było pijanych i skłonnych do awantur. Evangelia nienawidziła ich wszystkich z wyjątkiem jednego, który zawsze siedział na uboczu, jakby miał na oku swoich współziomków. Za każdym razem, gdy wybuchały jakieś bójkę, dyscyplinował sprawców i wyrzucał ich na ulicę. Miał wyższy stopień od nich i nigdy z nimi nie pił. Zamiast tego czytał książkę.

Pewnego dnia, kiedy Evangelia niosła tacę z kieliszkami, jeden z młodych kaprali uszczypnął ją w pośladek. Jej ojciec zobaczył to i wyszedł z baru, żeby stawić czoło rechoczącym głośno żołnierzom. Któryś z nich wstał i wyciągnął pistolet. Przerażona Evangelia była pewna, że ona i ojciec zaraz zginą. Dla tych młodych poborowych ich życie nie miało żadnej wartości. Nagle uświadomiła sobie, że żołnierz, który siedział zawsze cicho w kącie, również podniósł się z krzesła. Warknął coś po niemiecku i młodszy mężczyzna natychmiast schował broń. Grupka rozwydrzonych Niemców nigdy już nie odwiedziła ich kawiarni. Od tego czasu, widząc siedzącego dyskretnie w swoim kącie żołnierza, Evangelia zawsze czuła się bezpieczna. Jej ojciec nigdy nie brał od niego nawet drachmy za kawę czy kieliszek raki.



Kilka dni po incydencie z bronią, kiedy kawiarnia była prawie pusta,

Evangelia zauważyła, że jej żołnierz czyta coś po francusku. Uczyła się tego języka w szkole i miała z niego bardzo dobre oceny. Chociaż surowo zakazano jej zbliżać się do klientów, marzyła o tym, żeby się do niego odezwać. Książka dała jej taką sposobność.

– *Merci* – powiedziała. – *Vous avez sauvé mon père*. Dziękuję, że ocalił pan życie mojemu ojcu.

Niemiec zapewnił ją, że było to wyłącznie jego obowiązkiem. Zamienili parę słów, oboje szczęśliwi, że mogą rozmawiać w języku, który pokochali. Powiedział jej, że nazywa się Franz Dieter, a ona wyjawiała mu swoje imię.

Padające z jego ust melodyjne słowa, które kojarzyły się z literaturą i poezją, odmieniły go w jej oczach. Gardłowa niemiecka wymowa zupełnie do niego nie pasowała.

W ciągu następnych miesięcy udało im się kilka razy porozmawiać w języku, który był dla nich obojga obcy i niezrozumiały dla innych w barze.

– *S'il vous plaît, n' imaginez pas que tous les Allemands veulent la même chose, pensent la même chose...*

To była grzeczna prośba, jego apel o zrozumienie. Chciał, by uwierzyła, że nie wszyscy Niemcy są tacy sami, nie wszyscy mają takie same pragnienia i przekonania. Gdyby próbował powiedzieć coś więcej, mogłoby go to zaprowadzić przed sąd wojenny. Prosił po prostu, by zobaczyła w nim człowieka.

W trakcie kolejnych rozmów dowiedziała się, że wcale nie chciał zostać żołnierzem; wolałby dalej uczyć francuskiego na uniwersytecie i mieszkać w rodzinnym Dreźnie. Nie zależało to jednak od niego.

W następnym roku Evangelia codziennie go wypatrywała. Zawsze uprzedzał ją, kiedy miał gdzieś służbowo wyjechać. Wiedział – oboje wiedzieli – że coraz bardziej się do siebie przywiązują. W oficjalnej formie rozmowy można było przemycić bardzo wiele i tylko oni zdawali sobie sprawę, jak ważny był dzień, gdy zapytał, czy wolno mu będzie zwracać się do niej per ty.

Evangelia coraz lepiej mówiła po francusku, a jej ojciec nie mógł raczej sprzeciwić się tym rozmowom: nie ulegało kwestii, że Franz zapewnia kawiarni jakiś rodzaj ochrony.

Trzy lata po inwazji zaczęły krążyć plotki, że Niemcy przegrywają na wszystkich frontach i będą musieli opuścić Grecję. Ludzie po cichu świętowali, ale wielu nie chciało w to uwierzyć, dopóki nie zobaczą wycofujących się żołnierzy. Pewnego wieczoru Evangelia przekonała się, że to prawda.

Kawiarnia była pusta. Najwyraźniej coś się działo. Stała sama za barem, wycierając szklanki. Ojciec nie zszedł tu jeszcze z ich mieszkania na piętrze. Odwrócona plecami do drzwi Evangelia odstawiała ostrożnie szklanki na półkę i wyrównywała stojące w rzędzie butelki. Brzęczyk przy drzwiach zasygnalizował, że ktoś wszedł do środka.

Odwróciła się. To był Franz. W rękach trzymał kilka książek.

– Są dla ciebie – powiedział, podchodząc do niej. – Wiesz, że wyjeżdżamy?

Evangelia wyszła zza baru. Podał jej mocno sfatygowane książki, a ona wzięła je, zerkając na ich grzbiety i próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Balzac, Flaubert, Racine. *Poèmes d'Amour*.

To były wszystkie te książki, które czytał w minionych miesiącach. Spojrzała na nie, a potem na niego, nie potrafiąc opanować emocji.

– Nie mogę ich ze sobą zabrać – wyjaśnił.

Wiedziona nagłym impulsem Evangelia odłożyła książki i zarzuciła mu ręce na szyję. Przez cienki materiał sukienki poczuła metalowe guziki jego munduru.

Franz instynktownie chciał się cofnąć. Wiedział, co się stanie, jeśli pojawi się jej ojciec albo inny żołnierz, lecz jej niewinność i pachnące kwiatami włosy zupełnie go odurzyły. Przez wszystkie te lata ani razu nie znaleźli się blisko siebie. Tak bliski kontakt i uścisk kobiecych rąk były czymś, o czym dawno już zapomniał. Kiedy spojrzała mu w twarz, nachylił się i ją pocałował.

Evangelia nie mogła już dłużej powstrzymać swoich uczuć. Widziała tego młodego żołnierza po raz ostatni i zalała ją wielka fala smutku i żalu.

Oboje odkryli w tym momencie coś nowego, ale jednocześnie wezbrał w nich lęk.

– *Vous allez revenir?* – zapytała z desperacją. – Czy tu wrócisz?

Franz nie odpowiedział.

Stali pośrodku kawiarni, wpatrzeni w siebie, aż w końcu Evangelia wzięła go za rękę i zaprowadziła do składziku. Musiała go po raz ostatni pocałować.

Zniknęła gdzieś nieśmiałość, z jaką na początku się objęli. Jej miejsce zajęła gwałtowna namiętność. Ten jasnowłosy żołnierz nigdy nie był jej wrogiem i teraz, kiedy jego kraj został pokonany, musiała mu pokazać, jak bardzo go kocha.

W mrocznym składziku Franz rozścielił na podłodze mundur, żeby Evangelia mogła się na nim położyć, i kochali się, dopóki na schodach nie rozległy się kroki jej ojca.

Bez jednego słowa, trzymając tylko do ostatniej chwili palce Evangelii, Franz wymknął się przez tylne drzwi. Ta chwila w życiu jego i jej minęła równie szybko jak każda inna.

Evangelia doprowadziła do porządku sukienkę, przeczesała palcami włosy i poszła z powrotem do baru. Książki nadal leżały na stole.

– Czyje to? – zapytał szorstko ojciec.

– Moje – odparła, podnosząc je i przyciskając do piersi.

W następnych miesiącach rodzina Evangelii, podobnie jak wszyscy Grecy, starała się związać jakoś koniec z końcem. Po wycofaniu się Niemców zapanowała wielka radość, ale straty wojenne były tak duże, że nie świętowano długo. Chodziło teraz o to, by przetrwać i odbudować kraj. Bracia Evangelii brali udział w walkach

między frakcjami lewicy i prawicy i dopiero po kilku latach wrócili do Salonik.

Grecja pogrążyła się w chaosie. Podczas okupacji zginęły setki tysięcy ludzi, wielu z głodu. Wszyscy byli niedożywieni. Być może dlatego ciężę Evangelii ludzie zauważyli dopiero, kiedy była w siódmym miesiącu. Jej rodzice pogodzili się z tym (nie mieli innego wyboru) i rodzinie łatwo było wymyślić bajeczkę o narzeczonym, który nie wrócił z frontu – w tych tragicznych mrocznych czasach dziecko pozbawione ojca nie było w końcu niczym niezwykłym.

Kiedy się urodziło, każdy się nim zachwycił. Wszyscy uważali, że nowe życie pośród wojennych zgliszcz jest prawdziwym cudem.

Efi nigdy się nie dowiedziała, kto był jej ojcem. Dorastała w okresie względnego spokoju i po wielu latach urodziła własne dzieci. Najstarsza córka dostała imię po babci.

Natura w swej łaskawości sprawiła, że Efi była kubek w kubek podobna do matki. W jej rysach nie było ani śladu teutońskiej urody ojca. Dzięki temu sekret został zachowany.

Dwudziestego piątego marca po południu Evangelia, tak jak zawsze w dniu swych imienin, poszła do kościoła i zapaliła świeczkę za utraconego Franza. Nie obiecał jej, że wróci, ale nigdy nie straciła nadziei, że któregoś dnia zobaczy go ponownie. Kiedy widziała grupę niemieckich turystów, zawsze bacznie im się przyglądała, wypatrując jego szafirowych oczu i łagodnego uśmiechu.

Po wyjściu z kościoła pojechała taksówką do portu, stanęła przed nieczynną od dawna kawiarnią i jak zawsze tego dnia wyciągnęła z torebki sfatygowaną książkę. Chciała przeczytać po cichu pewien wiersz. Nawet po tylu latach pragnęła zobaczyć mężczyznę, którego pokochała. Nawet teraz marzyła o jego powrocie.

Max Jacob

Présence de Dieu

Une nuit que je parcourais le ciel amour

Une nuit de douce mère

Où les étoiles étaient les feux du retour

Et diaprées comme l'arc-en-ciel

Une nuit que les étoiles disaient:

„Je reviens!”.

Obecność Boga

Pewnej nocy, gdy patrzyłem na niebo miłości,
Pewnej łagodnej matczynej nocy,
Gdy gwiazdy mieniające się niczym tęczą
Oświeślały drogę powrotu,
Pewnej nocy powiedziały mi:
„Ja wrócę!”.



Czym prędzej zebrałem informacje o Maxie Jacobie. Był żydowskim poetą

i malarzem, przyjacielem Apollinaire'a i Picassa. Zginął w marcu 1944 roku w drodze do Auschwitz.

Niemiecka okupacja doprowadziła Grecję do ruiny. Wycofujące się w 1944 roku oddziały (w których skład wchodził zapewne Franz Dieter) wcielały w życie taktykę spalonej ziemi. W trakcie moich podróży spotkałem wiele osób, zarówno starych, jak i młodych, przekonanych, że Niemcy powinny spłacić swój dług.

„Niespłacone” koszty nazistowskich zbrodni wojennych, zniszczenia infrastruktury i wymuszone pożyczki, które zaciągnięto w greckich bankach, oblicza się dziś na prawie trzysta miliardów euro. Taka kwota powinna pomóc spłacić długi, które paraliżują Grecję.

Ludność Salonik została w szczególności dotknięta Holocaustem. Ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, większość żydowskiej społeczności w Grecji, wywieziono pociągami do Auschwitz. Bardzo niewielu ocalało z zagłady. Być może niektórzy mogliby spotkać Maxa Jacoba, gdyby nie zmarł jeszcze przed przyjazdem do obozu. W słoneczny wiosenny dzień prawie nie sposób wyobrazić sobie potworności, jakie dotknęły to miasto, ale pamięć o nich jest wciąż żywa.

Zostałem tam o wiele dłużej, niż planowałem. To piękne i fascynujące miasto, tętniące życiem od świtu do nocy, a dzięki dużemu uniwersytetowi pełne jest młodości i dynamizmu. Zaprzyjaźniłem się z kustoszem muzeum archeologicznego i zaprosił mnie na cykl wykładów, a nawet poprosił o poprowadzenie seminarium. Wracałem do świata i miałem w sobie dość energii i pomysłów, by skończyć pierwszą wersję mojej książki.

Któregoś popołudnia, stąpając po kocich łbach Ladadiki (to rejon miasta, gdzie jest dużo dawnych magazynów oliwy), usłyszałem dźwięk, który cofnął mnie w czasie. Musiał być dobrze znany młodej Ewangeli, zanim jeszcze usłyszała stukot niemieckich obcasów.

To było coś pośredniego między brzmieniem pianina i instrumentu strunowego, z rozlegającymi się co jakiś czas brzdęknięciami trianguła.

Przypominało mi trochę rebetiko, muzykę, która zrodziła się w Azji Mniejszej, i poczułem dziwną głęboką nostalgię za epoką, w której nie dane mi było żyć, tęsknotę za miejscem, w którym nigdy nie byłem.

Skręcając na plac, zobaczyłem źródło muzyki. Była to duża zdobiona skrzynia na kołach, z korbą, którą obracał stojący przy niej mężczyzna. Katarynka. Kataryniarz miał mniej więcej siedemdziesiąt lat i był bardzo elegancko ubrany. Kiedy wrzuciłem pięć euro do jego odwróconego tamburynu, znalazł dla mnie dość czasu, by odpowiedzieć na wszystkie moje pytania.

Miał na imię Tassos. Wyjaśnił mi, że katarynki, zwane w Grecji laternami, często spotykało się w czasach przed wynalezieniem gramofonu. Były to pierwsze mechaniczne urządzenia odtwarzające muzykę. Przez całe stulecie cieszyły się wielką popularnością. Pierwsze skonstruował w Konstantynopolu pewien Włoch, stąd ich nazwa: la torno, „coś, co się obraca”. W latach pięćdziesiątych zaprzestano ich produkcji i teraz widuje się je o wiele rzadziej.

Tassos uniósł wieko, żebym mógł zobaczyć mechanizm. Korba obracała drewniany cylinder nabity setkami stalowych ćwieków. Kiedy ćwiek stykał się z jednym z obciążonych sprężyną młoteczków, ten unosił się i opadał na strunę, która wydawała dźwięk.

Instrument był nader misternie wykonany, ale najbardziej zaintrygowała mnie okolona goździkami czarno-biała fotografia z boku skrzyni.

– Zawsze jest na nich jakiś obrazek – powiedział Tassos. – Ale do tej fotografii czuję szczególny sentyment. Miała wielkie znaczenie dla właściciela laterny.

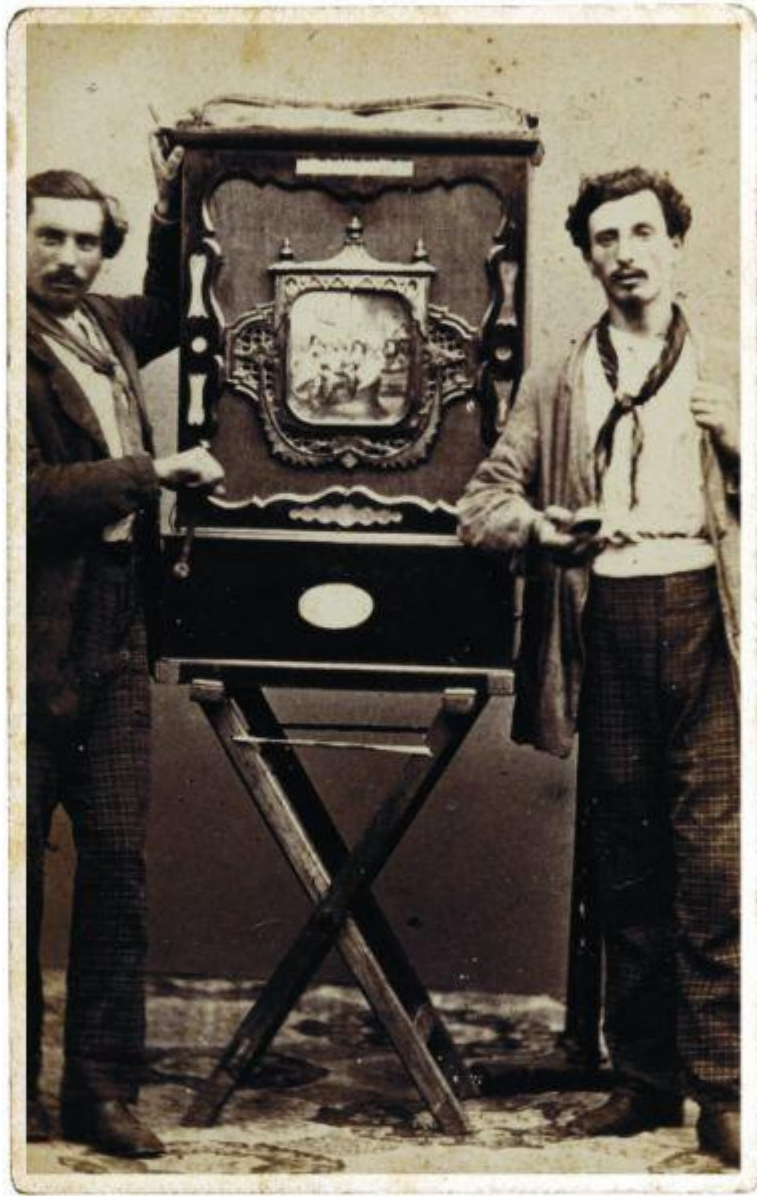
– Więc nie jest pan jej właścicielem? – spytałem.

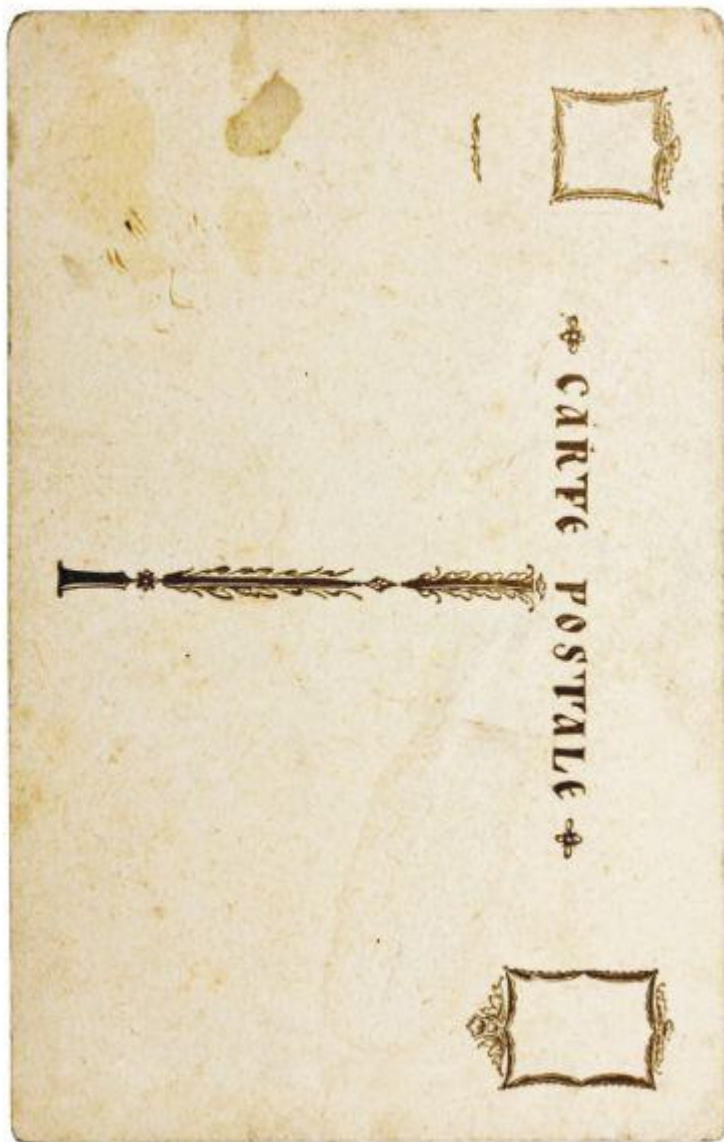
– Teraz jestem – odrzekł. – Ale wcześniej należała do Panagiotisa.

– *Kim on był?*

– *Najszczęśliwszym człowiekiem, jakiego nosiła ziemia – odparł Tassos. – Ta historia zaczyna się tak naprawdę w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym, ale zacznę od dwa tysiące dziesiątego. Finanse naszego kraju były już w ruinie. Chodziłem po tawernach, sprzedając chusteczki higieniczne i zapalniczki, ale ludzie nawet na to nie mieli już pieniędzy. Jediną osobą, której rzucali monety, był mój przyjaciel Panagiotis: dźwięk jego laterny sprawiał, że zawsze byli gotowi wysupłać coś z kieszeni.*







LATERNA, UBÓSTWO I HONOR

Λατέρνα, φτώχεια κα φιλότιμο

Po ulicach Salonik spacerowały tłumy ludzi, ale sprzedawca gęstego słodkiego napoju o nazwie *salep* miał bardzo małe obroty. Tylko niewielu turystów zatrzymywało się, by kupić to, co serwował ze swego wózka. Większość nie dawała rady wypić całego kubka. Robiony z bulw orchidei na podstawie starego przepisu, *salep* smakował tylko ludziom o wyrobionym smaku i kupowano go najczęściej z ciekawości.

– Ta dzisiejsza młodzież... – mrucał pod nosem. – Wystarcza jej frappé.

Patrząc na tabuny przechadzających się deptakiem ludzi, sprzedawca nie krył rozgoryczenia. Czterdzieści lat minęło od dnia, gdy ojciec przekazał mu ten wózek wraz z wielkim metalowym pojemnikiem. To był rodzinny biznes, lecz mężczyzna obawiał się, że na nim się to zakończy. Nikt nie chciał już pić jego napoju; sprzedaż z roku na rok spadała. Zawsze musiał konkurować z kawą, ale ostatnio pito ją niemal obsesyjnie. Gorącą w zimie, mrożoną w lecie. Nie miał żadnych szans.

– Te dzieciaki potrzebują dziś trzech rąk – powtarzał. – Jedna ma trzymać papierosa, druga dziewczynę, a trzecia kawę.

Sprzedawcy pieczonych kasztanów wiodło się nieco lepiej. Prawie każdy chciał spróbować tej taniej przekąski. Razem z posypanymi sezamem bajglami *koulouri* kasztany stanowiły idealne śniadanie. Studencka brać w Salonikach wołała jednak teraz żywić się w fast foodach.

Grecja była w okresie przejściowym – tak przynajmniej uważali przedstawiciele starszego pokolenia. Narzekali, jak bardzo zmienia się ich kraj, jak bezpowrotnie giną wszystkie tradycje, jak sami nie poznają własnej ojczyzny i ludzi, którzy w niej żyją.

Jedyną osobą, która pracowała na ulicy i nigdy nie narzekała, był kataryniarz Panagiotis. Ludzie chcieli zanurzyć się w przeszłości, ten akurat konsumencki nawyk w ogóle się nie zmienił, a to, co kataryniarz sprzedawał, było niczym aromat, coś nienamacalnego, wspomnienie „czarno-białej” epoki. Sam żył w przeszłości i przypominał o minionych czasach innym. Przechodnie chętnie rzucali mu monetę, a właściwie wiele monet.

Większość miała go za prostego człowieka, bo wydawał się szczęśliwy, ciągnąc swoją drogocenną laternę ze starego do nowego miasta, z placu na deptak i z powrotem. On jednak uważał się za artystę, kogoś, kogo określało się słowem *kalliteknis*. To przekonanie, a także monety, które zostawiali mu w odwróconym tamburynie ludzie, podtrzymywały go w jego samotnym życiu.

Jego miłość do laterny zaczęła się, gdy miał dziesięć lat. Było to na początku lat pięćdziesiątych, kiedy kraj uczył się na nowo życia w pokoju. Wydawało się wtedy, że słońce świeci każdego dnia. Panagiotis i jego koledzy biegali po ateńskich ulicach, przez długie godziny bawili się w chowanego i grali w piłkę w bocznych alejkach. Nigdy im się to nie nudziło, ale pewnego dnia w 1954 roku coś przerwało ich normalne zajęcia.





– Kręcą film! – zawołał z entuzjazmem najlepszy przyjaciel Panagiotisa. – Teraz są za rogiem, na placu... ale zaraz przyjdą tutaj!

Chłopcy, których było pięciu, wszyscy w krótkich spodenkach i w wieku mniej więcej dziesięciu lat, przerwali zabawę, siedli na murku i czekali, kiwając miarowo chudymi nogami.

W końcu pojawili się dwaj mężczyźni, obaj w garniturach i filcowych kapeluszach. Jeden był grubszy i starszy, z eleganckim wąsem, drugi młodszy, z zawieszoną na plecach laterną. Za nimi podążała grupa ponad dwudziestu osób objuczonych ciężkim sprzętem. Trzej mężczyźni dźwigali wielką kamerę, inni ciężkie reflektory i mikrofony. Poza niosącymi to wszystko tragarzami byli również ludzie odpowiedzialni za kostiumy i charakteryzację i oczywiście sam reżyser.

Dzieciaki przyglądały się scenie, instynktownie zachowując ciszę podczas kręcenia ujęcia. Dwaj mężczyźni najpierw ze sobą rozmawiali, potem człowiek przy kamerze coś krzyczał, potem tamci znowu rozmawiali. Trwało to przez dłuższą chwilę, jedna faza następowała po drugiej. Chłopcy słyszeli co jakiś czas słowo „Cięcie!”.

Po nakręceniu sceny aktorzy i ekipa odeszli, prawdopodobnie na lunch, i ulica opustoszała. Chłopcy jak jeden mąż zeskoczyli z murku.

Panagiotis spostrzegł, że poza swoim sprzętem filmowcy zostawili na ulicy

laternę. Była pięknie pomalowana i ozdobiona kwiatami. W centralnym miejscu znajdowała się czarno-biała fotografia atrakcyjnej pary. Nie mógł się oprzeć, by nie podbiec do instrumentu. Reszta chłopców jak zwykle podążyła za swoim prowodyrem.

Panagiotis wyciągnął rękę i dotknął nagrzanej w słońcu drewnianej obudowy. Potem złapał za korbkę i zaczął ją obracać. Z laterny popłynęła muzyka: słodka i melodyjna, odbijała się echem od ścian domów i wkrótce wypełniła cały zaułek. Pozostali chłopcy zaczęli podskakiwać w jej rytmie.

Tak zastali ich wracający z przerwy aktorzy i cała ekipa.

– Hej ty! – krzyknął kamerzysta. – Zostaw to w spokoju!

Reżyser też ich zobaczył, ale zamiast się irytować, dostrzegł potencjał tej sceny. Chciał pokazać dziecinne zauroczenie chłopców muzyką.

– Stójcie! Stójcie! – zawołał, gdy chłopcy rzucili się do ucieczki. – Zaczekajcie!

Kazał pobiec za nimi swojemu asystentowi, który wkrótce wrócił z pięcioma łobuziakami. Przez całe popołudnie kręcili scenę, w której chłopcy gromadzili się wokół laterny. Panagiotis i jego młodszy kolega kręcili korbą, a potem uciekali niczym uliczne urwisy.

W przerwie między dublami Panagiotis uniósł wieko, żeby obejrzeć mechanizm laterny. Stopniem skomplikowania przekraczał on wszystko, co chłopak do tej pory widział. Urzekła go misternie skoordynowana sekwencja działań, dzięki której w magiczny sposób powstawała muzyka.

Film *Laterna, ftohia kai filotimo* – Laterna, ubóstwo i honor – wszedł na ekrany rok później i odniósł olbrzymi sukces. Opowiadał o dwóch wędrownych grajkach, którzy spotykają uciekającą z domu bogatą dziewczynę i rezygnują z szansy na wysoką nagrodę, wołając jej pomoc, niż ją zdradzić.

W ciepły wieczór w 1955 roku Panagiotis wybrał się z rodzicami do kina letniego. Wszyscy byli bardzo podekscytowani. A potem zobaczyli znajome widoki Plaki, ich dzielnicy. Każde uwiecznione na taśmie filmowej drzwi, każdy schodek i okno zdawały się piękniejsze niż w rzeczywistości.

Kiedy na ekranie pojawiła się twarz ich syna, rodzice Panagiotisa zaczęli bić brawo. Chłopiec pokraśniał, w równej mierze z dumy, co ze wstydu.

W tym momencie uświadomił sobie, że to właśnie chce robić w życiu. Po filmie oświadczył rodzicom, że ma im do powiedzenia coś ważnego.

– Wiem, co chcę robić, kiedy dorosnę – oznajmił.



17 W X 3 M 7

17 W X 3 M 7

Oboje wstrzymali oddech. Kariera aktora nie była czymś, czego chcieliby dla swego syna.

– Chcę zostać kataryniarzem – powiedział.

Od tego dnia Panagiotis bez przerwy wiercił ojcu dziurę w brzuchu.

– To właśnie chcę robić – powtarzał mu. – Nie musisz się martwić o moją przyszłość!

– Chcesz spędzić życie w drodze? – Matka załamywała ręce.

– Przywołując na twarze ludzi uśmiech i porywając ich do tańca! – tłumaczył Panagiotis. – Czy może być coś lepszego? Ale potrzebuję laterny – dodawał z naciskiem.

Urok filmu wynikał z połączenia żywiołowej gry aktorów, obrazów Grecji i szczęśliwego zakończenia. Panagiotis chciał zamieszkać w przedstawionym tam świecie, w którym honor był rzeczą najważniejszą i ludzie potrzebowali bardzo mało do szczęścia.

Laterna kosztowała zbyt dużo, by stać na nią było jego rodziców. W ciągu następnych trzech lat odkładali każdy zarobiony grosz. Ojciec Panagiotisa miał zawsze nadzieję, że po ukończeniu szkoły syn będzie mu pomagał w jego odlewni, ale nie można zmusić chłopca, który chce grać na laternie, żeby odlewał balustrady. Uszanował decyzję syna.

W końcu zaoszczędzili z żoną dość pieniędzy. Nakryli laternę kocem i aż do wieczora czekali na powrót syna, by dokonać wielkiego odsłonięcia. Panagiotis był zachwycony i przejęty, tak jak się tego spodziewali. Naprawdę spełniło się jego marzenie. Zgodnie z tradycją włożył szyty na miarę garnitur i wsunął kwiat do butonierki. Miał siedemnaście lat i gotów był ruszyć w drogę.

Czekało go, o czym dobrze wiedział z filmu, życie wędrownego grajka i serce zabiło mu mocniej, gdy spojrzął na mapę i zobaczył nazwy innych miast: Larissa, Lamia, Tripoli, Janina, Saloniki. Miał zamiar wszystkie je odwiedzić.

Na zawsze zapamiętał pewną kwestię z filmu.

O kalliteknis then einai ekeinos pou pezei violi i flaouto,

O kalliteknis einai etho.

Powtarzał to często słuchającym go ludziom, którzy oczywiście oglądali ten film.

„Artysta to nie jest człowiek, który gra na skrzypcach albo na flecie, Artysta jest tutaj”.

Wypowiadając ostatnie słowa, wskazywał dłonią serce.

Parą, której zdjęcie zdobiło laternę, byli aktorzy grający główne role w filmie, Jenny Karezi i Alekos Alexandrakis. Jednak ludzie, którzy przystawali, by posłuchać Panagiotisa, już wkrótce uświadamiali sobie, że on też tam wystąpił.

Wszyscy pamiętali scenę z chłopcami. Panagiotis stał się celebrytą i starał się sprostać tej roli, elegancko się ubierając i dbając o to, by widzowie wiedzieli o jego związkach z „dużym ekranem”.

Po dziesięciu latach spędzonych w trasie elegant uznał, że najlepiej będzie osiąść w Salonikach. Stale napływali tu nowi przybysze, więc potencjalną publiczność wciąż zasilali turyści, studenci i podróżujący handlowcy. Zaczęto już produkować gramofony, jednak wiele osób nadal wołało tańczyć przy dźwiękach laterny. Panagiotis wynajął na starym mieście mały domek z komórką na parterze. W nocy stawiał tam swój instrument, a w dzień grał na nim na różnych placach i ulicach.

Czasami na placu Arystotelesa tańczył wokół niego cały krąg ludzi, a na zewnątrz tworzyły się kolejne kręgi i w końcu były ich trzy albo cztery. Wszyscy na tym korzystali i sprzedaż wszelkich artykułów – *salep*, kasztanów, *koulouri*, a nawet chusteczek higienicznych – szła w górę.

Nawet kiedy po latach świat zaczął postrzegać w laternie bardziej formę zebranych niż działalności kulturalnej, Panagiotis nadal uważał się za artystę i ludzie wciąż rzucali monety i banknoty do jego tamburynu. Muzyka budziła w nich wspomnienia dawnych niewinnych lat i chętnie go za to nagradzali. Traktował pieniądze jako coś, co mu się słusznie należy, lecz wydawał je tylko na najbardziej niezbędne potrzeby.

Z biegiem czasu zyskał opinię najszcześliwszego człowieka w Salonikach, odpornego na troski, które tak doskwierały jego znajomym ulicznym sprzedawcom. I oto pewnego dnia, wracając wieczorem po udanym występie nieopodal Białej Wieży, zastał w swoim domu otwarte drzwi. Do framugi przypięta była urzędowo wyglądająca koperta. W środku znalazł nakaz aresztowania wystawiony na jego nazwisko.

Zostawił laternę na parterze i jak zwykle wspiał się z trudem na piętro. Pchnął silnie drzwi, by odsunąć niewidoczną przeszkodę po drugiej stronie, i wszedł do swojego pokoju. Cała podłoga była tu grubo usłana monetami. Znalazłszy się w środku, Panagiotis rzucił na nie swój kolejny dzienny utarg, zapalił stojącą na sfatygowanym stole świeczkę i stąpając z chrzęstem po monetach, podszedł do umywalki. Nalał wody do poobijanego kubka i podreptał do łóżka. Złote i srebrne monety mieniły się w blasku świecy, tworząc migotliwy wzór na suficie. Wiele z nich było tak drobnych, że za jedną nie dałoby się kupić nawet *koulouri*, jednak zsumowane dawały miliony. To był prawdziwy skarb ciułacza. Panagiotis usłyszał, jak kilka monet spadło na dół przez szpary w deskach, i zanotował w pamięci, by je rano odnaleźć.



Policja wróciła nazajutrz z nakazem rewizji. Panagiotis był już wtedy gdzieś

na mieście i kręcił korbą swojej laterny. W domu znaleźli tyle pieniędzy, że musieli wrócić ciężarówką. Sędzia potrzebował dowodu rzeczowego.

To były zarobki z całych dziesięcioleci. W policyjnym raporcie, który zamieściła lokalna gazeta, napisano, że w kilku miejscach sterta monet sięgała prawie półtora metra. Pewien dość wysoki policjant musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową w sufit. Leżały ich tam całe miliony, najprzeróżniejszych nominałów, i policzenie wszystkich zajęło trzem sierżantom aż dwa tygodnie.

Przez sześćdziesiąt lat Panagiotis nie zapłacił ani centa podatku. Nie licząc swoich dochodów, uważał, że dochowuje wierności dewizie szlchetnego „ubóstwa” (nawet jeśli był trochę na bakier z „honorem”).

Zaczął się długi proces, w trakcie którego nawet wieczorami nie miał serca grać na swojej laternie. Astronomiczna kwota, którą złożono w banku do zakończenia rozprawy, z tygodnia na tydzień topniała. W końcu, po odliczeniu honorariów adwokackich, podatków i grzywny, Panagiotisowi została tylko laterna. Najbardziej bał się wyroku więzienia, ale sędzia uznał, że najwłaściwsza jest w tym wypadku kara finansowa.

– Ten wyrok odpowiada wadze przestępstwa – powiedział, podpisując papiery, które pozbawiały starca praktycznie wszystkiego, poza instrumentem.

– Nadal jestem artystą – oświadczył Panagiotis, stając przed budynkiem sądu, w kapeluszu, garniturze i z goździkiem w butonierce. – I nie potrzebuję niczego poza moją laterną.

Kiedy kilka lat później zmarł w łóżku, w którym sypiał od prawie pięćdziesięciu lat, gospodyni znalazła w jego pokoju list. Pisał w nim, że laternę ma dostać jego przyjaciel Tassos. Uznała, że musi to być któryś z ulicznych sprzedawców, i odnalezienie go nie zajęło jej dużo czasu.

Dla Tassosa był to zdecydowany awans w stosunku do poprzedniego zajęcia, ale nie miał w sobie takiego powołania jak Panagiotis. Z laterną nie łączyła go tak bliska więź i nie grał na niej z uśmiechem. Nie potrafił cofnąć ludzi w czasie.

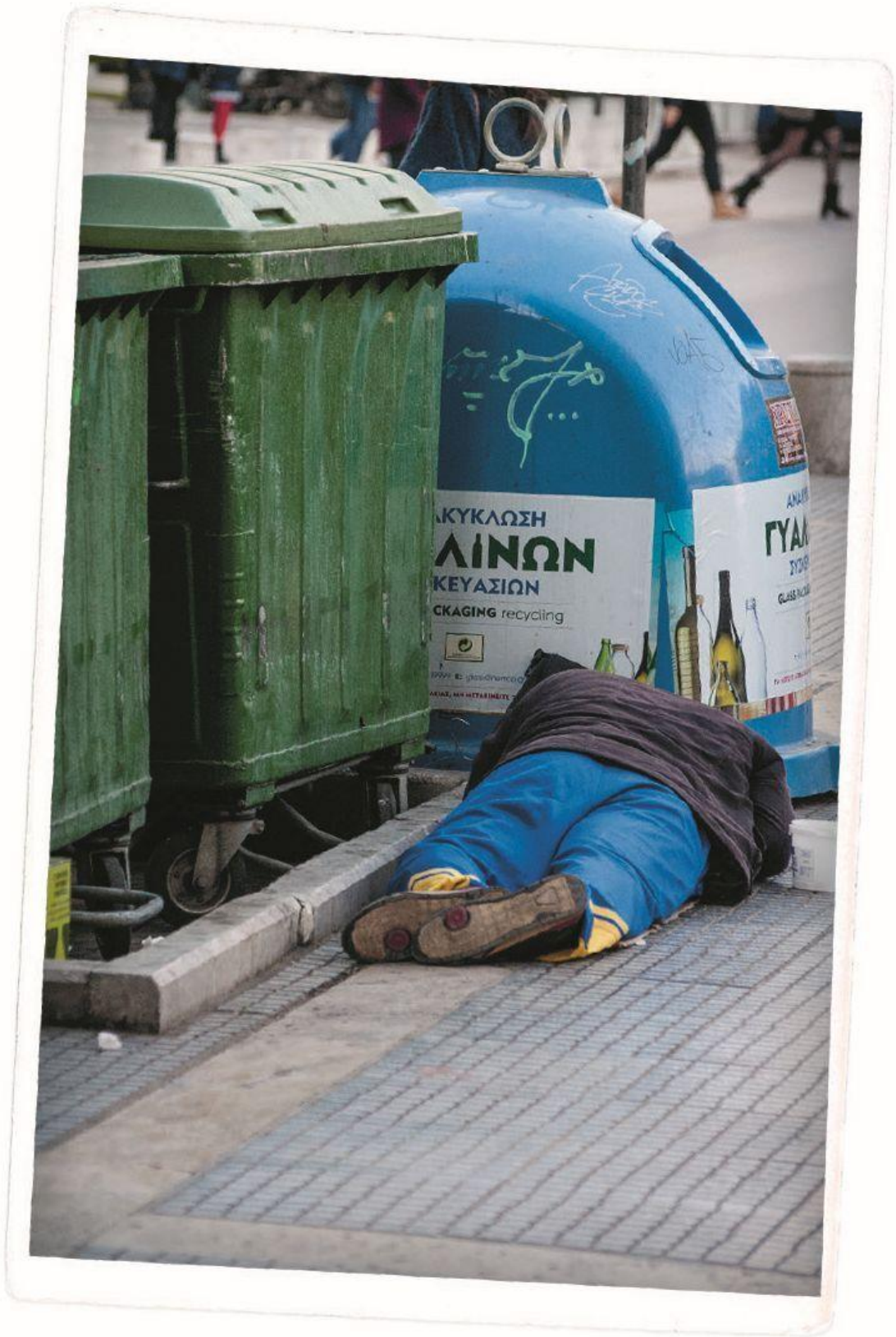
Kiedy Tassos skończył opowiadać, z rykiem przejechało obok nas ferrari. Muzyka z jego otwartych okien zagłuszała wszelkie inne dźwięki.

– Tęsknię za dawnymi czasami! – zawołał mój towarzysz, przekrzykując hałas.

Nie chodziło mu wyłącznie o łatwą dostępność muzyki, każdej muzyki, w każdym czasie i miejscu. Miał na myśli władze, które chciały teraz opodatkować nawet ulicznych sprzedawców i grajków.

Skończyło się to gorącą dyskusją na temat płacenia podatków. Nigdy nie sądziłem, że odbędę taką rozmowę na greckim placu, z ulicznym artystą, ale sporo się dzięki niej dowiedziałem o poglądach niektórych Greków na temat podatków. Uważają po prostu, że nie powinni ich płacić (tego samego zdania był Panagiotis). Ten człowiek, Tassos, nie czuł się zobligowany do przekazania państwu nawet najmniejszego procentu swoich zarobków. W jego umyśle nie było żadnego związku między nim a szkołami, szpitalami, drogami, sprzątnieniem ulic i mnóstwem innych rzeczy, za które trzeba przecież płacić.

Jego poglądy można streścić w następujący sposób: wszyscy politycy są skorumpowani, więc pieniądze, które zapłaciłby władzom, trafiłyby od razu do czyjejs kieszeni. Grecy mają taką postawę we krwi – i nie dzieje się tak bez powodu. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci ludzie na wysokich stanowiskach ukradli, zmarnotrawili i roztrwonili grube miliardy, zwielokrotniając olbrzymi, niemożliwy do spłacenia dług, który tak bardzo obciąża ten niewielki kraj. Dlatego częściowo rozumiejąc Tassosa, nie mogłem nie zapytać, jak jego zdaniem ma dojść do poprawy sytuacji.



Nie potrafił na to odpowiedzieć i widząc, jak wzdusza ramionami, doszedłem do przekonania, że ten człowiek nie dba o społeczeństwo, lecz myśli wyłącznie o samym sobie; pod wieloma względami był rzeczywiście jednoosobową orkiestrą. A zatem jeśli na wszystkich poziomach nie dojdzie tu do głosu kultura transparentności, jakie mają szanse?

Kiedy nasza rozmowa dobiegała końca (bardzo szybko znaleźliśmy się w impasie), zauważyłem nieopodal kilka kontenerów, z których wysypywały się śmieci. Na ziemi obok nich leżał jakiś mężczyzna. Trudno było powiedzieć, czy zasnął, czy umarł.

Postawa Tassosa, uważającego, że nie ponosi za nic odpowiedzialności, siłą rzeczy skojarzyła mi się z tym leżącym na ulicy mężczyzną, któremu państwo nie miało nic do zaoferowania. Pod koniec naszej rozmowy żalowałem nawet, że dałem mu pięć euro.

W Grecji są podobno miejsca (tak jak ludzie pokroju Tassosa) funkcjonujące całkowicie poza prawem. Ludzie opowiadają o miasteczkach i wioskach, do których nigdy nie zagląda policja i które rządzą się niczym udzielne księstwa. Być może to tylko legenda, ale nie sądzę, by te historie były zmyślone od początku do końca.

W wiadomościach mówiono ostatnio o pewnej położonej na wyspie wiosce, która od wielu lat nie była odwiedzana przez policję. Kiedy nowo mianowany komendant regionalny postanowił złożyć tam wizytę, wieśniacy zbudowali barykady i postrzelili i ranili kilku policjantów. Oblężenie trwało parę dni. Po zdobyciu wioski policjanci odkryli kilkanaście bankomatów wyrwanych ze ścian banków na całej wyspie, znaczną liczbę porsche cayenne oraz chmarę dzieci, które nigdy nie chodziły do szkoły. Oparta na lukratywnym handlu narkotykami względna zamożność mieszkańców sprawiła, że miejscowość rządziła się własnymi prawami. Takie wioski rzadko pojawiają się na turystycznej mapie.

W trakcie moich podróży trafiłem raz w miejsce, które wydawało się kwintesencją turystycznej pocztówki – a mimo to coś było tam nie w porządku i nabrałem do niego instynktownej niechęci. I odwrotnie, odwiedzałem miejsca,

które były obskurne, lecz urzekające. Oczywiście mogło to mieć coś wspólnego z porą dnia, w której tam się zjawilem, z uśmiechem (albo ponurą miną) sklepikarza lub ze sposobem, w jaki kelner przywitał takiego jak ja podróżnika. Początkowo trudno jest określić, co sprawia, że dane miejsce wydaje się przyjazne lub wrogie, ale często można to sobie później wytłumaczyć.

Po dłuższym pobycie w Salonikach przeznaczyłem mniej więcej tydzień na leniwą podróż na południe, wzdłuż wschodniego wybrzeża, przez Katerini, Larissę, Wolos i Lamię.

Pewnego dnia odwiedziłem pewną rybacką wioskę niedaleko Lamii, tak ładną, że żaden malarz nie zdołałby oddać w pełni jej urody. Żeby tam się dostać, zjechałem wyboistą drogą (niewiele lepszą od wiejskiego traktu) wiodącą przez zielone łąki i pola, na których dojrzewały uprawy. Pomarańcze i cytryny było tyle, że leżały niezbrane w stosach.

Idealnie położona i zwrócona na południe wioska miała osłonięty przed falami naturalny port z przycumowanymi w rzędzie kolorowymi rybackimi łodziami. Była tam nawet urocza piaszczysta zatoczka z piniami tuż przy brzegu morza. Na pobliskich wzgórzach rosły wiekowe drzewa oliwne ze srebrzystymi sękatymi pniami. Mieszkańcom najwyraźniej powodziło się znakomicie.

Z tego, co widziałem w gablotach przed restauracjami, ryby same wpływały do rybackich sieci, by wykarmić mieszkańców, których zainteresowanie turystyką było znikome lub żadne. Wszyscy konsumenci wyglądali na miejscowych, a kilku zacmokało lekceważąco, kiedy zapytałem o wolny stolik. O tym, że nie zależało im na zagranicznych gościach, świadczył brak jakiegokolwiek sklepu, w którym sprzedawano by olejki do opalania, słomiane kapelusze albo choćby pocztówki. To rzecz dosyć niezwykła na greckim wybrzeżu. Naprawdę jednak trudno było wytłumaczyć totalny brak hoteli, pensjonatów, a nawet tablic z napisem: „Wolne pokoje”.

W tym miejscu autentycznie nie wiadano, czym jest filoxenia, gościnność. Popytywałem trochę w zatoczce, przeszedłem się po wiosce i po raz pierwszy w trakcie tej podróży zapragnąłem wyjąć aparat. Przypomniałem sobie, ile

przyjemności sprawiało mi kiedyś uwiecznianie jakiegoś zakątka na filmie. Znajomy ciężar nikonu dodał mi otuchy i poczułem, że mniej rzucam się w oczy w miejscowości, którą jak większość innych wydawały się zaludniać wyłącznie szczęśliwe pary. Kiedy się ściemniło, zjadłem zbyt drogą kolację (którą bardzo niechętnie mi podano) i zaraz potem wyjechałem.

Wróciwszy na główną drogę, nie zatrzymywałem się przez następne pięćdziesiąt kilometrów. Zbliżała się północ; miasteczko, do którego trafiłem, wyglądało całkiem zwyczajnie. Zajechałem do pierwszego hoteliku, który zobaczyłem po drodze. Dwie gwiazdki, dwadzieścia pięć euro za noc i najwspanialej wykrochmalona pościel w moim życiu. Śniadanie wchodziło w cenę i wypilem tam najlepszą kawę od wielu tygodni.

– Zostanie pan na jeszcze jedną noc? – zapytał właściciel, podając mi kolejne espresso, zanim jeszcze o nie poprosiłem.

– Owszem – odrzekłem spontanicznie. – Z wielką chęcią.

– To świetnie – stwierdził. – Nie ma pan wyznaczonej marszruty?

– Nie – odparłem. – Podróżuję, zdając się na wyczucie. To najlepszy sposób.

– Samotnie? – zapytał.

Pokiwałem głową, ale bez takiej goryczy, z jaką zrobiłbym to miesiąc albo dwa wcześniej. To słowo nie sprawiało mi już tak wielkiej przykrości.

Właściciel wydawał się szczerze zainteresowany tym, co zwiedziłem w Grecji, opisałem mu więc kilka moich ulubionych miejsc (jak się okazało, w wielu z nich nigdy nie był). Opowiedziałem mu też o dziwnej wiosce, którą odwiedziłem poprzedniego dnia. Kiedy wymieniłem jej nazwę, natychmiast zareagował.

– Naprawdę pan tam pojechał? – Z niedowierzaniem potrząsnął głową. – Nikt tam nie jeździ. A już na pewno nie turyści.

– Dlaczego, na miły Bóg? – zapytałem.

– Ludzie mówią – odparł ponuro – że wydarzyło się tam coś strasznego.

To, co mi potem opowiedział, wyjaśniło aż nadto, dlaczego czułem się tam tak nieswojo.

MIESIĄC MIODOWY





MIESIĄC MIODOWY *VOYAGE DE NOCES*

Czyż to nie piękne, Jean-Luc? – zagruchała Sylvie do swojego młodego męża, gdy mijali stary kamienny dom. – Popatrz na tę obrośniętą bluszczem małą chatkę. Jakie to romantyczne!

Nie wiedząc, dlaczego jakiś budynek jest w tak opłakanym stanie (częstymi powodami były wendeta, czyjaś śmierć albo tragedia), przyjezdni widzieli tylko to, co chcieli zobaczyć. Takie opuszczone miejsca miały w sobie pewien urok, tworzyły rodzaj tableau. W promieniach słońca mogły zachwycić nawet wraki drewnianych łodzi, które kiedyś zamierzano naprawić.

– Popatrz na to! Wygląda jak rzeźba, prawda, *mon cher*? Jak szkielet ryby. *Extraordinaire...*

Jean-Luc, który nie odrywał wzroku od drogi, bojąc się, że wpadnie w koleinę, mruknął coś w odpowiedzi.

Sylvie i Jean-Luc, dzielni francuscy yuppie, nie chcieli podróżować utartymi turystycznymi szlakami. To była ich trzecia wizyta w Grecji, ich miesiąc miodowy. Droga, którą jechali, nie różniła się wiele od wiejskiego traktu i prowadziła w dół,

w stronę morza. Zapuszczając się tutaj, karmili się przyjemnym złudzeniem, że odkrywają miejsca, które odwiedziło niewiele osób. Pod błyszczącą powierzchnią pocztówki chcieli odnaleźć smak „autentyczności”.



Po opóźnionym przylocie z Paryża tak bardzo chcieli ruszyć w trasę, że żadne nie zwróciło uwagi, że w baku mają bardzo mało benzyny. Kiedy zapaliła się ostrzegawcza lampka, wszystkie stacje były zamknięte. W rezultacie, gdy słońce zaczęło znikać za górami, ich najwyższej klasy jeep zatrzymał się na poboczu drogi.

Musieli znaleźć jakiś nocleg. Z mapy drogowej, wciśniętej w kieszeń drzwi, wynikało, że w promieniu wielu kilometrów nie ma tutaj żadnych zabudowań. Jednak kiedy Jean-Luc otworzył Google Maps, okazało się, że przy samym końcu drogi stoi kilka domów.

– To dziesięciokilometrowy spacer, *ma chérie* – powiedział. – Chyba damy radę?

Pytanie było retoryczne. Zeszłego lata oboje weszli na Kilimandżaro (to tam właśnie Jean-Luc jej się oświadczył). Dziesięć kilometrów to była dla nich bułka z masłem.

Zapakowali do należącej do Sylvie torebki Hermès'a szczoteczki do zębów oraz T-shirty na zmianę i ruszyli przed siebie. Po prawie dwóch godzinach marszu zrujnowaną dziurawą drogą dotarli do kilku domów. Nie paliły się w nich żadne światła, na podwórkach nie stały żadne samochody.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś tu mieszkał – odezwał się Jean-Luc.

Na drodze nie było żadnych drogowskazów i nie odchodziły od niej żadne ścieżki. Najpierw Jean-Luc, a potem Sylvie oświetlili koleiny latarkami swoich smartfonów.

– Jesteś pewien, że coś jest tam na dole? – zapytała Sylvie.

– Nie byłoby tej drogi, gdyby dokąś nie prowadziła – stwierdził z żelazną logiką Jean-Luc. – Na pewno coś tam jest.

Kiedy ruszyli dalej, zerknął na zabytkowy zegarek Patek Philippe na swoim nadgarstku. Dostał go w prezencie od ojca Sylvie, gdy się zaręczyli. Było już w pół do dziesiątej.

Niedługo potem zobaczyli kolejne skupisko domów. Dotarli do skraju wioski.

– Dziwne, że nie było jej na mapie – skomentowała Sylvie.

Jak na greckie standardy, było to w zasadzie małe miasteczko.

Urzekły ją pomalowane na pastelowe kolory eleganckie domy i balkony z balustradami z kutego żelaza i wielkimi donicami z bazylią. Poczwała, że znów wypełnia ją energia i entuzjazm. Natomiast Jean-Luc był nadąsany. Winił żonę za to, że zabrakło im benzyny i nie mają gdzie przenocować, przede wszystkim jednak za to, że był głodny.

W uliczce, do której doszli, ujrzeni kilka sklepów, ale zarówno mięsny, piekarnia, jak i warzywniak były nieczynne.

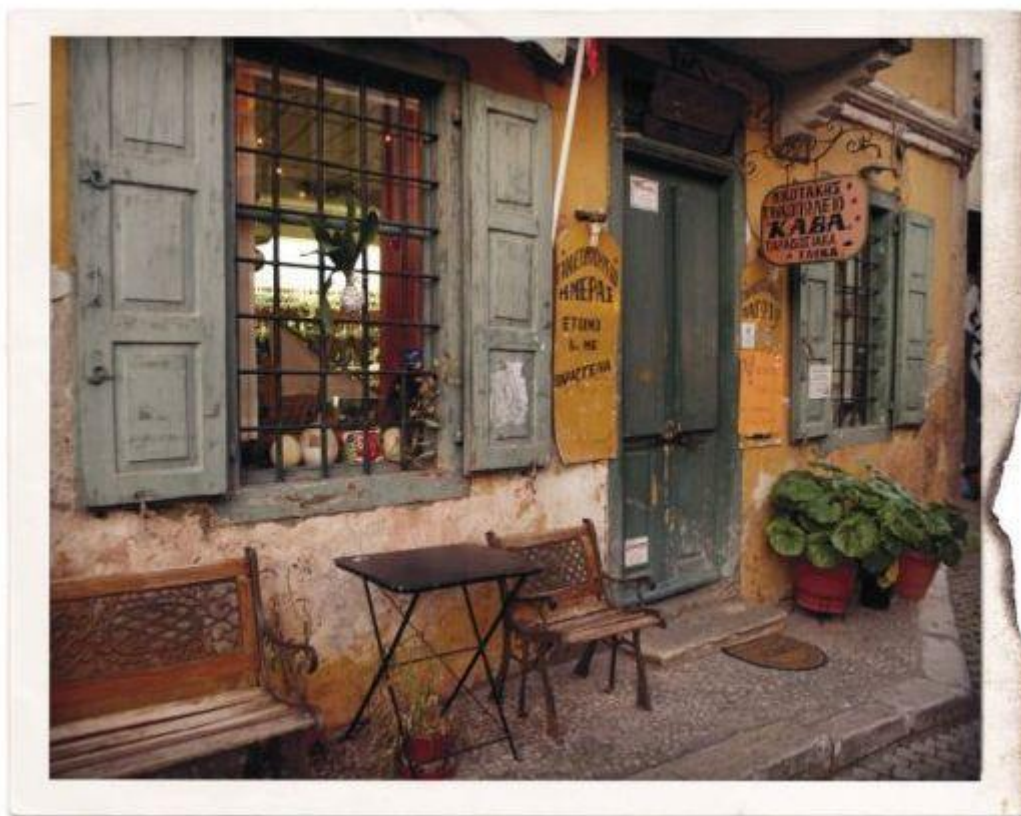
– Dlaczego wszystko jest pozamykane? – zdziwiła się Sylvie. – Jest piątkowy wieczór.

Spodziewali się, że o tej godzinie większość sklepów będzie otwarta.

– Skąd mam to wiedzieć? Jestem tak samo mądry jak ty – odparł opryskliwie Jean-Luc i przytknął nos do witryny sklepu z winami. – Wygląda na to, że mają tu znakomite roczniki – zauważył. – Szkoda, że jest zamknięte.

Widok premier cru St Émilion niemal podniósł go na duchu. Ktoś w tym mieście znał się na dobrych winach.

Zważywszy, że był piątkowy kwietniowy wieczór, miasteczko wydawało się dziwnie opustoszałe, ale nie tłumaczyły tego żadne napisy na drzwiach czy w witrynach sklepów.



Zamknięty był nawet mijany przez nich kafenion i chodząc po mieście, nie widzieli dotąd ani jednego pensjonatu.

– Chyba jest tu napisane: „Policja” – powiedziała Sylvie, pokazując w pewnym momencie tabliczkę na murze. Mała strzałka wskazywała pierwsze piętro. – Może policjanci będą nam mogli pomóc – dodała. – Zajrzę na górę i ich zapytam.

Znała kilka słów po grecku i miała w torebce greckie rozmówki.

U szczytu wąskich długich schodów znalazła pojedyncze drzwi. Kiedy w nie

zapukała, same się uchylły. Zobaczyła przed sobą pomalowane na jasnozielony kolor puste pomieszczenie bez okien. Nie było tam żadnego stołu ani nawet krzesła. Na wiszącej na ścianie tablicy dostrzegła kilka przypiętych czarno-białych policyjnych zdjęć. Zatrzasnęła drzwi i wróciła na dół.



– I co? – zapytał na jej widok Jean-Luc.

– Chyba nie ma tu zbyt wielu przestępców – odparła. – I pewnie zbyt wielu hoteli.

– *Merde!* – zaklął Jean-Luc. – Wygląda na to, że będziemy musieli zasuwać z powrotem do samochodu i w nim przenocować. Najwyraźniej w tym mieście nie ma także stacji benzynowych – dodał, żeby podkreślić, w jak żalonym znaleźli się położeniu.

– Spróbuj na to spojrzeć z jasnej strony. – Wzięła go za rękę. – Noc pod gwiazdami może być urocza...

Nie będzie tak źle, pomyślała. Wieczór był nadal ciepły.

W tym położonym na uboczu miasteczku najwyraźniej oszczędzano na ulicznym oświetleniu, a księżyc w nowiu dawał niewiele światła. Mimo otaczających ich ciemności Sylvie zorientowała się jednak, że minęli kilka razy tę samą cukiernię.

– Chyba kręcimy się w kółko – powiedziała sfrustrowana.

Przez parę minut szli dalej w milczeniu.

– Dlaczego, do diabła, nie spojrzalesz na wskaźnik paliwa? – zapytała nagle.

Jean-Luc przez chwilę nie odpowiadał.

– Ja? – warknął w końcu, dając do zrozumienia, że jego zdaniem należało to raczej do jej obowiązków. – Słuchaj, poszukajmy po prostu miejsca, gdzie będzie można coś zjeść – dorzucił zaraz łagodniejszym tonem; przecież wzięli ślub zaledwie przed dwoma dniami.

Miasteczko było skomplikowanym labiryntem małych uliczek. Wychodząc zza rogu, znaleźli się nagle na placu. Sylvie zauważyła, że drzwi pobliskiego kościoła są otwarte. W środku było pełno ludzi. Ci, którzy się tam nie zmieścili, stali na zewnątrz.

– W końcu jakiś znak życia! – stwierdziła. – Co się tam dzieje? – szepnęła, kiedy stanęli w drzwiach.

Jean-Luc był na tyle wysoki, by dostrzec coś nad głowami wiernych. Przed ołtarzem zobaczył kilku księży i tłum ludzi, którzy otaczali dużą, przystrojoną kwiatami trumnę. Wszystkie kwiaty były białe.

– To chyba pogrzeb – powiedział cicho.

Oboje wycofali się, czując, że mogą zostać uznani za intruzów. Głód coraz bardziej dawał im się we znaki. Musiały tu gdzieś być jakieś restauracje.

Przy końcu następnej ulicy zobaczyli lokal, w którym paliło się światło. To był sklep wielobranżowy, pantopoleion.

– Zapomniałam wziąć z samochodu pastę do zębów – powiedziała Sylvie. – Chyba mają tu jakąś.

Ignorując protesty męża, który chciał przede wszystkim zaspokoić głód,

pchnęła drzwi i weszła do środka. Jean-Luc został na zewnątrz. Choć od frontu sklep był dość wąski, w środku wydawał się nie mieć końca. Sylvie zaczęła przeglądać pierwsze półki, żeby sprawdzić, czy jest tam to, czego potrzebuje.

Pantopoleion miał dziwny asortyment towarów i trudno było określić, czy są nowe, czy używane. Część musiała tu leżeć od lat siedemdziesiątych – gumki do włosów z plastikowymi kulkami, kasety magnetofonowe, cienie do rzęs w jaskrawych zielonych i niebieskich kolorach, bawełniane biustonosze dla starszych pań (tylko w jednym rozmiarze) i brązowe plastikowe buty (tylko w jednym stylu). Sylvie nie wiedziała, co myśleć o kolekcji spłowiałych damskich płaszczy i torebek oraz dziwnej zbieraninie biżuterii. Zobaczyła nawet podarte rozmówki grecko-niemieckie i starą komórkę Nokii. Dostrzegła również korektory i ubranka dla lalek. Wszystkie półki były wypełnione po brzegi i wiele rzeczy zwisało z sufitu.

– *Ti theleis?* Czego pani chce? – usłyszała niski, ochryply od nikotyny głos.

Podskoczyła w miejscu, gdy z mroku wyłoniła się zwalista postać właścicielki. Zgadując, że kobieta mówi tylko po grecku, pokazała palcem wskazującym, że czyści zęby.

– Pasta do zębów? – burknęła właścicielka. – Nie mamy. Zapytaj w aptece. – Potrząsnęła kluczami, dając do zrozumienia, że Sylvie powinna wyjść.

Ta o niczym innym nie marzyła, choć miała wrażenie, że kobieta wie równie dobrze jak ona, że apteka jest zamknięta.

Zanim wyproszono ją ze sklepu, zdążyła zapytać, dlaczego miasteczko jest takie wyludnione.

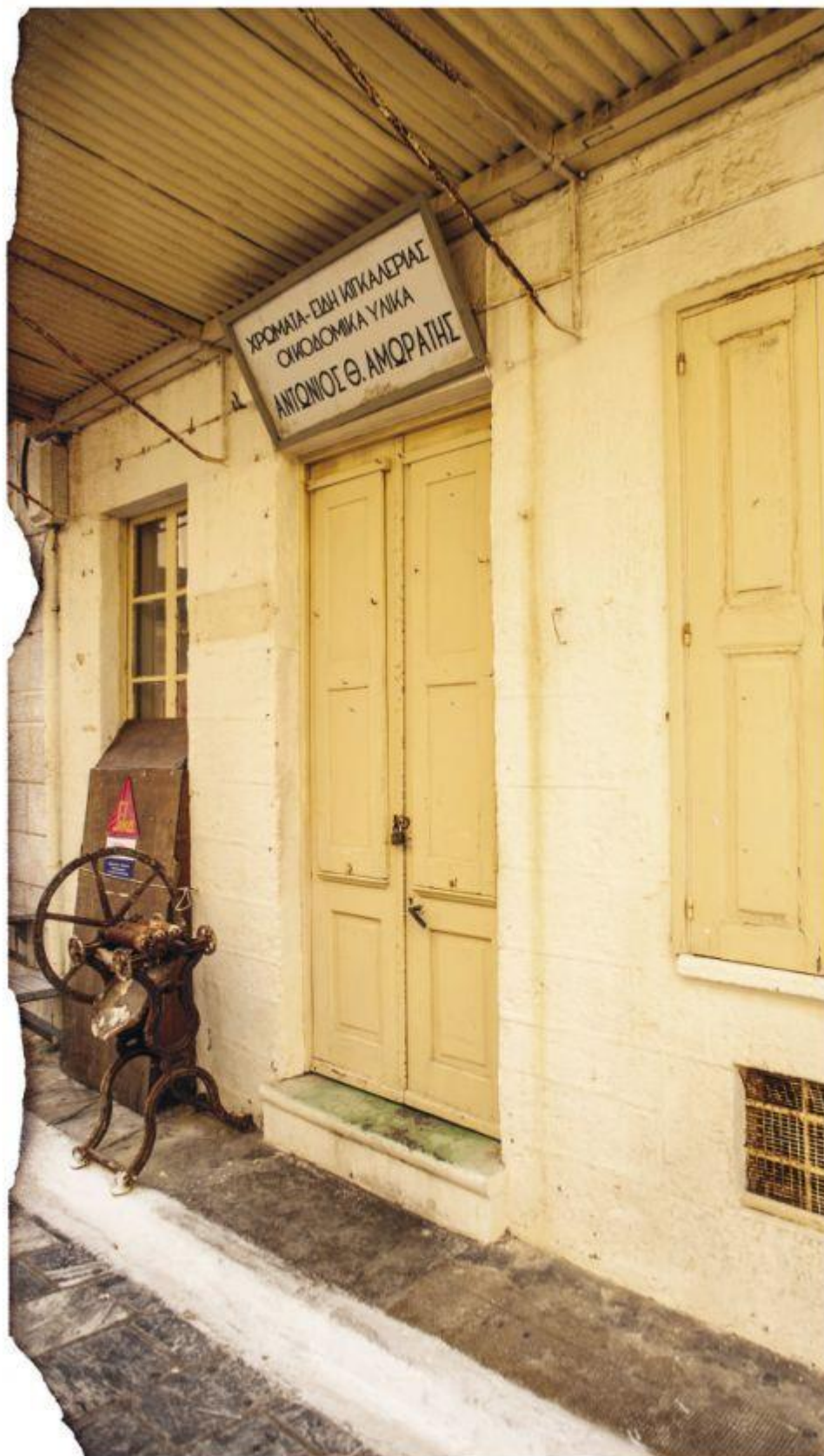
– *Megali Paraskevi!* Mamy Wielki Piątek – syknęła właścicielka.

Jean-Luc chodził w tę i z powrotem po ulicy, paląc papierosa.

– Facetka nie była zbyt życzliwa – poinformowała go Sylvie. – Nie mają pasty do zębów.

– *Allons-y* – odparł poirytowany. – Chodźmy. Skoro nie ma tu gdzie zjeść, nie będziesz musiała myć zębów.

Kiedy ruszyli dalej, Sylvie powtórzyła mu to, co usłyszała od właścicielki.





– Ale Wielkanoc była w marcu, a teraz jest koniec kwietnia – mruknął Jean-Luc. – Robiła z ciebie idiotkę.

Oboje nie mieli pojęcia, że w greckim kościele prawosławnym Wielkanoc obchodzi się kiedy indziej niż w katolickim. Jediną osobą, z którą rozmawiali po przylocie, był małomówny pracownik biura wynajmu samochodów, a on w ogóle o tym nie wspomniał. Nie poinformował ich także o dodatkowej opłacie, którą biuro pobierało za świąteczne weekendy.

Niedaleko sklepu wielobranżowego Jean-Luc zauważył otwartą tawernę. Wziął Sylvie pod ramię i ruszył w tamtym kierunku.

– Macie zarezerwowany stolik? – zapytał właściciel.

Stoliki wewnątrz i na zewnątrz były puste, więc pytanie nieco ich zdziwiło.

– Nie – odparł Jean-Luc. – A to konieczne?

– Jest Wielkanoc – powiedział chłodno mężczyzna. – W Wielkanoc trzeba zawsze rezerwować. Zwłaszcza w Wielki Piątek.

Sylvie i Jean-Luc popatrzyli na siebie. Widziała, że Jean-Luc ma zamiar zaprotestować.

– Możecie zostać tylko godzinę. Do czasu, kiedy *epitafios* wróci do kościoła. Potem będziecie musieli wyjść. Wtedy wszyscy tu przyjdą.

Nie prosząc o dalsze wyjaśnienia, usiedli przy jednym ze stolików na zewnątrz.

– A więc to jednak Wielkanoc – stwierdziła Sylvie. – Kobieta w sklepie mówiła prawdę. Dlatego w kościele jest taki tłum.

Kelner przyniósł im kilka dań. Nie było żadnego menu i żadnego wyboru. Dostali kalmary, ośmiorniczki i taramosalatę (żadnej z tych rzeczy nie zamawiali) i pili wyłącznie wodę. Jeśli chodzi o wino, Jean-Luc był bardzo wybredny, a w tawernie mieli tylko domowe.

– Naprawdę zjadłbym coś z mięs – mruknął Jean-Luc. – Albo nawet porządną rybę.

– Przestrzegają chyba postu – odparła Sylvie, żując *kalamari*. Kiedy jedli, wyjęła smartfona i wpisała do wyszukiwarki hasło „grecka prawosławna Wielkanoc”. – Dzisiaj będą chodzili po mieście z ikoną Chrystusa, jutro spalą kukłę Judasza, a w niedzielę będą świętowali zmartwychwstanie Zbawiciela – streściła to, co przeczytała. – Z tego, co piszą, wynika, że dziś wieczorem Grecy jedzą tylko owoce morza. W sobotę rodzaj zupy zrobionej z jagnięcych flaków, a w niedzielę jagnięcinę z rożna.

– Nie zamierzam tu zostawać na pieczone jagnię – rzucił ponurym tonem Jean-Luc.

Kiedy kończyli jeść (talerze podawano im jeden po drugim), usłyszeli dźwięki orkiestry, a gdy zerknęli w lewo, zobaczyli procesję. Na jej czele szli

czterej mężczyźni, dźwigając coś, co wyglądało jak pogrzebowe mary. Były obsypane tysiącami białych kwiatów, a żerdzie, na których się wspierały, ozdobione liśćmi i kwieciami. To była „trumna”, którą Jean-Luc widział w kościele. Za nią podążało kilkunastu duchownych i ministranci, następnie mniej więcej trzydziestoosobowa orkiestra, która grała smętny marsz żałobny, a dalej różne osoby w wojskowych mundurach, marynarze, skauci, skautki i zwykli mieszkańcy miasteczka. Szli powolnym, dostojnym krokiem. Kilka osób, które stały na chodniku, rzucało przed nimi płatki kwiatów. A potem wszyscy zaczęli śpiewać hymn. Kiedy mary mijały tawernę, Sylvie i Jean-Luc poczuli zapach kwiatów cytryny.

– To musi być to *epitafios*, o którym mówił właściciel – stwierdziła Sylvie.

Kelner położył przed nimi na stoliku rachunek.

– Oczekuje chyba, że wyjdziemy – szepnęła cicho.

Jean-Luc wyciągnął z portfela pięćdziesiąt euro i położył je na stole.

Kiedy kelner przyniósł im pięć euro reszty, Sylvie zapytała o jakiś hotel.

– Nie ma tu żadnych – odparł krótko.

Jak na razie nie zetknęli się w tym miasteczku z tradycyjną grecką gościnnością, jaką zapamiętali ze swoich poprzednich podróży do tego kraju.

Ich stolik został całkowicie uprzątnięty. Kelner zabrał nawet papierowy obrus. Nie mógł im dobitnie dać do zrozumienia, żeby sobie poszli.

– Chodź – powiedziała cicho Sylvie. – Nienawidzę tego miejsca.

– Jest tu jakaś stacja benzynowa? – zapytał na koniec Jean-Luc.

– Jest jedna, jakieś dwadzieścia kilometrów od skrzyżowania z główną drogą. W kierunku na Ateny – odrzekł właściciel.

– Chodźmy już stąd, Jean-Luc.

Widzieli jasno, że ten człowiek nie zamierza im pomóc. Do tawerny przybywali już tłumnie uczestniczący w obrzędach ludzie. Sylvie uderzyło, że wszyscy mają grobowe miny. Nikt się nie uśmiechał ani nie rozmawiał.

– Wielki Piątek musi pewnie skłaniać do melancholii – zauważyła. – Jeśli ktoś jest wierzący.

– Więc jaki mamy plan? – zapytał Jean-Luc, kiedy znów ruszyli ulicą.

Sylvie zobaczyła, że w sklepie, w którym była wcześniej, wciąż pali się światło.

– Zapytam tamtą kobietę, czy nie wie o jakichś wolnych pokojach. Może ma nawet kanister benzyny i mogłaby go nam sprzedać – powiedziała z nadzieją.

Kiedy weszła do sklepu, właścicielka siedziała przy kasie, zupełnie jakby na nią czekała.

– Wie pani o jakimś miejscu, gdzie moglibyśmy przenocować? – zapytała Sylvie.

Kobieta podniosła wzrok znad rozwiązywanej krzyżówki.

– Rzecz w tym, że tu utknęliśmy – podjęła Sylvie. – Skończyła nam się benzyna w samochodzie i aż do jutra nie możemy na to nic poradzić.

Kobieta przeniosła wzrok z Sylvie na Jean-Luca.

– Jest wolny pokój na posterunku policji – powiedziała, wciąż przyglądając się młodemu mężczyźnie. – To wszystko, co mogę zaproponować.

– Na posterunku? – powtórzył Jean-Luc. – Tam gdzie przedtem zagłędałaś, Sylvie?

– To tylko jedna noc – zaznaczyła, pragnąc, by się zgodził. – Nieważne gdzie. Jestem taka zmęczona. *Efharisto poli!* – zwróciła się do kobiety w obawie, że ta wycofa zaproszenie.

– Mój brat jest tutaj policjantem. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Jean-Luc nadal był nieprzekonany.

– Nie mogę uwierzyć, że spędzimy noc na posterunku *gendarmerie* – powiedział półgłosem, żeby tylko Sylvie mogła go usłyszeć.

– Nie mamy innego wyboru – odparła, idąc ulicą za kołyszącymi się szerokimi biodrami kobiety.

Kiedy dotarli na posterunek, sklepikarka pierwsza weszła po schodach.

Sylvie zapamiętała, jak wygląda pierwsze pomieszczenie, nie zauważyła jednak drzwi z tyłu, które prowadziły do kolejnego pokoju.

– Są tu dwa pojedyncze łóżka – stwierdziła pogodnym tonem, kiedy tam weszli. – I zobacz, w rogu jest umywalka.

Jean-Luc milczał, wyraźnie się ociągając.

Sylvie rzuciła torebkę na jedno z łóżek, jakby byli w eleganckim hotelu. Jean-Luc nacisnął palcem materac.

– Pierwsza noc naszego miesiąca miodowego... – Sylvie roześmiała się.

– Przypuszczam, że kiedy człowiek jest skonany, brudny koc zupełnie mu nie przeszkadza – odparł, zakładając, że grecka sklepikarka nie rozumie ani słowa po francusku.

Sylvie obejrzała się, by podziękować kobiecie, lecz ta już zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

– Jutro rano musimy pójść jej podziękować – powiedziała.

Umyła (bez pasty) zęby, spryskała wodą twarz i położyła się do łóżka. Jean-Luc już spał. Po kilkunastu sekundach zasnęła i ona. To był długi dzień. Zmęczenie powaliło ich z nóg.

Nazajutrz rano pierwsza otworzyła oczy. W pokoju nie było okien, dlatego obudziło ją nie światło, lecz palące pragnienie. Kalmary były bardzo słone. Poprzedniego dnia zabrała z restauracji małą butelkę z wodą, a teraz nalała do niej wody z kranu.

Jean-Luc nadal mocno spał. Sylvie zerknęła na swój smartfon i zobaczyła, że

dochodzi południe. Miło byłoby napić się kawy, zdecydowała więc, że wyskoczy na zewnątrz i zobaczy, czy można ją gdzieś kupić na wynos.

Zamek w drzwiach chyba się zaciął. Klamka nie poruszała się więcej niż na centymetr w górę i w dół. Sylvie szarpała nią, próbowała ją nacisnąć, najpierw delikatnie, potem mocniej. Na próżno.

Jean-Luc dalej spał. Czowała, jak ogarnia ją niepokój. Wysokie pomieszczenie, które poprzedniego dnia nie budziło w niej żadnych podejrzeń, teraz nagle wydało jej się klaustrofobiczne. Zaczynało jej brakować powietrza.

Szarpnęła klamką po raz ostatni i spanikowana podbiegła do łóżka męża.

– Jean-Luc! Jean-Luc! – zawołała, potrząsając go za ramię. – Zamek się zaciął. Jesteśmy zamknięci! Nie możemy się stąd wydostać!

Jean-Luc potarł oczy.

– Co się dzieje? – zapytał sennym głosem.

– Jesteśmy zamknięci – powtórzyła płacząco.

Jej mąż spokojnie opuścił na podłogę swoje długie nogi.

– Zaraz to zobaczę – powiedział. – Nie sądzę, żeby zamek naprawdę się zaciął.

Złapał mocno za klamkę, nacisnął ją, a potem zrobił to ponownie, używając więcej siły. Klamka została mu w ręku.

– Coś ty zrobił, Jean-Luc!

– To nie moja wina! – warknął.

Sylvie zaczęła płakać.

– Musimy zachować spokój – powiedział. – Nic nam nie da, jeśli wpadniemy w panikę.



Podszedł do umywalki, łączywie napił się wody z kranu, po czym spryskał nią twarz.

Kiedy to robił, Sylvie zaczęła walić pięściami w drzwi.

– *Au secours! Au secours!* Pomocy! – wołała.

Jean-Luc wziął ją za ręce i posadził obok siebie na łóżku.

– Twój smartfon nie jest rozładowany? – zapytał.

Sylvie sięgnęła do torebki i wyjęła z niej telefon. Nie był rozładowany, ale nie odbierał sygnału. Jean-Luc odkrył, że jego komórka podobnie.

– Więc będziemy tu po prostu siedzieć? Aż ktoś przyjdzie na posterunek? A jeśli nikt nie przyjdzie? – zapytała.

– Ponieważ mają Wielkanoc, wydaje się to całkiem prawdopodobne – przyznał Jean-Luc.

– No to... co robimy?

– Masz pilnik do paznokci?

Sylvie pogrzebała w torebce i wyjęła z niej metalowy pilnik.

– Zobaczę, czy uda mi się coś zdziałać.

Przez półtorej godziny Jean-Luc dłubał pilnikiem w mechanizmie zamka. Sylvie leżała na łóżku, wpatrując się w sufit i obracając na palcu ślubną obrączkę.

Nagle usłyszała zgrzyt mechanizmu i usiadła. Drzwi się otworzyły!

– Jean-Luc! – Podniecona zerwała się z łóżka.

Jej entuzjazm szybko się jednak ulotnił, gdy zobaczyła to, co było za drzwiami. Kraty. Musiały być schowane w ścianie i po zamknięciu drzwi cicho je przesunięto.

– Siedzimy w celi – szepnął Jean-Luc. – I popatrz tutaj...

Sylvie podeszła bliżej.

– Popatrz na tę kłódkę. Zależało im, żebyśmy się stąd nie wydostali.

Ktoś ich tutaj uwięził. Poczują, jak wstrząsa nią dreszcz.

– Dlaczego? – zapytała w końcu. – Co zrobiliśmy nie tak?

– Po prostu nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać – odparł Jean-Luc.

Do frustracji wynikającej z uwięzienia dołączył teraz prawie paraliżujący strach.

Przez chwilę trzymali się po prostu w objęciach, aż w końcu Jean-Luc rozejrzał się i zerknął w górę. Wysoko pod sufitem zobaczył wylot przewodu wentylacyjnego.

– Nie uda nam się sforsować tych krat, ale może któreś z nas wydostanie się tamtędy – powiedział, wskazując otwór.

On sam był wysoki i szczupły, ale miał szerokie ramiona. Było oczywiste, że zmieści się tam tylko ktoś mniejszy. Sylvie.

Żeby dosięgnąć do otworu, musieli użyć w charakterze drabiny metalowych

ram obu łóżek. Jedna była za niska. Z wielkim trudem, natężając wszystkie siły, Jean-Luc zdołał ustawić jedną ramę na drugiej i związał je razem brudnymi kocami.

Widział strach w oczach swojej żony.

– To nasza jedyna nadzieja, żeby się stąd wydostać – powiedział błagalnie. – Proszę. Weź pilnik. Będziesz go potrzebowała tam na górze.

Sylvie w milczeniu włożyła pilnik do kieszeni dżinsów, wspięła się po tej prowizorycznej drabinie i zaczęła odkręcać śruby, które mocowały kratkę. Było ich osiem, wszystkie zardzewiałe.

– Nie mogę ich ruszyć – jęknęła z przerażeniem.

– Musisz się postarać, kochanie...

Po prawie trzech godzinach kratka spadła z łoskotem na podłogę. Teraz Sylvie musiała wpełznąć do otworu.

– Jean-Luc... – szepnęła, patrząc z góry na męża. – Nie mogę...

– Proszę, *ma chérie*. Proszę. Postaraj się, dla nas obojga.

Sylvie z całej siły podciągnęła się i wczołgała do otworu. Po chwili jej stopy zniknęły z pola widzenia i Jean-Luc został w celi sam. Zawołał w stronę ciemnej dziury, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Po drugiej stronie ściany Sylvie spadła głową w dół na jakiś balkon. Dwa plastikowe krzesła trochę zamortyzowały jej upadek, lecz i tak się posiniaczyła.

Powoli wstała i rozejrzała się dookoła. Jean-Luc był teraz zdany tylko na nią i powtarzała sobie, że musi być dzielna. Zapadł już zmierzch i na ulicy nie było żywego ducha. Domy były nieoświetlone. Zorientowała się, że może przejść po kilku balkonach aż na sam dół, na ulicę. Stamtąd wróci po Jean-Luca.

Dziesięć minut później, obolała i podrapana, ponownie znalazła się przed wejściem na posterunek. Tym razem jednak solidne zewnętrzne drzwi były zamknięte na klucz. Przez chwilę waliła w nie i krzyczała, mając nadzieję, że mąż ją usłyszy i dowie się, że jest bezpieczna.

Jean-Luc siedział w środku na podłodze, bezskutecznie usiłując złapać zasięg na telefonie swoim i Sylvie. Zegar na obu wskazywał, że jest już dziewiąta. Głód, który dręczył go wczoraj, był niczym w porównaniu z tym, co odczuwał teraz.

Na zewnątrz strach dodawał Sylvie sił. Musiała znaleźć jakąś pomoc i uwolnić męża. Nie chciała zbliżyć się do sklepu. To jego właścicielka musiała ich uwięzić. Może jeśli uda jej się dotrzeć do brzegu morza, odnajdzie innych turystów, którzy udzielą jej pomocy. Może nawet jakichś Francuzów.

Ulice były kręte i wytyczone z pogardą dla wszelkiej logiki, ale wiedziała, że kierując się tam, gdzie jest niżej, wcześniej czy później dojdzie do morza.

Nagle z ciemności wyskoczył na nią jakiś pies i powstrzymał go tylko gruby łańcuch. Mimowolnie krzyknęła ze strachu. Od tego momentu nie przestawało

walić jej głośno serce.

Chwilę później potknęła się o niski słupek i chcąc złagodzić upadek, wyciągnęła przed siebie ręce. Usłyszała wyraźny trzask. Padając, rozbiła sobie o bruk oba kolana, lecz co gorsza, złamała lewą rękę. Po kilku minutach nadgarstek spuchł jej jak bania i zaczęły drętwieć palce. Zanim było za późno, ściągnęła z palca ślubną obrączkę i schowała ją do kieszeni dżinsów. Wkrótce palce miała grube jak serdelki. Siedząc na krawężniku, kołysała się w przód i w tył, płacząc z bólu, który coraz bardziej się potęgował. W końcu zwymiotowała do rynsztoka.

– Ajajaj! Ajajaj! – jęczała, trzymając się za rękę.

Krew sączyła się przez rozdarte dżinsy. Jedno kolano miała paskudnie pokaleczone. Przez kilka minut siedziała, czekając, aż miną jej mdłości. W końcu złapała się za słupek i wstała, ale po przejściu kilku kroków okazało się, że musi z powrotem usiąść. Osunąwszy się na chodnik, schowała głowę w kolana i sfrustrowana i obolała starała się opanować łkanie.

Po jakimś czasie rozjaśniło jej się w głowie i znów dźwignęła się na nogi. Musiała iść dalej. Od momentu, kiedy zostawiła Jean-Luca, minęła co najmniej godzina. Opierając się dłonią o ścianę, ruszyła ulicą. W oddali widać było morze i dostrzegła tam jakiś ruch. Ostrożnie podeszła bliżej. Ani na chwilę nie zapomniała, że są w tym mieście ludzie, którzy nie chcą ich tu widzieć.

Zorientowała się, że nadmorskim deptakiem wałą tłumy. Miała do nich jeszcze ponad sto metrów i szła bardzo powoli. Ludzie stali przy samym nabrzeżu. Uliczne latarnie i światła w kawiarniach i tawernach były zgaszone.

Mogło tu stać nawet tysiąc osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. W ciemności dostrzegła, że każdy trzyma w ręku długą, białą, niezapaloną świecę. Ksiądz śpiewał jakiś chorał, ale ludzie milczeli, ich twarze były pozbawione wyrazu.

Co oni robią? – zachodziła w głowę.

Bardzo dyskretnie przystanąła na skraju grupy. Każdy wpatrywał się w coś, co znajdowało się prosto przed nimi, ignorując swoich sąsiadów. Sylvie zorientowała się, że coś dzieje się na samej wodzie.

Jakieś dziecko wskazało nagle na niebo, które rozświetlił jasny błysk.

Z urwiska po drugiej stronie portu zbliżało się do nich pomarańczowe światło. Przemieszczało się ze stałą prędkością, jakby zjeżdżało po niewidocznej linii. To był palący się lont.

Ułamek sekundy później doszło do eksplozji. Huk odbił się głośnym echem od skał po drugiej stronie. Dokładnie pośrodku basenu portowego zapłonął ogień.

Na tle granatowego morza wyłonił się zarys sztucznej wyspy. Wyglądała niczym bocianie gniazdo i w tym momencie cała się paliła. Płomienie strzelały wysoko w górę.

Na wyspie coś zbudowano. Z początku trudno to było rozpoznać, ale w pewnej chwili Sylvie zobaczyła wszystko wyraźniej. To była szubienica. Wisiała

na niej nieruchoma postać.

Przypomniała sobie, co czytała poprzedniego dnia o paleniu kukły Judasza w Wielką Sobotę.

Chwilę później rozległa się seria ogłuszających eksplozji i na niebie rozbłysły fajerwerki. Wszędzie dookoła odpalano petardy. Sylvie aż się wzdrygnęła. Czuła się jak na polu bitwy.

Obok niej, po prawej i lewej stronie, zapalano świece, przekazując sobie wzajemnie ogień, i w końcu zapłonął ich cały tysiąc. Wszędzie wzdłuż nabrzeża migotały i tańczyły jasne płomyki, oświetlając od dołu twarze ludzi.

Jakaś kobieta wcisnęła świecę w prawą rękę Sylvie i zapaliła ją od swojej.

– *Christos Anesti!* – zawołała radośnie. – *Hronia Polla!*

Sylvie nie miała zielonego pojęcia, o co jej chodzi, nie wiedziała również, że ogień, od którego zapalono jej świecę, został tego popołudnia sprowadzony z Jerozolimy. To było święte światło. Chrystus zmartwychwstał.

Wiele osób zaczęło już odchodzić. Nadeszła pora na posiłek.

Sylvie jak zahipnotyzowana wpatrywała się w kukłę. Biorąc pod uwagę intensywność ognia, paliła się bardzo powoli. Jej tyczkowaty kształt przywiódł jej na myśl Jean-Luca. Z bólu odchodziła chyba od zmysłów.

Wiatr zmienił nagle kierunek i płomienie zwróciły się w stronę nabrzeża. Sylvie wpadł w nozdrza wyraźny zapach pieczeni, co było dziwne, ponieważ mieszkańcy mieli piec mięso dopiero następnego dnia.

– *Mon Dieu...* – szepnęła cicho, zdrętwiała z przerażenia. – O mój Boże! O mój Boże...!

Po kilku minutach płomienie przygasły. Zwęglone ciało lekko się tliło. Sylvie stała bez ruchu, kiedy słup szubienicy powoli się przełamał i wpadł do morza. To, co zostało z „Judasza”, zniknęło pod falami razem z nim. Wyspa i wszystko, co na niej było, spłonęło – zostały tylko unoszące się na wodzie poczerniałe kawałki słomy.

Większość ludzi już się rozeszła, a ona bała się tu zostać sama. Musiała wrócić na posterunek, ale nie po to, by szukać policjanta. Wiedziała już, że to daremne. Po raz ostatni spojrzała z rozpaczą na wodę i zawróciła w stronę miasta.

Kuśtykała najszybciej, jak tylko mogła, trzymając się za złamany nadgarstek. Każdy krok przyprawiał ją o ból. W wielu domach paliły się teraz światła i w końcu zobaczyła znajomy napis.

Astinomia. Policja.

Przejęta grozą wspięła się po schodach. Drzwi na piętrze były otwarte.

Pierwsze pomieszczenie nic się nie zmieniło, ale drzwi do drugiego pozostawały zamknięte. Krata, której nie zauważyła za swojej pierwszej bytności, była odsunięta na bok.

– Jean-Luc! Jean-Luc! – zawołała cicho, zbyt słaba, by podnieść głos. –

Jean...

Kiedy nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Dwa schludnie posłane łóżka wyglądały tak samo jak wtedy, gdy oboje tu weszli. Szare koce były wsunięte pod materace, kratka przymocowana z powrotem do otworu wentylacyjnego. Nie było żadnego śladu, że ktoś tutaj spał. I ani śladu jej męża. Zajrzała pod łóżko, w nadziei, że znajdzie tam kluczyki do samochodu, szczoteczkę do zębów... cokolwiek. Wszystkie dowody, świadczące o ich pobycie tutaj, zniknęły. Tak jakby nigdy tu nie byli.

Napędzana adrenaliną wybiegła z miasteczka. Wiedziała tylko jedno: musi stamtąd jak najszybciej uciec. Dotarcie do samochodu zajęło jej jednak dwa razy więcej czasu niż wędrówka poprzedniego dnia.

Jeep był oczywiście zamknięty. A nawet gdyby nie był, i tak nie miał benzyny. O czwartej rano przejechała obok niej ciężarówka, ale kierowca się nie zatrzymał. Prawdopodobnie był pijany. Sylvie siedziała zrozpaczona i zszokowana na poboczu, ból w kolanie i nadgarstku był nie do zniesienia. Kiedy sięgnęła do kieszeni, obrączki tam nie było. W którymś momencie musiała jej wypaść. O świcie podjechał jakiś farmer i ją stamtąd zabrał. Rozumiał tylko tyle, że zepsuł jej się samochód i złamała rękę.

Nie znał ani słowa po francusku i po angielsku, lecz w ogóle jej to nie przeszkadzało. Zawiózł ją do najbliższego większego miasta, pięćdziesiąt kilometrów dalej.

W tamtejszym szpitalu jeden z lekarzy mówił płynnie po francusku. Sylvie była tak rozhisteryzowana, że trudno było ją zrozumieć w jakimkolwiek języku, ale udało jej się w końcu zdać relację z tego, co się wydarzyło. Doktor tłumaczył jej słowa grupie innych lekarzy i pielęgniarek. Niektórzy z nich kiwali głowami. Oni jej uwierzyli. Wszyscy w tej części Grecji słyszeli pogłoski na temat tego miasteczka. W minionych stuleciach jego mieszkańcy wykorzystywali obrzędy Wielkiej Soboty, by powiesić przestępcę. Niewiele osób wiedziało, że ostatnio powrócono do tej tradycji. Jean-Luc i Sylvie znaleźli się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu. Innymi słowy, nieświadomie złamali jedno z drakońskich, choć niepisanych praw, które obowiązywały w tym miasteczku. Stali się intruzami.

Nie było zwłok, a także żadnych dowodów i świadków, którzy potwierdziliby wersję Sylvie. Ku jej przerażeniu to ona stała się nagle podejrzaną. Wszystko świadczyło przeciwko niej. Nawet fakt, że „zgubiła” ślubną obrączkę zaledwie kilka dni po zawarciu małżeństwa, sugerował, że doszło do straszliwej sprzeczki, w której odniosła obrażenia. Policja i miejscowi zwarli szyki. Ostatecznie tylko dzięki temu, że nie znaleziono ciała, nie została skazana za morderstwo.

Grecka prasa przez pewien czas żyła tą sprawą, ale po procesie szybko o niej

zapomniano. Niedługo potem w witrynie pantopoleionu pojawiły się dwie proste ślubne obrączki wciśnięte między paczkę z plastikowymi grzebieniami i roztrzaskanym zegarkiem Patek Philippe.



Krew zastygła mi w żyłach, gdy zdałem sobie sprawę, że jadłem kolację w tym samym porcie. Tej nocy przyśnił mi się Jean-Luc i nie był to przyjemny sen.

Spędziłem jeszcze kilka dni w tym wygodnym, tanim hotelu, a potem uznałem, że czas ruszać dalej. Podróżuję po Grecji prawie od dziewięciu miesięcy i choć ostatnio mniej o Tobie myślę, zaczęły mnie dręczyć inne sprawy – po pierwsze, moja sytuacja finansowa, a po drugie, pytanie, kiedy powinienem wrócić do Londynu. Teraz jednak postanowiłem odłożyć te troski na bok, przynajmniej na jakiś czas. Przede wszystkim chciałem odpowiednio uczcić Wielkanoc, być może po to, by odsunąć od siebie obraz tego, co przytrafiło się Sylvie i Jean-Lucowi. Ostatecznie spędziłem to ważne religijne święto w górskiej wiosce, gdzie na kilka dni przygarnęło mnie pewne gościnne małżeństwo. Na własne oczy obejrzałem palenie kukły Judasza, zjadłem z nimi magiritsa (czyli jagnięce flaki) i aż do trzeciej w nocy słuchałem muzyki na żywo.

Wioska leżała niedaleko Termopili, które zastynęły z oporu, jaki trzystu

Greków stawilo ponad stutysięcznej najeźdźczej armii Persów (zdaniem niektórych historyków Persów było o wiele więcej). Zatrzymałem się na pustym parkingu przy wielkim pomniku, który wzniesiono, by uczcić ten niezwykle akt odwagi sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Obok wspaniałego posągu Leonidasa z włócznią widniały słowa: Molon Lavay! „Chodźcie i ją weźcie!”. Tak właśnie odpowiedział, gdy Persowie zażądali, by złożył broń. Jego niezłomność do dzisiaj robi wrażenie.

Kiedy tam stałem, na parkingu zatrzymał się inny samochód, z którego wysiadło starsze małżeństwo. Oboje mniej więcej osiemdziesięcioletni, byli dość drobni, jak większość osób z ich pokolenia, i bardzo elegancko ubrani, co kontrastowało ze sfatygowaną starą toyotą. Starszy pan dotknął palcami czapki w geście powitania i wszyscy troje patrzyliśmy przez chwilę na Leonidasa, którego posąg odcinał się na tle krwawoczerwonego nieba. Mężczyzna odwrócił się nagle do mnie i zaczął mówić:

– Filé mou, ehoume akomi sto ema mas tin andistasi. Etsi, alloste, ehasé ti zoi tou kai o aderfos mou. Kapii apo emas dev...

Bardzo mi się podobała ta pełna pasji przemowa, czułem jednak, że powinienem go uprzedzić, że jestem cudzoziemcem i nie rozumiem wszystkiego, co mówi.

– Przepraszam, przepraszam, przyjacielu! – zawołał. – Powiedziałem, że my, Grecy, opór mamy we krwi. Mój brat stracił przez to życie. Niektórzy z nas nigdy nie poddadzą się Niemcom!

Grecja jest relatywnie małym krajem i często musiała się zmagać z przeważającymi siłami wroga. Być może dlatego ten pomnik wywiera tak mocne wrażenie. Wciąż pamięta się tu o oporze, jaki stawiano Niemcom i Turkom, a odwaga takich wojowników jak Leonidas przeszła do legendy. Wiele osób uważa, że ich kraj nawet obecnie doznaje prześladowań ze strony Niemiec, i mimo że chodzi o sprawy gospodarcze, wola oporu jest bardzo silna.

Po zachodzie słońca i oni, i ja ruszyliśmy dalej swoją drogą.

Wieczory są teraz znacznie cieplejsze. Lato zbliża się wielkimi krokami.

Chociaż nigdy nie miałem ustalonej marszruty, pewien punkt figurował w niej od samego początku. To miejsce, które zamierzałem odwiedzić razem z Tobą, lecz teraz byłem gotów pojechać tam sam. Tego ranka obudziłem się i porównałem swoje obecne samopoczucie z tamtym czarnym dniem w połowie września. Chmury się rozstąpiły. Uświadomiłem sobie, że gdy tam pojedę, nie dopadnie mnie smutek. I że nie piszę już tego dla Ciebie.

„Delfy: piękne i tajemnicze”.

Kiedy przed wielu laty pojechałem tam ze szkolną wycieczką, te właśnie słowa zapisałem na marginesie zeszytu. Moją wyobraźnię pobudziły nie tylko starożytne kamienne kolumny, amfiteatr i stadion. Pobudziła ją panująca tutaj atmosfera. Było w niej coś mistycznego. Jako nastolatek zareagowałem na nią bardzo żywo i zawsze chciałem tam wrócić i przekonać się, czy rzeczywiście można tam wyczuć obecność czegoś nadprzyrodzonego – czy też były to tylko rojenia dorastającego chłopca.

W starożytności wielcy przywódcy nie podejmowali żadnych kluczowych decyzji bez zasięgnięcia opinii wyroczni delfickiej. Wieszcza siedziała w świątyni Apollina, z której do dnia dzisiejszego zostały tylko ruiny, a jej objawienia, po zinterpretowaniu przez kapłana, miały ich poprowadzić. Istnieją różne teorie tłumaczące podobny do transu stan, w którym się znajdowała. Obecnie uważa się, że dziwne halucynacje i majaczenia mogły być spowodowane przez wyziewy, które wydobywały się z rozpadliny w ziemi (i zawierały być może etylen lub metan).

Przez tysiące lat Delfy były religijnym pępkiem świata. Ludzie przybywali tu z daleka, by złożyć ofiary i zasięgnąć rady. A potem stopniowo tracili wiarę i zaczęli szukać prawdy gdzie indziej: w modlitwie, gwiazdach, kartach tarota, kryształowej kuli albo, tu w Grecji, w fusach kawy. Szukamy dziś iluminacji z taką samą determinacją jak w przeszłości, tyle że odnajdujemy ją w innych miejscach.

Czasami, kiedy człowiek odwiedza ponownie miejsce, które zrobiło na nim niegdyś wrażenie, wydaje się ono mniejsze albo pod pewnymi względami rozczarowuje. Delfy okazały się jednak wspanialsze, niż je zapamiętałem. Miejsce, gdzie leżą, wydawało się jeszcze bardziej spektakularne, a dziś jest tam muzeum, w którym prezentowane są cudowne rzeźby. W ten olśniewający majowy dzień poczułem na nowo magię tego miasta.

Po wizycie w Delfach zatrzymałem się na noc w małym hoteliku w pobliskiej wiosce rybackiej. Kiedy zszedłem rano na śniadanie, w jadalni było pusto, tylko przy jednym stoliku siedziała młoda kobieta. Żeby przerwać niezręczne milczenie, zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

Z początku nie zdawałem sobie sprawy, że to Greczynka. Sądziłem, że jest turystką, tak jak ja. Miała krótko przycięte włosy, drogi żakiet i żółtobrązową markową torebkę. Dopiero kiedy przedstawiła się jako Athina, domyśliłem się, jakiej jest narodowości.

– Przyjechałam tu tylko na weekend – powiedziała perfekcyjną, trochę afektowaną angielszczyzną. – Mieszkam w Niemczech.

To wyjaśniało, dlaczego nie całkiem pasowała do mojego wyobrażenia greckiej kobiety. Kiedy zorientowałem się, że jest młodą profesjonalistką, mieszkająca w północnoeuropejskiej metropolii, przestały mnie dziwić jej ostrzyżone włosy i modny aseksualny styl.

– Jak się pani mieszka w Niemczech? – zapytałem grzecznościowo.

Nie musiałem pytać, dlaczego tam wyjechała. Należała do wielotysięcznej rzeszy emigrantów zarobkowych, którzy opuścili Grecję, by szukać zatrudnienia gdzie indziej.

– Całkiem nieźle – odparła bez większego przekonania. – W bankowości zarabia się bardzo dobrze.

Nie zadawałem jej więcej pytań. Zaczęliśmy mówić o Delfach, o tym, co nas w nich urzekło, czy podobała nam się ekspozycja w muzeum i tak dalej.

Nagle powiedziała coś tak bardzo osobistego, że zabrakło mi słów, by to skomentować.

– Przyjechałam się odnaleźć. – Podniosła wzrok znad talerza i po raz pierwszy podczas tej rozmowy się uśmiechnęła. – Wie pan, jakie słowa wyryte były nad wejściem do świątyni Apollina? – zapytała. – Gnothi s'eafton. Poznaj samego siebie.

Pokiwałem głową.

Przez chwilę przesuwiała po talerzu kawałek pomidora, ale raptem spojrzała mi prosto w oczy.

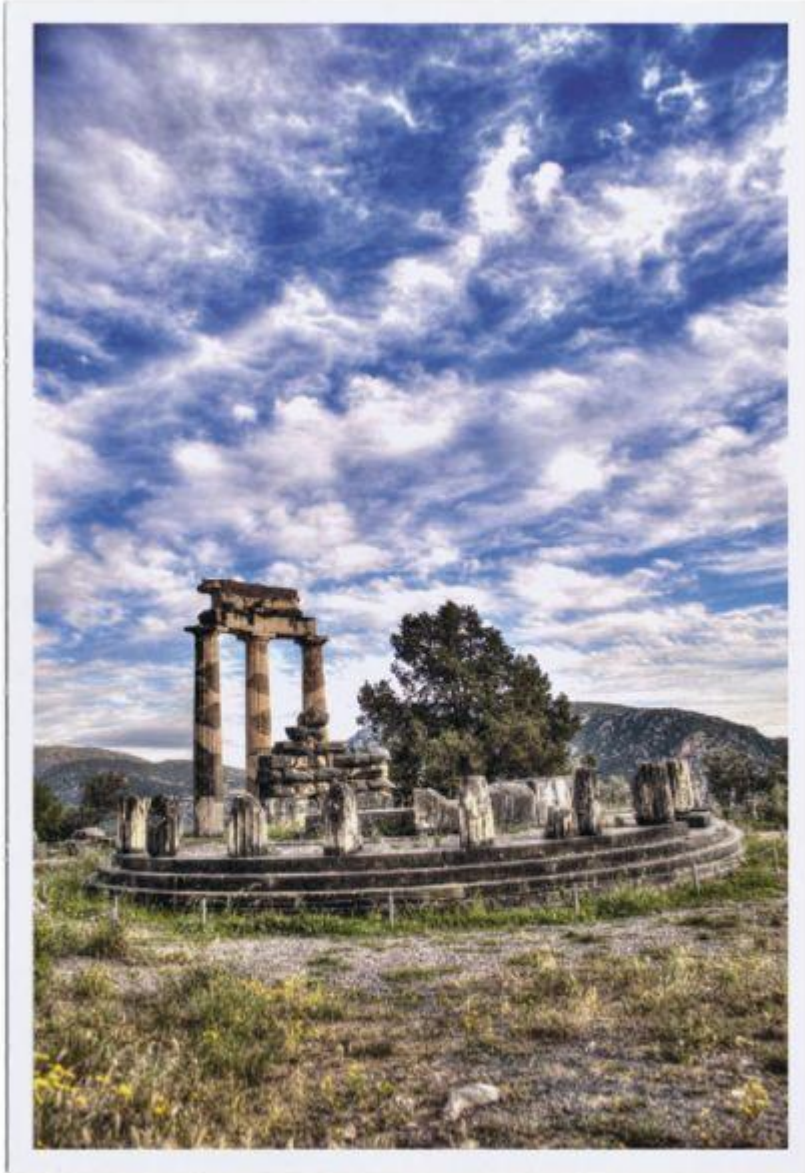
– Po raz pierwszy w życiu zaczynam chyba rozumieć samą siebie – powiedziała.

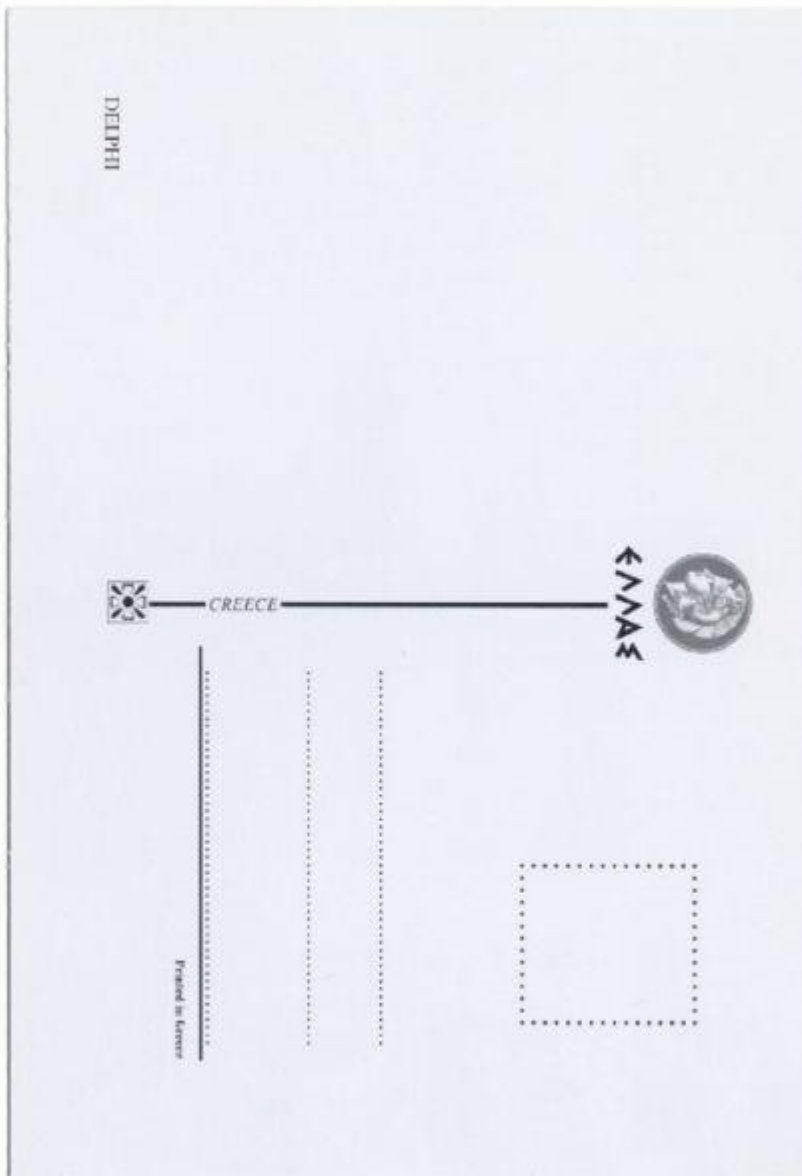
Oczy błyszczały jej z przejęcia. Jej wcześniejsza powaga gdzieś się ulotniła i opowiadając mi swoją historię, kobieta coraz bardziej się ożywiła. Stała się mniej niemiecka, bardziej grecka.

– Ujrzałam swoją przyszłość!



POZNAJ SAMEGO SIEBIE





POZNAJ SAMEGO SIEBIE

Γνωθι σαυτον

Zaledwie miesiąc wcześniej Athina siedziała na dwudziestym ósmym piętrze biurowca w Düsseldorfie, spoglądając przez przyciemnioną szybę na inne przyciemnione szyby w oknach. Wszędzie w tym miejscu dominowały lśniące wieżowce z betonu i szkła i Athinie zdawało się czasem, że istnieją tylko po to, by

jeden mógł przeglądać się w drugim. Zajmowały je międzynarodowe korporacje, których bankierzy, prawnicy, maklerzy, dyrektorzy funduszy hedgingowych i finansiści obsługiwali jedni drugich w samonapędzającym się cyklu działań.

Nad stołem konferencyjnym padały słowa „refinansowanie”, „blue chipy”, „restrukturyzacja długów”, „należyta staranność”, „raje podatkowe” i inne podobne frazy. Pomyślała o języku biznesu. Bez względu na to, czy używało się angielskiego, niemieckiego, czy greckiego, nietrudno go było opanować, bardziej liczyło się, jak ktoś mówił, niż, co mówił.

Obok notesu i zatemperowanego ołówka przed każdym z dyrektorów stała filiżanka ze słabą filtrowaną kawą, która już dawno ostygła. Te zagracające stół przedmioty były równie bezsensowne jak sama odprawa: wszyscy robili notatki w swoich iPadach i sączyli kupione na wynos cappuccino.

Athina zerknęła ukradkiem na zegarek. Spotkanie trwało już dwie godziny, ale byli dopiero w połowie porządku dnia. Stłumiła ziewnięcie. Przedstawiła już prezentację na temat nowej firmy telekomunikacyjnej, która wymagała refinansowania, a teraz zabrał głos jej kolega i wyświetlał w PowerPointcie prognozy finansowe. Dołączył do ich zespołu jako ostatni i był zawsze supergorliwy i superprzygotowany.

Co ja tutaj robię? – zastanawiała się Athina. Pierwsze tygodnie pobytu w Düsseldorfie były ekscytujące, ale kiedy minął urok nowości, zadawała sobie to pytanie prawie codziennie. Przyjechała do Niemiec ponad rok temu.

Dlaczego mieszkała za granicą, w chłodnym klimacie, daleko od przyjaciół i rodziny, wykonując pracę, która nie dawała jej żadnej satysfakcji? Jak do tego doszło?

Gdy odprawa ostatecznie dobiegła końca, było wpół do dziewiątej. Athina wsunęła laptopa do teczki i nie żegnając się z kolegami, wybiegła z sali. Jedynym sposobem na odzyskanie spokoju i wewnętrzne wyciszenie była dla niej joga. Bikram, ashtanga, joga medytacyjna. Próbowwała wszystkich rodzajów, ale ulga była tylko chwilowa. Kiedy milkły delikatne dźwięki płynącej wody i dzwonek rurowych, kiedy rozwiewał się zapach lawendy i bergamotki, znikwały również wszelkie korzyści. Dobrostan był kolejnym towarem sprzedawanym na godziny. W klubie wisiał na ścianie plakat z napisem: „Odnajdź siebie”, lecz Athina zdawała sobie sprawę, że gdzie jak gdzie, ale na macie do jogi z pewnością się nie odnajdzie.

Przemierzając później pozbawione drzew centrum miasta, zerknęła w górę, by dostrzec między betonowymi wieżami gwiazdy. Szła szybkim krokiem. Minęła już dawno godzina, o której co tydzień rozmawiała na Skypie z rodzicami w Lamii, ale wiedziała, że będą na nią czekać. Z najbliższej stacji miała do domu pół godziny jazdy pociągiem.

– *Agapi mou?* Jak się czujesz? Co w Düsseldorfie? Bardzo tam zimno?

Wszystkie pytania zadawane były na jednym oddechu.

– Mam nadzieję, że jesz nie tylko kiełbasę i sznycle, kochanie. Wiem, że niemieckie jedzenie jest raczej ciężkostrawne. Chętnie wysłałabym ci trochę pysznej *dolmadakia*. Ale na pewno wysłę oliwę. Wuj Dimitris właśnie skończył tegoroczne zbiory i mówi, że oliwki są najlepsze od dziesięciu lat. Jesteśmy z ciebie tacy dumni, kochanie. Ale bardzo tęsknimy. Ciocia Georgia przesyła ucałowania. Wczoraj były jej imieniny. Nie zapomniałaś jej życzyć *Hronia Polla*? Mówi, że w ogóle się z nią nie kontaktujesz.

– Mamo...

Na ekranie ukazała się twarz jej ojca, który starał się wypchnąć matkę z kadru. Athina cieszyła się, widząc ich oboje i dostrzegając za ich plecami fragmenty tak dobrze jej znanych, zupełnie niezmiennych wnętrza.

– *Matia mou*, twój kuzyn Giannis stracił właśnie pracę w ubezpieczeniach i zatrudnił się jako barman. A jego brat przez całą zimę starał się o jakiś etat. I nic nie znalazł. Nie ma tu żadnej pracy. Zaproponowano mu stanowisko w Katerini, ale...

– Dlaczego nie wziął tej pracy, tato? – zapytała.

– Poradziliśmy mu, żeby z tobą pogadał. Może uda ci się znaleźć dla niego coś w Niemczech? Znasz kogoś, kogo mogłabyś o to poprosić? To dobry chłopak. Myślisz, że ci się uda? Twoja ciocia tak by się ucieszyła. Sprawy naprawdę idą w złym kierunku.

– Jesteśmy z ciebie tacy dumni – przerwała mu matka, wychylając głowę zza ramienia męża, żeby Athina mogła ją zobaczyć. Mówiła prawdę. Oboje szcycili się tym, że ich jedynaczka radziła sobie świetnie w szkole i poszła na uniwersytet. Cieszyli się także, że zdołali ją wysłać do Wielkiej Brytanii, gdzie zrobiła magisterkę. Nie każdego było na to stać.

Ojciec uparł się, by przekazać jej wszystkie najnowsze wiadomości.

– W tym momencie rząd pogarsza tylko sytuację. Dzisiaj mieliśmy demonstrację, a na przyszły tydzień zapowiadają strajk generalny. Syriza nie ma lekko. Wszyscy się do niej rozczarowali. Nawet ludzie, którzy wcześniej oddali na nią głos.

Nie sposób było przerwać ani strumienia świadomości matki, ani gniewnej politycznej tyrady ojca. Athina nie próbowała nawet tego robić.

– Niezbyt tam u ciebie przytulnie – zauważyła matka, wpatrując się w ekran. – Nie marzniesz? Czy spadł już śnieg? Jak ci się mieszka ze współlokatorką?

Współlokatorką Athiny była lekarka, która zamieściła w greckiej gazecie „*Kathimerini*” ogłoszenie, że ma wolny pokój w swoim mieszkaniu w Düsseldorfie. Choć długie godziny pracy w szpitalu oznaczały, że spędzała w domu bardzo mało czasu, chciała zamieszkać z kimś z Grecji. Athina również

wychodziła o siódmej rano, żeby dojechać do miasta, i często wracała dopiero po dziesiątej, więc obie kobiety widywały się najczęściej tylko w okolicy łaźienki.

– Jest w porządku – odrzekła Athina. – Pracuje do późna.

– Ty też ciężko pracujesz – stwierdziła z żalem matka.

Athina nie zrozumiała wyraźnie, co ojciec szepnął matce do ucha. Zdawało jej się, że słyszy:

– Lepsze to, niż w ogóle nie pracować.

Wygórowane nadzieje, jakie pokładał w niej ojciec, i silne pragnienie matki, by sprowadzić z powrotem do gniazda swoje jedyne dziecko, od wielu lat stały ze sobą w sprzeczności. Athina źle znosiła jedno i drugie i te rozmowy były dla niej wyczerpujące. Tyle musiała ukrywać przed rodzicami, tak często puszczać mimo uszu ich udzielane w dobrej wierze, lecz czasami irytujące rady i instrukcje. Ale w Düsseldorfie przynajmniej nie sterczeli jej cały czas nad głową, tak jak to się działo w rodzinnym mieście.

Powiedziała rodzicom, że zarabia tysiąc sześćset euro, i nigdy nie starała się wyprowadzić ich z błędnego przekonania, że to jej miesięczne zarobki. W rzeczywistości dostawała tyle tygodniowo, sumę jak na standardy greckie wprost astronomiczną. Początkowo nie mogła uwierzyć w hojność banku, ale ostatnio traktowała swoją pensję jako rekompensatę. Czasami czuła, że sprzedała się w niewolę tej bezimiennej korporacji.

Nazajutrz, wpatrując się na porannej konferencji w ten sam bezduszny pejzaż ze szkła i stali, zdała sobie sprawę, że musi stąd uciec.

Wkrótce zaczynał się długi weekend i w tym czasie nic nie trzymało jej w Niemczech. Nieśmiały romans z kolegą z banku szybko się wypalił, co nie było chyba takie złe, ponieważ patrzono tutaj niechętnym okiem na bliskie relacje między pracownikami firmy.

Jeszcze przed końcem konferencji udało jej się na iPadzie zarezerwować lot do Aten i z powrotem. Nie planowała jednak wizyty u rodziców. Jej ojciec martwiłby się, że nie jest szczęśliwa w Düsseldorfie, a matka mogłaby odnieść mylne wrażenie, że Athina chce wrócić do Grecji.

Miała inny pomysł.

Te słowa z plakatu, „Odnajdź siebie”, przypomniały jej coś, o czym uczyła się w szkole. Podobny napis wyryty był nad drzwiami do świątyni Apollina w Delfach: *Gnothi s'eafton*, „Poznaj samego siebie”.

Nigdy nie była w Delfach, ale jak każda osoba, która kończyła grecką szkołę, wiedziała, że przez długie stulecia ludzie zasięgali tam rady na temat swojej przyszłości.

Kapłana i wieszczki od dawna już tam nie było, ale sporo ludzi nadal odwiedzało starożytną wyrocznię. Zastanawiała się dlaczego. Jadąc tam, będzie miała przynajmniej czas się zastanowić, a także nacieszyć się błękitem nieba.

W samolocie, żeby zabić czas, przeczytała w magazynie linii lotniczych swój horoskop. Był to w końcu jakiś sposób na życie: iść za nakazami i radami autorów rubryki astrologicznej. Zawsze z wielkim przekonaniem pisali, że ona, Waga, ma takie, a nie inne cechy i powinna w związku z tym zrobić to, a nie co innego. Być może stanowiło to dzisiejszy odpowiednik zasięgnięcia rady wyroczni. Trzeba było po prostu wierzyć i zazdrościła ludziom, którym przychodziło to z taką łatwością.

Kiedy wyszła z samolotu, uderzyła ją w nozdrza woń jej kraju. Nawet lotnisko miało swój specyficzny zapach. Prawdopodobnie był to tylko odświeżacz powietrza, ale chciała wypełnić płuca jego słodyczą. Cały terminal przylotów tętnił życiem, kafejki pękały w szwach. Zanim stanęła w kolejce w biurze wynajmu samochodów, kupiła sobie mocną, lekko słodzoną grecką kawę. Była niczym narkoman, który po dłuższej przerwie bierze pierwszą działkę.

– To dla pani miły dzień? – zapytał mężczyzna w punkcie wynajmu samochodów Hertz.

Jej uśmiech zwracał uwagę. Większość ludzi czekających, by wynająć samochód, była zestresowana, ale ta raczej elegancko ubrana młoda kobieta wydawała się całkowicie odprężona.

– Tak – potwierdziła. – Bardzo miły.

– Wybiera się pani w jakieś piękne miejsce?

– Tam gdzie jeszcze nigdy nie byłam. Do Delf.

– Chce pani wysłuchać wyroczni?

– Tak jakby...

Wręczył jej kluczyk.

– Powodzenia!

Jadąc prosto jak strzelił autostradą, miała wrażenie, że samochód sam zna drogę do celu. Mężczyzna z Hertz dał jej chyba auto wyższej klasy. Z głośników luksusowo wyposażonego audi płynął głos Giorgosa Dalarasa. Wydawało jej się, że piosenkarz śpiewa specjalnie dla niej.

S'agapo, yiati eisai orea,

S'agapo, yiati eisai esi.

Kocham cię, bo jesteś piękna,

Kocham cię, bo jesteś sobą.

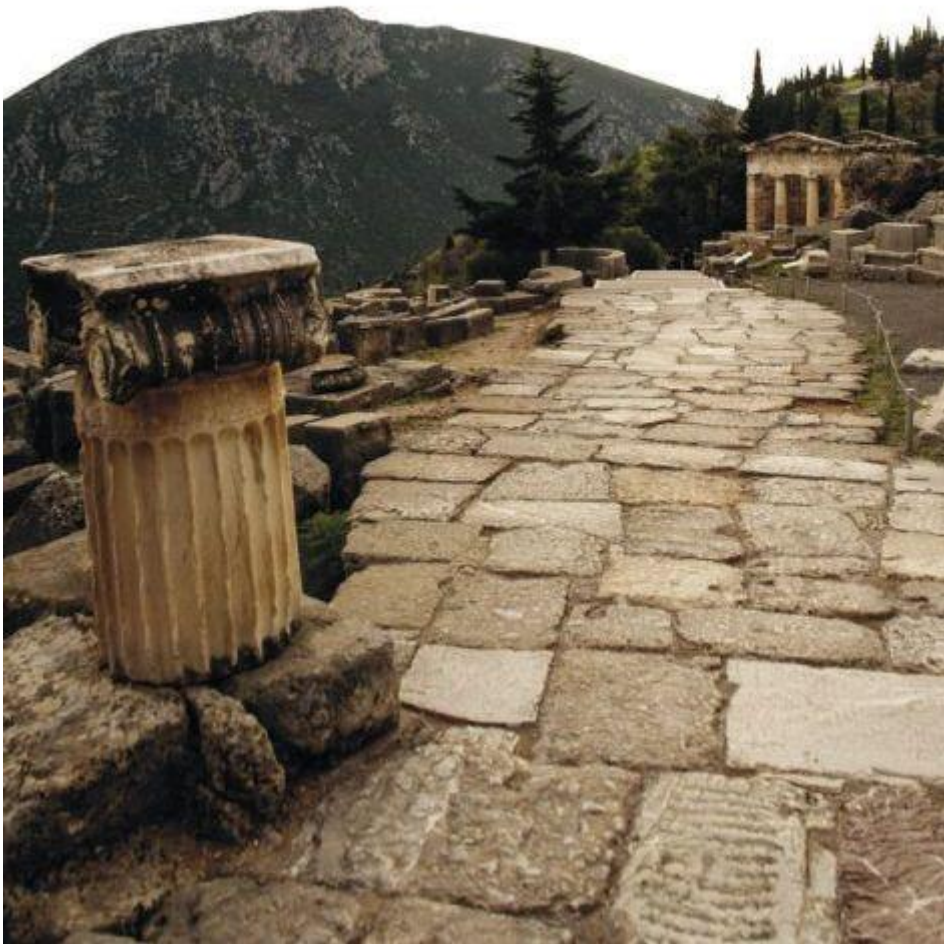
W Niemczech wołała nie słuchać greckiej muzyki, bo budziła w niej ona tęsknotę za krajem, ale teraz, skoro już się tu znalazła, mogła sobie pofolgować. Śpiewała razem z wokalistą, głośno wykrzykując słowa w kierunku wznoszących się przed nią zalesionych gór.

Wszystko dookoła tonęło w bujnej zieleni, a przy samej drodze rosły krzaki żółtego żarnowca. Niebo było lazurowe. Choćby dla widoku tej wspaniałej doliny

warto było tutaj przyjechać.

Dwie godziny później zobaczyła drogowskaz prowadzący do Delf, a jakiś czas potem, gdy dostrzegła między drzewami kilka kolumn, zrozumiała, że jest na miejscu.

Zatrzymała się na parkingu i podeszła do budki, żeby kupić bilet wstępu.



– Niech pani idzie najpierw do świątyni Apollina, a potem do muzeum – poradziła jej bileterka. – Lepiej zwiedzać w takiej kolejności.

Athina zastosowała się do instrukcji. Świeciło jasne słońce, ale o tej porze roku, późną wiosną, turystów było niewiele. Ruszyła „Świątą Aleją”, próbując sobie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało dwa i pół tysiąca lat temu. Mijała ruiny skarbców, w których dawnymi czasy ludzie zostawiali ofiary pieniężne dla kapłana w zamian za jego przepowiednie i rady.

W miejscu, gdzie była kiedyś świątynia Apollina, stało kilka imponujących kolumn, ale Athinie sama archeologia nie wystarczała. To było tak, jakby ktoś patrzył na ludzki szkielet i próbował sobie wyobrazić żywą osobę. Co chwila zerkała na rekonstrukcje w przewodniku, by przekonać się, jak to naprawdę

wyglądało. Amfiteatr i gimnazjum nie wymagały takiego wysiłku wyobraźni. Były nienaruszone; srebrzystoszare kamienie wydawały się pamiętać brawa i pomruki podekscytowanego tłumu.

Czytając przewodnik, zorientowała się szybko, że miejsce, w którym pierwotnie znajdowała się wyrocznia, zostało pogrzebane przez trzęsienie ziemi. Dla ludzi, którzy szukali tu porady i mądrości, musiało to być wielką katastrofą. Ona też poczuła nagle rozczarowanie.

Zanim weszła do muzeum, gdzie były prezentowane rzeźby i inne wykopaliska, kupiła sobie w kafejce wodę i usiadła na tarasie, żeby podziwiać widok. Nawet bez zgromadzonych tu starożytnych artefaktów dzikie piękno tego miejsca ujmowało za serce.

Tuż przed Delfami zatrzymała się w miasteczku Arachova, żeby kupić papierosy. Nie paliła od poprzedniej wizyty w Grecji ponad rok wcześniej – w Niemczech praktycznie nie można było tego robić bez łamania prawa. Zaciągając się, uświadomiła sobie, że bardziej cieszy ją to, że może swobodnie zapalić, niż sama nikotyna.

W nozdrza wpadł jej silny zapach sosnowej żywicy i grzejąc się w słońcu, poczuła, że coś w niej taje. Zamknęła oczy. Całe poprzednie lato przechodziła w zimowym płaszczu. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy zdjęła go na dworze. Leżał na tylnym siedzeniu samochodu i w tym momencie szary Düsseldorf ze swoim wiecznie zasnutym niebem wydawał się bardzo odległy.

Rozdeptała obcasem niedopałek i wstała. Była gotowa wejść do muzeum.

Od samego początku urzekły ją przestronne sale i zgromadzone w nich niezwykle eksponaty. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Wszystkie miały tysiące lat i w większości wryto je we wspaniałym złocistym kamieniu. Liczne fryzy przedstawiały sceny z wojny trojańskiej: porwania, bitwy, lwy, olbrzymów i bogów. Bogactwem ruchu i akcji przypominały taśmę filmową.

Były tam również małe posąжки, o wysokości kilku centymetrów, i bardziej monumentalne dzieła, tak zwane kurosy: posągi nagich młodych mężczyzn z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Historia dwóch z nich, potężnie zbudowanych bliźniaków, była tragiczna.

Ich matkę trzeba było przywieźć do świątyni na wozie, a ponieważ nie mieli wołów, które by go pociągnęły, dwaj młodzi ludzie sami zaprzęgli się do wozu. Wdzięczna matka poprosiła bogów, by dali im to, co najlepszego może otrzymać człowiek. Wtedy ułożyli się do snu i nigdy już nie wstali.

Athina była zszokowana.

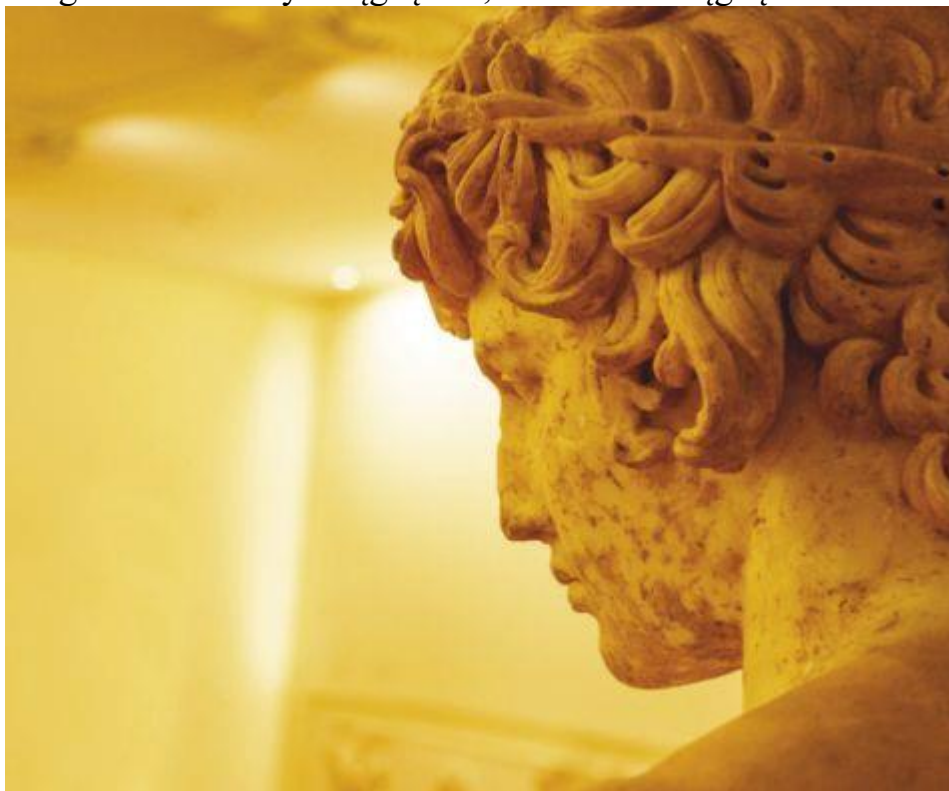
Czy spokojna śmierć jest naprawdę najwyższą nagrodą?

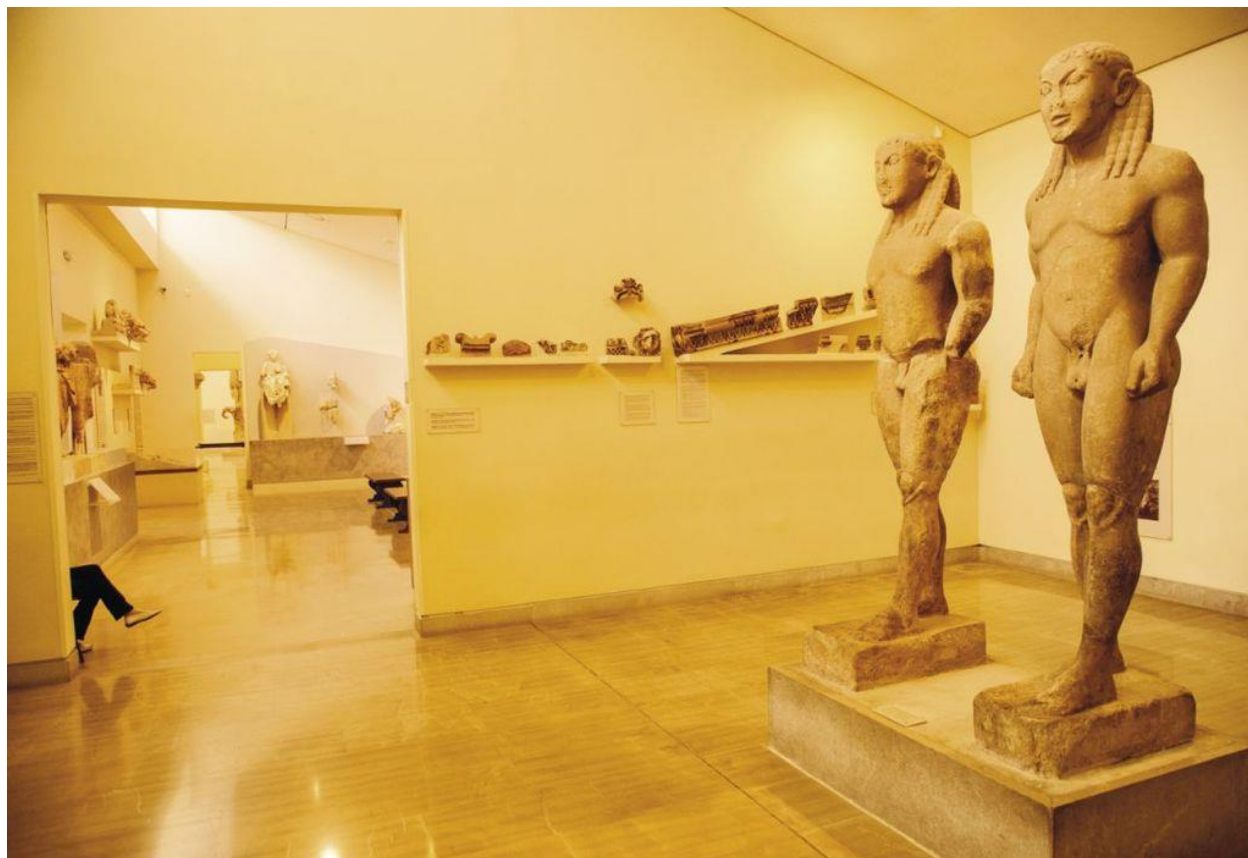
Gorzki i jednocześnie słodki wydzźwięk tej historii sprawił, że poczuła wewnętrzną pustkę.

Nieopodal stał posąg Antinousa, ponoć najpiękniejszego młodzieńca na

świecie, którego pokochał cesarz Hadrian. Kiedy chłopak utonął w Nilu, zrozpaczony Hadrian uczynił z niego półboga. Pełna patosu rzeźba opłakiwała utraconą młodość i miłość.

Te wyobrażenia przedwczesnej i niesprawiedliwej śmierci nie dawały jej spokoju. Dzień wcześniej żaden z tej trójki nie wiedział, że jego życie zaraz dobiegnie końca. Czy osiągnęli to, co chcieli osiągnąć? Bardzo w to wątpiła.





W Delfach co chwila natykała się na jakieś *memento mori*, ale nikt nie musiał jej przypominać, że nie wolno marnować życia. Nie było to dla niej żadną rewelacją. Śmierć towarzyszyła jej nawet podczas jazdy tutaj, kiedy mijała liczne cmentarze, palące się w miejscach wypadków znicze, a także przybite do drzew klepsydry z portretami zmarłych mężczyzn i kobiet.

Tak naprawdę czekała na jakąś wskazówkę. Podobnie jak przybywający tu w dawnych czasach ludzie, pragnęła pouczenia, rady, co powinna zrobić ze swoim życiem.

Postanowiła, że przed wyjazdem zwiedzi znajdujące się po drugiej stronie drogi ruiny świątyni Ateny, tolos.

Minęła szósta i inni turyści już się wynieśli. Kilka autobusów odjechało punktualnie o piątej. Zrobiło się tak pusto, że idąc po nierównej ziemi w stronę ruin, czuła się jak intruz.

Obfitość żółtych margerytek i dzikich traw sprawiała, że cała okolica wydawała się kompletnie opuszczona. W pobliskim gaju oliwnym śpiewał melodyjnie szczygieł, towarzyszyła mu niewidoczna kukulka. Inne ptaki pogwizdywały i ćwierkały. W powietrzu latały małe muszki.

Stojące w ciasnym kręgu kolumny natychmiast ją urzekły. W tej świątyni miała wrażenie skończoności, pełni, którego nie doznała gdzie indziej w Delfach. Może czuła się z nią związana, bo była poświęcona Atenie? Prawie przez godzinę

siedziała na kamieniach, słuchając ptaków i wpatrując się w krajobraz.

Nie dostrzegła stojącego na uboczu małego domku i kiedy nagle pojawił się obok niej jakiś mężczyzna, prawie podskoczyła ze strachu.

Widząc, że jest w mundurze, odetchnęła z ulgą.

– Długo pan pracuje – powiedziała.

– Przez całą noc. Starożytności osiągają wysokie ceny na czarnym rynku. Dlatego musimy pilnować naszych skarbów.

– Chyba trudno byłoby ukraść te rzeczy? – zapytała, wskazując wznoszące się ku niebu strzeliste kolumny.

Z dwudziestu, które kiedyś tworzyły rotundę, udało się postawić z powrotem trzy.

– Zdziwiłaby się pani, co ludzie potrafią zwędzić.

– To piękne miejsce – zauważyła.

– Moim zdaniem najpiękniejsze w całych Delfach – odparł.

Odniosła wrażenie, że nie wykonuje swojej pracy tylko dla pieniędzy. Autentycznie pokochał kamienie, których był strażnikiem.

– Sanktuarium Ateny...

– *Pronoia*? – wtrąciła, zaglądając do przewodnika.

– Jasnowidzącej. Ateny Jasnowidzącej.

– Potrafiła przewidzieć przyszłość?

– Niektórzy w to wierzyli. Być może ludzie szukali wskazówek nie tylko w wyroczni.

– Jak pan się tu czuje... kiedy jest ciemno?

Wyobrażała sobie, że w nocy przewrócone kolumny i szare bloki kamienia mogą wyglądać upiornie.

– Przywykłem – odrzekł strażnik. – Wynagradzają mi to inne pory dnia.

Przez chwilę Athina zastanawiała się, co miał na myśli.

– Niech się pani obejrzy – powiedział.

Kiedy to zrobiła, doznała szoku. Zachód słońca, który zobaczyła, był tak niesamowity i intensywny, że zaparło jej dech w piersiach. Niebo było różowe i przydymione, jakby gdzieś w oddali wybuchł wulkan i w górę wystrzeliły płomienie i tumany pyłu.



Przez cały rok ani razu nie widziała, jak zachodzi słońce. W Düsseldorfie

niepostrzeżenie chowało się pod koniec dnia za chmurami albo budynkami.

Dopiero teraz przypomniała sobie jego moc i blask. Zanim wyjechała do Niemiec, wędrówka słońca po niebie stanowiła część jej codziennego życia. Ono zawsze tam było, zawsze je widziała. Zdała sobie sprawę, jak bardzo brakuje jej piękna Grecji.

Ten zachód wydawał się czymś nadprzyrodzonym. Stali obok siebie, obserwując w milczeniu to niezwykle zjawisko, czując jego niezmierną moc.

– Nigdy mi się to nie znudzi – powiedział strażnik.

Jak każdy, kto spędza wiele godzin w samotności, lubił mówić i chętnie też słuchał.

– Ktoś może zabrać kolumny, ale nikt i nic nie odbierze nam tych cudów natury – dodał, kiedy zaczęli powoli okrążyć świątynię. – W tym kraju mamy ich zatrzęsienie. Choć tyle się mówi o Atenie Jasnowidzącej i Wyroczni Delfickiej, zastanawiam się czasami, czy ludzi nie przyciągają tu bardziej ten zachód słońca i ten krajobraz.

Athina słuchała każdego jego słowa.

– Nie chcę być nigdzie indziej. Zamierzali przenieść mnie do Epidauros, ale nie miałem ochoty tam jechać. Odmówiłem. Czasami człowiek po prostu wie, gdzie chce być. W miejscu, gdzie jest naprawdę szczęśliwy. Nawet jeśli zdarza się to tylko raz w ciągu dnia, przez kilka chwil. Jeśli warto żyć dla tych kilku chwil, to wtedy ma się coś cennego. A ja chcę żyć tutaj.

Strażnik zaciągnął się papierosem i spojrzał na zachód. Na niebie koloru indygo pojawiła się właśnie pierwsza gwiazda.

W tym momencie czystej epifanii Athina miała wrażenie, że została wyzwolona. Wiedziała, gdzie chce żyć. Wyrocznia w końcu przemówiła.

Athina była bardzo podekscytowana swoją decyzją. Wydawała się w wystarczającym stopniu niezależna, by zacząć nowe życie; wyznała mi, że pracując w Niemczech, zaoszczędziła sporo pieniędzy. Nawet jeśli jej zarobki nigdy już nie dorównają temu, co tam dostawała, mogła sobie śmiało dać radę w Atenach. Jej rodzice mieli o niczym nie wiedzieć, dopóki nie zadomowi się w Grecji na dobre.

– Tak będzie o wiele łatwiej! Wiem, że tak właśnie powinnam postąpić – stwierdziła z przekonaniem. – Ale możesz sobie wyobrazić rodzinne dyskusje, które mnie czekają.

Wspomniałem, że w Zjednoczonym Królestwie dzieci nie zasięgają rady rodziców przy każdej życiowej decyzji i że zachęca się je do niezależności.

– Tutaj we wszystko próbują się wtrącać – przyznała. – Gdyby mogli, zdawaliby za nas szkolne egzaminy!

Zgodziliśmy się, że to podejście prawdopodobnie nigdy się nie zmieni, lecz odzwierciedla ono coś, co w greckim społeczeństwie jest bardzo ważne: siłę rodziny. Wszystko ma swoje plusy i minusy.

– Choć mam dwadzieścia osiem lat, w oczach ojca zawsze będę dzieckiem – oznajmiła. – Ale prawdę mówiąc, to moje życie. To ja muszę je przeżyć.

Powiedziałem jej, czym sam się zajmuję, i jej pierwszej wyznałem, dlaczego wyruszyłem w tę podróż. Wcześniej nikomu się nie zwierzałem. Nie oszczędzała mnie ani nie dawała dobrych rad. Po jej oczach widziałem, że współczuje mi z powodu tego, co przeszedłem. Dla nas obojga wizyta w Delfach stanowiła punkt zwrotny.

Athina musiała tego wieczoru zdążyć na samolot, a przedtem jeszcze się spakować, wymieniliśmy więc adresy mailowe, na wypadek gdybym kiedyś w przyszłości znalazł się w Atenach. Zapłaciliśmy jednocześnie nasze rachunki hotelowe i chociaż protestowała, zaniósłem jej torbę do samochodu. Kilka godzin później ja też ruszyłem w drogę.

Pogoda była idealna, niebo bezchmurne, temperatura bardziej przyjemna niż męcząca. Przed końcem moich podróży chciałem przejrzeć pierwszą wersję książki Rzeźba cykladzka i współczesność i odwiedzić kilka wysp. Pieniądze kiedyś mi się skończą. To oznaczało, że powinienem wrócić do Aten, ale kilka godzin później znalazłem się w Rafinie, w kolejce do promu odchodzącego na Andros.

W Grecji wszyscy czekają z wielką niecierpliwością na moment, gdy prom odbija od brzegu. Doświadczałem tego dość często, ale chwila, kiedy na pokład wjeżdża ostatni samochód, rampa się unosi i rufa powoli oddala się od nabrzeża, przyprawia mnie zawsze o dreszcz emocji. W to piątkowe popołudnie na promie panował świąteczny nastrój. Setki pasażerów czekały, żeby po wspólnym rejsie

dotrzeć jak najszybciej do celu podróży. Morze Egejskie było spokojne, a ja stałem na górnym pokładzie, czując na twarzy podmuchy słonej bryzy. Dwie godziny później siedzieliśmy ponownie w naszych samochodach na zadymionym dolnym pokładzie. Prom dobił do brzegu. Teraz wszystko odbyło się w odwrotnej kolejności i już wkrótce prom pruł z powrotem w stronę stałego lądu, żegnając nas tęsknym dźwiękiem syreny.

Jeśli miałem wcześniej jakieś wyobrażenia na temat greckich wysp (małe bielone domki, skromne kamienne chaty przy brzegu morza), szybko musiałem je zrewidować. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem po przyjeździe do Hory, głównego miasta Andros, była spora liczba dużych rezydencji: domów tak okazałych i eleganckich, że robiły niemal absurdalne wrażenie, wydawały się tu nie na miejscu. Wiele miało kolumny i loggie, część była pomalowana na różowo i inne pastelowe kolory, niektóre mogłyby stać przy Canal Grande w Wenecji.

Na wyspie, której ludność liczy obecnie niespełna dziesięć tysięcy mieszkańców, świadectwo takiej zamożności było intrygujące, wręcz niezwykle. Dotyczyło to nie tylko domów prywatnych, ale też budynków publicznych. Pewien przyjaźnie nastawiony sklepikarz, znający od podszewki historię wyspy, poinformował mnie, że jej gospodarka opierała się niegdyś na handlu morskim i że jeśli chodzi o liczbę zarejestrowanych statków, Andros ustępował tylko Pireusowi. Zauważyłem bardzo okazały budynek (szpital dla seniorów), który ofiarował miastu członek rodziny Embirkosów, właściciele największej floty parowej w Grecji. Na pamiątkowej inskrypcji określono go jako tego, który „zawsze wracał z podróży”, najwidoczniej więc żeglarze z Andros nawet po najdłuższych rejsach wracali na swoją skromną, lecz uroczą wyspę.

Odkryłem tu również ufundowane przez rodzinę Goulandrisów ciekawe muzeum sztuki współczesnej, z poruszającymi rzeźbami Mihalisa Tombrosa, artysty, który urodził się na Andros, a także kilkoma wspaniałymi obrazami. Kiedy siedziałem na murku przed muzeum, przeglądając ponownie katalog, podeszła do mnie jakaś kobieta. Uświadomiłem sobie, że to ona właśnie sprzedała mi przed chwilą bilet. Zapytała, jak podobały mi się zbiory, a ja odpowiedziałem, że miło było znaleźć tyle dobrej sztuki na takiej małej wyspie.

– Owszem, lecz nie ma tu obrazów jednej z naszych największych artystek –

odparła, po czym wyjaśniła, że wiele dzieł tej malarki (w tym portret jej własnych rodziców) zostało bezpowrotnie utraconych.

Najwyraźniej chciała mi opowiedzieć, jak do tego doszło, a ja miałem wielką ochotę jej wysłuchać, choćby dlatego, że była uderzająco piękna, sama jak z obrazka.

SAMOTNA ŽONA





SAMOTNA ŻONA

Było to raczej małżeństwo z rozsądku niż z miłości. Antigoni miała prawie trzydzieści lat, gdy ojciec przyjął oświadczyzny w jej imieniu. O rękę jego młodszej, ładniejszej córki, Ismini, starali się już konkurenci, lecz tradycja wymagała, by pierwsza wyszła za mąż Antigoni.

Pewnego wiosennego popołudnia, w trakcie spaceru wzdłuż nabrzeża Pireusu, obie siostry wstąpiły do zacharoplasteionu na kawę. Antigoni zauważyła, że przechodzący obok krępy mężczyzna w średnim wieku zerknął w ich stronę. Nie raz, ale aż trzy razy. Była przekonana, że obiektem jego zainteresowania jest Ismini.

Christos Vandis nie chciał mieć za żonę pięknej latawicy, o której wierność musiałby się obawiać podczas swoich długich podróży. Bogaty armator z Andros spędzał dużo czasu na morzu i szukał kogoś, komu mógłby zaufać, prostej, choć niekoniecznie nieatrakcyjnej kobiety, która poprowadziłaby mu gospodarstwo. Żona o niekonwencjonalnej urodzie całkiem mu pasowała. Dość często odwiedzał Pireus i nie po raz pierwszy widział tę młodą kobietę z wydatnym nosem i obciętymi krótko, zgodnie z najnowszą modą, ciemnymi włosami. Miał już czterdzieści pięć lat, jego rodzice zmarli i odziedziczył po nich majątek. Musiał znaleźć jakąś kandydatkę na żonę, i to dość szybko, bo wkrótce znów wyruszał na morze. Po dyskretnym zasięgnięciu języka dowiedział się wszystkiego, co chciał

wiedzieć. Ojciec dziewczyny był zarządcą portu. Christosowi to odpowiadało. Nie szukał wielkiego posagu.

Antigoni przyjęła oświadczenia bardziej ze względu na siostrę niż na siebie. Wiedziała, że Ismini (która pragnęła jak najszybciej wyrwać się z domu) właśnie przez nią nie może wyjść za mąż. Sytuacja wyglądałaby pewnie inaczej, gdyby jej siostra nie była taka ładna – z jasnozielonymi oczami, jasnymi jedwabistymi włosami, promienną cerą i dokładnie tyloma co trzeba piegami na małym nosku. Takie jak ona nazywano *koukla*, laleczka, i nie mogły się opędzić od mężczyzn.

Podczas gdy Ismini stale roiła o przyszłości, Antigoni była zadowolona z życia, które wiodła w Pireusie. W połowie lat trzydziestych miasto szybko się rozwijało, liczyło prawie dwieście tysięcy mieszkańców i stało się ważnym ośrodkiem kulturalnym. Zawsze można było obejrzeć coś nowego w kinie lub w teatrze albo odwiedzić wystawę sztuki. Od śmierci ich matki (umarła, kiedy Antigoni miała piętnaście lat) obie siostry cieszyły się względną swobodą w tym tętniącym życiem mieście.

Antigoni bardzo dużo czytała i często siadała w drzwiach ich balkonu, żeby coś namalować, zwykle jakąś łódź albo neoklasycystyczny budynek na tle morza. Czasami szkicowała ludzi na ulicy, a potem, w domowym zaciszu, nakładała kolory. „Powinnaś uczyć rysunku!”, stwierdziła Ismini i Antigoni zaczęła to robić, zapewniając sobie w ten sposób skromny dochód i odrobinę niezależności.

Ale lata mijały i obawa, że jako niezamężna nauczycielka będzie do końca życia mieszkała z ojcem, była kolejnym powodem, dla którego zdecydowała się wyjść za mąż.

Wiedziała, że poślubienie Christosa Vandisa oznacza dla niej rezygnację z różnych rzeczy, a jego zamożność będzie za to marną rekompensatą. W Pireusie od dzieciństwa przyjaźniła się z wieloma osobami. Na ślubie z Christosem zobaczyła mnóstwo znajomych twarzy, ale kiedy dzień dobiegł końca, zdała sobie sprawę, że wesele było przyjęciem pożegnalnym.

Razem z mężem spędziła dwa dni w hotelu Grande Bretagne w Atenach, następnie zaś wrócili do Pireusu i natychmiast wypłynęli na Andros. Jej ojciec, siostra i trzy najbliższe przyjaciółki stali na nabrzeżu, machając jej na pożegnanie. Gdy statek coraz bardziej się oddalał, a ich sylwetki zmieniły się w drobne figurki o rozmazanych twarzach, nie miała już pewności, czy patrzy na ludzi, których dobrze знаła, czy na nieznanym.

Cieszyła się, że jej świeżo poślubiony małżonek przeszedł na mostek. Ścisnęła ją w piersiach i w gardle, kiedy patrzyła, jak wszystko, co znała i kochała – ludzie, budynki i stojące przy nabrzeżu statki – znika z pola widzenia. Chusteczka, którą wcześniej machała niczym flagą, teraz posłużyła do otarcia łez. Nigdy wcześniej nie darzyła tak wielkim uczuciem Pireusu. Było jej ciężko na sercu. Wiedziała, że upłynie dużo czasu, nim ponownie zobaczy to miasto.

Andros zobaczyła po raz pierwszy przez iluminator, gdy statek zawinął do Gavrio. Leżała na koi w swojej kabynie, nękana przez chorobę morską. Otworzyła oczy, dopiero kiedy kołysanie pokładu całkiem się uspokoiło. Ujrzała skrawek błękitnego nieba, a potem, gdy żołądek przestał jej podchodzić do gardła i zdołała usiąść, zielone wzgórza i rząd budynków przy skraju morza. Wypiła szklanek wody, którą ktoś przewidująco zostawił na półce nad jej łóżkiem, i przejrzała się w zawieszonym na drzwiach lusterku. Zobaczyła w nim szarą, ziemistą twarz z sino podkrążonymi oczami. Szybko się uczesała, pomalowała usta szminką i nałożyła na policzki trochę różu.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Ułamek sekundy później Christos nacisnął klamkę i wszedł do kabiny.

– Gotowa? – zapytał, w ogóle nie interesując się tym, co przeżyła w ciągu ostatnich godzin. – Na nabrzeżu czeka samochód, który zawiezie nas do Hory. Ktoś zabierze twoje bagaże.

Antigoni uśmiechnęła się z przymusem i ruszyła za mężem przez obity boazerią wąski korytarz, a potem po lakierowanej drabince na pokład.

Port w Pireusie, gdzie dorastała, i ten na Andros łączyły tylko dwie rzeczy: i tu, i tam były statki i morze. Poza tym Andros kompletnie się różniło od jej rodzinnego miasta. Kiedy jechali krętą nadbrzeżną drogą, Christosowi nie zamykały się usta. Siedział z przodu razem z kierowcą, a Antigoni, nie odzywając się, z tyłu. Podczas dwugodzinnej jazdy z Gavrio ponownie zrobiło się jej niedobrze i musiała dwa razy prosić kierowcę, żeby się zatrzymał.

Samochód pokonywał kolejne serpentyny, a ona patrzyła przez okno, wydając co jakiś czas stosowny pomruk, by pokazać, że słucha Christosa, który opowiadał jej o miejscowym towarzystwie. Zdrętwiała i skołowana słuchała listy nazwisk, które wymieniał. Kto jest kim, jakie łączą ich więzy pokrewieństwa, kto się z kim ożenił, kogo akceptować, a kogo unikać. Odniosła wrażenie, że jedynymi osobami, z którymi powinna utrzymywać stosunki, są żony innych armatorów.

Kiedy podjechali pod elegancki dworek kremowego koloru, ze żłobkowanymi kolumnami i ozdobnymi balkonami z kutego żelaza, kręciło jej się w głowie i czuła się tak, jakby jej ciało nie miało łączności z umysłem. Szofer, który otworzył przed nią drzwi, zorientował się, że potrzebuje pomocy. Christos zdążył już wejść do domu, więc zerkające na swoją nową panią ochmistrynii i pokojówki zobaczyły niezdrowo wyglądającą kobietę, która ciężko opierała się na ramieniu kierowcy. Ten obraz miał na zawsze pozostać w ich pamięci.



Wielu starszych mieszkańców Andros nie pojechało na wesele, dlatego tydzień później wyprawiono w dużej jadalni domu przyjęcie, na którym miała ich poznać. Pod wzrokiem spoglądających z olejnych obrazów antenatów męża uścisnęła dłoń setce elegancko ubranych nieznanym. Niektórzy ze starszych mężczyzn przypominali z wyglądu postaci z portretów (choć tamte miały bardziej surowe oblicza) i zastanawiała się, czy są krewniakami Christosa.

Po kilku dniach i otrzymaniu kolejnych instrukcji od męża Antigoni nie miała już wątpliwości, których miejscowych dziwaków i ekscentryków powinna unikać. Christos na pozór dbał o jej bezpieczeństwo, ale miała wrażenie, że przede wszystkim chciałby ją schować, trzymać w chłodni aż do swojego powrotu. Dla niego byłoby chyba najlepiej, gdyby w ogóle nie wychodziła z domu.

Pod koniec lipca, trzy i pół tygodnia po weselu, Christos Vandis wypłynął do Ameryki Północnej. Nawet gdyby warunki pogodowe okazały się sprzyjające, miał wrócić nie wcześniej niż za rok. Antigoni poczuła się całkiem opuszczona i samotna. Znalazła się daleko od domu, na wygnaniu.

Gdyby nie wiszący w holu portret męża, po kilku tygodniach jego rysy kompletnie zatarłyby się w jej pamięci. Bardzo szybko zapomniała dotyku jego dłoni i jedyną rzeczą, którą potrafiła przywołać, był jego zapach. Robiła to, wchodząc do garderoby Christosa, gdzie wdychała woń jego pachnących tytoniem i wodą kolońską garniturów, albo mijając kafenion, gdzie wszyscy mężczyźni palili papierosy. Odrobina zażyłości, która połączyła ich w spędzonym razem krótkim okresie, szybko się ulatniała.

Panująca w lecie temperatura sprawiała, że życie toczyło się w zwolnionym tempie. W ciągu dnia Antigoni zwykle składała wizytę którejś z żon armatorów

albo przyjmowała którąś u siebie. Rzadko rozmawiała z kimkolwiek innym. Nawet rozmowy ze służącymi dotyczyły głównie tego, co chciałyby zjeść, i w ciągu tych tygodni były bardzo rzadkie. Młoda mężatka pozostawała w swoistym letargu, ale ten brak aktywności martwił ją mniej, niż mogłaby się spodziewać. Upał tłumił dobiegające z ulicy hałasy i niemal zatrzymywał w miejscu zegary. Po leniwych dniach następowały bezsenne noce.

Kiedy zaczęło się robić chłodniej i lato przeszło w jesień, Antigoni poczuła nowy przypływ energii. Nie mogła przez cały czas siedzieć w domu, zajmując się wyłącznie gospodarstwem. Wśród rzeczy, które zabrała ze sobą z rodzinnego miasta, były farby i sztalugi. Pierwszego października obudziła się o świcie i z zarzuconą na ramię torbą ruszyła w góry. Z kuchni wzięła manierkę z wodą, kawałek sera i kilka pomidorów. Pokojówka obserwowała ją w milczeniu. Antigoni nigdy nie udało się zatrzeć pierwszego katastrofalnego wrażenia, jakie zrobiła na służbie. Widzieli w niej kogoś słabego, kogoś z zewnątrz. Nie miała pojęcia, co robią, gdy nie ma jej w domu albo gdy odwraca się do nich plecami. Wiedziała tylko, że meble pokryte są zawsze grubą warstwą kurzu i że służące, widząc, jak wychodzi, oddychają z ulgą. Niewiele się tym przejmowała.

Sztalugi stały się jej wiernym towarzyszem oraz pretekstem, by poznać lepiej Andros. Nigdy wcześniej nie malowała tego rodzaju pejzaży i odkrywanie przecinających wyspę starodawnych ścieżek, skalistych ścian i wyłaniających się niespodziewanie wodospadów i strumieni stało się dla niej prawdziwą przygodą.

Często kończyła cały obraz tam na wzgórzach, grubymi maźnięciami farby zaznaczając na pejzażu smukłe szczyty cyprysów, dodając gdzieś z boku małą białą cerkiewkę, wiatrak lub gołębnik, żeby można było na czymś skupić wzrok. Chętnie malowała kopulaste cerkwie na tle błękitnego nieba albo ruiny zamku o zachodzie słońca.

W połowie listopada nadal było jasno, ale zrobiło się wyraźnie chłodniej. Rzęsista ulewa, która spadła któregoś popołudnia, zmyła z płótna wszystkie nałożone farby. Malowanie stało się remedium na jej samotność, teraz jednak potrzebowała nowych tematów. Kiedy wkładała do teczki kolejne pejzaże, wypadł z niej obraz przedstawiający jej siostrę. Bardzo tęskniła za Ismini i ten portret wzbudził w niej wiele wspomnień. Antigoni miała krytyczny stosunek do własnych obrazów, ale wiedziała, że najlepiej wychodzą jej portrety.

Nazajutrz rano wyszła z domu w poszukiwaniu jakiegoś modelu. Skwaszone służące nie bardzo się do tego nadawały.

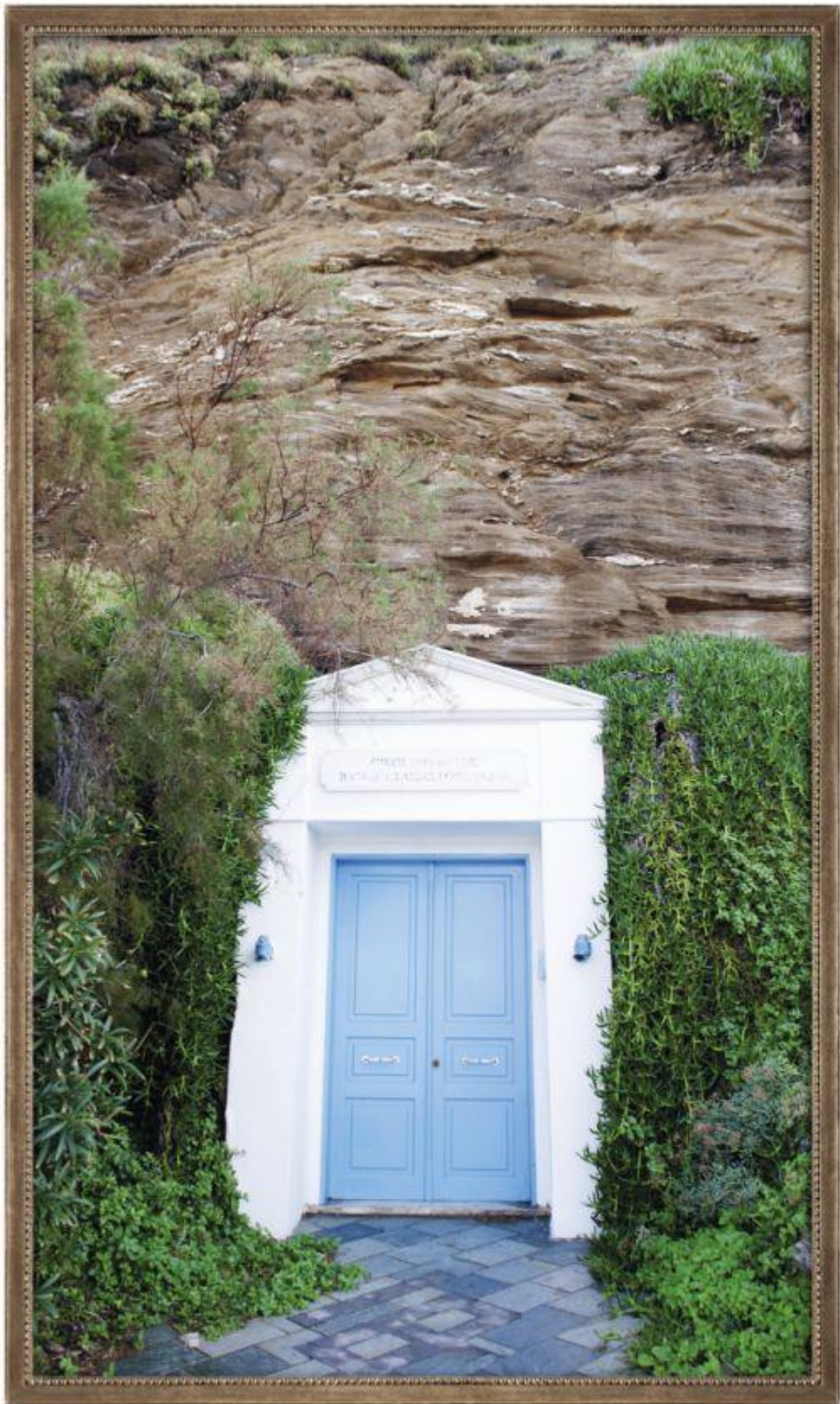
Tym razem, zamiast oddalać się od morza, jak to robiła w poprzednich tygodniach, ruszyła jego brzegiem. W pewnym momencie zobaczyła wbudowane w skalne urwisko drzwi. Pomalowane na jasnoniebieski kolor, nie różniły się od zwyczajnych drzwi do domu, ale prowadziły do jaskini.

Kiedy je mijała, nagle się otworzyły i wybiegła przez nie kobieta, krzycząc

i wymachując rękami.

– Nie! Nie! Nie!

Antigoni zatrzymała się. Kobieta stanęła jak wryta i wbiła w nią wzrok. Jej oczy były tak samo jasnoniebieskie jak drzwi, przez które wybiegła, a mokre skołtunione włosy ciemne jak granit.



Obie kobiety na chwilę zastygły w bezruchu. Szalona kobieta przestraszyła młodą mężatkę.

– Nie, nie, nie... – powtórzyła po chwili ciszej. – Przepraszam, bardzo przepraszam. Chyba przyśnił mi się zły sen.

Antigoni pokręciła głową, żeby ją uspokoić.

– Proszę się nie obawiać – powiedziała, cofając się o krok.

Christos ostrzegał ją przed „wodną wiedźmą”, mieszkającą w jaskini, która sięgała daleko w głąb skały. Wyspa charakteryzowała się obfitością wody, która dosłownie sączyła się ze skał, wylewała z ziemi i spływała po ścianach domów. Dno tej jaskini było właściwie jedną wielką kałużą i opowiadano, że wiedźma nie musi nic pić, bo woda wsiąka w nią porami skóry. Mokre prześwitujące ubranie przylegało do jej ciała i przy drzwiach często kręcili się uczniacy, licząc na to, że zobaczą zarys jej pośladków i piersi. Opowiadano również, że potrafi rzucić klątwę lub uleczyć i że żywi się rybami, które chwyta w wodzie. Większość miejscowych trzymała się od niej z daleka; wyjątkiem było kilku rybaków, którzy dobrze wiedzieli, że ryby są zbyt śliskie, by je złapać gołymi rękoma, i często dawali jej towar, którego nie mogli już sprzedać, w nadziei, że w zamian za to zaprosi ich na godzinę lub dwie do jaskini. Krążyły plotki, że przed zbliżeniem, a także po nim śpiewa czystym, melodyjnym głosem.

Kobietę przestały dręczyć koszmary. Antigoni zauważyła, że ma wyraziste i proporcjonalne rysy twarzy.

– Tutaj pani mieszka? – zapytała, choć było to raczej oczywiste.

Kobieta pokiwała głową.

– Pani tu nowa? – zagadnęła.

– Owszem, przyjechałam całkiem niedawno – odrzekła Antigoni.

– Tak też myślałam. Niewiele tutejszych kobiet wdaje się ze mną w pogawędkę.

Nie miałam innego wyboru, przemknęło Antigoni przez głowę.

– Cóż, miło było panią poznać – powiedziała i odeszła.

Twarz wiedźmy przez cały dzień nie dawała jej spokoju. Miała takie silne i dzikie rysy. Chciała ją namalować.

Nazajutrz wybrała się tam mniej więcej o tej samej porze. Z jaskini wychodził akurat jakiś mężczyzna. Po kilku chwilach Antigoni zebrała się na odwagę i zapukała.

– Odejdź – usłyszała ze środka. – Nie potrzebuję dziś więcej ryb.

Antigoni wyjaśniła przez zamknięte drzwi, kim jest i czego chce. W końcu zdołała nakłonić kobietę, by je lekko uchyliła.

– Może pani wejść, ale nie na długo – powiedziała wiedźma. – Nie lubię tkwić nieruchomo w miejscu.

Antigoni weszła do środka i w głębokim półmroku naszkicowała pobieżnie jej portret. Resztę mogła zrobić w domu. Miała mokre ręce i raz czy dwa ołówek wyslizgnał się z jej palców. Po ciemku kobieta wyglądała pięknie i groźnie.

Przez następne tygodnie Antigoni po kilka godzin dziennie pracowała nad portretem. Była nim całkowicie zaabsorbowana i zadowolona z rezultatów.

Jeszcze przed jego ukończeniem znalazła kolejnego modela.

W święto Zwiastowania, *Evangelismos*, poszła do dużego kościoła na wzgórzu. Szybko zorientowała się, że nikt poza nią nie uczestniczy w nabożeństwie. Nikt inny nie przychodził, by słuchać kazań ojca Minasa, który zyskał opinię wywrotowca. „Po prostu go unikaj – powiedział jej przed wyjazdem Christos. – To niebezpieczny człowiek. Kolejny Kairis”.

Antigoni widziała posąg księdza, o którym wspominał mąż, na jednym z miejskich placów. Pochodzący z Andros duchowny i intelektualista, Theofilos Kairis, już w dziewiętnastym wieku popierał rozdział Kościoła i państwa. Całkiem sporo tutejszych mieszkańców nadal uważało, że za szerzenie tak skandalicznych idei zasłużył sobie na ekskomunikę i wygnanie. Niektórzy sądzili, że obecny ksiądz ma poglądy zbliżone do Kairisa. Większość trzymała się od niego z daleka, chyba że trzeba było załatwić chrzest, ślub albo pogrzeb.

Antigoni słuchała tego, co mówił ojciec Minas, ale bardziej interesowała ją jego niezwykła twarz, jego wielkie owalne oczy, bujna czupryna i sięgająca piersi broda, a także gestykulujące dłonie z dłuższymi, niż kiedykolwiek widziała u kogoś, palcami. Tego człowieka ożywiała olbrzymia pasja, a jego głęboki bas był wprost stworzony do religijnych chorałów.

Poszła później kilka razy do kościoła, żeby go posłuchać, ale zabierała ze sobą również szkicownik. Kiedy nauczał, ukradkiem go rysowała, próbując oddać ekspresję gestów i twarzy.

Praca nad jego portretem zajęła jej kilka tygodni. Mogłaby go malować tysiąc razy i nigdy by się jej nie znudziło. W wersji, którą przeniosła na płótno, uchwyciła moment, gdy dłonie księdza stykały się ze sobą – w modlitwie lub w oklaskach. Było to niejednoznaczne.

Jej następnym modelem był dyrektor szkoły. Theodoros Sotiriou pracował w liceum od tak dawna, że do jego uczniów należał również Christos, który miał na jego temat ugruntowaną opinię. „Nieważne, że na ścianie jego klasy wiszą cytaty z Platona. Ten człowiek nie ma krztyny własnego rozumu. A poza tym daje zły przykład dzieciom”.

Mąż Antigoni nigdy nie wyjaśnił, co przez to rozumie, a w ostatnich tygodniach przed jego wyjazdem nie mieli okazji wrócić do sprawy.

Szkoła mieściła się przy tej samej ulicy co jej dom, więc mijała ją niemal codziennie. Za holem wejściowym widziała podwórko z bawiącymi się dziećmi. Ich śmiech odbijał się echem od otaczających je murów. Te dzieci nie

wyglądały na nieszczęśliwe. Antigoni często dostrzegała dyrektora, który wesoło machał do niej ręką na powitanie. Był przystojny, z przyszczyżonymi elegancko wąsami i siwymi włosami. Widać było, że często chodzi do fryzjera. Zawsze miał na sobie trzyczęściowy garnitur i trzymał w ręku książkę, nawet kiedy jechał na rowerze.

Któregoś dnia, gdy mijała wejście do szkoły, wyszedł na zewnątrz.

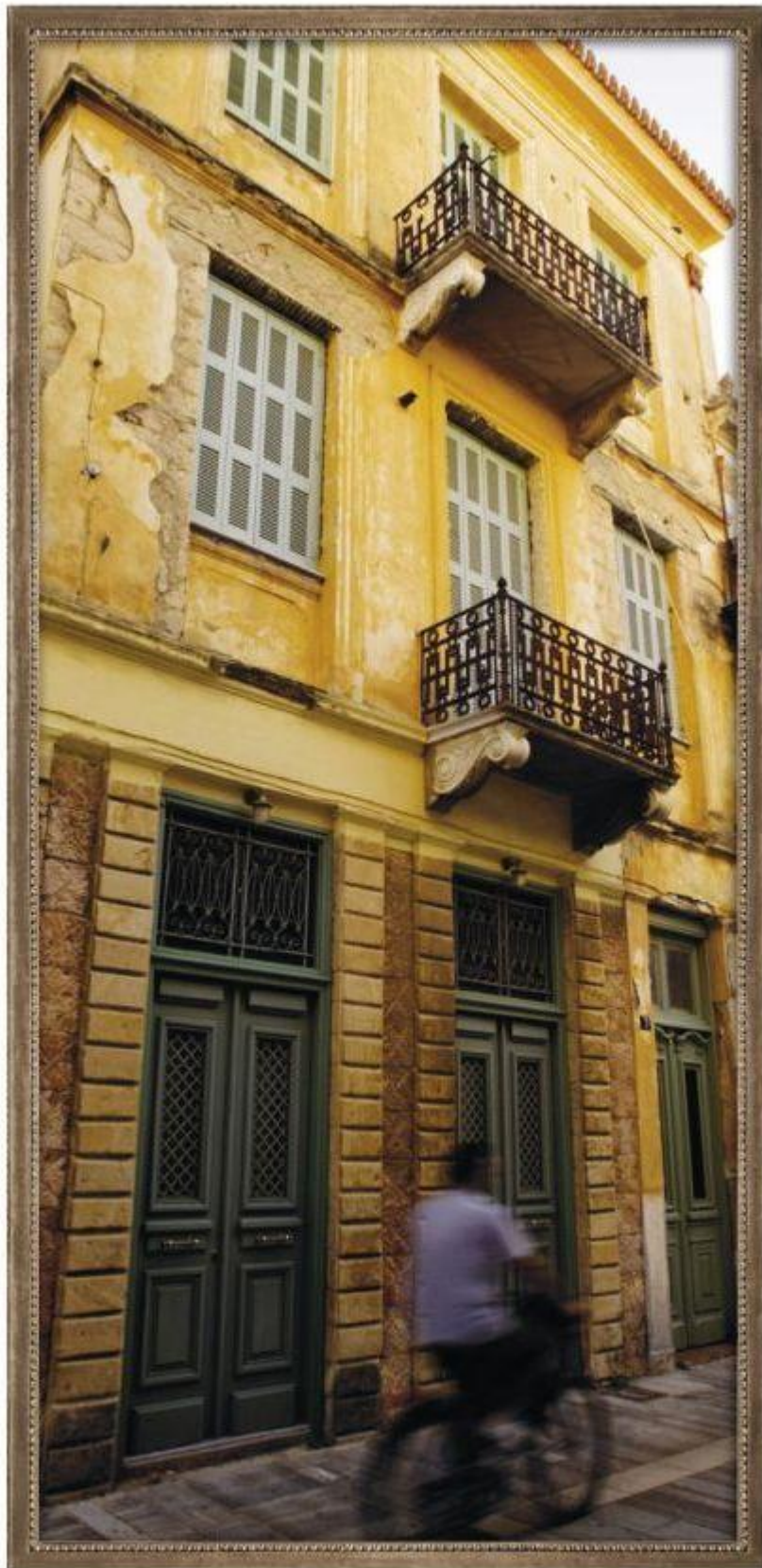
– Dzień dobry, Kyria Vandis – przywitał ją. – Kiedy spodziewa się pani powrotu męża?

– Dopiero na jesieni – odparła. – Zostało jeszcze sporo czasu.

– Jeśli miałaby pani ochotę poczytać, Eirini i ja mamy dużą bibliotekę i może pani z niej pożyczać, co pani chce. Książki to esencja życia. I nie ma nic lepszego od dobrej opowieści, żeby zabić czas.

– Bardzo pan miły. Chętnie skorzystam z propozycji.

Oceniała, że musiał już przekroczyć sześćdziesiątkę, ale nadal miał sprężyste ciało. Bez wysiłku wsiadł na rower i odjechał.



Kilka dni później wysłała do niego pokojówkę z listem, w którym pytała, czy mogłaby pożyczyć kilka książek. Po ukończeniu portretu księdza dni bardzo jej się dłużyły. Ustalili dzień odwiedzin i w następnym tygodniu poszła do jego domu. Drzwi otworzyła jej Eirini.

Usiedli, by wypić kawę – oni oboje razem na sofie, Antigoni naprzeciwko nich. Eirini była bardzo ponętą delikatną kobietą ze śmiejącymi się oczami. Mogła mieć trochę po czterdziestce, ale wyglądała młodo jak na swój wiek.

Po trwającej mniej więcej godzinę rozmowie i wybraniu kilku książek Antigoni zebrała się na odwagę i zapytała, czy mogłaby ich razem sportretować. Mimo oczywistej różnicy wieku tworzyli wspaniałą parę. Propozycja bardzo ich ucieszyła i natychmiast się zgodzili. Antigoni miała odwiedzić ich nazajutrz o tej samej porze i zrobić wstępny szkic.

Kiedy wróciła do domu, pokojówka, która zaniósła wcześniej list, szepnęła jej do ucha, że dwadzieścia lat wcześniej dyrektor szkoły był bohaterem skandalu. Jedna z jego byłych uczennic wprowadziła się do jego domu. Miała w tym czasie osiemnaście lat, on czterdzieści kilka. Nigdy nie wzięli ślubu. Wiele osób chciało się ich pozbyć, jednak nie znaleziono nikogo, kto mógłby go zastąpić w szkole. Afera w końcu przyszła, ale nadal o niej pamiętano.

Portretowanie ich wzajemnej miłości i pogody ducha było dla Antigoni czystą przyjemnością. Sama w żadnym wypadku nie zamierzała ich oceniać, a ukończony podwójny portret był na razie jej ulubionym.

Pewnego dnia pod koniec kwietnia padało przez cały ranek, ale niebo było jasne, z widocznym jednocześnie słońcem i księżycem. Idąc brzegiem morza do portu, Antigoni zauważyła, że drzwi do jaskini są zamknięte na głucho. Tego dnia nie kręcili się przy nich żadni chłopcy.

Woda zebrała się między kocimi łbami i jej skórzane podeszwy butów szybko przemokły. Zatrzymała się przed przycumowanymi obok siebie pięcioma czy sześcioma rybackimi kutrami. Wszystkie były świeżo wyszorowane, ich żółte sieci i niebiesko-białe kadłuby robiły wrażenie nowych. Starła się odczytać ich nazwy, choć niektóre napisy trudno było odcyfrować. *Maria, Sofia, Mihali, Ismini...* Pomyślała z czułością o swojej siostrze, która była teraz zaręczona z synem bogatego handlarza tytoniu. Antigoni miała za osiem miesięcy pojechać do Pireusu na jej wesele i już nie mogła się tego doczekać.

Port był opustoszały. Dzwony kilkunastu kościołów w mieście zaczęły wybijać szóstą. Już wkrótce słońce miało się schować za horyzontem. Antigoni odczuła silną potrzebę uchwycenia tej chwili: wyrazistych cieni, ostrych kolorów, geometrycznych kształtów; chwili tuż przed zachodem słońca, gdy wszystko nabiera mocy, ostatniego blasku. Przy skraju nabrzeża stały w rzędzie metalowe pachołki, do których cumowano łodzie. Usiadła na jednym z nich i wyjęła ze

szkicownika czysty arkusz papieru. Wieczór był przyjemny i zaczęła szybko szkicować jeden z kutrów. Była zdecydowana użyć kolorów tu, na miejscu. Narysowała nawet leżący obok zwinięty łańcuch, który sam w sobie był dziełem sztuki.

Urzekły ją misterne detale niewielkiego kutra. W przeciwieństwie do jej pustego jałowego domu nic tu nie było na pokaz ani dla zaspokojenia próżności; wszystko służyło praktycznym potrzebom.

Nagle z wnętrza łodzi dobiegło czyjeś kasznięcie.

W drzwiczkach kajuty ukazał się mężczyzna. Za jego plecami zobaczyła wąską koję, na której leżał zwinięty szary wełniany koc. Wyczulonym na szczegóły okiem zauważyła, że jest w nim dziura.

– Szuka pani kogoś?

Nawet ton jego głosu różnił się od tego, do czego przywykła. Był szorstki, bez śladu uniżoności.

– Malowałam po prostu pańską łódź – odparła nieśmiało.

Rybak przeszedł przez pokład i zaczął metodycznie siekać rybę i zakładać przynętę na przyczepione do linki haczyki. Przez chwilę robił to, w ogóle nie podnosząc wzroku. Nóż, haczyk, nóż, haczyk. Wydawało jej się prawdziwym cudem, że się przy tym nie kaleczy. Patrzyła jak zaczarowana na jego dłonie.

– Nie każe pani za to płacić – powiedział z uśmiechem.

Miał pobrużdżoną ogorzałą twarz, która wskutek działania wiatru i słońca przybrała barwę dojrzałego kasztana. Trudno było powiedzieć, czy ma czterdzieści, czy siedemdziesiąt lat, ale tak czy owak był przystojny.

– Więc lubi pani malować? – odezwał się i w jego oczach zamigotały wesołe ogniki.

– Tak – przyznała i obróciła szkicownik, żeby pokazać mu akwarelę. – Jeśli pan chce, mogę panu to dać.

Rybak roześmiał się.

– I gdzie ja bym to powiesił? – zapytał, patrząc na nią. – Na ścianach nie mam za dużo miejsca na dzieła sztuki.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że kuter jest również jego domem, i ogarnęło ją zakłopotanie.

– Nie, chyba nie – powiedziała. Jego przyjazne nastawienie trochę ją ośmieliło. – Czy mogłabym też pana namalować? Jeśli obrazek będzie mały, może znajdzie pan dla niego miejsce.



– Czemu nie? Pod warunkiem że będę mógł nadal pracować. O zachodzie muszę wypłynąć na morze i do tego czasu trzeba założyć wszystkie przynęty.

– Skończę jeszcze przed zachodem słońca – obiecała Antigoni.

Siedzieli oboje w milczeniu przez jakąś godzinę. Udało jej się w tym czasie wykonać pięć szkiców, z których jeden dała rybakowi.

W czerwcu, kiedy zrobiło się o wiele cieplej, chętnie pracowała w chłodnej jadalni (którą zmieniła teraz w swoją pracownię). Dziękowała Bogu za wysokie sufity, za chroniące ją przed słonecznym blaskiem drewniane żaluzje i podłogę z terakoty, która chłodziła stopy. Od czasu do czasu któraś z pokojówek przynosiła jej świeżą lemoniadę. Rzadko się odzywały i nigdy nie mówiły nic na temat obrazów.

Przez długie godziny dopracowywała każdy z portretów, obsesyjnie starając się wydobyć esencję tego, co przedstawiały. Przy ścianach stały cztery olejne obrazy, każdy ponadmetrowej szerokości (ten przedstawiający parę był jeszcze szerszy). Czegoś im jednak brakowało. Wezwała miejscowego stolarza, który sporządził ciężkie tłoczone ramy z ciemnego drewna. Sztywne portrety antenatów zostały zastąpione jej własnymi pracami i ze ścian spoglądały na nią teraz twarze tych, którzy w minionych miesiącach koili jej samotność.

Ponad rok po wyjeździe Christosa przysłała w końcu od niego depesza. Jego statku można było się spodziewać w ciągu najbliższego tygodnia. Antigoni cieszyła się, że zobaczy męża, obawiała się jednak, że wydadzą się sobie obcy. Jego zapach dawno już wywietrzał z garderoby. Stając przed jego portretem w holu, starała się odnowić znajomość z tym mężczyzną. Minęło wiele miesięcy, odkąd ostatnio patrzyła na ten obraz.

W dniu powrotu Christosa jadalni została przywrócona jej pierwotna funkcja. Antigoni uprzątnęła swoje sztalugi, pędzle i farby, a jedna z pokojówek zdołała zmyć plamy z podłogi.

Antigoni powitała męża w drzwiach domu, lecz tak jak się obawiała, wyglądało to bardzo oficjalnie. Przed jego wyjazdem ledwie się poznali i musieli zaczynać wszystko od nowa.

Weszli razem do jadalni, w której nakryto do uroczystej kolacji. Christos obszedł stół i wbił wzrok w ścianę.

Z początku się nie odzywał. Po prostu stał jak wryty, gapiąc się na „wodną wiedźmę” (którą Antigoni namalowała półnagą, z syrenim ogonem i kosmykami włosów ledwie zasłaniającymi brodawki piersi), dziwnego księdza z pełnymi ekspresji dłońmi, parę zakochanych (którzy jeszcze bardziej niż w realnym życiu przypominali ojca i córkę) i jawnie zmysłową, pobrużdżoną twarz rybaka. Wszyscy patrzyli mu wyzywająco w oczy. Christos miał przed sobą arcydzieła – pełnokrwiste, sugestywne, żywe. Lecz on w ogóle się na nich nie poznał.

W końcu przemówił.

– Gdzie są moje rodzinne portrety? – zapytał prawie bezgłośnie. – Co z nimi zrobiłaś?

Nie patrzył na nią. Jego głos zmienił się w ryk.

– Zdejmij to natychmiast ze ścian! NATYCHMIAST!

Kiedy wychodził z jadalni, Antigoni zobaczyła, że ma twarz purpurową z wściekłości.

Wstrząśnięta i przerażona ruszyła do kuchni. Przygotowująca tam kolację ochmistrzyni i dwie pokojówki słyszały krzyki pana Vandisa i nie były wcale zdziwione. Kiedy Antigoni otworzyła drzwi, zobaczyła na ich twarzach drwiące uśmiešky.

– Czy możecie zawiesić w jadalni stare obrazy – poprosiła drżącym głosem – i postawić te nowe w holu?

Tego wieczoru trzy prawie identyczne zakurzone portrety brodatych mężczyzn oraz jedno płótno o tematyce marynistycznej wróciły na dawne miejsca i wyblakłe prostokąty na ścianach zostały znów idealnie zakryte.

Nazajutrz rano przy śniadaniu Christos naskoczył na żonę.

– A więc w ten sposób spędzałaś czas, kiedy ja żeglowałem po morzu? Czy takich rzeczy oczekuję od swojej żony? Żeby włóczyła się po ulicach i malowała prostytutki i zboczeńców? Co jeszcze namalowałaś?

Antigoni głos uwiązł w gardle. A Christos mówił dalej:

– Jak śmiałaś to powiesić na ścianach tego domu? Zastąpić tym portrety moich przodków? Co jeszcze nawyprawiałaś?

– Namalowałam także parę pejzaży – udało jej się wykrztusić.

– To już wiem – warknął. – Znalazłem portfolio pod łóżkiem. Chodź ze mną.

Antigoni wyszła z nim na brukowany dziedziniec na tyłach domu i zobaczyła swoje cztery portrety rzucone na podpałkę. Na samej górze leżało jej skórzane portfolio. Zorientowała się nagle, że spod spodu wyłaniają się języki ognia.

– Nie wolno ci...!

Chciała ratować obrazy, ale Christos złapał ją mocno za ramię.

– Rób, co ci każę – powiedział. – I okaż trochę szacunku.

Gorętsza od jakichkolwiek płomieni furia zasnuła mu oczy, kompletnie go zaślepiając.

Portfolio zaczęło się topić. Poszczególne rysunki zwijały się, czerniały i ulatywały w górę i nagle Antigoni zobaczyła twarz Ismini. Na widok płonącego portretu siostry wyrwała się mężowi, przebiegła przez dom i wyszła frontowymi drzwiami na zewnątrz.

Nazajutrz rano z wyspy odchodził prom. Była gotowa ponieść wszelkie konsekwencje swoich czynów. Zapukała do drzwi dyrektora szkoły, a on chętnie dał jej pieniądze na autobus i morską przeprawę.

Kilka miesięcy później przysłała mu w podziękowaniu jeden ze swoich obrazów – martwą naturę. Była to zaiste hojna odpłata. Dziesięć lat później Antigoni stała się cenioną malarką. Dyrektor mógł sprzedać jej obraz i odejść na zasłużoną emeryturę.

Christos Vandis nadal spędzał długie miesiące na morzu, tylko na krótko powracając do swego zakurzonego domu. Antigoni nigdy już nie opuściła Pireusu. W domu Vandisa mieści się obecnie pensjonat.



Podobnie jak Antigoni, choć bez sztalug i pędzli, przemierzałem codziennie wyspę przecinającymi ją starymi kamiennymi ścieżkami. Nie wędrowałem sam. Towarzyszyła mi Angeliki, która wzięła w muzeum kilka dni wolnego. Wzgórza są tam łagodne, nie tak strome jak w Meteorach, i doskonale nadają się na piesze wycieczki. W te ciepłe dni mocno się opaliłem. Wyglądałem jak Cygan i czułem się tak samo jak on wolny. Nie sądzę, żebyś mnie teraz poznała, nawet gdybyśmy spotkali się przypadkiem na ulicy.

Ostatnią noc na Andros spędziłem z Angeliki. Dla nas obojga był to przelotny romans i nie przyrzekliśmy sobie, że spotkamy się ponownie. Uznałem, że pora jechać dalej, i pamiętałem, że powinienem jeszcze odwiedzić Ikarję. Podróż do tamtejszego portu Evidilos, przez bardziej turystyczny Mykonos (gdzie nie zamierzałem się zatrzymywać), nie była długa.

Wiele z tego, co mówiono mi o Ikarii, nie było zbyt zachęcające. Słyszałem, że to targana wichrami i otoczona wzburzonym morzem wyspa, gdzie mało co rośnie, ziemia jest skalista i jałowa i przecinają ją strome wąwozy. W przeszłości, napadana stale przez piratów, była miejscem, skąd mężczyźni wypływali na długie lata, zostawiając kobiety na łasce losu. W dwudziestym wieku stała się miejscem zsyłki dla politycznych oponentów. Pewna osoba oznajmiła mi, że mieszkają tam

„sami starcy” i że młodzi uciekają z Ikarii w poszukiwaniu lepszego życia. Przez długie lata władze w ogóle się nią nie interesowały. Pewien mężczyzna w Tripoli powiedział mi, że warto tam pojechać tylko z dwóch powodów: by zobaczyć miejsce, gdzie podobno urodził się Dionizos, i napić się tamtejszego mocnego wina Pramnios. Ten sam człowiek zdradził mi, że wyspa jest „siedliskiem komuchów”, ale zauważyłem, że czyta gazetę skrajnie prawicowego Złotego Świtu (i całkiem przypadkiem pije ouzo razem z poranną kawą). Nie zamierzałem korzystać z jego rady w żadnej sprawie. Z pewnością nie w kwestii tego, gdzie się wybieram.

Już po pierwszym dniu pobytu na tej dzikiej i odludnej wyspie wiedziałem, że dobrze zrobiłem, przyjeżdżając tutaj, i że nieprędko stąd wyjadę. Jadąc górską drogą, rzadko kiedy mijalem inne auto, a skaliste szczyty wyglądały imponująco. W pewnym momencie przystanąłem, wysiadłem i przez kilka godzin siedziałem na szerokiej, opadającej ku morzu skale. Słońce świeciło mi w plecy i poczułem, jak ogarnia mnie niezwykły spokój. Mogę to przypisać tylko światłu, które wydawało się przenikać wszystko dookoła. Zarówno morze, jak i niebo były tego dnia jasnoblękitne. Takie chwile przytrafiały mi się w tej podróży kilka razy, a tego dnia miałem wrażenie, że czas zatrzymał się tutaj przed tysiącem lat.

Nie przypląnąłem na Ikarię wyłącznie w poszukiwaniu natury i samotności. Interesowali mnie również jej mieszkańcy. Za informacją, że żyje tutaj sporo starszych ludzi, kryje się intrygująca zagadka. Średnia długość życia na tej oddalonej od utartych szlaków wyspie jest dużo wyższa niż gdziekolwiek indziej w Europie. Podobnie jak wielu naukowców, którzy przybywali, by studiować to zjawisko, zastanawiałem się, na czym polega sekret.

Codziennie, kiedy tu byłem, spotykałem dziarskich osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięciolatków, którzy prowadzili sklepy, kawiarnie i małe hoteliki, a także łowili ryby i naprawiali sieci. Mieli bujne srebrzyste czupryny i sylwetki ludzi o połowę od siebie młodszych. Niektórzy twierdzą, że ich długowieczność jest wynikiem wolnego od stresów stylu życia. Późno wstają, otwierają sklepy, kiedy jest im wygodnie, robią to, na co mają ochotę, i z pewnością nie starają się za wszelką cenę zadowolić turystów. A może ma to coś wspólnego z tryskającymi tutaj, bogatymi w rad, gorącymi źródłami. Nikt nie zna do końca odpowiedzi, jednak podobno co trzeci człowiek dożywa tu dziewięćdziesiątki.

Najbardziej niezwykłą osobą, którą spotkałem na Ikarii, była kobieta o imieniu Ariadne. W miasteczku Agios Kirykos, w którym mieszkała, krążyły na jej temat przeróżne opinie. Wielu uważało ją za fantastkę; inni byli mniej uprzejmi i mówili, że to zwykła wariatka. Twierdziła, że jest najstarszą mieszkanką wyspy, a ponieważ nikt nie mógł udowodnić, że jest od niej starszy, nie sposób było tego podważyć. Miała gęste srebrzyste włosy i gładką jak u dziecka cerę, bladą niczym wewnątrz skorupki jajka. Mogła być w każdym wieku.

Odgrywała rolę miejscowej „dziwaczki” i atrakcji turystycznej i najczęściej można ją było zastać w kawiarni w porcie, gdzie reklamowała swoje „Wędrówki śladami Ikara”.

Wziąłem udział w jednej z nich. Dziesięcioro nas stanęło na nabrzeżu Agios Kirykos, pod wielką nowoczesną rzeźbą przedstawiającą parę skrzydeł. Wskazując ręką na południe, Ariadne oznajmiła, że opowie nam o „dwóch ptakach, które przyleciały z Krety”.

I natychmiast oczarowała słuchaczy. Używała czasu teraźniejszego, co kronikarze robią dość często, żeby ożywić swoją opowieść i pobudzić wyobraźnię słuchaczy.

Słuchając jej, gotów byłem uwierzyć nie tylko w to, że jest najstarsza spośród wszystkich Ikaryjczyków, ale też, że urodziła się tysiące lat przed nami. Czasami trwałe wrażenie wywiera na nas w równym stopniu sama historia, jak i ten, kto ją opowiada.

GZEKAJĄC NA WIATR





CZEKAJĄC NA WIATR

Zaczynam każdy dzień od ożywczego lodowatego prysznicy. Mam nadzieję, że spływająca prosto z górskiego strumienia woda przegna wszystkie senne widziadła i myśli, które wypełniają mój umysł, strzępy, które nie całkiem do siebie pasują i przyprawiają mnie o silne i częste migreny. To kara za długie życie i posiadanie miliona wspomnień, które nie mieszczą się w głowie.

Następnie idę na plażę. Tylko rytm morza i łagodny plusk przyboju mogą uspokoić bijące szybko serce i burzę myśli, które wirują pod moją czaszką. Patrząc na wschodzące słońce, zaczynam wolniej oddychać; w pogodny dzień jego podniebna wędrówka może przynieść mi chwilę spokoju.

Francuzka, która prowadzi nieopodal klub jogi, zabiera czasami swoje klientki na plażę. Patrząc, jak chude kobiety w legginsach stają twarzami do słońca i są instruowane, by „żyć chwilą, żyć tu i teraz, uwolnić się od przeszłości i przyszłości”. Wydaje się to takie proste, ale mnie trudno to osiągnąć. I oczywiście każdego dnia mam inne obowiązki. Lecz o tym powiem później. Teraz muszę kontynuować moją opowieść, za to mi wszyscy zapłaciliście. Zaczyna się dawno temu...



Mamy piękny dzień, świeci słońce. Jest połowa lipca, na niebie nie ma ani jednej chmurki, w powietrzu nie czuć najmniejszego tchnienia wiatru.

Moja przyjaciółka zauważyła coś na niebie, bardzo daleko. Na tych wyspach często widzimy olbrzymie drapieżne ptaki: orły, sokoły, wszelkiego rodzaju myszołowy. Nie dalej jak wczoraj w nocy, gdy wracałam po ciemku do domu, przefrunęła obok mnie wielka sowa i obserwowała mnie z drzewa, kiedy ją mijałam. Przywykliśmy do obecności tych podniebnych drapieżników, i dlatego sądzimy w pierwszej chwili, że to ogromny ptak.

Ale w miarę, jak się do nas zbliża, ogarnia nas strach. Ten ptak jest o wiele większy od tych, które dotychczas widziałyśmy. Jest niewiarygodnie wielki. Nagle uprzytamniamy sobie, że leci za nim drugi. Może trochę mniejszy, ale niewątpliwie również drapieżny.

Jest późny ranek. Pora dnia, kiedy ktoś może sobie zrobić przerwę, jeśli wstał o świcie. Wieści rozchodzą się po wiosce bardzo szybko i wszyscy gromadzimy się na nadmorskich skałach, by stać na straży. Z każdą chwilą ogarnia nas coraz większy lęk. Nikt się nie uśmiecha ani nie żartuje. Wielu mężczyzn wypłynęło na morze i kobiety czują się bezbronne.

To spektakl, który wszyscy musimy zobaczyć, albo zagrożenie, któremu wszyscy musimy stawić czoło. Nikt nie wie, czy chodzi o jedno, czy o drugie.

Przywykliśmy już do napadów piratów i rabusiów, którzy atakują z morza. To zdarza się całkiem często! Mamy jaskinie i inne sekretne miejsca, w których można się ukryć. Ale atak z powietrza? To zupełnie inna sprawa.

Kilka kobiet wpada w panikę. Łapia swoje dzieci i uciekają. Lecz ja stoję tam jak zahipnotyzowana. Nawet dziś mam dobry wzrok, ale w tamtych dniach widzę wszystko z niesamowitą ostrością. Sporo nas podchodzi do samego skraju skał. Obserwowane przez nas ptaki są pełne gracji, ich potężne skrzydła podnoszą się i opadają, podnoszą i opadają.

(Ariadne porusza ramionami, by zobrazować ptaka: powoli dźwiga je w górę i opuszcza. Jej smukłe eleganckie dłonie są niczym skraj skrzydła – zawsze lekko wygięte. Kiedy ramiona opadają, dłonie wyginają się w górę, kiedy ramiona się unoszą, palce kierują się w dół. W górę i w dół, w górę i w dół, na giętkich nadgarstkach).

Zbliżają się do nas, bardzo miarowo. Dwie kropki na niebie, które wydawały się ze sobą niemal złączone, teraz dzieli coraz większa odległość. Pierwszy ptak jest może dwieście metrów od nas i wciąż się przybliża. Strach nas nie odstępuje.

– To człowiek! – krzyczy nagle ktoś w tłumie.

Wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku, ale wpatrujemy się z niedowierzaniem w niebo. Widzimy go teraz całkiem wyraźnie. Tak. To człowiek. Człowiek ptak.

Jak często marzymy o tym, żeby mieć skrzydła, żeby po prostu wznieść się

i odlecieć? Chyba nie tylko mnie przychodzą do głowy takie myśli? Marzymy o tym od dzieciństwa, prawda?

Rozpiętość jego skrzydeł jest ogromna, może wynosić nawet cztery metry, jak w małym dwumiejscowym samolocie. W tym momencie ma okazałą publiczność. Szukamy wzrokiem kolejnych tego rodzaju istot, ale wydaje się, że ich nie ma. Miejsce lęku zajmuje fascynacja.

Gromadzi się nas tam coraz więcej. Deszcz meteorytów, zaćmienie Słońca – żadne wydarzenie nie miało większej liczby widzów. Pierwszy „ptak” zwalnia. Wygląda to tak, jakby młócił ramionami wodę, tyle że odbywa się to w powietrzu. Pedałuje nogami, jego skrzydła regularnie podnoszą się i opadają. Czeka na drugiego, by do niego dołączył, ale tamten również zwalnia.

Widzimy go teraz o wiele wyraźniej. Jest trochę mniejszy, brązowe pióra w skrzydłach ma nieco jaśniejsze. Niechybnie chce się popisać. Nie wiemy, czy robi to na nasz użytek, ale krzyczymy, klaszczemy w dłonie i gwiżdżemy, żeby zachęcić go do powietrznych akrobacji. A on zatacza krąg, unosi się i pikuje w dół, a potem znów frunie wyżej. Większy „ptak” nie zamierza brać udziału w tych pokazach. Nadal stara się utrzymywać w miejscu. Słońce weszło już wysoko i pali bardzo mocno.

Po chwili mniejszy „ptak” zawisa w powietrzu, jak robią to orły, gdy szykują się, by dopaść ofiarę, jednak zamiast zanurkować w dół, zaczyna się wznosić. Jego wielkie skrzydła biją w miarowym rytmie i powoli frunie coraz wyżej i wyżej.

W końcu staje się ledwie widoczną kropką, która znika w blasku słońca. Wszyscy jesteśmy przerażeni. Instynktownie zdajemy sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Czujemy to.

Nie mamy odwagi podnieść oczu. Słońce jest dokładnie nad naszymi głowami i nie możemy się w nie wpatrywać, bo nas oślepia. Czuję, jak pot spływa mi po twarzy. O tej porze dnia szukamy na ogół cienia, żeby schronić się przed palącym skwarem.

Ktoś ośmiela się zerknąć między palcami.



– On zniknął – mówi.

– Jak to zniknął?

Nagle kropka zaczyna się znowu powiększać. I wszyscy widzimy, że skrzydlata istota pikuje w dół, zataczając coraz szybsze kręgi, wirując niczym żyroskop. Otacza ją chmura zgubionych piór. A potem, pod wpływem tej zawrotnej prędkości, od skrzydeł zaczynają odpadać całe fragmenty.

Nie możemy na to nic poradzić. Większy, ciemniejszy ptak porusza miarowo skrzydłami, starając się unosić w powietrzu. Odsuwa się lekko na bok, być może, żeby uniknąć zderzenia. Mniejszy ptak leci szybciej niż pocisk.

Wzdychamy wszyscy głośno, kiedy wpada do morza. Na chwilę zastygamy w bezruchu, a potem rozpętuje się piekło.

– Trzeba wysłać tam łódź! – woła jedna z kobiet.

Większe łodzie wypłynęły na połów, ale w porcie stoi kilka mniejszych.

Nie spuszczam oczu z większego ptaka. Unosi się teraz nad miejscem, w którym mniejszy wpadł z pluskiem do morza. Ludzie spychają na wodę łódź z pobliskiej plaży. To w większości silni młodzi chłopcy i już po pięciu minutach cała szóstka dopływa do miejsca upadku.

Większy ptak wylądował na skalnym cyplu, lecz wciąż łopocze skrzydłami, żeby nie stracić równowagi. Na lądzie cała konstrukcja nie wydaje się zbyt solidna,

a w dodatku zerwał się wiatr. Człowiek ptak za wszelką cenę stara się nie upaść. Dwaj chłopcy wdrapują się do niego i pomagają mu odczepić skrzydła.

Na brzegu nic nie słychać, ale chłopcy mówią mi później, że starszy mężczyzna powtarzał w kółko te same słowa: „Mój chłopak jest tam na dole. Pomóżcie mi go odnaleźć. Proszę, pomóżcie mi go odnaleźć!”.

Młodzi robią, co mogą. Przez godzinę albo dłużej nurkują, wracają, by zaczerpnąć powietrza, i znów nurkują. Robią to na zmianę. Starszy mężczyzna przyznaje, że ani on, ani jego syn nie są dobrymi pływakami.

Akcję ratowniczą utrudnia fakt, że pióra i drewniane elementy konstrukcji rzucają głęboki cień. Ratownicy próbują odsunąć szczątki wiosłami, a potem dwaj skaczą ponownie do wody i szukają chłopaka, póki starcza im oddechu.

– Jest... tam! – krzyczy jeden z nich, wynurzając się i kurczowo łapiąc powietrze.

Trzej następni płyną we wskazane przez niego miejsce.

Użyte do skonstruowania skrzydeł suche drewno jest lekkie, ale po upadku nasiąkło wodą i ściągnęło ciało w dół. Chłopak leży na dnie morza.

Potrzeba całej trójki, by wydobyć ciało na powierzchnię, i olbrzymiego wysiłku, by wtaszczyć je do łodzi. Ojciec już w niej siedzi. Nawet my słyszymy jego głośne zawodzenie, które niesie się po wodzie do skał, gdzie stoimy.

Chłopcy powoli wiosłują z powrotem. Nie ma teraz powodu się spieszyć. To orszak pogrzebowy.

Niosą ciało do mojego domu i kładziemy je na kuchennym stole. To piękny młodzieniec i obmywam go z czułością, jakby był moim własnym synem. Kładę mu na głowę wieniec, obsypuję kwiatami i pieczętuję usta monetą. Ojciec przez cały czas siedzi w rogu kuchni. Jego ciałem wstrząsa szloch. Wydaje mi się, że nic nie zdoła ukoić jego bólu.

Później wzywam młodych ludzi, żeby przenieśli zwłoki na wzgórze.



Łącząc minojskie i ikaryjskie obrzędy pogrzebowe, chowamy go razem z miskami jedzenia i picia i z małą łódką, którą jego ojciec wystrugał z kawałka wyrzuconego na brzeg drewna. Mężczyzna wciąż głośno lamentuje. Potem rzuca się na grób i zawodzi, nie kilka minut, lecz kilka godzin. Inni żałobnicy oddalają się wkrótce po pogrzebie, ale ja siadam w cieniu drzewa. Czuję, że nie wolno zostawiać tego człowieka samego.

W końcu cichnie i prowadzę go do mojej kamiennej chaty. Może tam zostać, jak długo chce. Tylko ja w niej mieszkam. Codziennie, nie wiem przez jak długi okres, chodzi na grób syna i siedzi tam całymi godzinami, aż do zmroku. W ciągu pierwszych dni nie je niczego, co postawię na stole. Wieczorami kładzie się i wpatruje w sufit. Może śpi, nie wiem, ale raz czy dwa budzą mnie jego krzyki. Ma chyba koszmary. Przez kilka następnych dni fale wyrzucają na nasze plaże szczątki skrzydeł chłopaka.

Szóstego dnia ojciec odzyskuje mowę. Wcześniej nie zamieniliśmy ze sobą prawie słowa, ale kiedy zaczyna mówić, nic już nie może go powstrzymać. Nie sposób mu przerwać.

Jeszcze przed tym strasznym wypadkiem przeszedł bardzo wiele i wydaje się, że mówienie o tym pomaga mu uśmierzyć cierpienie. Zaczyna mi opowiadać swoją historię.

Pochodzi z wyspy położonej daleko na południe od Ikarii, tak dużej, że właściwie jest osobnym państwem, z królem i pałacem, w którym jest sto komnat. To miejsce zupełnie niepodobne do Ikarii. My nie mamy u siebie okazałych budynków i wszyscy są sobie równi.

Ma na imię Dedal i o wszystkim mi opowiada. Jest wynalazcą, kimś w rodzaju Leonarda da Vinci, człowiekiem kreatywnym, innowacyjnym, myślącym. Gdyby żył dzisiaj, wynalazłby prawdopodobnie internet albo zbudował najwyższy budynek na świecie. Widać, że jest bardzo zmyślny i dlatego właśnie jego król, Minos, każe mu zbudować labirynt, w którym uwięziony zostanie potwór (urodzony przez żonę króla). Wtrąca się tam jeńców z Aten, żeby potwór miał się czym pożywić, ale jeden z nich, Tezeusz, zabija go i wydostaje się na zewnątrz. Ariadna (córka króla) za radą Dedala zdradziła Tezeuszowi, w jaki sposób można wyjść z labiryntu. Ten ucieka z Ariadną, ale potem ją porzuca.

Minos wpada w szał. Najpierw jego żona zakochuje się w zwierzęciu, a teraz córka ucieka z kochankiem. Zamyka Dedala, razem z jego synem Ikarą, w wieży. Dla kogoś takiego jak Dedal uwięzienie i odcięcie od świata jest okrutną karą, lecz pomysłowy człowiek zawsze znajdzie jakieś rozwiązanie problemu.

Dedal nie ma do roboty nic poza obserwowaniem ptaków, które szybują po niebie, wznosząc się i nurkując, ciesząc się możliwością latania. Zazdrości im, że są wolne. Razem z synem jest uwięziony bardzo wysoko, żeby nie miał szansy uciec. To doskonałe miejsce, by przyglądać się ptakom, i po kilku tygodniach zaczyna rozumieć skomplikowane prawa aerodynamiki.

Wie, że jeśli stamtąd nie ucieknie, dostanie obłądu, i nagle uświadamia sobie, jak może to zrobić. W ciągu następnych kilku miesięcy sporządza pułapki na ptaki i łapie w nie całe ich dziesiątki, dużych, średnich i małych (potrzebne mu są pióra we wszystkich rozmiarach). Życzliwa natura daje potrzebny mu klej: pod stropem zagnieżdżają się pszczoły, a on zwyczajnie podkrada im wosk.

Widząc te wszystkie martwe ptaki, Ikar z początku cierpi, ale kiedy ojciec wyjaśnia mu, że to ich ostatnia nadzieja, ochoczo je oskubuje i przytwierdza pióra zgodnie z zaleceniami ojca. Jest bardzo podekscytowany. Wzbić się w przestworza! Któż nie chciałby tego spróbować?

Nadchodzi dzień, gdy gotowe są dwa komplety skrzydeł. Dedal wie, że nie będzie drugiej szansy. Nie może zrobić żadnej próby. Musi po prostu stanąć na parapecie i skoczyć.

Daje synowi krótkie, lecz precyzyjne instrukcje. Jeżeli będą lecieli zbyt blisko morza i skrzydła namokną wodą, ich ciężar ściągnie ich w dół. Równie niebezpieczny jest lot na zbyt dużej wysokości, ponieważ słońce roztopi wosk, w którym osadzone są pióra. Czeka ich długa podróż, więc muszą lecieć miarowo i trzymać się razem. Kiedy ojciec mocuje mu skrzydła na plecach, Ikar udaje, że go słucha, ale chce jak najszybciej polecieć. Ludzie, którzy uprawiają spadochroniarstwo, opowiadali mi, że przed pierwszym skokiem nie mogli się doczekać, by dać nura w dół. Dedal rozumie podniecenie syna. Sam też je odczuwa.

Oczywiście skoczy pierwszy. Uprzedza Ikarę, że jeśli jemu się nie uda, on

ma porzucić ich plan i zostać w wieży.

Nadchodzi moment prawdy. Obaj są gotowi, ich skrzydła wyglądają przepięknie. Dla Dedala ważna jest nie tylko funkcjonalność, ale i estetyka.

– Nie zapomnij, drogi chłopcze, że musisz zachować ostrożność i trzymać się blisko mnie – powtarza.

Za późno już, by uścisnąć syna. Żałuje, że nie zrobił tego przed zamocowaniem skrzydeł.

Ikar pomaga ojcu wspiąć się na parapet. Dedal skacze i Ikar widzi, jak przez chwilę jego ojciec spada (serce podchodzi mu wtedy do gardła), ale zaraz prądy powietrzne unoszą go i zaczyna poruszać skrzydłami. Jego ojciec lata. Naprawdę lata! Dedal okrąża wieżę, a potem kieruje się prosto na północ.

Nie ma czasu do stracenia. Ikar gramoli się na parapet i skacze. Po minucie zanoszą się głośnym śmiechem. Nie tylko dlatego, że udało im się uciec, ale też dlatego, że radość latania przekracza wszystko, co można sobie wyobrazić. Nic dziwnego, że zawsze o świecie słychać chór ptaków: muszą być bardzo szczęśliwe, zaczynając nowy dzień, którego dużą część spędzą wysoko w przestworzach.

Zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że uciekli, ojciec i syn są już daleko nad Morzem Egejskim. Przez kilkaset kilometrów prą nieustannie na północ, mijając kilka wysepek, których mieszkańcy biorą ich za orły. Warunki do lotu są idealne: powietrze jest suche i ciepłe, wiatr wieje z południa.

Wreszcie zbliżają się do naszej wyspy. Ikar nabrał już wielkiej pewności siebie. Jest w siódmym niebie. Dedal trochę się zmęczył, ale pokonali już ponad połowę drogi do Aten, więc leci dalej. Ikar w ogóle nie czuje zmęczenia.

Głos opowiadającego o tym Dedala łamie się i nagle dopada mnie poczucie winy. Uświadamiam sobie, że Ikar popisывał się prawdopodobnie przed nami, swoją publicznością. Widząc, jak wszyscy zadzieramy głowy i wpatrujemy się w niego, postanowił chyba zaprezentować nam swoje sztuczki. Chciał nam zaimponować. Postąpił tak, jak postępuje każdy kilkunastoletni chłopiec.

Radość latania i poczucie swobody były tak olbrzymie, że zapomniał o wszelkim umiarze. Patrząc na płaczącego ojca, który jest taki mądry i rozsądny, lecz mimo to nie przewidział naturalnej reakcji syna.

Dedal nie może przeboleć swojej straty i oczywiście obwinia siebie o śmierć syna. Nie powinien wierzyć, że skrzydła okażą się bezpieczne. To wprawia go w jeszcze większą rozpacz. Należy do najbardziej utalentowanych ludzi na świecie, lecz to nie ma znaczenia, gdy traci się wszystko, co się kocha.

Zostaje u mnie jeszcze tydzień czy dwa. Większość czasu nadal spędza przy grobie syna, ale lepiej śpi i zaczyna jeść posiłki, które dla niego przygotowuję. Znikają mu cienie pod oczami. Codziennie rozmawiamy ze sobą całymi godzinami i czasem towarzyszę mu przy grobie. Kiedy jemy pewnego wieczoru kolację, zauważam, że coś go gnębi. W końcu wyjawia mi, o co chodzi.

Jest zrozpaczony po stracie syna, ale nie udało mu się uciec zbyt daleko i król Minos na pewno go szuka.

Widzę, że jest rozdarty między pragnieniem pozostania przy grobie syna (chce dopilnować rytuałów, dzięki którym Ikar przeniesie się bezpiecznie w zaświaty) a koniecznością podjęcia dalszej ucieczki.

Nasza wyspa, choć bardzo piękna, nie jest miejscem dla ludzi ambitnych. Dedal musi kontynuować swoją podróż.

– Ale co będzie z moim synem...? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

– Dopilnuję, by podążał swoją drogą, dzięki czemu ty będziesz mógł iść swoją – słyszę nagle swój własny głos.

Odezwałam się wiedziona impulsem, w ogóle nie myśląc o tym, co to dla mnie oznacza. Skoro jednak złożyłam obietnicę, nie ma dla mnie odwrotu. Taka będzie moja przyszłość: muszę upamiętniać Ikara i składać ofiary bogom, wylewając wino na jego grób.

Dedal jest mi bezgranicznie wdzięczny. Płacze, ale nie tak, jak płakał w dniu pogrzebu Ikara. Obejmuje mnie i czuję jego łzy, które kapią mi na ramię.

Nazajutrz odpływa łodzią. Krążą pogłoski, że król Minos jest na jego tropie. Wszyscy dobrze życzymy Dedalowi i na przystani gromadzi się tłum, by go pożegnać.

Słyszałam, że dotarł do Sycylii. Nigdy nie oczekiwałam, że wróci, ale nałożył na mnie obowiązek, który spełniam aż do dzisiaj. Widząc motyla, za każdym razem zastanawiam się, czy to nie dusza Ikara ulatująca w zaświaty. Nie mam jednak pewności, więc składam ofiary dalej. I będę to robiła zawsze.

Ta wyspa, nazwana na jego cześć Ikarią, od dawien dawna była miejscem, gdzie ludzie żyją długo. Jest mnóstwo teorii, skąd to się bierze. W czasach, gdy przybył do nas Dedal, jadaliśmy prawie wyłącznie ryby, potem odkryliśmy gorące radioaktywne źródła, potem przestrzegaliśmy ekologicznej diety, a dziś każdy ma swój własny rozkład dnia i niewiele się stresuje. Więc kto może zgadnąć, dlaczego inni żyją tak długo? Ja wiem tylko, dlaczego sama przeżyłam tyle lat. Żyję, bo muszę.

Trzymam w sekrecie miejsce, gdzie został pochowany, bo nie chcę, by zdeptali je turyści, lecz odwiedzam je codziennie, tak jak to obiecałam jego ojcu.

Z biegiem lat autentyczną historię, rzeczywiste wydarzenia, zaczyna się traktować jak legendę. Słuchacze przestają wierzyć w jej realność. Ale ta pierwsza katastrofa lotnicza zdarzyła się naprawdę, właśnie tu, w tym miejscu.

A to piękne pióro, na które teraz patrzycie, pochodzi ze skrzydła Ikara...



Ariadne nie wypuściła z ręki pióra, było dla niej zbyt cenne, lecz wszyscy podeszli bliżej, by go dotknąć. Nigdy nie zapomnę jego jedwabistego dotyku na opuszkach palców. I nigdy nie zapomnę tej niezwyklej kobiety. Jestem przekonany, że jeśli wrócę tam za trzydzieści lat, spotkam ją ponownie, z gęstymi srebrzystymi włosami i cerą młodej dziewczyny, gotową po raz kolejny opowiedzieć swoją historię.

Jej imienniczka, Ariadna, córka króla Minosa, którą tak okrutnie porzucił Tezeusz, znalazła nową miłość na Naksos, gdzie zakochał się w niej Dionizos i uczynił ją swoją królową. To kolejny grecki mit o uleczeniu złamanego serca. Dionizos unieśmiertelnił swą ukochaną, ciskając jej koronę w niebo, gdzie stała się gwiazdozbiorem Korony.

Nieśmiertelność i śmiertelność to stale obecne tematy zarówno w Grecji starożytnej, jak i tej współczesnej. W tym kraju wszędzie otacza nas śmierć. Na latarniach wiszą klepsydry, na skraju każdego miasteczka jest cmentarz, na poboczach dróg palą się znicze. W ciągu tych wszystkich miesięcy miałem okazję uświadomić sobie własną śmiertelność bardziej niż przez czterdzieści pięć lat

wcześniejszego życia. A mimo to widziałem ludzi, którzy rzucali wyzwanie śmierci – tym, jak pili, tańczyli i kochali się. W tych wszystkich ekscesach, których byłem świadkiem, dostrzegalem pierwiastek buntu.

Ikaria jest wielką skałą pośrodku morza; ludzie doznali tu wiele zła ze strony najeźdźców i samych żywiołów. To nie jest miejsce, w którym można uzalać się nad sobą, i podczas religijnego święta, które obchodzono w czasie, gdy tam przebywałem, piłem i bawiłem się do samego rana.

Tam właśnie nauczyłem się tańczyć, tam stanąłem w kręgu, który obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, powoli i rytmicznie. Górowałem nad innymi, ale serdecznie się do mnie uśmiechali. Miejscowi wkrótce przyspieszyli, lecz nikt nie tracił do mnie cierpliwości, kiedy próbowałem opanować kroki. Stałem się częścią większej całości, jednego, obdarzonego setką nóg organizmu. Zamknąwszy oczy, dałem się porwać rytmowi i wierzę teraz, że potrafię zatańczyć ten taniec nawet we śnie.

Zamieszkałem nad pustym sklepem w Evdilos. Codziennie kąpałem się w gorących źródłach i rozmawiałem z nieznajomymi. Odwiedziłem też ponownie Ariadne i napiłiśmy się kawy w promieniach słońca.

– Słyszałeś o Difilosie? – spytała nagle ni z gruszki, ni z pietruszki.

Pokręciłem głową.

– Był greckim dramatopisarzem i to on prawdopodobnie powiedział: „Czas jest lekarzem, który leczy wszystkie rany”.

– Sądysz, że okazało się to prawdą w przypadku Dedala? – zapytałem.

– W końcu tak – odrzekła. – Ale co ważniejsze, okazało się prawdą w twoim przypadku.

Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziała. Nigdy nie mówiłem jej nic o sobie. Kiedy ktoś żyje tysiące lat, być może rozwija się w nim szósty zmysł.

Ikaria jest miejscem, gdzie ponownie odzyskałem radość życia, gdzie zamiast skończyć ze sobą, postanowiłem dożyć sędziwego wieku. Nie mogę Ci już powiedzieć, że bez Ciebie te miejsca są nic niewarte. Przekonałem się, że prawdziwym źródłem radości nie jest odnalezienie siebie w innej osobie i że nie powinniśmy szukać kogoś, by nas dopełnił.

Jest teraz lipiec. Podróżowałem przez czterdzieści tygodni (liczyłem je, gdy mijaly), lecz pokonywanie kolejnych kilometrów ani na chwilę nie przestało mnie fascynować. Nie miałem nigdy pojęcia, co odkryję w kolejnym miejscu, i wiem, że moja podróż nie dobiegła jeszcze końca. Teraz jednak chętnie się zatrzymam. Dlatego przestałem wysyłać pocztówki.

Już nie podróżuję. Z Ikarii pojechałem do Aten i postanowiłem tam zostać.

Nie jest to miasto łatwe do życia. Na poziomie ulicy trudno się egzystuje. Ruch samochodowy jest okropny, chodniki popękane, wiele sklepów zabitych deskami i na każdym kroku widzi się graffiti. Czasami, kiedy zdarza się strajk albo demonstracja, życie kompletnie zamiera i lepiej wtedy unikać centrum miasta. Sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Ludzie są wściekli z powodu sytuacji gospodarczej: najstarszym obcięto emerytury, najmłodszy nie mają pracy, a zarobki tych w średnim wieku są tak wysoko opodatkowane, że mało co im zostaje. Do tego dochodzą jeszcze potrzeby przybywających do Aten i koczujących na publicznych placach uchodźców – ludzi z ogarniętych wojną krajów, którzy mają tylko to, co zdołali zabrać.

Na szczęście Ateny to nie tylko zgryzoty i niezgoda. Pewnych rzeczy nie można zniszczyć – na przykład tradycyjnej greckiej gościnności i talentu narracyjnego.

Tu, gdzie mieszkam, mam przepiękny taras na dachu, skąd jest widok na

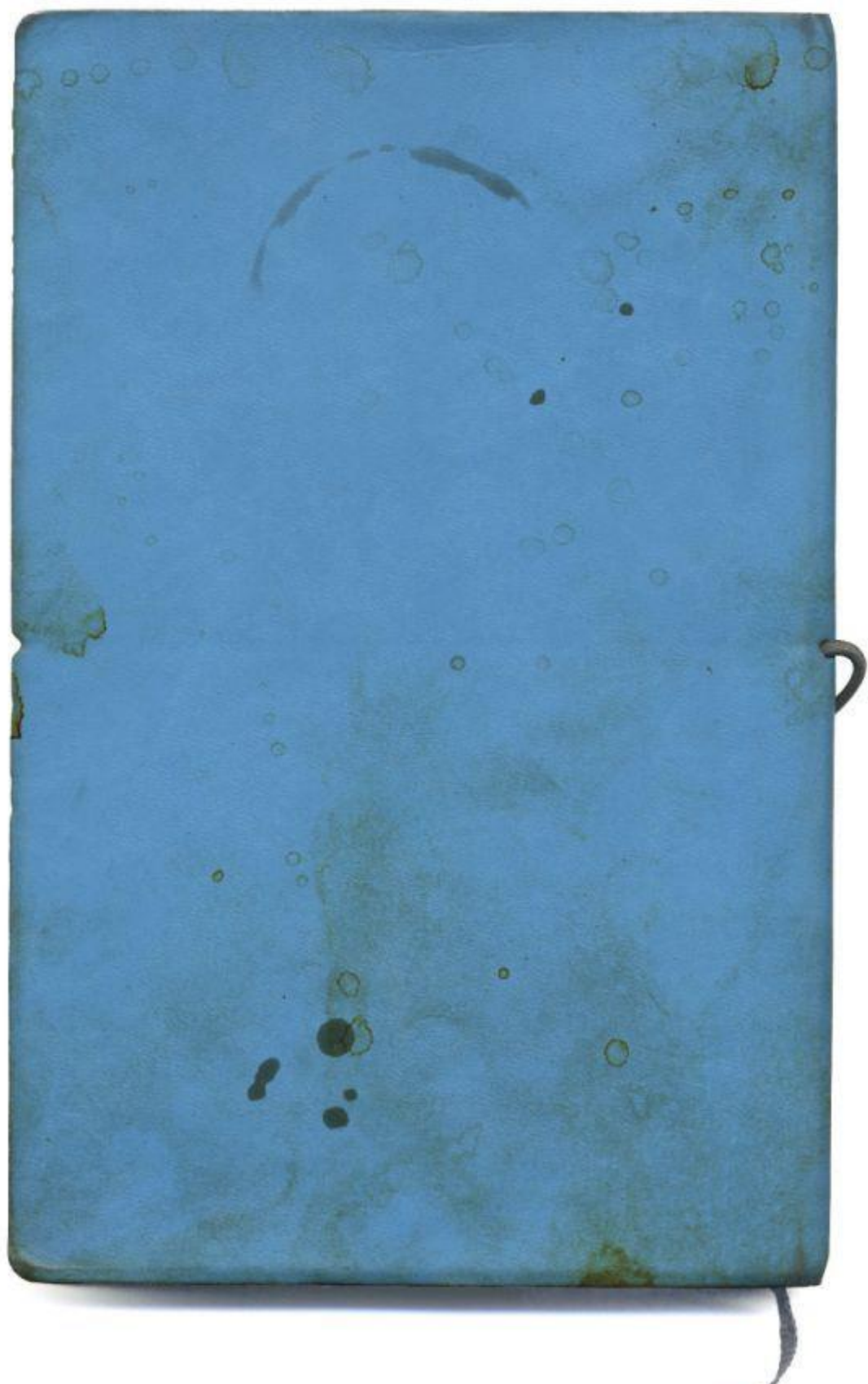
morze, góry i Akropol. Pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Mogę podziwiać wschód słońca z jednej strony i zachód z drugiej. Widzę światła promów płynących na wyspy. Widzę spadające gwiazdy i fazy księżyca. Kiedy podczas burzy słońce przebija się przez chmury, widzę cały łuk tęczy. Jej początek i jej koniec. Patrząc na to wszystko, uświadamiam sobie, jak bardzo niezłomny jest duch tego kraju.

Starożytni Grecy czcili słońce, księżyc i gwiazdy i uczynili z nich bogów, ale my porzuciliśmy ten sposób myślenia, bo nowa religia uznała, że ci bogowie są fałszywi i jest tylko jeden Bóg. Uważam, że wiele przez to straciliśmy.

Kiedy patrzę na nocne niebo, nabieram tak wiele siły (znacznie więcej, niż gdybym poszedł do kościoła i przypomniano by mi o kruchości ludzkiego żywota). Siedząc w ten parny lipcowy wieczór na swoim tarasie i czując na twarzy ciepły południowo-wschodni wiatr, zdaję sobie sprawę, że już na Ciebie nie czekam i o Tobie nie śnię. Jestem w miejscu, gdzie znalazłem spokój.

Lipiec 2016





Wrzesień 2016

To był jej ostatni wieczór wakacji i Ellie znów siedziała na swoim balkonie. Zamknęła notes i położywszy go na kolanach, wpatrywała się w gwiazdy, które tak pokochał Anthony. Zaledwie przed chwilą widziała spadającą gwiazdę. W tym tygodniu przekonała się, że meteory można zobaczyć prawie co pięć minut. Poszukała wzrokiem Korony Ariadny. Morze było tak spokojne, że słyszała tylko cichy plusk wody na piasku. Gdyby mogła zatrzymać czas, wybrałaby właśnie ten moment.

W bocznej kieszeni jej torby nadal tkwiła złożona koperta. Być może nie dość pilnie szukała S. Ibbotson. Te opowieści były pisane dla niej. Przez ostatnie dni koperta bardzo się pogniotła, a teraz, próbując wsunąć do niej notes, rozdarła ją pośrodku. Zauważyła, że z tyłu jest adres nadawcy.

Anthony Brown, ulica Arystofanesa 389, Ateny 11281

Wpatrywała się dłuższy czas w kopertę. Wracła przez Ateny, ale czy starczy jej odwagi, by odnaleźć tego mężczyznę? Musiałaby mu powiedzieć, że do S. Ibbotson nigdy nie doszły jego pocztówki i że ona, Ellie, otworzyła przesyłkę, która nie była do niej zaadresowana. Ponownie złożyła kopertę, wsadziła ją do kieszeni torby i położyła notes na wierzchu.

Dochodziła północ. Ellie wyjęła z szafy walizkę i zaczęła się pakować. Wszystkie ubrania miały słodką woń olejku do opalania i były lekko sztywne od soli i piasku. Sama myśl o rozpakowaniu się po powrocie, o wrzuceniu tych kolorowych ciuchów do pralki i pozbyciu się wspaniałych zapachów ostatnich kilku dni napawała ją smutkiem. Może, zamiast prać sarongi, lepiej będzie rozwiesić je w mieszkaniu i poczekać, aż zapach słońca i lata w naturalny sposób wywietrzeje.

Choć zadawała sobie pytanie, czy powinna odszukać autora, wiedziała już dobrze, co zrobi. Musiała się z nim skontaktować.

Nazajutrz rano po śniadaniu opuściła hotel w Tolon, pojechała taksówką do Nafplio i wypijała po raz ostatni kawę na placu. Następnie poszła na dworzec autobusowy i już wkrótce jechała z powrotem do Aten. Siedząc w kołyszącym się autobusie, szybko zasnęła i obudziła się w upale, w samym środku dnia, u celu podróży.

Zdezorientowana, z lekkim bólem głowy, wyciągnęła plan metra, żeby zobaczyć, jak dojechać na ulicę Arystofanesa. Do najbliższej stacji miała kawał drogi, a potem i tak musiałaby się kilka razy przesiąść, ostatecznie więc zdecydowała się na taksówkę. Mimo że jej samolot wylatywał dopiero o pierwszej w nocy, nie miała zbyt wiele czasu: poza oddaniem notesu chciała również zobaczyć Akropol. Było już wczesne popołudnie. Temperatura przez cały dzień nie

spadała poniżej trzydziestu stopni.

Taksówkarz wysadził ją w pewnej odległości od celu, żeby zaoszczędzić sobie czasu, ale w końcu znalazła właściwą ulicę oraz numer i zobaczyła na panelu z przyciskami nazwisko, którego szukała.

Wcisnęła dzwonek i po kilku chwilach usłyszała głos mężczyzny.

– Mam dla pana przesyłkę, panie Brown – powiedziała z napięciem.

– Mogłaby pani wjechać na górę? Mieszkam na ostatnim piętrze.

Musiał wziąć ją za kuriera.

Zamek w drzwiach zabrzączał i Ellie weszła do środka.

W jadącej powoli na szóste piętro windzie przejrzała się w lustrze. Miała włosy wysuszone i wyblakłe od słońca, mocno opalony nos i krople potu na czole. Żałowała, że nie ubrała się bardziej elegancko. T-shirt i szorty nie pasowały zbyt do tego apartamentowca.

Winda zatrzymała się i kiedy drzwi mieszkania się otworzyły, zobaczyła stojącego w nich mężczyznę.

Bardzo szczupły, ubrany w dżinsy i szary T-shirt, miał gęste brązowe włosy przetykane nitkami siwizny. Przypominał aktora, którego lubiła jej matka.

Anthony natychmiast spostrzegł sfatygowany niebieski notes, który trzymała w rękach. Nie spojrzał nawet na jej twarz.

– Skąd pani to ma? – zapytał, starając się zapanować nad emocjami.

Ellie poczuła się nagle jak złodziejka. Miała ochotę wcisnąć mu notes w rękę, natychmiast zbiec sześć pięter i wyskoczyć na zalaną słońcem ulicę. Nie mogła jednak pozwolić, by zaczął ją podejrzewać. To ją powstrzymało.

– Pan mi to przysłał – odparła, zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało.

– Ja przysłałem pani?

Anthony wydawał się kompletnie zaskoczony.

– Tak jakby...

Stali, przyglądając się sobie z zaciekawieniem. Anthony'emu przemknęło przez głowę, że to jego młodsza siostra, z którą nigdy się nie spotkał. Ale była na to zbyt młoda.

– Proszę wejść – odezwał się w końcu. – To znaczy jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Nawet jeśli miałyby się tylko napić wody, a w tym momencie zupełnie zaschło jej w gardle, nie widziała w tym nic złego. Czuła, że trochę zna tego mężczyznę, i była raczej pewna, że jej nie skrzywdzi.

– Dzięki – powiedziała.

– A tak w ogóle, jestem Anthony – przedstawił się. – Ale pewnie już pani o tym wie. A pani...

– Ellie. Ellie Thomas.

Weszła w ślad za Anthonym do dużego jasnego pomieszczenia, gdzie stało

kilka niskich nowoczesnych mebli, a pod ścianami regały pełne książek. W przeciwległym rogu zauważyła niewielką kuchnię. Poprowadził ją przez oszklone przesuwane drzwi na taras, na którym było parę donic z drzewkami oliwnymi i ocieniona altanka ze stołem, sofą i krzesłami. Na stole leżał laptop i kilka grubych tomów.

– Siądźmy tutaj – zaproponował, wskazując wygodną kremową sofę, przy której stał stolik ze szklanym blatem.

Ellie usiadła.

– Na co ma pani ochotę? – zapytał. – Kawa? Sok? Herbata ziołowa?

– Wystarczy szklanka wody – odparła.

Anthony wyszedł i wrócił po chwili z butelką wody i dwiema szklankami.

– Dziwnie się czuję, widząc go ponownie – powiedział, siadając naprzeciwko niej i wskazując leżący na kolanach Ellie dziennik. – Był moim towarzyszem...

– Na swój sposób i moim – wtrąciła, kładąc go na stoliku.

– Nigdy nie sądziłem, że go jeszcze zobaczę. – Wziął go do ręki. – Ale cieszę się, że nie rozplynął się w eterze.

Przez kilka sekund z przesadną pieczołowitością obracał go w dłoniach. Potem zaczął powoli przerzucać kartki.

– Czy coś się stało Sarah? – zapytał z wielką powagą.

Ellie poczuła, że się rumieni. Sarah. Chodziło najpewniej o S. Ibbotson. Dziwnie było usłyszeć jej imię.

– Nie – odparła, upijając łyk wody. – To znaczy z tego, co wiem... ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nie wiem, kim ona jest...

Anthony patrzył na nią przez chwilę ze zdziwioną miną.

– Dostarczono to do mojego domu, podobnie jak pocztówki... czytałam je i żadnej nie wyrzuciłam... notes przyszedł tuż przed moim wyjazdem... wszystko jakoś połączyło się w całość i czułam, jakby to było... jakby to było... to znaczy czułam, że nie ma w tym nic złego.

Zdawała sobie sprawę, że mówi bardzo nieskładnie.

Anthony uważnie jej słuchał.

– To przychodziło do pani domu?

– S. Ibbotson... nie mieszka pod tym adresem. Więc...

Widziała, że to dla niego nowość. Zapadła brzemienne cisza.

– Tak naprawdę nie powinno mnie to zaskakiwać – stwierdził wreszcie zrezygnowanym tonem. – Nie było to w końcu jej jedyne kłamstwo.

– Wolno mi spytać, kim ona była... to znaczy kim jest?

– Jeśli czytała pani dziennik, wie pani najważniejsze rzeczy – odparł. – Wydawało mi się, że jest miłością mojego życia.

Ellie pokiwała głową.

– Poznałem ją w barze kina Curzon w Mayfair – zaczął Anthony. – Osoba, z którą się tam umówiłem, nie przyszła, i siedziałem sam, popijając drinka. Miałem obejrzeć film greckiego reżysera Jorgosa Lantimosa.

Ellie starała się sprawiać wrażenie, że coś o nim słyszała.

– Normalnie nie wdaję się w rozmowy z nieznanymi – kontynuował Anthony. – Właściwie, kiedy się nad tym zastanawiam, to ona chyba pierwsza mnie zagadnęła. Rozmowa zeszała na Grecję. Była tam kiedyś jako dziecko, na jachcie należącym do przyjaciół jej rodziców, ale odwiedziła tylko kilka wysp.

– Raczej nie wygląda mi na osobę, która mieszkałaby tam gdzie ja – zauważyła Ellie.

– Dlaczego?

– Wydaje się, że pochodzi z bogatej rodziny. A ja mieszkam w dosyć obskurnej dzielnicy.

Anthony lekko się uśmiechnął.

– Tak czy owak, była osobą, którą nauczono sztuki konwersacji: zawsze wiedziała, co należy w danej sytuacji powiedzieć. Osobą, która nie mogła usiedzieć dwóch minut, żeby do kogoś się nie odezwać. Szybko odgadła, że interesuję się Grecją. Studiowała historię sztuki na uniwersytecie, więc rozmowa wartko się potoczyła. Jej zainteresowanie rzeźbą cykladzką wydawało mi się szczere. Zapamiętała, że jedna z wysp, które odwiedziła w dzieciństwie, należała do archipelagu Cyklad. Bez pamięci się zakochałem.

Ellie co pewien czas kiwała głową. Znała dziewczyny podobne do Sarah, lecz nigdy z żadną się nie zaprzyjaźniła.

– Iskrę w jej oczach odczytałem mylnie jako zadurzenie, ale teraz wydaje mi się, że wynikała z jej entuzjazmu dla naszej rozmowy, a także ze łzawienia oczu, na które cierpią osoby z soczewkami kontaktowymi.

Chwilami załamywał mu się lekko głos – Ellie nie potrafiła zgadnąć, ze smutku czy ze złości.

– Miała jakąś pracę? – zapytała z ciekawości.

– Pracowała w niepełnym wymiarze godzin w galerii znajomej w Notting Hill, ale nie przeszkadzało jej to zaglądać w ciągu dnia na różne wystawy. Czasami chodziła ze mną do Muzeum Brytyjskiego, gdzie zbierałem materiały do mojej książki. Kiedy stanęliśmy przed Marmurami Elgina, oznajmiła nagle, że chce zobaczyć pozostałe rzeźby oraz miejsce, z którego pochodzą. To był jej pomysł. „Dobrze, pojedźmy tam”, powiedziałem. Nowe Muzeum Akropolu miało być zwieńczeniem, ukoronowaniem tej podróży. Przez następne sześć miesięcy planowaliśmy naszą wycieczkę. Na weekendy zawsze przychodziła do mnie. W ciągu osiemnastu miesięcy, kiedy byliśmy razem, nigdy nie zaprosiła mnie do siebie... mówiła, że mieszka z siostrą i nie byłibyśmy sami.

– Naprawdę nie wygląda na kogoś, kto mieszkałby tam, gdzie ja –

powtórzyła Ellie. – Moje mieszkanie jest zapuszczone i ciemne. W przyziemiu. W holu zalatuje trochę starszymi paniami.

– Z pewnością taki dostałem od niej adres – odparł. – Może знаła kogoś, kto kiedyś tam mieszkał? Tak czy inaczej, nie sędzę, żeby była osobą, za którą chciała uchodzić. Wbiłem sobie do głowy, że jest kim innym, niż w rzeczywistości była.

– Gdzie pan mieszkał w Londynie?

– W kamienicy w Bloomsbury, niedaleko Muzeum Brytyjskiego. Nie umywała się do tego miejsca, ale miałem stamtąd widok na te olbrzymie kolumny, które wydają się podtrzymywać cały budynek muzeum. W pogodne dni mogłem nawet sobie wyobrażać, że jestem w Atenach.

Ellie odchyliła się do tyłu i słuchała go, popijając od czasu do czasu wodę. Anthony najwyraźniej miał ochotę się zwierzyć. Czowała, że większość tych rzeczy od dawna w sobie tłamsił.

Posiedzieli jeszcze chwilę, a potem zapragnął pokazać jej różne widoki z tarasu.

– Tam jest Akropol. – Wskazał ręką. – A tam Likavitos. Widać stąd także ogród botaniczny. I budynek parlamentu, Vouli.

– Fantastyczne – powiedziała tylko.

Kiedy oglądali Ateny, Anthony mówił dalej. Odniosła wrażenie, że jest jeszcze wiele rzeczy o Sarah, które chciałby komuś opowiedzieć. Pewnie po to, by raz to z siebie wyrzuciwszy, nie musiał do tego wracać.

– Na krótki czas Sarah zamieszkała w moim świecie. Stała się moim światem.

Choć mógł być śmiało jej ojcem, Ellie czuła, że widzi w niej kogoś w rodzaju mentora albo powierniczki.

– Myśli pan, że to było to? – zapytała.

– Tak mi się w każdym razie wydawało. Bujałem w obłokach. Wszystko, co czytałem wcześniej w klasycznych mitach o miłości i o jej sile, zyskiwało teraz głęboki sens. Czułem więc z całą sztuką, którą inspirowała miłość: poezja, malarstwo i rzeźba każdego okresu nabrały dla mnie nowego znaczenia. Sarah chodziła ze mną chętnie do różnych galerii i z entuzjazmem dyskutowała o tym, co tam zobaczyła. Miałem wrażenie, że nadaje na tych samych falach. Dałem się jej kompletnie oczarować. Oczarować Miłości. Erotas. To było coś silniejszego ode mnie.

Anthony myślał teraz na głos.

– W swoich błogich rozważaniach na temat Erosa i Psyche pominąłem zbrodnie, do których prowadzi ludzi miłość. Nie chciałem znać jej mroczniejszej strony, zdrad i tragedii. Nigdy nie interesowało mnie zakończenie.

Ellie starała się podążać za jego rozumowaniem i kiwać głową w odpowiednich chwilach, ale niektóre odniesienia były dla niej nowe.

– Różnica wieku między nami wynosiła piętnaście lat, lecz sądzę, że w gruncie rzeczy to ja byłem dzieckiem. Przez dłuższy czas trzymałem pierścionek, który dla niej kupiłem, ale już go nie mam. Dopiero w zeszłym tygodniu wziąłem się w garść i zwróciłem go do sklepu. Te pieniądze starczą mi na całoroczny czynsz, więc warto było się upokorzyć! Mam nadzieję, że na mocy nowych przepisów będę mógł tu zostać tak długo.

Anthony zauważył, że wypili całą wodę.

– Na pewno nie ma pani ochoty na coś więcej? Mógłbym zrobić kawę.

– Owszem, chętnie się napiję – odrzekła.

Spostrzegł, że zerknęła na zegarek. Zbliżała się szósta.

– Musi pani jeszcze gdzieś iść? – zapytał z troską w głosie.

– Niezupełnie – odparła. – Miałam nadzieję, że przed odlotem zobaczę Akropol. Ale to nie ma znaczenia.

– Musi pani zdążyć na samolot? O której odlatuje?

– Dopiero o pierwszej w nocy. Zostało mi jeszcze parę godzin.

Kiedy wrócił z kawą, przeglądała jego notes. Czowała się teraz znacznie swobodniej.

– To, co się wydarzyło... – zaczęła – ...musiało być okropne.

– Czuję się dziwnie, wiedząc, że wszystko to pani przeczytała – powiedział. – Z drugiej strony przyjemna jest świadomość, że ktoś na świecie wie, przez co przeszedłem.

Ellie zaczerwieniła się. Nie do końca pozbyła się poczucia winy; w końcu przeczytała bez wiedzy autora coś, co można było uznać za pamiętnik.

– Nawet dzisiaj – podjął Anthony – kiedy mijam kobietę używającą tych samych perfum, nie mogę się oprzeć wspomnieniom. Ale jak miałbym się przed tym uchronić? Musiałbym chyba nie wychodzić z domu.

Ellie pokręciła głową.

– To niemożliwe – przyznała ze współczuciem.

Góry stopniowo przybierały różowawy kolor. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Anthony przypominał Ellie nastolatka ze złamanym sercem.

– W krykiecie jestem całkiem niezłym miotaczem, ale nie udało mi się odrzucić tej komórki dość daleko – dodał z krzywym uśmiechem.

Słuchając, jak mówi o swojej nieszczęśliwej miłości, Ellie zdała sobie sprawę, że nawet inteligentni ludzie mogą się okazać bardzo naiwni. Był kulturalnym, wykształconym mężczyzną, którego dopadła chwilowa ślepotą.

– Gdyby nie to wszystko – powiedziała po prostu – być może wcale by pana tu nie było...

– To szczerą prawdą... Ellie. A nie jest to takie złe miejsce.

Obojgu już nie przeszkadzały dłuższe przerwy w rozmowie. Zresztą ani

przez chwilę nie panowała zupełna cisza. Z dołu dobiegały odgłosy ulicy, poirytowani kierowcy trąbili jeden na drugiego, co pewien czas słychać też było huk lądującego albo startującego samolotu.

Mężczyzna, z którym siedziała na dachu, był kimś nieznanym, a jednak miała wrażenie, że zna go bardzo dobrze.

– Ale przez cały czas mówimy tylko o mnie! – zawołał nagle ze śmiechem. – Na pewno myślisz, że jestem absolutnym egocentrykiem! Nie gadałem tyle o sobie... chyba nigdy. Bardzo cię przepraszam.

Ellie też się roześmiała.

– Nie przepraszaj! Wypełniłeś po prostu luki, których nie znałam.

– Teraz musisz mi opowiedzieć o sobie. Proszę. Nalegam.

Anthony spojrział jej prosto w oczy. Ellie spuściła wzrok.

– Ale moje życie jest takie nieciekawe – bąknęła nieśmiało, nieprzyzwyczajona, by ktoś się nią interesował.

– Życie każdego z nas jest ciekawe – rzucił zachęcająco. – Wiem tylko, gdzie mieszkasz, nic więcej. Co robisz?

Ellie opowiedziała mu w skrócie o swojej przeprowadzce z Cardiff do Londynu i niesatysfakcjonującej ją pracy, jaką sobie znalazła. Nie potrafiła ukryć, jak bardzo się tam nudzi i czuje się niedowartościowana. Anthony słuchał jej z uwagą, podobnie jak musiał to robić, wysłuchując historii, które opowiadali mu ludzie w całej Grecji.

Opisała, jak zareagował jej szef, kiedy oświadczyła, że chce wziąć dziesięć dni urlopu.

– I co teraz zrobisz? – zapytał Anthony.

Ellie wzruszyła ramionami. Zdała sobie sprawę, że nie potrafi udzielić mu jasnej odpowiedzi.

– Nie wiem. – Popatrzyła na leżące u jej stóp Ateny. – Nie mam specjalnie do czego wracać.

Nie była pewna, czy naprawdę tak bardzo interesuje go jej życie, i zmieniała temat. Tak czy owak, nie chciała teraz tego roztrząsać, bo prowadziło to do myśli o samolocie i o chwili, gdy wzniesie się w powietrze i już jej tu nie będzie. Zostało jej tak mało czasu.

Spojrzała na notes, na którym położył dłoń. Miała wrażenie, że coś traci. Do kogo w końcu należał ten dziennik? Został wysłany na jej adres, ten, pod którym S. (nadal tak o niej myślała) prawdopodobnie nigdy nie mieszkała i który podała tak oszukańczo i beztrosko.

– Naprawdę pisałeś te opowiadania dla Sarah? – Po raz pierwszy wymówiła głośno jej imię.

– Kto pisze dla kogoś konkretnego? – odparł. – Wmówiłem sobie, że to dla niej, ale myślę, że w ostatecznym rozrachunku piszemy dla samych siebie. Weźmy

choćby moją książkę na temat rzeźby. Świat raczej nie wstrzymał oddechu, czekając na jej wydanie. Wiem o tym. Ktoś, kto ją przeczyta, może być lekko poruszony tym, jak bardzo niektóre prace Picassa albo Henry'ego Moore'a przypominają rzeźbę cykladzką, ale powie sobie najwyżej w duchu: „Ach, to ciekawe... bardzo interesujące”. Nie wpłynie to w jakiś szczególny sposób na niczyje życie. Nie mam co do tego złudzeń. Podobnie jest z tymi opowiadaniem. Mogłem je umieścić tylko na tych kartkach i mogłem je wysłać tylko na twój adres. Ale cieszę się, że mi je zwróciłaś. To, że ona tam nigdy nie mieszkała, że nawet to było kłamstwem, wydaje mi się ostatecznym zakończeniem sprawy...

Usiedli i rozmawiali dalej. Zapytał, gdzie spędziła wakacje i co robiła, i Ellie opowiedziała mu o Tolon, o swoich codziennych wizytach w Nafplio i o tym, jak bardzo lubiła przesiadywać na tamtejszym placu.

W pewnym momencie jej wzrok padł na stojące na tarasie piękne kamienne rzeźby. Czy były współczesne? Starożytne? Czy były oryginalnymi pracami Picassa albo Henry'ego Moore'a, czy ich kopiami? Nie miała pojęcia i nie wiedziała, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Były ponadczasowe i takie harmonijne.

Anthony spostrzegł, że się im przygląda.

– Są wspaniałe, prawda? To jedyne rzeczy, które kazałem sobie przysłać z Londynu, kiedy postanowiłem tu zostać.

– Są... niezwykle.

To słowo zabrzmiało banalnie.

– Podobnie jak wszystkie moje książki – stwierdził. Wcześniej, idąc przez mieszkanie na taras, Ellie zauważyła na regałach wielkie albumy poświęcone sztuce. – Grecja tyle mi daje – podjął. – Gdyby nie ten miłosny zawód, to... rozczarowanie... czy jak jeszcze można to nazwać, już by mnie tu nie było.

– Gdyby... S. Ibbotson dostała twoje pocztówki i twoje opowiadania, mnie też by tu nie było. – Tym razem imię tamtej nie przeszło Ellie przez gardło.

– Owszem. Wszystko to doprowadziło do tej chwili. Do tego, że siedzimy tu oboje tej nocy, pod tym księżycem i tymi gwiazdami.

Akropol był już podświetlony i lśnił złotą poświatą. Choć na położonych niżej ulicach i placach dochodziło do niepokojów, Partenon pozostawał niewzruszony, niezdojony. Przetrwał wszystkie stulecia i wszystkich wandalów.

Anthony też spojrział w tamtą stronę.

– Czysta doskonałość, prawda? – odezwał się. – Tylko piramidy są w równym stopniu rozpoznawalne, ale widząc je, zawsze myślę o śmierci. Są bardziej grobowcami niż miejscem kultu.

– Partenon jest zdecydowanie piękniejszy – oświadczyła Ellie.

Anthony odwrócił się do niej.

– Jakież masz plany? Trochę się martwię, że możesz przeze mnie stracić

pracę.

– Rzeczywiście to chyba twoja wina. – Roześmiała się. – W każdym razie twoich pocztówek!

Opowiedziała mu, jak przypinała je do tablicy w swoim mieszkaniu, ile dla niej znaczyły i jak postanowiła tu przyjechać, gdy przestały przychodzić.

Prawda była taka, że nie miała zielonego pojęcia, co powinna teraz zrobić. Sprawdzając ostatnim razem saldo na koncie, zobaczyła, że kończą się jej pieniądze. Choć zatrzymała się w tanim hotelu, wydała na te wakacje większość swoich oszczędności.

– Ciężko będzie wracać do Londynu. – Westchnęła.

– Może tu zostaniesz? Nie będziesz tego żałować – powiedział.

Ellie nie chciała mówić, że nie ma pieniędzy, ale wiedziała, że Anthony ma rację. Ta podróż jak dotąd w niebywały sposób ją wzbogaciła.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, usłyszała dobiegający z mieszkania odgłos zamykanych drzwi. Chwilę później na tarasie pojawiła się młoda kobieta. Była drobna, o chłopięcej figurze. Z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić, Ellie poczuła ukłucie zazdrości, zwłaszcza kiedy nowo przybyła podeszła do Anthony'ego i pocałowała go w oba policzki.

– Athina, to jest Ellie. Ellie. Athina.

Kobiety uściśniły sobie dłonie.

– Czas na kieliszek wina – powiedział Anthony. – Słońce praktycznie już zaszło!

– Zaraz jakieś przyniosę – odparła z entuzjazmem Athina. – Daj mi się tylko przebrać.

– W lodówce chłodzi się przyjemne kreteńskie assyrtiko. I mogłabyś też przynieść trochę orzeszków pistacjowych?

Najwyraźniej byli ze sobą bardzo życzliwi. Athina czuła się tu jak w domu.

– Czytałaś o Athinie – zwrócił się Anthony do Ellie. – Nie pamiętasz?

– Delfy! – zawołała. – Spotkaliście się w Delfach!

Athina była dokładnie taka, jak ją opisał.

– Nie jesteśmy parą – dodał szybko, czytając w jej myślach. – Athina ma dziewczynę. Wyobrażasz sobie, jak to przyjęli jej rodzice w Lamii?

Athina, która pojawiła się tymczasem na tarasie, z butelką wina, słyszała jego ostatnie słowa.

– Wciąż przedstawiają mnie synom swoich znajomych. – Roześmiała się, wkręcając korkociąg w korek. – To zupełnie osobna historia.

– Ale Ateny są dość liberalne – skomentował Anthony. – Poznasz Annę później.

– Później? – powtórzyła ze zdziwieniem Ellie.

– Zostaniesz przecież na kolację? Nalegam. Będą tylko zimne przekąski.

Sałatki i trochę pieczonego kurczaka, ale...

– Muszę zdążyć na samolot! – zaprotestowała słabo Ellie.

– Podwiozę cię na lotnisko – zaoferował się Anthony.

Mimo wszystko nie spodziewała się takiej gościnności.

– Nabrałem trochę tutejszych dobrych zwyczajów – wyjaśnił. – Traktuję nieznajomych, jakby byli przyjaciółmi. Dzięki temu spotyka się ciekawszych ludzi. Ale dla ciebie nie jestem chyba kimś zupełnie nieznanym?

Wkrótce przyszła Anna i nastąpiła kolejna prezentacja. Trzy kobiety odkryły, że są mniej więcej w tym samym wieku. Wymieniły informacje, co studiowały i gdzie pracują. Anna była prawniczką. Ellie poczuła ukłucie wstydu na myśl o swojej pracy polegającej na sprzedaży miejsca reklamowego.

Przy kolacji pytała się w duchu, czy życie ma do zaoferowania coś lepszego od siedzenia tu wysoko na tarasie, pod rozgwieżdżonym niebem.

– Jak ci się podobało w Grecji? – zapytała Anna.

Ellie uśmiechnęła się.

– Bardziej, niż jestem to w stanie opisać. Tak naprawdę wcale nie mam ochoty wracać do Anglii.

– Do czego tam wracasz? – zapytała Athina.

Ellie wzruszyła ramionami.

– Raczej nie jest to coś nadzwyczajnego – skomentował Anthony.

– On ma rację – przyznała. – Moje życie w Londynie nie jest zbyt przyjemne.

– Jeśli tak się sprawy mają, powinnaś coś zmienić – stwierdziła Athina. – Życie jest za krótkie, żeby dryfować z prądem.

– Święte słowa – wtrącił Anthony. – Znasz moje poglądy chyba lepiej od kogokolwiek. Życie powinno być pełne możliwości. Nie tylko obietnic.

Ellie krępowało trochę, że tyle o nim wie i że jego dziennik był taki osobisty.

– Wyruszysz w kolejną podróż? – zapytała, chcąc, by przestali o niej mówić.

– Nie w tym momencie. Chcę posiedzieć trochę w jednym miejscu. Mam w głowie tyle myśli. I muszę skończyć swoją książkę. – Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Potrafisz pisać na maszynie?

– Na klawiaturze komputera? Chyba wszyscy to potrafią.

– Niektórzy nadal piszą ręcznie – mruknął z zażenowaniem. – Nas ominęła komputeryzacja.

– Dlaczego o to pytasz?

– Potrzebny mi jest ktoś, kto przepisałby mój rękopis. Wydawca nie potrafi mnie odczytać.

– Ja na pewno to potrafię – odrzekła ze śmiechem Ellie. – Nie miałam problemu z przeczytaniem twoich historii.

– Jeśli pasowałaby ci taka praca, mogę cię zatrudnić. A jeśli nie masz się

gdzie zatrzymać, możesz zamieszkać u mnie w pokoju gościnnym.

Ellie zastanawiała się, co odpowiedzieć. Nadarzała się niesamowita okazja. Utarty sposób myślenia nakazywał jej wrócić do Londynu, jak oczekiwali tego znajomi i rodzina, lecz serce mówiło co innego.

Athina pochyliła się nad stołem.

– Poznaj samego siebie – powiedziała z naciskiem.

Ellie zapamiętała tę inskrypcję. *Gnothi s'eafton*. Może teraz przyszła kolej na nią?

– Przepraszam. – Wstała od stołu.

Potrzebowała trochę czasu, żeby to przemyśleć. Podeszła do balustrady tarasu i popatrzyła na miasto. Pierwszą sprawą, jaką powinna załatwić, był czynsz za przyszły miesiąc.

Wyjęła z kieszeni telefon i zadzwoniła do swojej gospodyni. Zdawało jej się, że minęły wieki, nim tamta odebrała.

– Mówi Ellie Thomas.

– Mieszkanie D?

– Tak. Chciałam...

– Mieszkanie D, tak? Ktoś dzwonił do mnie dzisiaj w sprawie pani mieszkania. Dawna lokatorka. Abbotson czy coś w tym rodzaju. Pytała, czy nie przyszła do niej jakaś poczta.

Przy boku Ellie stanął Anthony.

– Może pani chwilę zaczekać? – Czuła, jak wściekle bije jej serce. – Anthony – szepnęła, zakrywając spoconą dłonią komórkę. – Sarah pytała, czy nie było do niej listów.

– Powiedz, że nie – odparł, zaciągając się mocno papierosem. – Powiedz, że nic do niej nie przyszło.

Nadal lekko roztrzęsiona, Ellie wróciła do rozmowy z gospodynią. Anthony stał tuż przy niej.

– Właśnie to sprawdziłam – oświadczyła mocnym głosem. – Obawiam się, że nie... Dzwonię, żeby wypowiedzieć najem.

Niezadowolona kobieta zaczęła coś mówić o kaucjach i zabezpieczeniach. Ellie wyczuła, że nie może się spodziewać taryfy ulgowej.

– Rozumiem – rzuciła. – Ale czy możemy chociaż przyjąć, że okres wypowiedzenia zaczyna się od dzisiaj?

Dyskusja trwała kilka minut i zakończyła się kompromisem. Chowając telefon do kieszeni, Ellie zobaczyła, że Anthony nadal stoi obok niej: głęboko zamyślony wpatrywał się we wschodzący księżyc. Nie chciała mu przeszkadzać.

Po kilku chwilach posłał jej pytające spojrzenie.

Ellie się uśmiechnęła.

– Wszystko załatwione – powiedziała.

Wrócili oboje do stołu. Athina i Anna przerwały na ich widok rozmowę i spojrzały wyczekująco na Ellie.

Usiadła, Anthony napełnił ponownie kieliszki. Przez chwilę trwała cisza.

– Nie wyjeżdżam – zakomunikowała obu dziewczynom z nową pewnością siebie. – Mam zamiar tu zostać.

Jeszcze nigdy w życiu nie zaznała takiego spokoju i nigdy w życiu nie czuła takiego przyływu energii.

Jaskółki śmigają i nurkowały nad nimi w wieczornym powietrzu.

Z podziękowaniami dla:

Alexandrosa Kakolyrisa za nieoceniony wkład w powstanie *Pocztówek z Grecji*

Patricka Insole za piękny projekt graficzny

Emily Hislop za kreatywną dyscyplinę

ILUSTRACJE

- Wszystkie zdjęcia © Alexandros Kakolyris, z wyjątkiem:
© Olga Popova/Shutterstock i 19srb81/Shutterstock (znaczkę pocztową)
26–27 © Bardocz Peter/Shutterstock (mapa) i Stephen Rees/Shutterstock
(tło)
- 36 © Tatjana Kruusma/Shutterstock
38, 41, 46–47, 49, 50 © Carolyn Franks/Shutterstock (ramka fotografii)
84 © MikhailSh/Shutterstock
86 © DutchScenery/Shutterstock (retusz)
130 © Tatjana Kruusma/Shutterstock
138, 142 © creaPicTures/Shutterstock (ramka fotografii)
152 © Susan Law Cain/Shutterstock
154–155, 157, 163 © Print Collector/Alamy (pismo Byrona)
175, 177, 181, 190 © happykanppy/Shutterstock (tekstura wody)
184 © ninanaina/Shutterstock (tekstura wody)
206, 209, 212 © Shebeko/Shutterstock (tekstura)
220 © 5 second Studio/Shutterstock
230 © Tatjana Kruusma/Shutterstock
256 © Oleg Znamenskiy/Shutterstock
281 © Alinari Archives, Florence (grający na laternie)
282 © nevodka/Shutterstock
286 Fotos z filmu *Laterna, ftohia kai filotimo* za zgodą Finos Film, Ateny
289 Fotosy z filmu *Laterna, ftohia kai filotimo* za zgodą Finos Film, Ateny,
i donatas1205/Shutterstock (klatki z filmu)
308, 312, 316, 317, 324, 333 © amlet/Shutterstock (nadpalony papier)
333 © Victoria Hislop (okno)
370 © Tatjana Kruusma/Shutterstock
375, 379, 384, 388–389, 390, 394 © Ivan Smuk/Shutterstock (ramka)
402 © Oleg Znamenskiy/Shutterstock
404, 408–409, 412, 418 © ZoneFatal/Shutterstock (pióra)
424 © Nik Merkulov/Shutterstock i Andrey Eremin/Shutterstock (tekstura)

PRZYPISY

¹ George Gordon Byron, *Giaur*, tłum. Adam Mickiewicz, w: *Wiersze i poematy*, PIW, Warszawa 1981.

² George Gordon Byron, *W tym dniu ukończyłem trzydziesty szósty rok życia*, tłum. Jan Kasprówicz, w: *Wiersze i poematy*, PIW, Warszawa 1981.

